NRLF-1
MAIN

STEFANJA TUCHOŁKOWA.

ÓSMY KWIECIEŃ

POWIEŚĆ

NA TLE

WYPADKÓW ÓSMEGO KWIETNIA R. 1861-GO
W WARSZAWIE.

NAKŁADEM SPÓŁKI WYDAWNICZEJ KAROLA MIARKI
W MIKOŁOWIE.

Printed in Poland

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

Uwaga: Szczegóły historyczne do powieści p. t. „Ósmy Kwiecień“ czerpałam z opowiadań naocznych świadków, z ówczesnych notatek w pismach i przedewszystkiem z książki Sulimy p. t. „Dzieje dwóch lat“.

I.

Noc z dnia siódmego na ósmego kwietnia r. 1861-go, noc wietrzna, chłodna, deszczem rozpłakana, spowijała Warszawę w całun mroku.

Latarnie były już pogaszone, bo północ minęła, a nieliczne tu i owdzie na chmurnem niebie widne gwiazdy mdło przyświecały, jak oczy bielmem zaszłe.

Lecz mimo spóźnionej pory, zimna przenikliwego i mżącego ustawicznie deszczu, miasto nie spało. Wszystkie restauracje, kawiarnie i ogródki były pełne gości, a na ulicach snuły się nieprzeliczone, dziwnie podniecone tłumy. — Miasto całe drżało, jak człowiek chory drży febrycznemi drgnieniami. Straszny, gorączkowy dygot ogarniał tłumy, które jakiś mus wewnętrzny zniewalał do snucia się po ulicach.

Śmiano się i płakano naprzemian, padano sobie wzajemnie w objęcia i wołano: „Zwycięstwo, zwycięstwo po naszej stronie!“

Niektórzy nucili „Boże coś Polskę“, inni zaś pieśń Władysława Syrokomli, ułożoną z powodu rozwiązania Towarzystwa Rolniczego przez Wielopolskiego:

„Nas zebranych wielu razem
Car widzieć nie życzy,
Więc rozwiązał swym ukazem
Nasz legjon rolniczy.

Przypomina twoje długi,
Rycerski człowiecze,
Że żelazne twoje pługi
Czas przekuć na miecze“ i t. d.

Szczegóły rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego oraz przebiegu wczorajszej manifestacji narodowej i projekty tej, która się nazajutrz odbyć miała, — były na ustach wszystkich.

Opodal zamku, przy kolumnie Zygmunta, stała grupa ziemian, wiodąc ze sobą ożywioną rozmowę.

Obawiam się, — mówił jeden z nich, spoglądając na falujące tłumy, — że oni byliby gotowi zerwać się do boju i iść z gołemi rękami na armaty moskiewskie. Już od lat kilku odczuwam, że prądy rewolucyjne gromadzą się zwolna na horyzoncie politycznym tak, jak elektryczność gromadzi się w chmurach przed burzą. A dzieje się to skutkiem tego, że syn Mikołaja I. zawiódł nieuzasadnione zresztą niczem, li tylko na humanitarnem usposobieniu cara oparte nadzieje narodu polskiego.

— O tak, — ozwał się drugi w gromadce, — okazało się przecież, że władca Rosji może mieć słowo humanitarne na ustach i umysłem szersze, ogólno-ludzkie obejmować horyzonty; w czynach jednak zawsze stosować się będzie do polityki swych poprzedników na tronie carskim. Ulgi, jakie nieszczęsnemu narodowi przyznał, nie zadawalają nikogo. Udzielona przezeń emigrantom i wygnańcom sybirskim amnestja była w tak obraźliwej wyrażona formie, że emigracja ją odrzuciła. Z wygnańców sybirskich wrócili tylko ci, którzy dłużej tęsknoty za rodziną i ziemią ojczystą, o której w długie dni i noce wygnania śnili, znieść już nie mogli. Rzucając zyskowne nawet poniekąd zajęcia

na Sybirze, wracali w progi rodzinne, gdzie przeważnie cierpieć musieli po powrocie nieopisaną nędzę. Upokarzał ich też warunek dołączony do amnestji, by korzystający z niej udział swój w bojach krwawych, toczonych o niepodległość ojczyzny, uznali „z wynurzeniem żalu za chwilowe obłąkanie". I ta amnestja, w ten sposób udzielona, była pierwszym zaczynem niezadowolenia przeciw liberalnemu synowi okrutnego Mikołaja.

— Masz słuszność, panie Piotrze, — mówił trzeci, — a przecież i nadal nie zabrakło przyczyn budzących nieufność i niechęć do młodego cara. Słowa o tolerancji religijnej miał na ustach, a jednocześnie kazał przemocą nawracać na prawosławie Unitów, którzy za zachowywanie unickiego obrządku sieczeni bywali do krwi rózgami i zsyłani do ciężkich robót. Czegóż dobrego spodziewać się możemy po tym carze, który wielkoduszne słowa ma na ustach, a postępuje jak dziki satrapa? I cóż dziwnego, że coraz większe rozgoryczenie ogarnia umysły?

Nie dziwię się też temu, sąsiedzie, ale obawiam się, że smutnie skończy się to wszystko przy tak zapalnym stanie umysłów. Położenie zaś zaognia się sprawą czysto socjalną, ekonomiczną, sprawą włościańską. To martwe morze chłopskie, wśród ciężkiej pracy rąk i ucisku drzemiące od wieków letargicznym snem duchowym, poruszać się i falować zaczyna. Projekt uwłaszczenia zbudził zatajone w chłopach słuszne zresztą pożądanie posiadania na własność tej ziemi, którą z wieku na wiek w ciężkim mozole potem swym użyźniali. Ale to morze chłopskie, czułe na własne materjalne korzyści, nieczułem jest dziś na sprawy narodowe, które go nic nie obchodzą. Słyszałem sam, jak moi kmiotkowie mówili między sobą, że

panowie śpiewają „ojczyznę naszą racz nam wrócić, Panie“, a w myśli dodają: „pańszczyznę jeszcze racz nam wrócić, Panie!“

— Nie widać też tu dziś żadnego włościanina, — zauważył inny z ziemian, — zdala trzymają się oni od publicznych manifestacji narodowych, w których mieszczaństwo, właściciele i dzierżawcy posiadłości ziemskich, oficjaliści i młódź szkolna udział bierze. I sądzę, że gdyby wybiła godzina działania, to dłoń chłopska, uzbrojona w kosę racławicką, nie pomogłaby do oswobodzenia narodu. A bodaj niebawem wybije ta godzina działania. W kraju wre, jak w garnku z ukropem, choć wrzenie to na razie objawia się tylko w noszeniu żałoby narodowej i w manifestacjach po kościołach i ulicach.

Ale mnie to dziwi, że i żydzi biorą udział w tych manifestacjach. Nie nazywają też siebie żydami, lecz „Polakami mojżeszowego wyznania“. Uczestniczyli też w pogrzebie pięciu ofiar, poległych dwudziestego-dziewiątego lutego, kiedy to przy takiej ulicznej manifestacji generał Zabołockij rozkazał wojsku strzelać do bezbronnych tłumów. Nabożeństwa za tych pięciu poległych odprawiono także w synagodze.

Wiecie, sąsiedzi, że co do mnie, to sądziłem, iż usunięcie nienawistnego Muchanowa z kuratorstwa oświaty, a powołanie Wielopolskiego uspokoi wzburzone umysły. Ale przeciwnie, nietakt polityczny, jaki Wielopolski popełnił obecnie przez rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego, dał bezpośrednio już wczoraj powód do licznego zbiegowiska pod murami zamku. Ale Gorczakow mimo pogróżek nie zdobył się na użycie broni wobec tych bezbronnych tłumów, które teraz oto nocą

snują się radosne, jakby przejęte poczuciem odniesionego moralnie zwycięstwa.

Zabołockij został pociągnięty do odpowiedzialności za krew przelaną d. 29-go lutego, — opowiadano sobie w dalszej gromadce. — Już się teraz żaden generał rosyjski nie odważy na to, by kazać żołnierzom strzelać do ludu. A musimy odpowiedzieć manifestacją na to, co się jednak Wielopolski ośmielił uczynić, choć wiedział, że tem serca rodaków zrani i wywoła ogólne oburzenie. Czem mu Towarzystwo Rolnicze zawiniło? Chyba tem, że swego czasu nie przyjęło go w poczet swych członków, więc teraz kiedy margrabia do władzy doszedł, wywarł na Towarzystwie nieszlachetną, z osobistych pobudek wypływającą zemstę.

— Nietylko dlatego, — ozwał się Jan Borzęcki, przybrany w długie buty, krótki kożuszek barankowy i rogatywkę, — ale i dlatego, że Wielopolski pono zawistnem okiem spogląda na wzrastającą z dniem każdym popularność hrabiego Andrzeja Zamojskiego. Ale tem bardziej należy nam okazać publicznie uznanie „panu Andrzejowi". Czyż nie mam słuszności, Elo? — pytał młodzian, zwracając się do towarzyszącej mu, skromnie, lecz zgrabnie ubranej dziewczyny.

— Ty zawsze masz słuszność, mój Janku, — odparła, spoglądając mu z wyrazem niewymownej miłości w oczy.

— Ale hrabia Andrzej niechętnie przyjmuje te objawy publiczne miłości i uznania, — mówił dalej Borzęcki do narzeczonej swej, Eleonory Sieczkowskiej, szwaczki z zawodu. — Z niechęcią widoczną ukazał się dziś na wezwanie ludu na balkonie, z niechęcią przyjmował wieniec od deputacji, w odpowiedzi wzywając tłum do rozejścia

się, do poniechania manifestacji. Mówił, że mieliśmy już pięć ofiar i trzeba się wystrzegać, by więcej takich ofiar...

— Ofiar takich więcej nie będzie, — przerwała Eleonora narzeczonemu. Dziś grozili także, że będą strzelać, ale się na to nie odważyli i na wezwanie naszej młodzieży Gorczakow kazał się wojsku cofnąć do zamku, usłuchać naszej młodzi. Po naszej stronie wygrana, bo myśmy do ostatka na placu dotrwali.

Zwycięstwo, zwycięstwo! Wiwat! Wygrana przy nas! — odzywały się naokół liczne głosy.

Tłum cieszył się w radosnem upojeniu, jakby z odniesionego na polu bitwy walnego zwycięstwa.

Nie wiedzieli nieszczęśni, że na naprędce zwołanej do zamku naradzie postanowiono dać ludowi krwawą nauczkę w razie gdyby i nazajutrz do publicznych manifestacji przyjść miało.

Napoleon zabronił Moskalom strzelać do ludu, — powtarzano bezmyślnie krążącą wśród ludu pogłoskę.

Napoleon zabronił strzelać do ludu, — powtarzała także narzeczonemu Eleonora Sieczkowska.

Tak, pani, tak jest istotnie, — przywtórzył nagle jej słowom jakiś głos o śpiewnem brzmieniu i obcym akcencie.

Spojrzała.

Tuż przy niej stał człowiek jakiś, którego już poprzednio wielokrotnie widywała. Człowiek ten, gdy raz dla wypoczynku w ogrodzie Saskim na ławce usiadła, przybliżył się do niej i przedstawił się, lecz nazwisko tak niewyraźnie wypowiedział, że nie dosłyszała i nie wiedziała, jak się ów obcy nazywa.

On jednak odtąd nieustannie jej się narzucał, przy każdem spotkaniu wyznając jej swe uczucia, o których ona słuchać nie chciała. Ale ani chłód

Eleonory, ani wieść z jej ust posłyszana, że jest już zaręczona z kim innym, nie odstraszały niefortunnego wielbiciela. Wszędzie snuł się za dziewczyną, jak jej cień własny. Ilekroć rano szła do szwalni, lub wieczorem ze szwalni do mieszkania wracała, zawsze zjawiał się ów człowiek przy niej i prześladował ją swoją miłością. Jednak nigdy dotąd jeszcze nie miał śmiałości zbliżyć się do niej w obecności jej narzeczonego. — Dziś stało się to po raz pierwszy.

Nim jednak ze zdumienia nad tem ochłonąć mogła, przybysz począł mówić porywająco o miłości ojczyzny, o dniu codopiero ubiegłym, dniu, który wielką chwałą okrył naród polski, bo oto przed nieosłoniętemi zbroją piersiami ludu cofnęły się zbrojne roty moskiewskie.

Pogróżek Moskali lękać się nie trzeba — mówił, — oni strzelać nie będą, bo jak pani słusznie powiedziała, Napoleon im tego zabronił, a raczej wziętoby to rządowi rosyjskiemu za złe. Rosja zaś osłabiona niedawną wojną krymską musi się liczyć z ościennemi mocarstwami, a zwłaszcza z Francją. Europa zresztą trzyma naszą stronę i nie da mordować bezbronnych Polaków. Wolnomyślni Rosjanie poprą nasze usiłowania; tylko nie trzeba dać się zastraszyć. Należy jutro zadokumentować przed światem, że jesteśmy narodem, który ma odwagę upomnieć się o swe prawa. Manifestacja przyjść powinna, przyjść musi do skutku. — Mówił długo na ten temat i porywał słuchaczy swą wymową.

Naokół cisnąć się do niego poczęto.

Słowa jego padały jak iskry na nagromadzone prochy. Podniecenie gorączkowe wzrastało wśród tłumu.

Jutro, jutro nadstawimy im piersi nieosłonione zbroją! — wołano. — Zobaczymy, czy się ośmielą

strzelać. A choćby się nawet na to ośmielili, no to polegniemy, a śmierć nasza chwałą nas, ich zaś sromotą okryje. Zresztą oni strzelać nie będą. To tylko czcze pogróżki.

Oczy Eleonory błyszczały zapałem

Uprzedziłam się do niego, — myślała, słuchając słów mówcy, — to musi być dobry człowiek i gorący patrjota.

Przypomniało się jej jednak, że jeszcze sukni żałobnej dla owdowiałej pani Stobnickiej nie skończyła.

Nazajutrz miał być pogrzeb św. p. Ksawerego Stobnickiego, Sybiraka, który za amnestją powrócił swego czasu z wygnania do kraju.

Naród widział w zmarłym męczennika za sprawę narodową i w jutrzejszym pogrzebie kto żyw, chciał wziąć udział.

Suknia w każdym razie musiała być koniecznie do rana wykończona.

Eleonora szepnęła narzeczonemu na ucho, by ją wyprowadził z ciżby.

Ów niby znany, a jednak z nazwiska jej nieznany człowiek ukłonił jej się nisko, przyczem rozwarły się poły jego płaszcza.

Eleonora zdumiała się, bo zdało jej się, że dojrzała pod ciemnym jego płaszczem szynel rosyjski. Ale była pewna, że to tylko przywidzenie. Pełna prostoty i łatwowierna nie mogła tego przypuścić, że leżało to w interesie niektórych czynowników rosyjskich, by jutrzejsza manifestacja przyszła do skutku. — Chcieli, by krew na ulicach Warszawy popłynęła, aby nie było już możności uspokojenia narodu na drodze legalnych ustępstw.

Jak chmura gradowa zawisła już zapowiedź czegoś strasznego w powietrzu.

Eleonora nie przeczuwając tego, szła spiesznie w towarzystwie narzeczonego do domu; a choć teraz wymownych słów obcego człowieka nie słyszała, zdało jej się jednak, że czuje na sobie jego ścigające ją spojrzenia.

Obejrzała się mimowoli. Zdało jej się, że na rogu ulicy dojrzała jego sylwetkę Ale było to może także przywidzeniem jej ostatniemi wypadkami podnieconej wyobraźni.

Otworzywszy kluczem bramę, pożegnała się z narzeczonym i znikła mu z oczu w głębi domu.

II.

Jan Borzęcki pozostał na drodze wśród mroku i wichru, który to jęczał, to wzdychał, to chichotał za węgłami domów, wstrząsał ramami drzwi i okien, przysiadał chwilami cicho na gzemsach i znów się zrywał i ciskał mu w twarz płatki padającego teraz mimo pory kwietniowej śniegu.

Po chwili jednak nikły promień światła spłynął w mroczną ulicę z okienka poddasza, w którem Eleonora wraz z matką swą i drobnem rodzeństwem mieszkała.

Poprzez świst wichru doszedł uszu Jana Borzęckiego głos słodki, głos tak bardzo mu drogi:

— Dobranoc ci, Janku, dobranoc!

Wzniósł głowę w górę.

W uchylonem okienku poddasza widniała w promieniu światła palącej się w pokoiku lampy drobna twarzyczka jego Eli, jak Eleonorę w skróceniu nazywał.

Dobranoc ci, najdroższa! — odparł.

Muszę już okno zamknąć, — rzekła, — bo silny wiatr mógłby mi szyby potłuc. Zesztą pilno

mi z robotą. Zrana muszę odnieść gotową suknię do pani Stobnickiej, poczem wrócę do domu. Przyjdź tu o dziewiątej, a gdyby mnie jeszcze w domu nie było, to zaczekaj na mnie. Pójdziemy razem na punkt zborny, na Krakowskie Przedmieście, a po obiedzie na pogrzeb. Dobranoc raz jeszcze!

Okienko zamknęło się ze stukiem.

Lecz Borzęcki nimo wzmagania się wichru stał ciągle, wpatrzony w ten nikły promień światła, jaki w otaczającym go mroku płynął ku niemu z okienka ukochanej.

Przez niezasłonięte szyby widział Elę, krzątającą się po pokoiku. — Snać chłodno jej było, bo roznieciła ogień na kominku, a potem zasiadła nad szyciem.

Teraz weszła do pokoiku siwa, przygarbiona staruszka, w której Jan Borzęcki poznał matkę swej narzeczonej. Rozmawiała o czemś długo z Elą, potem wyszła z pokoiku i znów wróciła, wręczając córce jakieś pismo, które Ela oczyma przebiegła. A po przeczytaniu na chwilkę zadumała się, potem w płonący ogień to pismo wrzuciła i znów pilnie szyć zaczęła.

Światło lampy i odblask płonącego na kominku ognia oświetlały jasno jej białą, o regularnych drobnych rysach twarzyczkę, okoloną ciemno blond włosami.

Borzęcki kochał ją nad życie.

Była to dla niego najdroższa istota na świecie. Sierotą był, a z rodziny miał tylko stryja, bogatego stolarza, mieszkającego na Solcu.

Elę zobaczył poraz pierwszy w Stobnicy, gdzie zarządzał gospodarstwem, a dokąd Ela na przeciąg kilku miesięcy przybyła, by szyć wyprawę dla wy-

chodzącej za mąż córki właściciela majątku, a syna zmarłego teraz przed kilku dniami w Warszawie Ksawerego Stobnickiego.

W takich to okolicznościach tam na wsi poznali się młodzi przed kilku laty.

Ela zarówno urodą, jak i skromnością obejścia odrazu spodobała się Borzęckiemu. Za tem spodobaniem przyszła zwolna miłość prawdziwa i gorąca, choć tylko ukradkowemi spojrzeniami i cichemi westchnieniami się objawiała.

W poobiedzia niedzielne grywał Jan Borzęcki na skrzypcach w pobliżu oficyny, w której Ela pokoiczek wyznaczony sobie miała, lub wyśpiewywał pod jej oknami:

„Już słońce zaszło, psy się pośpiły,
A ktoś tam klaszcze za borem;
Pewnie to, pewnie mój Filon miły
Pod umówionym jaworem."

Ela domyślała się uczuć młodzieńca i odpłacała mu wzajemnością. Do wyznań jednak przez dłuższy czas nie przyszło, bo też i nie było sposobności po temu. Byłaby może nawet Ela do Warszawy powróciła bez posłyszenia oświadczyn Borzęckiego, gdyby szczęśliwy przypadek nie był dopomógł zakochanym.

W pewne piękne poobiedzie majowe pani domu zauważyła, że Ela jakoś pomizerniała i pobladła. Przypisując to nadmiernemu siedzeniu nad szyciem, poleciła dziewczynie, by odłożyła wcześniej niż zazwyczaj robotę i przeszła się na świeżem powietrzu.

Najlepiej idź panna do lasu; rosnące tam świerki taką miłą woń żywiczną roztaczają dokoła, że doprawdy to cię orzeźwi, bo mi coś mizernie wyglądasz.

Dziewczyna chętnie posłuchała zlecenia i jak ptaszę z klatki wypuszczone wyfrunęła na chwilę swobody. Poszła do lasu, gdzie zupełnie niespodzianie spotkała się z Borzęckim, który krótszą przez las drogą wracał właśnie z pola.

Pierwszy raz byli sam na sam.

Z niesłychaną wyrazistością, jakby obecna, stanęła teraz ta chwila w jego pamięci.

Z przed oczu jego znikła mroczna ulica rozświetlona tylko słabym blaskiem lampy, palącej się w mieszkaniu Eli. Nie słyszał poświstu wichru, nie czuł przenikliwego chłodu, lecz zdało mu się, że się znajduje w Stobnicy, w owym lesie. Po raz drugi we wspomnieniu przeżywał jakby w rzeczywistości ową chwilę.

I zdało mu się, że znowu ów wieczór wraz z nieodstępną swą towarzyszką — ciszą — schodzi powoli na pastwiska zielone, owija zasłonami mroku wyniosłe drzewa i żurawie studzienne i chat obejścia, przysiada przy krzyżach przydrożnych, przy miedzach i polach, przystaje przy rozstajach i jarach i obejmuje świat w swe posiadanie.

Chwila przed kilku laty miniona wracała teraz ku niemu na fali wspomnienia. Szli wówczas razem w las.

Wiewiórka ruda spłoszyła się na gałęzi; a z pod nóg zerwało im się stado cietrzewi. Gdzieś gruchały miłośnie gołębie leśne, nawoływały się drozdy, a dzięcioły stukały zawzięcie.

Lecz zwolna cichnąć zaczęły te wszystkie głosy. — Kilka poważnych akordów zagrał im jeszcze las szumiący i ucichł. Tylko z mrocznej głębi lasu tajemnicze jakieś szepty podnosiły się i rozbrzmiewały w przestrzeni; a poeta lasu nucił gdzieś pieśń swą w gęstwinie. Co za ptak i jaką pieśń nuci? — z tego nie zdawali sobie sprawy. — W tej cichej

zmroku godzinie las, przestwór cały śpiewał im cudną pieśń miłości, której wtórowało przyspieszone bicie ich serc.

Tłum drzew zielonych otaczał ich w około, a ponad ich głowami błyszczeć zaczynały na niebie złociste gwiazdy.

Tkliwe, pełne miłości słowa cisnęły mu się na usta, niby potok rwący. Żadna moc ludzka nie mogła ich powstrzymać.

Miłuję cię, pani — szeptał, — więcej niż świat cały. Powiedz, czy i ty mnie miłujesz i czy chcesz ze mną iść przez życie?

W blasku gwiazd dojrzał, że łzy miała w oczach, a rozchylone jej usta, na których ważyły się jakieś słowa, drżały ze wruszenia.

Wietrzyk muskał im lica jakby z lekką pieszczotą. — Drzewa szeptały opowieść o upojeniu miłości.

Pochylił się nad nią.

Czekam na odpowiedź, — rzekł, — tak czy nie, zmiłuj się, pani, powiedz, nie trzymaj mnie w niepewności.

Tak, — wyszepteła.

Tak, — zawtórował las cichym poszumem.

Ogarnęło go słodkie upojenie.

W około pachniały kwiaty i zioła, i jej włosy pachniały.

Ujął jej głowę w swe dłonie i pił szczęście z jej ust.

Nie broniła się. Główka jej, oblana światłem miesiąca, spoczywała z ufnością na jego ramieniu.

I tak w ten cichy wieczór gwiaździsty wyznali sobie miłość wzajemną, która przez długi szereg takich wieczorów, blaskiem gwiazd roziskrzonych, w sercach ich powoli wzrastała. Ale o pobraniu się nie mogło być na razie mowy. Stanowisko

urzędnika gospodarczego w owe czasy nie było tak dobrze płatne, aby Jan Borzęcki mógł pomyśleć o prędkiem założeniu ogniska domowego. Trzeb było lata całe na to czekać. Ale oni mając pewność wzajemnych uczuć, chętnie czekać chcieli i zwolna dążyć z wytrwałością do zacisznej przystani własnego, choćby najskromniejszego ogniska domowego.

Tak przeczekali całe trzy lata, aż teraz nareszcie cel upragniony był bliski dopięcia. Oboje oszczędni uciułali trochę grosza, a bogaty stryj Borzęckiego, posiadający wielki warsztat stolarski na Solcu, chciał dopomóc bratankowi znaczniejszą bezprocentową pożyczką do wzięcia w dzierżawę lub do nabycia na własność jakiego małego folwarczku.

Ale z dniem każdym zaogniająca się sprawa włościańska, nieuregulowane stosunki pańszczyźniane stawały teraz na przeszkodzie w urzeczywistnieniu tego planu. Przytem wzbierający każdą chwilą prąd rewolucyjny i coraz silniej budzące się w sercach narodu pragnienie odzyskania niepodległości — usuwały na bok wszystko inne, wszelkie sprawy prywatne.

Złudne, pragnieniem serca wywołane fatamorgana brano za jasny świt wolności. — Umysły były jak baterje naładowane, do których tylko lont zapalony przyłożyć trzeba, by wybuch nastąpił.

Ale gdy teraz Jan Borzęcki stał tak na dworze wśród mroku i wichru i padającego śniegu, wpatrzony w to oświetlone okienko poddasza, wydało mu się mimowoli to ciche, jasne, z poza szyb błyskające światło niejako symbolem światła ogniska domowego, przy którem, wśród największych mroków i wichrów przeciwności, można pielęgnować ideały ojczyste i pracować na polu cichej, legalnej pracy nad rozwojem narodowym.

To może najbezpieczniejsza ostoja, najpewniejsza przystań, — pomyślał. Może ten znienawidzony margrabia Wielopolski ma jednak trochę słuszności w tem, że byt narodowy poprawić mogą tylko w obecnych warunkach wewnętrzne, pokojowe reformy. I może byłoby lepiej poniechać manifestacji, która wywołać może krwawe represje ze strony siepaczy.

Tak myślał Jan Borzęcki teraz, teraz, gdy był zdala od rozgorączkowanych tłumów.

W tej chwili poczuł jakąś ciężką rękę na ramieniu. Obejrzał się i ujrzał owego nieznanego sobie mówcę, który poprzednio tłum do jutrzejszej manifestacji namawiał. Jakby w myślach ludzkich czytać umiał, ozwał się ów mówca do Borzęckiego:

Chyba się niema co namyślać, — jutrzejsza manifestacja to rzecz już postanowiona. Zresztą pójdź pan ze mną; mam panu jeszcze niejedno do powiedzenia! I nim zdumiony Borzęcki zdołał zdobyć się na odpowiedź, nieznajomy pociągnął go za sobą w stronę pobliskiej garkuchni, w której roiło się od rzemieślniczej i szkolnej młodzieży.

III.

Zasiedli za stołem.

Garson, podać piwa dla wszystkich. Ja płacę, — zawołał towarzysz Borzęckiego. Po chwili trącano się pełnemi kuflami.

Niech żyje wolność! — zawołał mówca.

— Spełniono toast duszkiem.

Garson, przynieś teraz wódki i przekąski.

Stojący pod piecem wyrostek, walczący z ogarniającą go sennością, spełnił rozkaz.

Na pohybel ciemiężcom! — zawołał mówca donośnym głosem. — Daj jeno jeszcze jedną kolejkę, przyjacielu, a teraz słuchajcie panowie, — dodał, wyciągając z kieszeni plik gazet.

Rozwinął jedną z nich i począł głośno czytać tłómaczone z pism zagranicznych entuzjastyczne artykuły o Polsce, pełne nic nie kosztujących zapewnień gorącej sympatji, jaką zagranica odczuwała dla uciemiężonego narodu. — Czytał, a słuchający wchłaniali w siebie każde z usłyszanych słów.

Milczeli, lecz oczy ich mówiły, jak głęboko zapadały im w dusze słowa posłyszane.

W Borzęckim budziły się wątpliwości, czy zagranica ujęłaby się czynnie za nieszczęsnym narodem, gdyby tego zaszła potrzeba? Łatwo to szafować zapewnieniami sympatji, które do niczego nie zobowiązują, a co innego, gdy o czyn chodzi.

Nieznajomy zwrócił się wprost do niego, jakby czytał w jego myślach.

Czy pan sądzisz, że Europa w danym razie nie przyszłaby nam z pomocą? O! to się mylisz. Francja zawsze była wierną siostrzycą Polski. Lilje francuskie na polu bitew powiewały na sztandarach obok Orłów białych. Żyje we Włoszech pamięć legjonów Dąbrowskiego, a i liberalna Anglja nie jest obojętna na niedolę Polaków.

A jednak mocarstwa europejskie dopuściły do największej zbrodni, jaka się kiedykolwiek na świecie stała, do rozćwiartowania żyjącego narodu, — ozwał się Borzęcki.

O! wtedy, przy rozbiorze Polski, to co innego. Okoliczności tak się wówczas nieszczęśliwie złożyły, że każde z państw europejskich zaprzątnięte było własnemi sprawami. Zresztą wówczas w chwili upadku Polska nie cieszyła się wielką sympatją u innych mocarstw. Teraz opromieniło nas aureolą

męczeństwo porozbiorowe i sprawa polska budzi oddźwięk we wszystkich sercach. Trzeba tylko zrzucić gniotące jarzmo.

Tylokrotnie chwytaliśmy za oręż, a cóż za plon przyniosły nam nasze krwawe trudy? Któż zrywającemu się do boju nieszczęsnemu narodowi podał dłoń pomocną? A słusznie powiada Jan Śniadecki w żywocie Kołłątaja, że „rewolucja krajowa jest jak owa bajeczna u poetów Gryce, która swoich dowódzców przerabia w burzycieli porządku, gdy się nie uda."

„Albo w bohaterów i zbawców, gdy swego dopnie" — przerwał Borzęckiemu mowca. — Zresztą nie mówię o tem, by koniecznie za broń chwycić, — ale trzeba jednak jawnie swe uczucia narodowe zadokumentować. Ojczyźnie trzeba tak służyć, jak Chrystusowi, który sam o Sobie powiedział, że zaprze się tego, któryby go się zaparł wobec ludzi. Zresztą cóż wskóramy znosząc spokojnie wszelki ucisk i samowolę wroga?

Tak, to prawda, — ozwał się jakiś student. Ojciec mój nie mieszał się w żadne sprawy polityczne ani społeczne, tylko przyznawał się jawnie do swej narodowości, a uwięziono go i tak go dręczono przy badaniach, chcąc wyciągnąć zeń zeznanie niepopełnionej winy, że nieszczęsny kawałkiem szkła, który znalazł w lochu więziennym, żyły sobie poprzerzynał.

A mego brata, — mówił inny, — dlatego tylko, że się litował nad krwawą dolą Unitów, wywieziono do kazamat sybirskich, gdzie zmarł w strasznej udręce ciała i duszy.

Chwila głuchego milczenia zapadła po tych słowach. — Wiatr tylko jęczał za oknami.

Przed zadumanym wrokiem Borzęckiego rozwarły się odległe przestrzenie krainy sybirskiej,

gdzie w kazamatach, przykuci do taczek, pędzą nieszczęsny żywot ci, którzy idą za przyrodzonem prawem człowieka, umiłowali ziemię ojczystą i mieli odwagę przyznać się do tego lub wyrzec kilka słów współczucia dla prześladowanych. Nietylko skazani na wygnanie i ciężkie prace, ale i wyzuci z praw ludzkich, bo dozorcy mają prawo ich chłostać i pastwić się nad nimi. I jedna tylko dla nich chwila wytchnienia, gdy myśl ich na skrzydłach tęsknoty leci, jak ptak, w kraj daleki, w kraj umiłowany, do swoich. Ale tem boleśniejsze poczucie rzeczywistości.

I rozwarły się przed oczami duszy jego lochy cytadeli i podziemnych więzień, gdzie dręczeni ponad wszelką miarę i tylko dla swej narodowości rodacy jego pędzą żywot żywcem pogrzebanych. W mroku i zaduchu iście mogilnym płyną im dni samotne, pełne udręki, i noce bez końca, w czasie których zatraca się zwolna poczucie czasu i istnienia, tak jakby się zawisło w jakiejś bezmiernej pustce, gdzie się nic nie dzieje, gdzie się jest jakby poza życiem, poza czasem.

I wtedy dłoń samobójcza przecina pasmo nieszczęsnego, podmogilnego żywota. I czyliż on, Jan Borzęcki, mógłby żyć w spokoju i zadowoleniu w zaciszu domowem, gdy jego współrodacy tak cierpieli? — Dalekie i obce wydały mu się w tej chwili zabiegi codzienne i sprawy osobiste, ponad któremi górowało to, co stanowiło i stanowi treść życia przyszłych i obecnych pokoleń, — pragnienie wolności, — bez której nawet największe osobiste szczęście stanowiłoby szereg dni martwych i jałowych. Przypomniały mu się słowa z pieśni wajdeloty w Konradzie Wallenrodzie: „Szczęścia nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie.“ — Kochał narzeczoną swą nad życie, i ognisko rodzinne,

opromienione jej obecnością, mogłoby mu być rajem na ziemi, gdyby na dnie każdej myśli, każdego odruchu woli i pragnienia nie tkwiła bezbrzeżna tęsknota za odzyskaniem niepodległej Ojczyzny. Cóż mogłoby zagłuszyć ten krzyk wewnętrzny za wolnością, którego pełna była każda przechodząca i pełna będzie każda przyszła chwila? Więc nie o szczęściu osobistem mu śnić, ale iść jutro wraz z wszystkimi jawnie zadokumentować swe uczucie narodowe. Niech dzieje się, co chce. Pójdą inni, to i on pójść musi. Nie może pozostać poza narodem.

Tak rozmyślał, a wokół garkuchnia rozbrzmiewała entuzjastycznemi okrzykami.

Pójdziemy jutro, pójdziemy wszyscy; jak jeden mąż! Niech wróg ugnie się moralnie przed zjednoczoną wolą narodu. Pójdziemy.

IV.

Tymczasem Ela siedziała w swoim pokoiku szyjąc pilnie; lecz wejście matki na chwilę oderwało ją od roboty.

Matka jej nietyle wiekiem, co ciężkiemi przejściami życiowemi zgnębiona kobieta, gderliwą była z usposobienia.

Do czegóż to podobne? — mówiła, — przez cały dzień włóczysz się po mieście, a tu robota pilna w domu leży.

Nie gniewaj się, mamusiu, sukni i tak do rana dokończę.

Ale pocóż wy te wszystkie hece urządzacie? Źle wam chyba w głowie. Ot, lepiej byś mi w domu w robocie pomogła i szycia więcej pilnowała. Przez te manifestacje tylko czas i zarobek tracisz, a tu tyle wydatków. Aż głowa mnie boli

od tych ciągłych kłopotów, skąd wziąć pieniędzy na potrzeby domowe; ta zaś spaceruje sobie, jak jasna pani, po ulicy, a stara matka ręce sobie po łokcie opracuje, — zrzędziła gniewnie.

Ale choć słowa gderliwe na ustach miała, w głębi duszy dobra to była kobieta. Ciągłe nieszczęścia, a bardziej jeszcze drobnostkowe codzienne kłopoty przytłumiły w niej wrodzoną żywość i wyższe porywy. Zmęczyła się w deptaku codziennego życia. Jednostajność, zajęć i otoczenia, nie dając jej nowych wrażeń, uśpiła w niej myśl, ścieśniła widnokrąg pojęć. Pochłaniały ją ciągle starania i troski o byt i czyniły ją na to tylko czujną, co się tego bytu tyczyło. Dzień cały od świtu do nocy pracowała ciężko. Pierwsza wstawała, ostatnia spać się kładła; a chociaż najwcześniej wstała, zawsze jeszcze jej się zdawało, że za długo spała, że godziny dnia więcej można było wyzyskać i że gospodarstwo domowe na tem ucierpi. Drobnostkowemi sprawami przejęta, nie pojmowała entuzjazmu córki w wielkiej sprawie ogółu i obca była duchem prądowi chwili.

Cóż mogą mnie obchodzić jakieś manifestacje, jakieś hymny, śpiewane po ulicach? — Toć to żadnej namacalnej korzyści nie przyniesie. Nacóż więc to wszystko? Ot głupstwo i mitręga czasu i tyle. Eli pałały policzki, a serce biło jej silnie.

Nie mów tak, mamo, nie! O! gdybyś ty była widziała, jak to było pięknie, gdy nieomal cała Warszawa zgromadziła się na cmentarzu powązkowskim!

Stosem wieńców okryto mogiłę pięciu ofiar poległych w lutym. Pośród wieńców czerniał krzyż, spowity w kajdany i wieniec cierniowy, jako godło naszego męczeństwa, a nad tem godłem biały ptak królewski rozwijał swe skrzydła, jakby wzlecieć chciał ponad tym tłumem, nucącym jednogłośnie: „Boże

coś Polskę". Cmentarz cały rozbrzmiewał tym śpiewem, jakby nietylko żywi ludzie, ale i zmarli w mogiłach pieśń tę śpiewali. A potem, jakto było uroczyście przed gmachem Towarzystwa Rolniczego i pałacem hrabiów Zamojskich! Pomyśl, matuchno, że pono sto tysięcy narodu tam się zgromadziło. Drzwi wchodowe ustrojono wieńcami i girlandami a na balkonie na miejscu, gdzie wisiał dwugłowy orzeł rosyjski, zawieszono obraz Matki Boskiej, spowity w krepę, a pod obrazem Białego Orła. Kilku młodych ludzi niosło olbrzymi wieńcem myrtowym okolony transparent z umieszczonym w srodku napisem „Towarzystwu Rolniczemu". Prócz tego było jeszcze wiele małych transparentów z temi samemi napisami. Na głos śpiewano: „Jeszcze Polska nie zginęła." Moskale i sam nawet generał Paniutyn, który napróżno wzywał lud do rozejścia się, słuchali tego, ale nie śmieli się nawet odgrażać. Następnie „pan Andrzej", wezwany przez lud, ukazał się na balkonie, a zgromadzony tłum zawołał jednogłośnie: „Niech żyje król polski, Andrzej Zamojski". Wreszcie tłum cały zwartą ławą ruszył ku zamkowi, przed którym dwie kompanje wojska pod wodzą Chrulewa ustawiły się w szyku bojowym. Ale tłum nie zważał na to wcale; wtedy sam Gorczakow w otoczeniu dwóch generałów i naczelnika policji Rozwadowskiego podjechał konno do zgromadzonych, wzywając ich do rozejścia się.

„Rozchodźcie się, idźcie spać do domu, — mówił.

Odpowiedzieliśmy mu:

„Spaliśmy przez trzydzieści lat, teraz obudziliśmy się."

„Czego chcecie?" — spytał.

„Wolności, konstytucji, Towarzystwa Rolniczego, delegacji!"

„Każę strzelać!" — groził.

„Strzelajcie do bezbronnych, jeżeli chcecie; polegniemy chętnie jako ofiary za Ojczyznę!“

Wreszcie Gorczakow rozkazał użyć siły Chrulewowi, który na czele konnicy wdarł się w tłum. Cofano się o kilka kroków pod naporem koni i zaraz powracano na dawne miejsca, nie ustępując z placu. Skończyło się na tem, że na wezwanie kilkunastu młodych ludzi, którzy Chrulewowi dali słowo, że lud się w takim razie rozejdzie do domów, wojsko ustąpiło i cofnęło się do zamku. A myśmy wołali, rozchodząc się zwolna:

„Wiwat książę, że naszych dzieci usłuchał! Wygrana! Wygrana!“

Widzisz matuchno, grozili, że będą strzelać a nie ośmielili się i nie ośmielą się też na to. Choćby nawet tak było, to miła przecież śmierć za Ojczyznę.

Za Ojczyznę? — Czyż sądzisz, dziecko, że Ojczyźnie krew bezowocnie przelana korzyść przynieść może?

Wicher szalał na dworze, uderzał w szyby i wstrząsał drzwiami. Zdawać się mogło, że niewidzialne jakieś istoty dobijają sie do okien i drzwi i wołają żałosnemi głosy: Otwórzcie! Otwórzcie! —

I zdało się starej kobiecie, że otwierają się naoścież wąskie odrzwia, a niemi suną krwawe widma przeszłości. Coraz ich więcej. Mała izdebka nie może ich pomieścić.

Ach! i ja pamiętam, — rzekła z głębokiem westchnieniem — jak lat temu trzydzieści zdawała się wschodzić nad krajem naszym jasna zorza wolności. W noc taką wietrzną, pochmurną, jak dziś szło na Belweder osiemnastu spiskowych, wołając: „śmierć tyranowi!“ Ale tyran zdołał ujść tej śmierci. A za tą garstką młodzi poszedł na nieszczęście naród cały. Lecz jak bańki mydlane pękły zwodnicze

blaski chwili. Iluż to poległo! Wszystkich moich najbliższych najdroższych wtedy straciłam. W czas jakiś potem z niezagojoną jeszcze raną w sercu, by tylko własny dach nad głową znaleźć w sierocej mej doli, połączyłam się węzłem małżeńskim z twym ojcem. Ale i on był takim, jak ty, entuzjastą. Wciąż tylko marzył o Ojczyźnie niepodległej, warsztatu krawieckiego nie pilnował. Dłoń miał wiecznie otwartą na różne potrzeby narodowe, a o zabezpieczeniu losu swej rodziny nie pamiętał. Długi czas za Paszkiewicza przesiedział w cytadeli; wreszcie umarł a ja zostałam z gromadką drobnych dziatek i z nędzą. Tyle ofiar i cóż z tego? Wszystko poszło na marne. Wszystko mrzonki. A cóż nam jutro przyniesie?

Ale Elę ogarnęła jakaś beztroska o to, co jutro przynieść może. To dziś, zdaniem jej zwycięskie, w którem naród bezbronny nieugięty pozostał wobec rot zbrojnych, to dziś trwało i napawało ją poczuciem triumfu i nieopisanego zapału.

Matuchno — rzekła, — czyliż wszystko tylko miarą osobistych korzyści i strat mierzyć można? Wyżej niż wzgląd na dolę i niedolę poszczególnych osób stoi wzgląd na dobro kraju. My zresztą nie idziemy walczyć z orężem w dłoni; my tylko chcemy publicznem zamanifestowaniem naszych uczuć i żądań zniewolić cara, by przyznał nam nasze narodowe prawa. My pieśnią i hymnem chcemy u Pana zastępów wyprosić wybawienie z niedoli.

To wszystko mrzonki, — powtórzyła matka, — ale wiem, że cię nie przekonam, więc dajmy temu pokój. Ale prawda, całkiem zapomniałam, że przyszedł jakiś list do ciebie nie pocztą, bo nie nosi żadnego stempla pocztowego, tylko ktoś podsunął go pode drzwi nasze.

Mówiąc to, wyszła do drugiego pokoiku i po chwili przyniosła list.

Ela spojrzała na kopertę. — List zaadresowany był jakąś nieznaną jej ręką.

Rozerwała kopertę i szybko przebiegła list oczyma. W miarę, jak czytała, coraz większe a przykre zdumienie malowało się na jej twarzy.

Kto pisał ten list i cóż w nim donosi? — zapytała matka.

Kto pisze, tego nie wiem, — odparła dziewczyna, — bo podpisu niema; ale w liście przestrzega mnie ktoś niby mi życzliwy, że Janek mnie zdradza.

Co to, to już nie wierzę, — rzekła matka, — Janek to zacny chłopiec, który kocha cię szczerze. Każdy wie, że takim listom bez podpisu wiary się nie daje. Ten, kto ten list pisał, to podły kłamca i intrygant!

Ja też nie wierzę, mamo, w treść tego listu, — zawołała Ela i wzniosła wzrok swój ku stojącej na kominku fotografji Janka.

Z ramek, okolonych wiankiem suszonych kwiatków, patrzały na nią poczciwe oczy narzeczonego, a z pod gęstego wąsika uśmiechały się do niej miło jego usta.

Takie poczciwe oczy nie kłamią, — myślała Ela, — one są zwierciadłem duszy nieznającej zdrady.

I nagłym ruchem wrzuciła list anonimowy w ogień. — W okamgnieniu objął go płomień w palący swój uścisk i zmienił w pył. Po chwili i ten pył zapodział się gdzieś w czeluści kominka. Nie rozpoznać go w popielisku. Ani śladu nie pozostało po nim.

A pomimo to i mimo że przeświadczona była o wierności Janka, cierń jakiś kłujący pozostał w jej sercu. Taki martwy świstek zapisanego papieru, a tak wielki ból żyjącej istocie mógł sprawić! Spłonął już, lecz każde słowo, każda literka listu

stały jej przed oczyma i zdawały się rosnąć, wydłużać, przybierać kształty sztyletów, które raniły ją w samo serce.

Setki podejrzeń, choć je odpychała zwartą falangą, napływały jej do myśli, obsiadały ją, jak rój owadów naprzykrzonych.

Jakąś drobną szpareczką niespostrzeżenie sączyć zaczęła się do jej serca nieufność do Janka.

V.

Chłodny, posępny poranek spowijał świat w szary jakiś całun i smętek bezbrzeżny. — Słońce przez chmury świeciło jakiemś szarobiałem, jakby trupiem światłem.

Niosąc zawiniątko z gotową suknią do pani Stobnickiej na Senatorską, spiesznym krokiem dążyła Ela poprzez puste prawie ulice, bo prócz kilku piekarczyków, roznoszących świeże pieczywo, nikogo nie napotkała.

Cisza poranna panowała jeszcze naokół. Tylko raz po raz z drzew wzdłuż ulic rosnących młody liść, mrozem niespodzianym zwarzony, opadał z cichym szelestem na bruk poprószony śniegiem mimo pory wiosennej.

Przyroda tego roku była obrazem doli tej ziemi. — W marcu już przedwczesna wiosna okryła pola runią zieloną a drzewa młodem listowiem, lecz początkiem kwietnia chwyciły niespodzianie mrozy i zwarzyły kiełkujące źdźbła i młode listki.

Tak też i przedwcześnie wybujałe nadzieje nieszczęsnego narodu miał mróz przeciwności w samym ich rozkwicie zwarzyć i zniweczyć.

Ale Ela pełna była otuchy. — Niepokoiło ją tylko dziwne wrażenie, jakiego zaraz po wyjściu

z domu doznała. — Otóż zdawało jej się tak, jak i wczorej przy powrocie do domu, jakoby spojrzenie czyichś oczu goniło za nią ustawicznie. Obejrzała się kilkakrotnie poza sobie i nie dojrzała nikogo. Raz tylko wydało jej się, jakoby cień jakiś za obejrzeniem się jej przylgnął do muru oddalonej o kilkanaście kroków kamienicy. Lecz nie była pewna, czy to nie jest znów tylko przywidzenie. Szła jednak jeszcze spieszniej, bo teraz właśnie przechodzić musiała przez plac z rozpoczętemi w zeszłym roku budowlami. Z powodu mrozu i ustawicznych manifestacyj prac budowlanych jeszcze w tym roku nie rozpoczynano, więc plac stał pusty. W tej chwili prócz niej nikogo na nim nie było. Jakieś dziwne przeczucie, lęk jakiś niewytłómaczony ją ogarnął. Objęło ją niemiłe poczucie samotni. Wtem bezwiednie uczuła, że ktoś ostrożnie przybliża się do niej. Nie obejrzała się już, lecz przyspieszyła jeszcze więcej kroku. Lecz zdało jej się, jakby się wszystko na nią sprzysięgło.

Kałuże, stosy desek i cegieł, jakby żyjące jakie istoty, umyślnie zdawały się zastępować jej drogę. Potykała się o nie i biegła. Przestrzeń jednak zdawała się jakby wstecz cofać.

Czyliż nigdy nie zdoła przebyć tego pustego placu?

Mimo przenikliwego chłodu pot uperlił jej czoło.

Dobywała wszystkich sił, lecz ten, który ją gonił, był tuż przy niej. Czuła jego gorący oddech na twarzy.

Pochwycił ją za rękę.

Dzień dobry pani! Niechaj tak pani nie ucieka, — zabrzmiał jej w uszach głos wczorajszego agitatora.

Niechętnie ściągnęła brwi, lecz wspomniawszy jego wczorajsze patrjotyczne słowa, uspokoiła się znacznie.

Dzień dobry panu! — odrzekła, — ale proszę, niech pan mnie nie zatrzymuje, bo mi spieszno.

Pozwoli pani towarzyszyć sobie kawałek drogi? — zapytał.

Nie chcąc być niegrzeczną, nic nie odpowiedziała.

Lecz on szedł tuż przy niej.

Dlaczego pani tak mi nieprzychylna? — mówił. — Takiej miłości, jak moja, nie znajdzie pani na świecie, a pani odtrąca mnie dla tego Janka Borzęckiego, który nie wart uczuć pani. On panią zdradza.

Nagły błysk świadomości olśnił dziewczynę.

To pan pisał ten niecny list, który wczoraj odebrałam, — zawołała z oburzeniem. — Teraz to już wiem napewno, że to wszystko kłamstwo, co w tym liście było.

I naraz nastała w niej cisza i ukojenie, jakby ją ktoś ułaskawił z katorgi trwogi i udręki, jaka jej się przez noc całą we znaki dawała.

On zaś mówił coś do niej, usprawiedliwiając się, lecz nie zważała na jego słowa, więc zamilkł.

Uszli kilkanaście kroków.

Naraz on rzucił się na dziewczynę, niby sęp na upatrzoną zdobycz. Pochwycił ją za obie ręce, ciągnąc przemocą ku stojącej opodal pustej szopie.

W lot zrozumiała, jakie niebezpieczeństwo jej grozi. Próbowała się wyrwać, lecz on trzymał ją silnie, jakby kleszczami.

Chciała wołać o ratunek, lecz głos jej zamarł w krtani. Zresztą nikt nie dosłyszałby jej wołania na bezludnym placu. Po chwili szamotania się z napastnikiem zdołała jednak wyrwać mu prawą

rękę. Ściśniętą w kułak pięścią uderzyła go niespodzianie między oczy.

Uderzenie było nagłe i silne, bo dziewczyna, od młodu nawykła do ciężkiej pracy, miała muszkuły ręczne mocno rozwinięte.

Napastnik potoczył się i mimowoli puścił jej drugą rękę.

Ona zaś przyciskając zawiniątko z suknią do siebie, biec co cił poczęła.

Lecz w kilku susach ją dogonił.

Na szczęście z bocznej uliczki wysunęło się kilku przechodniów. — Na wołanie dziewczyny biegli jej na pomoc.

Widząc to napastnik, zaklął, puścił dziewczynę i począł umykać.

Ela skręciła w bok. Teraz czuła się już bezpieczniejsza, bo ruch na ulicach się ożywiał.

Przechodnie dążyli to w tę to w tamtą stronę. Kręciło się pełno policjantów, którzy rozlepiali białe, czerwone i zielone manifesty rządowe, zakazujące zamykania składów i biur w ciągu dnia i wzywające ludność do spokojnego zachowania się i unikania wszelkiego zbiegowiska pod groźbą użycia najsroższych środków represyjnych.

Manifesty te, podobne do wielkich białych, czerwonych i zielonawych, czarnocentkowanych motyli, miały i istnienie prawdziwie motyle, nikłe; bo ledwo naklejone, były zrywane i darte w kawałeczki przez publiczność.

Policjanci niestrudzenie naklejali nanowo inne, tak samo brzmiące manifesty, które publiczność zrywała znów niestrudzenie i darła.

Sklepy i biura były mimo zapowiedzianych na manifestach kar wysokich wszystkie pozamykane.

Ulice natomiast coraz więcej ożywiać się poczynały.

Ela z trudem tylko torować sobie drogę mogła przez napływające coraz liczniej tłumy, aż wreszcie doszła na ulicę Senatorską, gdzie Stobniccy mieszkali.

Otrzymawszy zapłatę ruszyła z powrotem do domu. Bojąc się jednak ponownej napaści, wybrała znacznie dłuższą, lecz przez ludne ulice wiodącą drogę.

Gdy wreszcie do domu przybyła, zastała już oczekującego na nią a zaniepokojonego długą jej nieobecnością narzeczonego.

Z okrzykiem radości, pochwycił ją w objęcią, ona zaś tuląc główkę do jego piersi, zawstydziła się w głębi duszy swych wczorajszych podejrzeń.

VI.

Na Krakowskiem Przedmieściu około godziny jedenastej przed południem zebrał się naokół figury Matki Boskiej nieprzejrzany tłum, który odśpiewawszy kilka pieśni patrjotycznych, bez niczyjego wezwania rozszedł się spokojnie.

W program dnia tego wchodziło publiczne zbratanie się z żydami, „podanie im ręki pokoju, braterstwa i przyjaźni“.

W tym celu tłumy zebrawszy się ponownie po pewnym czasie, ruszyły ku cmentarzowi żydowskiemu, lecz przed rogatkami silny oddział piechoty zastąpił im drogę. Nie wiedząc teraz, co począć, zebrani ruszyli na ulicę Senatorską przed kościół Ojców Reformatów, skąd właśnie wynoszono wieńcami okrytą trumnę ze zwłokami św. p. Ksawerego Stobnickiego.

Choć karawan stał przed kościołem, młodzież nie pozwoliła nań trumny wstawić.

Sami zaniesiemy zwłoki wygnańca sybirskiego na miejsce wiecznego spoczynku, — wołali młodzi. Będziemy zmieniać się kolejno.

Jakby na umówiony znak, przed trumną na czele pochodu ustawiło się w rzędach kilkuset młodzieńców, ubranych w czamarki i konfederatki. W każdym rzędzie trzymali się młodzieńcy za ręce. Za nimi ruszyło duchowieństwo. Za trumną postępowała rodzina, a dalej wśród uczestników pogrzebu szła także Ela Sieczkowska ze swym narzeczonym.

Orszak przeszedł spokojnie obok rozstawionego oddziału wojska, dążąc na Powązki, gdzie trumnę spuszczono do grobu przy śpiewie „Boże coś Polskę". Poczem ruszono na cmentarz żydowski, gdzie rabin Kramsztyk przyjął przybywających uroczyście i w przemowie swej kładł nacisk na zbratanie się Polaków katolickiego i mojżeszowego wyznania.

I znowu odśpiewano wspólnie „Boże coś Polskę", poczem tłum podążył zwartą falangą ku zamkowi, przed którym już poprzednio gromadki innych manifestantów przystawać poczęły. Z każdą chwilą ciżba wzrastała, choć śnieg nawpół z gradem przepadywał i topniejąc na ziemi, tworzył kałuże.

Manifestanci, przemoczeni i zziębnięci, nie zważali na to i brnęli w błocie.

Ponad ich głowami powiewał istny las narodowych sztandarów, których płótna wiatr zwijał i rozwijał. — Biały ptak na każdym sztandarze zdawał się rozwijać królewskie swe skrzydła do lotu, by wieść tych bezbronnych, ramię przy ramieniu, jako wiódł niegdyś ich zbrojnych praojców.

Jakiegoż zwycięstwa ten tłum bezbronny mógł się spodziewać? — A jednak spodziewał się, że

Na ten widok większy jeszcze entuzjazm ogarnął tłumy.

Jeźli żyd ginie w obronie godła męki Chrystusowej, to jakżeż nam godziłoby się stąd uchodzić z życiem? — mówili jedni do drugich.

Teraz jednak lud porzucił bierną postawę i począł się bronić. — Bito żandarmów kijami, laskami spacerowemi i odłamanemi od drzew ulicznych gałęziami, a kamienie wyrywane z bruku sypały się jak grad na głowy napastników.

Na Podwalu przewróciła się jakaś dorożka i kibitka. — Utworzono z tego natychmiast rodzaj obronnej barykady.

Jakiś Kozak, ugodzony silnie kamieniem w głowę, padł na miejscu trupem. Dwóch oficerów i dziesięciu szeregowców raniono ciężko. Lżej rannych było wielu między żandarmami.

Tłum ustępujący w tył pod naporem szarżujących żandarmów, w tej chwili zaraz na dawne powracał miejsca, jak odpływająca i przypływająca fala.

Chrulew nakazał wycofać się żandarmom a natomiast kazał rozwinąć się w linji bojowej dwom kompanjom piechoty, jednej do strony Podwala, drugiej do Krakowskiego przedmieścia.

Zakomenderował: „Nabij broń!“

Tłumy patrzały na to spokojnie, jak sołdaci nabijali karabiny.

Złowrogo zabrzękły odwodzone kurki karabinów.

Kilku oficerów wysunęło się naprzód, wzywając znowu zebranych, by się rozeszli.

„Tu nie ma żartów,“ — mówili, — „karabiny są nabite ostrymi ładunkami.“

Ale jakaś pogarda życia, obojętność na śmierć ogarniała tłumy.

„Strzelajcie, mordujcie bezbronnych," — odpowiadano.

Chrulew nakazał piechurom uderzyć kolbami.

Sołdaci rzucili się z impetem na lud, bijąc kolbami z wściekłością.

Rozległ się łoskot uderzeń, jakby chłopi na cepiskach bili.

Impetem natarcia żołnierze pchali przemocą wstecz lud, który też odparli na znacznej przestrzeni.

Lecz lud po chwili wracał znów na dawne miejsce.

Gorczakow, otoczony świtą generałów, przypatrywał się przez binokle z okna zamku tej przerażającej scenie.

Chrulew podjechał pod samo okno.

Chyba każę strzelać? — rzekł do Gorczakowa.

Namiestnik nic nie odrzekł, lecz skinął głową na znak przyzwolenia.

Chrulew podjechał napowrót do wojska. Celuj! — zabrzmiała jego donośna komenda.

Wznosiły się i zniżały powoli nabite karabiny piechurów, celując w zbite masy bezbronnego ludu. Poczem głucha cisza, ścinająca krew w żyłach, zaległa ponad placem. W ciszy tej czaił się lęk i zgroza.

Wojsko trzymając broń nabitą i wycelowaną, znieruchomiało a tłumy bezbronne stały jakby skamieniałe.

I długą chwilę stały te zwarte kolumny wojska z błyszczącemi hełmami i kaskami na głowach, z karabinami w rękach, mierząc oczyma te naprzeciw nich w posągowej ciszy pocisków śmiertelnych oczekujące tłumy.

Wreszcie tę martwą ciszę rozdarło słowo komendy: Pli! (Pal!).

Huknęła przeciągła salwa. — Kule ze świstem uderzyły w stłoczone masy.

Zabrzmiał jakoby jeden krzyk olbrzymi, straszny, rozdzierający. — Cały przestwór jęczał.

Na chwilę powstało straszne zamieszanie wśród krwią oblanego tłumu. — Wiele ciał drgało na bruku w ostatnich podrzutach konania.

Lud wszystek runął znów na kolana, a z piersi ludu zabrzmiało znów jednogłośnie: „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny!“

I ten śpiew w tej godzinie nieopisanej zgrozy wzlatujący na skrzydłach modlitwy ku niebu, ten śpiew, z którego wiało wiarą niezmożoną i mocą nieśmiertelną, bólem bezgranicznym, prośbą pokorną i skargą żałosną zarazem, odbijał się o mury domów, o rogi ulic i niósł się poza plac zamkowy, poza miasto, hen w dal rozgłośnem echem.

Na rogu Podwala i Senatorskiej klęczała tuż obok narzeczonego Ela, przerażona krwawym, serce rozdzierającym widokiem. Ale nie lękała się o swe życie, nie pomyślała nawet o tem, że i nad jej głową zawisło niebezpieczeństwo.

O kilka kroków od niej upadł mężczyzna jakiś, snać kilkakroć raniony, bo cały krwią ociekał. Mimo to podniósł się jeszcze o własnej sile i iść począł, opierając się ręką o mury domów, popod któremi przechodził. Każde dotknięcie jego ręki pozostawiało krwawe, okropne plamy na murach. — Ranny chwiał się na nogach, więc kilku rodaków pospieszyło mu z pomocą i wyniosło go z ciżby.

O parę kroków dalej dojrzała Ela pięcioletniego chłopczyka, który snać zgubił się w ciżbie i teraz rozglądał się naokół, wołając matki.

Kilku sołdatów obstąpiło go. Jeden z nich silnem kopnięciem powalił chłopczynę na ziemię i leżącego chciał zażgać.

Ela krzyknęła i rzuciła się naprzód, chcąc biec chłopczynie na ratunek; lecz już człowiek jakiś wyrwał go sołdatowi i wyniósł z tłoku.

Dalej znów dwaj oficerowie rosyjscy pochwyciwszy za nogi jakiegoś wyrostka, z całej siły uderzali go głową o bruk.

Naokół rozlegały się głosy oburzenia i przekleństwa:

„Zbóje, mordercy, kaci moskiewscy!“

W powietrzu unosiły się białe, zwiewne chmurki prochowego dymu, które wiatr zwijał i rozwijał naprzemian nad tym nieopisanej grozy pełnym widokiem.

VII.

Wraz z hukiem pierwszej salwy rozległ się po całem mieście okrzyk:

„Naszych mordują przed zamkiem!“

Kto jeszcze dla jakiegokolwiek powodu pozostał w domu lub na dalszych znajdował się ulicach i przedmieściach, ten biegł teraz na miejsce rzezi.

Szał jakiś męczeński ogarnął ludzi. Przypuszczenie, że oni mogliby bezpieczni pozostać w domu, gdy tamci pod zamkiem kładą się pokotem na krwawym bruku, wydawało się wszystkim czemś potwornem.

Lud warszawski tak, jak ojciec Bonifacy w Anhellim Słowackiego, „chciał zbawić Ojczyznę modlitwą“ i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: „iść i nie broniąc się, ginąć jak męczennicy.“

Biegli więc naoślep na ogień wystrzałów jak ćmy do światła palącej się lampy.

Stara Sieczkowska uskromniwszy się z domowemi zajęciami, zasiadła ze szyciem przy łóżeczku najmłodszej swej córeczki Marychny.

zbiorowa wola i życzenia publicznie i gremjalnie okazane wywrą wpływ na polepszenie doli narodu.

Zdało im się, że ich piersi bezbronne są żywą twierdzą, do której wróg strzelać się nie ośmieli.

Przyszliśmy bezbronni, z pieśnią na ustach, mówili, — cóż nam za to uczynić mogą? Jedni poklękali naokół figury Matki Boskiej, modląc się głośno. Drudzy śpiewali pieśni patrjotyczne; inni znów krążyli po przyległych ulicach i trwali w oczekiwaniu, sami nie wiedząc, na co właściwie oczekują.

Wtem koło godziny szóstej nad wieczorem wysunęła się z rogu ulicy Trębackiej i Krakowskiego Przedmieścia kurjerska karetka pocztowa, jadąca do Lublina.

Pocztyljon zrównawszy się z rozmodlonym pod figurą tłumem, przyłożył trąbkę do ust i zagrał „Jeszcze Polska nie zginęła."

Niesłychany entuzjazm ogarnął tłumy, które jednogłośnie pieśń tę śpiewać poczęły.

Przestwór cały rozbrzmiewał tą pieśnią. Drzewa uliczne, szumiące zcicha, zdawały się jej wtórować.

Ci, którzy klęczeli, porwali się z klęczek i cały tłum w zwartych szeregach rzucił się za odjeżdżającą karetką pocztową, bijąc brawa pocztyljonowi.

Lecz z chwilą, gdy doszli do Zjazdu, z zamku poczęło występować wojsko pod bronią, zagradzając napływającemu ludowi drogę.

W okamgnieniu wojsko ustawiło się w szyku bojowym. — Środkiem stanęła piechota pierwszej i drugiej kompanji strzeleckiej pułku Sybirskiego oraz trzy kompanje linjowe pułku Kostromskiego, na skrzydłach ustawiła się jazda, składająca się ze szwadronu żandarmów i oddziału Kozaków Kubańskich, zwanych w Warszawie Czerkiesami.

Naprzeciw zbrojnego wojska stanął bezbronny lud w zbitej masie.

Długą chwilę mierzyli się wzajemnie oczami.

Głucha cisza zapanowała, jakby nikogo tutaj nie było.

Niby rój nietoperzy krążyły posępne przeczucia czegoś strasznego ponad milczącymi tłumami.

Wreszcie na odebrany od Gorczakowa rozkaz wystąpił przed front blady, jak płótno, adjunkt Ojrzyński w towarzystwie jednego jeszcze oficera i dwóch doboszy.

Wśród ponurej ciszy rozległy się głucho uderzenia w bębny, a potem donośnym, choć drżącym od silnego wzruszenia głosem wymówione słowa Ojrzyńskiego:

„Z mocy prawa i rozporządzenia władzy wzywam was, abyście się rozeszli, gdyż po bezskutecznem trzechkrotnem zawezwaniu rozpędzeni zostaniecie siłą zbrojną."

Z zapartym tchem, w głuchem milczeniu słów tych słuchano.

Ojrzyński skończył mówić, a tłum stał wciąż nieporuszony.

Niektórzy przeklinali głośno Moskali i odgrażali się wojsku kijami i laskami spacerowemi. — Większość jednak stała w zaciętem milczeniu, a nikt ani o krok się nie cofnął.

Po upływie dziesięciu minut znów wystąpił przed front adjunkt Ojrzyński.

Znów uderzono w bębny, i poczem Ojrzyński zawezwał powtórnie tłum do rozejścia się.

Nikt tego ponownego wezwania nie usłuchał.

Tłumy stały milczące, poważne, skupione, zdecydowane na wszystko.

Znów upłynęło dziesięć minut, z których każda godziną się zdawała w naprężeniu groźnego oczekiwania.

Po raz trzeci ozwały się bębny i zabrzmiały słowa Ojrzyńskiego, wzywające tłum do rozejścia się.

I znów bezskutecznie.

Ojrzyński cofnął się do zamku.

I znów upłynęło dziesięć długich minut, po których upływie, Chrulew rozkazał dwom plutonom żandarmów, sformowanych w linję półszwadronową, ruszyć naprzód kłusem w zwartą ciżbę, by ją naporem koni rozpędzić.

Ciężko uzbrojeni żandarmi ruszyli z chrzęstem i brzękiem z miejsca.

Lud cofnął się w popłochu na Podwale i ulicę Senatorską, opróżniając jednak tylko środek ulicy, a cisnąc się gromadami po trotuarach.

Żandarmi byli tylko rynsztokami odgrodzeni od tłumu, który kijami straszył ich konie, chwytał je za cugle i ciągnąc na dół, zmuszał do padania na przednie kolana.

Napróżno starali się żandarmi rozproszyć zbiegowisko, które z każdą chwilą wzrastało.

Po półgodzinnem daremnem ucieraniu się żandarmów z tłumem Chrulew dał rozkaz, by żandarmi dla postrachu uderzyli płazami szabel.

Dzikie instynkta, okrucieństwo, właściwe sołdatom moskiewskim, obudziły się w nich.

Żandarmi nie płazami, lecz ostrzami szabel uderzyli na bezbronnych.

Krew poczęła lać się strugami na bruk.

Niektórzy w tłumie usiłowali się cofać, lecz odzywały się liczne głosy:

„Stać, nie uciekać; jeżeli ginąć mamy, to gińmy wszyscy razem!“

Naraz ktoś zanucił „Święty Boże!“

Lud zakotłował się, skłębił i naraz runął na kolana.

Jak kłosy w czasie burzy, pochyliły się głowy ludzkie ku ziemi.

Przepotężne „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami“ przeleciało jak gwałtowny szum wichru nad temi pochylonemi głowami, na które spadały błyskawiczne razy szabel z rąk rozwścieczonych żandarmów.

Wstrząsające jęki zakolebały powietrzem.

Nikt jednak łaski nie żądał, nikt nie uciekał.

„Od powietrza, głodu, ognia, wojny i niewoli wybaw nas, Panie,“ — huczała dalej pieśń potężna niebosiężnym dźwiękiem.

Z bezgraniczną ufnością płynął ten śpiew ponad ulicami, wznosił się w górę ku niebu do stóp tronu Świętego, Mocnego i Nieśmiertelnego Boga.

Cztery razy atakowali żandarmi bezbronne tłumy, szarżując wściekle.

Zbiegowisko jednak zwiększyło się jeszcze, bo w tej chwili od strony Krakowskiego przedmieścia przybyła procesja, powracająca z pogrzebu Stobnickiego. — Część bowiem tłumu z cmentarza żydowskiego wróciła raz jeszcze na Powązki i stamtąd teraz dopiero wracała.

Wśród tętentu koni żandarmskich i świstu szabel, wśród rozgłośnych jęków i nuconego hymnu płynęła ludzka fala głów odkrytych, by złączyć się z ginącymi rodakami.

Na czele szło kilku księży. — Jeden z nich trzymał krzyż w ręku, lecz uderzony szablą, upadł, krwią brocząc, na ziemię, a krzyż wypadł mu z rąk.

Spostrzegłszy to, znajdujący się w pobliżu młody żyd, Landau, podniósł krzyż z ziemi, lecz w tej chwili upadł, raniony ciężko uderzeniem szabli.

Rzeczywistość wydawała się podobną do dręczącej zmory sennej, do halucynacji gorączkowej, przechodzącej miarę możliwości.

Co kwadrans rozbrzmiewały nowe salwy.

W przerwach między salwami lud podnosił rannych i poległych, których im wojsko przemocą z rąk wydzierało i unosiło do zamku. Przychodziło do istnych bójek na pięści o rannych i o trupy między ludem z żołdactwem, które rannych wlokło za nogi, uderzając ich głowami nielitościwie o bruk, dobijając ich i pastwiąc się nad nimi.

Chwilami pieśń wśród tłumu rwała się i milkła i martwa cisza zalegała nad tym placem bólu, krwi i śmierci. — Lecz znów z ust klęczących zrywała się ta pieśń i niosła się nieprzebraną falą ku niebu, jakby żaląc się nad niedolą ginącego ludu.

W przestankach między strzałami z pośród klęczących mas wysuwali się też ludzie i zaklinali gorąco rodaków do rozejścia się

Napróżno jednak. — Tłum stał, jakby w ziemię wryty.

Lecz zdarzało się, że gdy właśnie nowe salwy zagruchotać miały, ten i ów starał się wymknąć z tłumu.

Wtedy ci, którzy przedtem prosili, by się rozejść, wołali:

„Teraz stać, kiedyście wprzódy nie chcieli się rozejść!“

Słowa te znajdowały posłuch, choć za każdą salwą wielu padało, by już nie powstać więcej.

Rannych, których nie zdołali pochwycić sołdaci, składał lud w cukierni Beelego na rogu Podwala i Senatorskiej, w hotelu Europejskim, w resursie, w szpitalu Marcinkanek, w lazarecie św. Rocha i Dzieciątka Jezus.

Do Marcinkanek zaniesiono też rannego żyda, Landaua, (tego samego, który krzyż ze ziemi podniósł) lecz mimo natychmiastowej pomocy lekarskiej umarł niebawem.

Po mieście kursowały dorożki, w których młodzież, w konfederatki i czamarki przybrana, rozwoziła rannych. — Z dorożek lała się krew na bruk tak, że cała Warszawa była jakby jakie morze czerwone po niej przepłynęło, pozostawiając po sobie osad krwawy.

Tuż koło starej Sieczkowskiej przewożono w dorożce odkrytej jakiegoś rzemieślnika, któremu kula ze sztucera bok przeszyła.

Ludzie kłaniali mu się z wielką czcią, jaka bohaterowi przynależy.

On zaś zdjął z głowy konfederatkę i choć głos rwał mu się ze słabości, zawołał o ile mógł najgłośniej:

„Niech żyje Polska“!

Poczem opadł omdlały na siedzenie, a ocucony z omdlenia, skonał.

Trochę dalej niesiono jakiegoś snać dogorywającego młodzieńca, który drżącym głosem wymieniał adres swych rodziców, aby go tam odniesiono. Zaledwie zdołał to wypowiedzieć, umarł; lecz na stygnących ustach przywarł mu uśmiech ekstatyczny, promienny. Młodzian zdawał się tylko być uśpionym i o czemś miłem śnić.

Lecz Sieczkowska rozglądała się naokół za swemi dziećmi. — Dojrzała wreszcie opodal Michasia, który wyrywając kamienie z bruku, ciskał je na głowy celujących właśnie w tłum Moskali.

Chciała się rzucić ku niemu, lecz w tej chwili zagruchotały nowe salwy.

Poprzez dym od wystrzałów dojrzały oczy matki, że Michaś padł krwią zbroczony na ziemię.

Jęknęła głucho, jakby ta kula, która w chłopczynę trafiła, jednocześnie i jej pierś przeszyła. Ból straszny, niewypowiedzialny ścisnął jej serce. Podbiegła i pochyliła się nad drgającem ciałem syna; uniosła chłopcu główkę i z pomocą jakiegoś człowieka niosła go do resursy. Lecz ta stygnąca główka syna nad miarę ciążyła jej macierzyńskim dłoniom. Musiała oddać komuś innemu do niesienia dziecko. Sama szła obok wpatrzona w blednącą coraz więcej twarzyczkę chłopięcia.

Chłopię rozwarło oczęta, a dojrzawszy pochyloną nad sobą matkę, zawołało urywanym głosem:

„Boli, oj boli, ale własną ręką dwóch Moskali zabiłem, jednego w głowę trafiłem, drugiego w piersi, ani drgęli.“

Przyszedł doktor, i z pomocą matki począł chłopca rozbierać, by mu ranę opatrzyć; lecz właśnie, gdy mu miał kulę z piersi wyjmować, Michaś przechylił w tył główkę, zawołał „mamo“ i opadł na poduszkę.

Pęk krwawych ślin wypłynął mu na usta.

Boże, zachowaj me dziecię! — błagała Sieczkowska z głębi rozdartego bólem serca.

Michaś zacharczał, wyprężał się i zesztywniał.

Przywarła ustami do jego warg stygnących, jakby w nie ciepłe swe tchnienie przelać chciała, a z nawału jej sknębionych myśli wypełzła jedna: Dlaczego się to wszystko stało, i czemu Bóg wszechmocny nie wysłuchał jej prośby, nie zachował jej chłopięcia przy życiu? Straszne, dręczące pytanie, na która jednak sama odpowiedź znalazła.

To za Ojczyznę, — szeptała zbielałemi jak u martwego Michasia wargami.

Potem za chwilę dobrotliwa jakaś moc przysłoniła jej wszystko mgłą niepamięci.

Niech panią Bóg pocieszy! — posłyszała słowa doktora, odzyskując przytomność.

To za Ojczyznę! — szepnęła znowu.

Ktoś znajomy podjął się odnieść zwłoki Michasia do jej mieszkania.

Ona, sama nie chciała się stąd oddalić. — Toć jeszcze drugie jej dziecię i przyszły zięć znajdowali się w niebezpieczeństwie, a bez pewności o ich losie nie chciała powracać do domu.

VIII.

Tymczasem co kwadrans nowe gruchotały salwy. Wsród krwią ociekającego, śmiercią przerzedzonego tłumu klęczała Ela przy narzeczonym, a zarówno jej, jak i jemu, zdawało się, że to było ich obowiązkiem wytrwać tu do końca i że myśl o własnem bezpieczeństwie byłaby czemś potwornem wobec zgonu tylu ofiar.

Coraz nowe wyłomy czyniły kule moskiewskie w tym żyjącym murze, który plac zamkowy naokół opasywał. Bruk, ściany okolicznych domów i okna parterowe były krwią zbryzgane. Naokół leżały trupy, konający i ranni; a nieranieni dotąd i żywi z uporem rozpaczy trwali na śmiertelnem stanowisku.

A śmierć nieubłagana kosiła ciągle i obfite zbierała żniwo. Przysiadała na piersiach ciężko rannych i kościstą swą dłonią tamowała im oddech, zaglądała w ich rozwarte źrenice i blask ich chłodnem swem wejrzeniem gasiła na wieki. Drgające jeszcze w podrzutach konania ciała dotknięciem swem pogrążała w martwej nieruchomości i zwycięska, triumfująca krążyła między tymi, którzy jeszcze dotąd ocaleli, upatrując wśród nich nowych ofiar. Dojrzała świeżą, cudną twarz Eli i błyszczące nie-

Dziecko było nieuleczalnie chore na płuca, na jakie wskutek zaziębienia zapadła. Nadziei ratunku nie było i stroskana matka mogła tylko troskliwemi staraniami słodzić cierpienia powoli dogorywającego dziecięcia. A kilkoro już dzieci z biegiem lat utraciła. Z ośmiorga tylko troje pozostało przy życiu: najstarsza, dwudziestoletnia Ela, dwunastoletni Michaś i dziesięcioletnia Marychna, przy której matka właśnie siedziała, opowiadając na życzenie dziecka pewnie po raz setny jakąś cudowną bajeczkę.

Naraz jakby głuchy, przeciągły grzmot doleciał z oddali.

Matka zadrżała; zrozumiała bowiem, co ten grzmot znaczy. Zdało jej się, że jakaś straszna ciemna przepaść rozwiera się przed jej stopami.

Dech na chwilę zaparł się w jej piersiach.

Dziecko nie pojęło, co ten grzmot znaczy.

— Mamusiu, opowiadaj dalej, — prosiło.

Ale matka z ust słowa dobyć nie mogła. Ciemne jakieś koła zaczęły obracać się przed jej oczami, prędko, coraz prędzej. Na chwilę złożyła głowę swą na poduszkę tuż obok główki Marychny.

— Cóż ci to, matuś? — pytała z przerażeniem chora dziewczynka.

— Nic mi, nic, dziecię, ot tylko w oczach mi się zaćmiło od tego ciągłego siedzenia w ciasnych pokoikach. Muszę się trochę przejść na świeżem powietrzu, to mi przeminie, — uspokojała chorą pobożnem kłamstwem. — Michaś tymczasem zostanie przy tobie, aż ja powrócę.

Ale okazało się, że Michaś, który miał węgli ze sklepu do kuchenki na górę przynieść, gdzieś się zapodział.

Macierzyńskiem przeczuciem tknięta, odgadła Sieczkowska, gdzie to on pobiegł. I ona tam biec

musi. Głos nieprzezwyciężony mocy wielkiej, głos wewnętrzny woła ją tam, gdzie niebezpieczeństwo zawisło nad głowami jej dzieci.

Chorej Marychny nie mogła jednak pozostawić samej, więc uprosiła sąsiadkę, by ją przy dziecku zastąpiła.

Sąsiadka ta miała nogi sparaliżowane, przesuwano ją z miejsca na miejsce na fotelu z kółkami. Ona to wraz ze swą pięcioletnią wnuczką pozostała przy chorej, bo z dorosłych, kto tylko zdrów był, ten biegł w stronę placu zamkowego.

I Sieczkowska dążyła tam, popychana macierzyńską troską, a choć biegła co sił, mimo to zdawało jej się, że ta droga, którą miała do przebycia, końca mieć nie będzie. Ogarnęło ją ogromne znużenie. Tętna w skroniach biły jej jak młoty. Zdało jej się, że spieszy już tak od bardzo dawna, że ani przypomnieć sobie nie może od kiedy. Biegła jednak ciągle bez odpoczynku. Ludzie napotykani przesuwali jej się przed oczyma, jak cienie. Mgła jakaś oczy jej przesłaniała.

Po drodze przyłączyła się do procesji dążącej także na plac rzezi od strony kościoła Bernardynów.

Na czele procesji szedł uczeń szkoły sztuk pięknych, Karol Nowakowski, z długim krzyżem w ręku. — Zaintonował „Święty Boże“, a lud, idący procesją, śpiewał za nim.

I znów ta pieśń, wstrząsająca do głębi, śpiewana tysiącami ust a zespolona w jedno przepotężne wołanie, płynęła ponad miastem i niosła się w niebo z głębi udręczonych serc polskich. Ta pieśń, ustawicznie po ulicach się powtarzająca, zdawała się zmieniać ulice w kościół i prosić i zniewalać wprost potęgą wiary i bólu, aby ten Bóg święty, Mocny i Nieśmiertelny wysłuchał błagania nieszczęsnego narodu.

Słowa pieśni i widok rozegzaltowanego tłumu podziałał, jak haszysz, na usposobienie Sieczkowskiej. Entuzjazm tłumów i jej się udzielił tak łatwo, jak jaka choroba zakaźna. Jakby bruk, po którym stąpała, rozpalonym był i jej, tej roztropnej kobiecie udzieliła się gorączka pragnienia, by iść i zginąć wraz z innymi. Już nawet mniejszy ból odczuwała na myśl, że dzieci jej tam polegnąć mogą — boć to przecież „za Ojczyznę!"

I te dwa słowa „za Ojczyznę" działały tak, że wszystko wobec nich wydało jej się tak małem i nic nieznaczącem, jakby patrzała z olbrzymiej jakiejś góry na dół, gdzie wszystko, nawet ludzie wydają się drobnymi, jak mrówki.

„Za Ojczyznę" szeptała drżącemi wargami. A naokoł niej brzmiały dalej słowa pieśni:

„Od nagłej i niespodziewanej śmierci —
zachowaj nas, Panie!

My grzeszni Ciebie Boga prosimy —
wysłuchaj nas, Panie!"

Zbliżano się już do placu.

Pułkownik żandarmerji, Tałajewski, zabiegł z częścią swego pułku drogę przybywającym i nakazał pochwycić żywcem dowódcę procesji.

Nowakowski jednak bronił się rozpaczliwie, a nie mogąc czem innem, zadawał napastnikom ciężkie ciosy krzyżem, który całkiem połamał o głowy Moskali.

Wreszcie pięciu żandarmów ujęło go i szamocącego się uprowadziło przemocą do zamku.

Procesja jednak połączyła się z tłumem właśnie w chwili, gdy ponowna salwa zabrzmiała.

Rozległy się rozdzierające jęki i głuche odgłosy ciał upadających wznak na bruk.

Stara Sieczkowska ujrzała naokół siebie krwią oblane postacie, których odzież na piersiach i piersi same od kul wprost poszarpane były na krwawe strzępy.

Usta wielu poległych rozwarte były jeszcze, jakby na drugim świecie hymn przerwany chcieli dokończyć. Niektórzy w stygnących dłoniach ściskali pomięte sztandary.

A pieśń, jakby jękami nabrzmiała, krwią nasiąkła, rozbrzmiewała coraz silniej i potężniej:

„Abyś nas do prawdziwej pokuty przyprowadzić raczył, — prosimy Cię, Panie!

Abyś karanie Twoje od nas oddalić raczył, — prosimy Cię, Panie!“

W tej chwili od strony ulicy Senatorskiej zjawiła się nowa procesja, którą wiedli ojcowie Kapucyni, a wśród nich imponujący wzrostem ksiądz Wacław Nowakowski, brat pojmanego poprzednio Karola.

Krwawy widok, jaki się oczom jego ukazał, tak silny cios na jego wrażliwy na ludzki ból umysł sprawił, że nieszczęsny Kapucyn dostał nagle wskutek tego pomieszania zmysłów.

A Gorczakow nawpół nieprzytomny patrzał na to wszystko przez binokle z okien zamku.

Ktoś w otoczeniu jego rzekł:

„Istni Hugonoci!“

— Tak, — odparł machinalnie.

Oczy moskiewskich generałów, jak przyczajone sępy, krążyły nad tym krwawym placem, na którym szerzyło się okrutne dzieło zniszczenia. I nieubłagani, jak przeznaczenie, siepacze cara patrzeli na tę walkę zbrojnych rot z determinacją ginącego ludu.

ziemską ekstazą oczy klęczącego obok niej młodzieńca i niedostrzeżona przez nich chyłkiem się ku nim czaić zaczęła.

Jakiemś przeczuciem tknięta, spojrzała Ela przed siebie. Naraz blask przerażenia zapłonął w jej modrych źrenicach. —

Naprzeciw, wśród mierzących do ludu szeregów dojrzała owego agitatora, który dzień poprzednio tak gorąco do manifestacji namawiał i który ją dziś rano na pustym placu budowlanym napadł. Mimo munduru wojskowego, jaki miał na sobie, poznała go natychmiast.

I on ją dojrzał. Jakiś zły uśmiech wybiegł mu na usta. Wycelował lufę karabinu wprost na klęczącego obok niej Janka.

Objęła narzeczonego ramionami, zasłaniając go od strzału. W tej chwili poczuła ból i gorąco w lewej piersi i łopatce. Ciemno zrobiło jej się w oczach. Ramiona jej, obejmujące postać ukochanego, osunęły się bezwładnie. Poczęła bić rękoma powietrze tak, jak ptak raniony skrzydłami.

W tej chwili z karabinu jej zabójcy padła druga kula i ta zraniła ciężko Jana Borzęckiego w lewy bok blisko serca, które ominęła.

Ranny runął z cichym jękiem na ziemię.

Z szeregów wojska rzucił się ku niemu ten, który jego i Elę trafił i z pomocą jeszcze kilku sołdatów wyrwał rannego z rąk usiłujących go unieść ziomków.

Powleczono go do cytadeli.

W tym samym czasie omdlałą Elę niosło kilku rodaków do resursy, u której wyjścia stała właśnie nieszczęsna matka.

Na widok niesionej, krwią ociekającej córki nie miała już łez ani jęku, bo ból jej był tak wielkim, że nie mógł znaleźć ujścia nazewnątrz. Coś w niej

wewnątrz rozprężyło się, łamało i łkało; ale oczy pozostały suche, a usta nieme. W milczeniu weszła wraz z posępnym pochodem do resursy, gdzie już pełno rannych leżało.

Elę zaniesiono do jadalnego pokoju i złożono na znajdującej się tam sofie.

Jeden z lekarzy, którzy opatrywali rannych, przybiegł z narzędziami chirurgicznemi.

Ela odzyskała przytomność przy bolesnem sondowaniu rany i wyjmowaniu kuli i poznała matkę.

Po usunięciu kuli chiano ją przenieść do pobliskiego szpitala.

Miała jeszcze tyle sił, że podniosła się, wstydliwie naciągając odzież na odkryte piersi.

Błagam, pozwólcie mi iść samej, — prosiła, — tylu rannych czeka na opatrunek.

I rzeczywiście potrzebujących opatrunku było zbyt wielu, by obecni lekarze mogli nadążyć z niesieniem im pomocy.

Ela, wsparta na matce, uszła kilka kroków, lecz opuściły ją siły i zwisła omdlała na ręce matki.

IX.

O tym samym czasie margrabia Wielopolski miał u siebie na kolacji przyjaciela swego Helcla i bankiera Enocha. — Siedzieli właśnie w trzech przy herbacie, gdy doktor Chałubiński wpadł drżący z przerażenia do jadalnego pokoju.

Panowie tu sobie spokojnie herbatę zapijacie, a tam na placu zamkowym mordują lud.

Jakto? Co się dzieje? — pytali równocześnie Wielopolski, Helcel i Enoch.

Chałubiński pokrótce opowiedział co się święci.

Pojadę natychmiast do zamku, — rzekł margrabia — i skłonię Gorczakowa, by wstrzymał niezwłocznie dalszy rozlew krwi.

Skinął na służącego:

Biegnij do stajni i każ na gwałt zaprzęgać.

Do krytej karety, — dodał Chałubiński, — bo lud ogromnie przeciw tobie, margrabio, wzburzony. Gotowi cię żywcem ukamienować, jeśli cię postrzegą.

W kilka minut konie były zaprzężone do krytej karetki, do której wsiadł margrabia, syn jego Zygmunt i bankier Enoch; na koźle zaś obok stangreta umieścił się doktor Chałubiński.

Na wszelki wypadek margrabia zaopatrzył się w dwa nabite rewolwery.

Gdy już powóz miał ruszyć, wychylił się z okna do Helcla.

„Si je ne reviendrai pas, — rzekł po francusku, nie chcąc być zrozumianym przez służbę, — vous disez à ma femme, que j'ai fait mon devoir.“ (Jeźli nie powrócę, powiesz mej żonie, że spełniłem mój obowiązek).

Stangret palnął z bicza. — Konie ruszyły wyciągniętym kłusem; lecz wnet dla natłoku, panującego na ulicach, musiały zwolnić biegu.

Karetka mogła się tylko wolno posuwać; a gdy się ukazała na wąskiem Krakowskiem przedmieściu, rozległ się naraz donośny, ochrypły głos:

„Trzymaj, trzymaj!“

To stojący opodal Piotr Umiński, urzędnik komisji spraw wewnętrznych, dostrzegł przez szybę powozu znajdującego się wewnątrz margrabiego.

Tłum otoczył karetkę. Pochwycono konie za uzdy.

Kto jedzie? — pytano.

„Delegacja do namiestnika, aby zaprzestano strzelać“, — odrzekł Enoch, wychylając się z głębi karetki.

„Nie wierzcie, panowie“, — wołał Umiński, — „to Wielopolski jedzie“.

Na to ozwał się z kozła doktor Chałubiński:

Przysięgam wam na wszystko najświętsze, na miłość Ojczyzny, że tu niema Wielopolskiego, że to delegacja do Gorczakowa, by rzezi kazał zaprzestać.

Doktor Chałubiński cieszył się wielką popularnością. Znana była jego prawdomówność, mimo której zmuszony był teraz do kłamliwego wybiegu, by umożliwić Wielopolskiemu akcję ratunkową. W dobrej intencji wypowiedziane przez Chałubińskiego kłamstwo odniosło pożądany skutek.

Przepuszczono karetę. —

Lecz Umiński wciąż zaklinał się, że dojrzał w karecie Wielopolskiego.

Ktoś z tłumu rzucił kamieniem za dojeżdżającą do zamku karetą. Inni poszli za tym przykładem i wnet posypał się istny grad kamieni, które wytłukły szyby w oknach powozu.

Margrabia i jego towarzysze byli pokaleczeni odłamkami szkła i pociskami kamieni, a obryzgani błotem.

Przed zamkiem kordon wojska otoczył karetę, zatrzymał i przepuścił ją dopiero, gdy salwy ucichły.

Cóż musiał w tem czasie odczuwać margrabia Wielopolski? Bez wątpienia miłował on kraj swój gorąco, a jednak przez swój nietakt i rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego z osobistych pobudek dał bezpośredni powód do narodowej ósmego kwietnia manifestacji, a tem samem bezpośrednio i do rzezi dnia owego. — Sam się przed sobą i drugimi

uniewinniał; ale trybunał wewnętrzny, jaki każdy człowiek sam przeciw sobie nosi, musiał go jednak potępiać.

Jednocześnie prawie z margrabią usiłowała także dostać się do zamku deputacja miejska ze Szlenkierem na czele w poselstwie do Gorczakowa by kazał zaprzestać dalszych strzałów. — Ale dedutacji tej już nie przepuszczono. —

Tymczasem przebrzmiała już jedenasta, ostatnia salwa.

Noc już zapadła, a że nikt nie miał czasu ani głowy po temu, by pomyśleć o zapaleniu latarń ulicznych, więc mrok ciemny, jakby kirem żałoby, spowijał całe miasto.

Chrulew nakazał wojsku cofać się do zamku.

Lud rozbiegł się teraz po placu zamkowym, ponad którym zdały się jeszcze unosić mrące echa jęków, jakby fale powietrzne drżały jeszcze od ostatnich westchnień zamordowanych.

Zwolna plac opustoszał.

Lud rozpływał się po przyległych ulicach.

Gromadka kobiet przystanęła na Krakowskiem Przedmieściui klęknąwszy przy figurze Matki Boskiej, zanuciła „Salve Regina“, choć śpiew co chwila rwał się na drżących ustach.

Reszta tłumu krążyła po dalszych ulicach.

Nikt nie miał odwagi wracać do domu z krwawem wspomnieniem dnia tego, z wyjącym bólem w piersiach.

Wiatr uspokoił się trochę. Wypogodziło się choć na krótko. Na niebie zalśniły gwiazdy i srebrny sierp księżyca. W drżącej poświacie gwiazd i miesiąca płynęły w przestrzeni mgły nocne, białe, podobne do mar mogilnych, zjawiających się nocną porą żyjącym.

I ponad krwią ociekłem, w mroku pogrążonem miastem zdawała się sunąć we fali powietrznej nieskończona procesja dawno poległych dzieci tej ziemi.

I przeciągały bez końca korowody. — Sunęły hufcem niezliczonych, jakby ich w głębi ziemi ze snu śmiertelnego jęki ginących dnia tego rodaków zbudziły. Zastygłemi oczami, z bólem niewypowiedzianym, spoglądały cienie na krwią bezbronnych oblaną stolicę kraju, na ten lud niespokojnie krążący i w bólu śpiewający „Salve Regina".

I sunęły, zda się, cienie poległych kmiotków, w sukmanach, z kosami kościuszkowskiemi i szeregowcy w czamarkach i ociekający wodą topielcy z fal Berezyny i w narodowe mundury przybrani powstańcy z 1831-go roku, okryci ranami lub z powrozami na szyi, i wygnańcy gdzieś w zapomnianych mogiłach w tajgach sybirskich spoczywający. — Wszyscy, zda się, ze swych grobów w tę straszną noc powstali i cicho, bezszelestnie płynęli nieskończonym korowodem ponad Warszawą.

W tem z wielkim szumem i blaskiem na tle mrocznej przestrzeni błysnęło, sypiąc iskrami, dwanaście ognistych wężów od strony zamku.

To Chrulew kazał puścić z zamku dwanaście rakiet, jedną po drugiej, dając tem umówiony znak wojsku z koszar, by zajęło wyznaczone placówki na mieście.

Popłoch powstał wśród krążącego po ulicach ludu.

„Co to znaczy?" „Czyżby z cytadeli miano bombardować miasto?" — pytali jedni drugich.

Lecz zaledwie rakiety zgasły, z fortu Włodzimierskiego cytadeli zagrzmiały po sześć razy wystrzały armatnie.

Poczęto w przerażeniem uciekać.

Rozległ się trzask zamykanych na gwałt drzwi i bram domów, lecz prawie jednocześnie zadudniały

na bruku kopyta końskie. — Tabun wojska na rozpędzonych koniach galopował ku miastu, aż iskry z pod kopyt się sypały.

Piętnaście tysięcy żołnierzy wpadło jak huragan do miasta.

Zapalono nagle wszystkie latarnie i płomień ich powiększono. Łuna jaskrawego światła oblała krwawy bruk, lśniące hełmy i pałasze żandarmów, szable kozackie i lance ułańskie.

Pędzili przez Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Aleje Jerozolimskie, przez ulicę Marszałkowką i Królewską, wiodąc ze sobą sześć dział ze zapalonemi lontami.

Kozacy bili nahajkami napotykanych rzadkich przechodniów.

Kto nie zdołał wczas umknąć, ten ginął pod kopytami końskiemi.

Przebiegli po ulicach jak wicher, znikali jak cienie, tylko w dali jeszcze kopyta końskie dudniły po bruku.

Lęk i groza sunęły przed nimi i za nimi, a ciche, przeciągłe, coraz bardziej słabnące i umierające na wieki jęczenie brzmiało ich śladem. Odgłosy tych jęków zdawały się jeszcze brzmieć w przestrzeni, gdy już cisza śmiertelna zaległa.

W tej ciszy każde z dali dochodzące uderzenie kopyta o bruk brzmiało jak grzmot przeraźliwy, a każde świśnięcie nahajki rozlegało się przeciągłem echem.

Wojsko lokowało się teraz na wyznaczonych stanowiskach.

Na placach: Zamkowym, Krasińskich, Saskim, Bankowym, Zielonym i Trzech Krzyży, na Nalewkach i w Alejach Jerozolimskich rozłożyło się wojsko biwakiem, rozpaliwszy ognie, jak w dobytem mieście.

Krwią ociekła, kirem żałoby okryta stolica była podobna do wielkiego cmentarzyska, na którem, jako wśród rumowisk pozwalanych grobowców, rozsiadła się dzika horda żołdactwa.

Patrole wojskowe i policyjne krążyły ustawicznie po ulicach. Dobijano się do drzwi domów prywatnych, hoteli i lokali publicznych, do bram klasztornych, i urządzano wszędzie rewizje, zabierając przemocą rannych i trupy, które na krytych furgonach wywożono.

Skrzypiące wozy, naładowane strasznym ciężarem, snuły się ciągle drogą wiodącą do cytadeli. — Widok ich przypominał czasy prześladowania pierwszych chrześcjan, kiedy to z amfiteatrów i cyrków pogańskiego Rzymu wywożono na wozach szczątki męczenników do wspólnych dołów.

Po mieście samem rozlegał się świst nahajek i brzęk pałaszy i lśniły ognie biwakującego wojska, a działa ze zapalonemi lontami stały gotowe do strzału.

X.

Ela Sieczkowska, przeniesiona do szpitala, dostała silnej gorączki, jaka wywiązała się nie tylko wskutek odniesionej rany, ale i z powodu strasznych wrażeń dnia minionego.

Rana zaś rozjątrzyła się i zaogniła tak bardzo, że trzeba było pierś odjąć celem zapobieżenia gangrenie.

Ela przetrzymała operację, lecz czynność serca słabła z każdą chwilą, puls ustawał.

Doktorzy zwątpili o możliwości utrzymania dziewczyny przy życiu i odeszli do innych chorych, potrzebujących na gwałt ratunku.

Przy łóżku Eli pozostała matka, trzeźwiąc konającą kamforowemi kroplami, jakie doktor tylko dla jej uspokojenia pozostawił.

Ciężko dysząc, leżała ranna na poduszkach tak białych, jak jej twarz pobladła.

Śmierć, która się do niej już tam w pobliżu Placu Zamkowego skradała, nie myślała o porzuceniu swej ofiary. Wytrwała, cierpliwa krążyła bezprzestannie naokół łoża ciężko dyszącej dziewczyny, zaglądając co chwila w jej gasnące oczy, czy już ofiara gotowa była do ostatecznego cięcia? — Ale iskra życia tliła jeszcze tłukącem niespokojnie sercu Eli, której przed zgonem całkowita świadomość wróciła. Myśl dziewczyny krążyła, jak ptak, nad głową ukochanego. Padając na placu Zamkowym na ziemię, dojrzała Ela jeszcze, jak przez mgłę, że i jej Janek osunął się na bruk, krwią brocząc. Nie wiedziała jednak, czy poległ, czy też jest tylko ranny i gdzie się znajduje?

Nikt jej tego nie mógł objaśnić; a dowiedzieć się czegośkolwiek w mieście, po którem uganiał tabun wojska na rozpędzonych koniach, było istnem niepodobieństwem. Ciężko jej było umierać, nie wiedząc, jaki los spotkał jej narzeczonego.

Lecz anioł snu ulitował się nad nią i zanim śmierć na zawsze oczy jej zawarła, skleił poprzednio jej powieki. — Zasnęła snem błogim, a ostatnim, jaki śnić miała na ziemi.

I w śnie tym ujrzała postać umiłowanego, postać przejrzystą, nieuchwytną, do mary zwiewnej podobną, nieziemskim blaskiem otoczoną. Pochylił się nad nią i poczuła muśnięcie tak lekkie, jakby skrzydła motyle dotknęły jej czoła, a cichy, do szelestu wiatru podobny głos brzmiał w jej uszach:

Pójdź, czekam na ciebie!

Zbudziła się z uśmiechem promiennym na ustach. Z serca jej znikł niepokój o los ukochanego. Wiedziała teraz napewno, że narzeczony wyprzedził już ją do lepszego świata, do którego i ona niebawem podąży.

Śmierć stała już u jej wezgłowia, lecz ona uśmiechała się do niej, jak do rajskiego widzenia, bo ta śmierć połączyć ją miała na wieki z ukochanym. Ani chwili bowiem nie wątpiła Ela w prawdziwość tej sennej wizji przedśmiertnej. — Żal jej tylko było matki. Ostatnim wysiłkiem pochwyciła jej szorstką, spracowaną rękę stygnącemi ustami przylgnęła do niej.

Matuś, nie żałuj mnie, tam mi dobrze będzie, szeptała gasnącym głosem.

Ale stara Sieczkowska nie patrzała na konającą córkę; ona oczy swe utkwiła w wizerunku Ukrzyżowanego Zbawiciela, wiszącego na środku ściany w sali szpitalnej.

Wierzę, wierzę, — szeptała drżącemi usty, — że Ty, Chryste, możesz ją ocalić.

A w tym przytłumionym szepcie było i błaganie i rozpacz i jakby ukryta groźba, że ona matka przestanie wierzyć, jeśli Ten Ukrzyżowany córki jej nie ocali.

Ale Chrystus na krzyżu rozpięty milczał, skłaniając nisko na piersi Swą umęczoną głowę.

Dziewczyna wydawała właśnie z siebie ostatnie tchnienie.

Prócz niej w tej samej sali skonało jeszcze kilka kobiet; a w innych salach umarło tej nocy wiele osób obu płci.

W prostych, naprędce zbijanych trumnach składano trupy. Sieczkowska stała jakby bez czucia nad trumną, do której złożono Elę. Zdało jej się, że to wszystko, ta rzeź krwawa i śmierć Michasia

i córki to tylko straszna, ciężka zmora senna, która rozwieje się gdzieś za przebudzeniem; że to nie może być rzeczywistość.

Wtem rozległ się głuchy stuk młotka, którym przybijano wieko trumny. Wstrząsnęła się. Błysk bolesnej świadomości zapalił się w jej oczach. Ręce jej drgały kurczowo, jak skrzydła zranionego ptaka, lecz twarz kamieniała w jakimś martwym, tępym bólu. Bez łzy patrzała, jak wraz z innemi trumnami wyniesiono i tę ze zwłokami Eli.

Przed szpitalem stały już wozy, na które wstawiano trumny.

Jeden wóz za drugim ruszał kolejno w stronę cmentarza.

Sieczkowska szła, jak nieprzytomna, za tym żałobnym, w mrokach nocy zdążającym pochodem.

Wierzę, wierzę, — szeptała ciągle do siebie, pomna na to, że Ten, który Łazarza i córkę Jaira wskrzesił, jeśli zechce, może i dla niej cud uczynić.

Wierzę, wierzę, — mówiła, — a ten jednostajny wciąż powtarzany szept zawierał w sobie więcej bólu macierzyńskiego niż najboleśniejsza, głośna skarga. Nie płakała, lecz te łzy niewypłakane, niby krople roztopionego ołowiu, padały w głąb jej serca, sprawiając ból niewymowny.

Żałobny pochód wszedł na mrokiem zalany, nagle błyskiem niesionych latarek oświecony cmentarz. Wśród tych migotliwych, niedostatecznie mrok rozjaśniających świateł wił się pochód po gankach cmentarza, to niknąc, to wyłaniając się z cieniów, aż wreszcie stanął nad szeregiem wykopanych mogił, do których kolejno spuszczano trumny.

Rozległy się uderzenia łopat, zasypujących ziemię.

Potem zabrzmiało krótkie „Requiescat in pace“.

Cmentarz opustoszał i znów zaludnił się po pewnym czasie.

Przez ten cały czas w mroku blada, jak płótno, twarz starej Sieczkowskiej majaczyła nad świeżo usypaną mogiłą, kryjącą zwłoki jej córki.

Ludzie odchodzili i przychodzili na cmentarz, a ona stała wciąż nieporuszona.

Słońce weszło już na niebo. Godziny poranne mijały, a ona stała, jakby w posąg obrócona.

Naraz drgnęła, poczuwszy na ramieniu swem ciężką rękę.

Przy niej stał kapłan, który w szpitalu przed operacją udzielił Eleonorze ostatnich sakramentów świętych i który ją potem wraz z innymi zmarłymi na miejsce wiecznego spoczynku odprowadził. I teraz znów przybył na cmentarz Powązkowski, by dopełnić obrządku pogrzebowego nad świeżo przywiezionymi nieboszczykami. Kapłan ów znał osobiście rodzinę Sieczkowskich.

Nie zapamiętuj się tak, kobieto, w swym bólu, — rzekł do niej. — Pomnij na Boga i na to, że masz jeszcze dzieci w domu. (Nie wiedział, że Michaś już nie żył). Inni wszystkich swych drogich wczoraj potracili, a poddali się woli Bożej. Grzechem jest taka rozpacz bezmierna.

Słowa księdza oprzytomniły Sieczkowską, przypominając jej, że tam w domu czeka na nią chora Marychna i wygląda pewnie z niepokojem powrotu matki. Tam w domu leżą też martwe zwłoki Michasia, które na śmiertelnej pościółce w trumnie matce złożyć się należy.

Westchnęła ciężko i opuściła cmentarz.

Wracając do domu, przechodziła przez krwią zbryzgane ulice, na których wszystkie sklepy i biura, jakby w jakie święto, pozamykane były; a wojsko

biwakowało na wyznaczonych stanowiskach przy działach.

Rychło ci patrzeć, jak ze spiżowych, ogniem ziejących, krwawego żeru żądnych gardzieli armatnich wyjdzie ryk zniszczenia, a gruzy zasypią nieszczęsne miasto.

Patrole co chwilę przebiegały ulice; lecz pozostawiały w spokoju publiczność, która krążyła po Krakowskiem Przedmieściu, Placu Zamkowym, ulicy Senatorskiej i Podwalu.

Skupiano się w małe gromadki, wzdychano ciężko, popłakiwano, wskazywano na zasychające kałuże krwi, na zryte kulami, krwią zbryzgane mury domów, z których niektóre na wylot kulami podziurawione były, jak rzeszota.

Policjanci kręcili się, świeżym tynkiem obrzucali krwią poplamione mury, zmywali krew z bruku, a większe kałuże zasypywali piaskiem i popiołem.

Mimo okrutnego bólu nad stratą własnych dzieci nie mogła Sieczkowska pozostać obojętna na widok łez i boleści ziomków na straszne, krwawe ślady wczorajszego pogromu bezbronnych.

Dlaczegóż się to wszystko stało? Dlaczego? Dręczyło ją znów pytanie, wżerające się w jej zwoje mózgowe tak, jak w chwili zgonu Michasia.

„To za ojczyznę“, — posłyszała szept wśród krążącej publiczności, jakby w odpowiedzi na dręczące ją wewnętrznie pytanie.

„Za ojczyznę“, — przywtórzyła z cicha.

I te dwa słowa działały jak haszysz, miały w sobie moc talizmanu, potęgę nakazu wszechwładnego.

I nim doszła do swego mieszkania, boleść jej osobista zmalała w jej oczach wobec boleści, w jakiej pogrążony był cały naród, którego ona

pojedyńczą, nieznaczną tylko w ogniwie całości cząstką była.

XI.

W mrocznym, wilgotnym lochu cytadeli leżał wśród trupów i rannych krwią oblany Jan Borzęcki na gołej ziemi — Leżał tam już wiele godzin Krew upływała mu z nieopatrzonej rany w boku, mdlał ustawicznie i byłby dawno ducha wyzionął, gdyby nie niespożyte siły bujnej młodości. Nietrzeźwiony przez nikogo przychodził do przytomności i wskutek upływu krwi mdlał znowu i znów przytomność odzyskiwał.

W tej chwili właśnie świadomy był swego położenia.

Zaduch panujący w przepełnionym lochu przyprawiał go o mdłości. Pragnienie bardzo mu dokuczało; język miał zeschnięty, wargi spieczone, popękane. Rana w boku bolała go dotkliwie. Moralnie trawił go niepokój o Elę. I tak ciałem i duchem cierpiał strasznie, nieludzko.

Naokół siebie słyszał raz po raz przytłumione jęki, dobywające się z pod stosu trupów, bo żywych i umarłych snać rzucano razem jednych na drugich.

Poza tem cisza panowała w lochu, straszna cisza, przerywana tylko temi przytłumionemi jękami oraz krokami szyldwachu chodzącego wzdłuż po korytarzu więziennym.

Naraz poprzez grube mury doszedł go turkot kół i skrzyp nawracanych wozów. Snać wozy jakieś nadjeżdżały. Potem rozległy się jakieś głosy przyciszone i jakby liczne stąpania. Naraz zabrzękły rygle u drzwi.

Na progu lochu w świetle latarni zamajaczyły jakieś postacie, których rozeznać nie mógł Borzęcki,

bo wskutek osłabienia mgła gęsta oczy mu przesłaniała. Otucha jednak wstąpiła do jego serca. Sądził, że wreszcie ktoś przybywa, aby się zająć rannymi. Toć niepodobno, aby ich tu dłużej razem z trupami trzymać mieli. Dadzą im chyba choć wody do picia i rany im opatrzą. Chciał się odezwać, by zwrócić na siebie uwagę. Otworzył już usta, poruszył się, lecz przy poruszeniu doznał tak silnego bólu w rannym boku, że znowu omdlał.

Gdy znowu do przytomności powrócił, ciemno znów było w celi. I znów słyszał tylko naokół siebie przytłumione jęki towarzyszy niedoli. Po chwili z korytarza doszły go jakieś przyciszone szepty, a potem spieszne bieganie; ale nie wiedział, co to ma znaczyć.

Naraz w zewnętrzną ścianę lochu uderzono czemś twardem raz, drugi, trzeci. Uderzenia powtarzały się ustawicznie w miarowych odstępach.

Począł pilnie nadsłuchiwać.

Cóż to? Oskardami uderzają w ścianę, niedługo rozwalą ją, bo już szeroki na rękę otwór widny jest w murze. Przez ten otwór do mrocznej celi wpada smuga światła od płonącej latarki.

Teraz rozumiem, co ta bieganina znaczyła, — pomyślał w swej zbolałej głowie, — widać udało się komuś ze ziomków przedostać do cytadeli, by w ten sposób oswobodzić uwięzionych rannych. Niedługo będę wolny, łudził się nieborak, — bo inaczej pocóżby rozwalano ścianę.

Za tą nikłą smugą światła, wpadającego przez wyrąbany w murze otwór, wylatywała myśl jego w dal na wolną przestrzeń hen do umiłowanej dziewczyny. Czy aby Ela żyje jeszcze? A jeśli żyje, czy bardzo dolega jej rana, którą odebrała, zastawiając mnie sobą? Kto jest tam przy niej? Czy jest przytomna i czy myśli także o mnie?

Tymczasem otwór w ścianie powiększał się z każdą chwilą, był już tak szeroki, że kilku ludzi przezeń wejść mogło.

Jakieś postacie wsunęły się do lochu i podnosząc rannych i trupy, znów wysuwały się z niemi.

Janek nie mógł doczekać się, aż przyjdzie na niego kolej. Wreszcie i jego pochwycono, a choć doznał przytem strasznego bólu w zranionym boku, ucieszył się, że wnet się znajdzie na wolności.

Wyniesiono go na świeże powietrze, które go całkiem otrzeźwiło.

Przy blasku latarek spostrzegł, że niosą go sołdaci. To go zastanowiło; ale wnet wyrozumował sobie, że to zapewne rodacy w takiem przebraniu lub też przekupione przez rodaków straże.

Tymczasem sołdaci niewielką tylko przestrzeń przebyli.

Uszu niesionego przez nich Jana Borzęckiego doszedł szum fal wiślanych, potem posłyszał jęk jakiś straszny, jakby gwałtem zduszony i jednocześnie prawie z jękiem rozległ się plusk, jakby coś ciężkiego do wody wpadło. Potem na parę sekund zaległa głucha cisza. I znów jęk i znów plusk.

Teraz pojął, co się dzieje. Jak lampa przed zgaśnięciem na chwilę zamigoce światłem, tak umysł człowieka przed jego zgaśnięciem często szybciej wszystko rozumie, niż w pełni sił i życia.

W okamgnieniu zrozumiał Jan Borzęcki, że to nie rodacy ratowali rannych z więzienia, ale Moskale topili ich we Wiśle, by ukryć przed światem rozmiary rzezi ośmego kwietnia. A ścianę dlatego rozwalili, by się prędzej załatwić z wynoszeniem ofiar.

Instynkt samozachowawczy ozwał się w nim z wielką mocą. Począł szamotać się i wyrywać z rąk trzymających go sołdatów, choć za każdem

szarpnięciem rana w boku niewymowny ból mu sprawiała.

Ale dwóch jeszcze sołdatów pospieszyło siepaczom jego na pomoc i choć rozpacz siły jego podwajała, wnet go przemogli. Zdarli z niego tak, jak i z innych ofiar, ubranie i skrępowali mu ręce i nogi.

Wiedział już teraz, że nic go uratować nie może, więc myśl jego nad krawędzią bytu ziemskiego poleciała raz jeszcze do ukochanej, a potem wzniosła się do źródła wiecznej miłości, do Boga.

Poczuł, że sołdaci podnoszą go w górę. W tej chwili wraca do domu na Solec stolarz Borzęcki, stryj nieszczęsnego Jana. I on był na placu Zamkowym w czasie salw karabinowych, ale kule go omijały, nawet zraniony nie został. Miotany niepokojem o bratanka, szukał go wszędzie i w tłumie i po szpitalach choć nadaremnie. Potem przeczekać musiał u znajomych, gdy wojsko, jak huragan, rozbiegło się po krwią ociekłem mieście. Teraz wreszcie wracając na Solec, posłyszał te przyduszone jęki i plusk fal. Przystanął ukryty w cieniu rosnącego w tem miejscu drzewa i patrzał.

Sołdaci brali po jednym lub po kilku razem związanych zarówno rannych, jak i trupy i rzucali ich we wodę.

Światło miesiąca oświetliło w tej chwili bladą twarz Jana, bratanka jego, którego właśnie wrzucali do Wisły.

Dojrzał go stryj i poznał. Chciał mu się rzucić na ratunek, ale przerażenie odjęło mu władzę w członkach. Język mu zesztywniał, nogi jakby wrosły w ziemię. Ni wołać ni ruszyć się nie mógł. Zresztą cóż byłby mógł działać sam wobec oddziału wojska?

A na Wiśle w tem miejscu, gdzie bratanka jego rzucono, z pośród bryzgów piany wysunęło się rąk dwoje kurczowo zaciśniętych i twarz posiniała, potem te ręce i ta twarz z przed ócz mu zniknęły w ciemnej toni.

Działo się to chwilkę przedtem, zanim Eleonora Sieczkowska w szpitalu ów dziwny sen przedśmiertny śniła.

Tymczasem nad brzegiem Wisły straszny plusk co chwila się powtarzał. Tu i owdzie wysunęła się z fal twarz z wyszłemi na wierzch w przerażeniu oczyma lub pierś wzdęta w śmiertelnym wysiłku i nikła, jakby tylko przywidzeniem była. To znów rozległ się jęk przyduszony nowej jakiej ofiary lub klątwa z ust którego ze sołdatów.

Wreszcie wszystko ucichło.

Fale Wisły wygładziły się i sennie, spokojnie biły o brzegi, szumiąc z cicha smętną kołysankę do snu wiecznego tym, którzy na ich dnie wilgotny grób znaleźli.

Rybacy i właściciele berlinek znajdujących się podówczas na Wiśle, widzieli także to wszystko zdala na własne oczy.

Jakiś ranny rzeźnik z prowincji, który w chwili wrzucania go do wody był w omdleniu, w chłodnej toni odzyskał przytomność. Umiał dobrze pływać i na szczęście nie był skrępowany, zdołał więc dopłynąć do miejsca, gdzie stały berlinki i skąd odwieziono go czółnem na Pragę i tak zdołał się ocalić.

W czas pewien potem w Młocinach pod Bielanami, w Zakroczymiu i Płocku fale wiślane wyrzucały na brzegi strasznie pokaleczone, obdarte do naga trupy.

Zwłoki Jana Borzęckiego wyrzuciła Wisła pod Zakroczymiem. Ciało uległo już rozkładowi i rysy

twarzy nie były do rozpoznania. Stryj poznał go jednak po złotym pierścionku z turkusikiem z datą zaręczyn nieboszczyka z Elą Sieczkowską. — Snać sołdaci, obdzierający rannych i trupy przed wrzuceniem ich do wody, w pospiechu nie dostrzegli na palcu ofiary tego pierścionka, który teraz posłużył do rozpoznania zwłok.

Stryj kazał pochować bratanka opodal grobu Eli.

XII.

Na dzwonienie Sieczkowskiej otworzyła jej drzwi mieszkania pięcioletnia wnuczka sparaliżowanej na nogi sąsiadki, która przy śpiącej Marychnie czuwała.

W pierwszym zaraz pokoiku leżał na tapczanie, okrytym białem prześcieradłem, Michaś obmyty już i odświętnie do trumny przybrany. Rączyny drobne miał na piersiach złożone i oczęta przymknięte. Na ustach zastygł mu uśmiech ekstatyczny. Wyglądał jakby spał i jakby przez sen się uśmiechał.

W kącie stała już gotowa trumienka.

Szeptem, by śpiącej Marychny nie budzić, opowiadała sąsiadka, że jej synowa, która poprzednio już z placu Zamkowego cało wróciła, zajęła się umyciem i ubraniem przyniesionych zwłok Michasia, a mieszkający w pobliżu stolarz bezpłatnie trumienki dostarczył.

Marychna nic nie wie, że Michaś nie żyje, mówiła. — Gdy go przyniesiono, otworzyła drzwi moja wnuczka, a choć to dopiero drobne dziecię, na tyle jednak roztropne, że przy chorej powiedziała tylko, że ktoś przyszedł i ma do mnie interes. Przesunęła mnie z fotelem do drugiego pokoju i dopiero drzwi przymknąwszy, wszystko mi powiedziała. Nie mogąc sama podnieść się z fotelu,

posłałam wnuczkę po moją synową i ta wszystko załatwiła. Z włożeniem dziecka do trumny umyślnie kazałam zaczekać, bo sądziłam, że wam się to, kumo, należy. Wyście układali synka do snu w kolebce i w łóżeczku, więc też i wy własnemi rękami ułożyć go powinniście w domowince do snu wiecznego.

A Marychna jak się czuje? — pytała Sieczkowska.

Marychna leży rozpalona w gorączce; bardzo też kaszlała i nie spała przez całą noc. Wciąż dopytywała się o matusię, o Elę i Michasia. Nie wiedziałam, jak ją uspokoić. Na szczęście nad ranem zasnęła i śpi jeszcze dotychczas.

Sieczkowska słuchała tego przyciszonego opowiadania, gdy wtem rozległo się gwałtowne dzwonienie i dobijanie do drzwi. Pobiegła otworzyć i struchlała, ujrzawszy sień pełną sołdatów.

Wpadli do pierwszego pokoiku; porwali trupka Michasia.

Padła im do nóg.

Na miłość boską, zostawcież mi zwłoki mego synka, — błagała.

Won, skatina, — odparł oficer, dowodzący sołdatom i zmierzający w tej chwili do drugiego pokoiku.

Powlokła się za nim na klęczkach.

Panie, tam ciężko chora córeczka moja śpi, nie budźcież jej.

Silnem kopnięciem, odsunął ją brutalnie od drzwi, które sobą zastawiała i wpadł do pokoiku.

Marychna, zbudzona se snu gwałtownem dzwonieniem i hałasem, ujrzawszy przed sobą dzikie, krwią obryzgane postacie sołdatów, a w ich rękach martwego Michasia, zerwała się z głuchym krzykiem z posłania.

Lecz w tej chwili chwycił ją gwałtowny atak kaszlu. Szkarłatna wstęga krwi wypłynęła z jej ust na pościel i na ręce matki, która się do łóżka dziecięcia rzuciła.

Wśród brzęku tłuczonych szyb i łoskotu rozbijanych przez sołdatów sprzętów brzmiało chrapliwe rzężenie konającej dzieweczki.

W parę chwil potem, gdy sołdaci zabrawszy z sobą trupka Michasia, opuścili mieszkanie Sieczkowskiej, ostatnia jej dziecina, Marychna, ducha wyzionęła.

Ale osierocona matka nie oddawała się już rozpaczy. Ból macierzyński po stracie wszystkich dzieci i ból Polki nad krwawą dolą narodu wzniósł tę prostą, z rzemieślniczych sfer pochodzącą kobietę na najszczytniejsze wyżyny ducha. To, co w niej było jeszcze słabem i małostkowem, stało się silne i szczytne.

Dzień ósmego kwietnia postarzył ją fizycznie o jakie dwadzieścia lat, czuła się słabą, zgrzybiałą, niezdatną już do pracy, ale duchowo wzniosła się już na szczyt ludzkiej Golgoty, gdzie dusza udręczona z Bogiem obcuje.

Klękła przed łóżkiem, na którem spoczywała martwa Marychna, i modliła się z głębi duszy, mówiąc:

Wierzę, Panie, wierzę, żeś jest wszechmocny i miłosierny; ale snać wolą Twoją było, bym ja na starość na łup sieroctwa, osamotnienia i nędzy wydana została, bo oto ani dziatek, ani nikogo z moich bliskich już nie mam; a siły sterane całkiem mnie opuściły. Ale dziej się święta wola Twoja. Przyjm, Panie, okrutną śmierć dziatek moich i sierocą, pełną nędzy, dolę moją na ofiarę za nieszczęsną Ojczyznę; bo ja wierzę, Panie, wierzę żeś Ty jest mocen wszystko człowiekowi wrócić,

co utracił. Ja wierzę, Panie, wierzę, bo w Tobie żywot wieczny i zmartwychwstanie.

Epilog.

Urzędowy pogrzeb ofiar rzezi ósmego kwietnia odbył się dnia dziesiątego kwietnia o godzinie dziewiątej wieczorem, przy świetle latarń. — W cytadeli koło bramy Michajłowskiej pochowano w jednym wielkim wspólnym grobie dziewięciu mężczyzn i jedną kobietę „na miejscu poświęconem“, jak się o tem raport urzędowy wyrażał.

Obrządku pogrzebowego dopełnił kapelan wojskowy, ksiądz Kaczanowski.

W raporcie przesłanym carowi o wypadkach ósmego kwietnia Gorczakow podał także liczbę poległych w dniu tym na dziesięć ofiar.

Ile w rzeczywistości osób poległo dnia ósmego kwietnia r. 1861-go, niepodobna było sprawdzić.

Z jednej strony rząd rosyjski starał się światu oczy zamydlić i ukryć, o ile możności, rozmiary rzezi.

Z drugiej strony ci, którzy drogich sobie i bliskich w dniu tym stracili lub rannych w domu swym mieli, ukrywali się z tem starannie dla łatwo zrozumiałej przyczyny, by się nie narazić na przymusowe zabranie rannych i martwych swych bliskich przez władze rządowe.

Gdy więc zarówno prześladującej, jak i prześladowanej stronie, na ukryciu rozmiarów rzezi zależało, niemożliwem jest wprost podać dokładnej liczby ofiar dnia tego.

Ówczesne relacje są też pod tym względem ze sobą niezgodne.

Za najprawdopodobniejszą przyjąć można liczbę, jaką podał lwowski „Ruch Literacki“, to jest przeszło

dwieście osób na miejscu zabitych a czterysta ciężko rannych, którzy po większej części niebawem życiem ciężkie swe rany przypłacili, nie licząc tych, którzy przez sołdatów potopieni zostali we Wiśle.

Były to ofiary na razie bezowocne. Krew ich przelana dnia ósmego kwietnia na ulicach Warszawy nie przyniosła wtedy żadnej korzyści krajowi.

Ten mord masowy bezbronnych wywołał ogromne oburzenie w całym cywilizowanym świecie.

Jeden z najpoważniejszych organów angielskich „Daily News“ pisał, że „obowiązkiem każdego oświeconego narodu w Europie, każdego rządu liberalnego będzie przeszkadzać okrutnym zamiarom cara, a Rosja może być przekonana, że mocarstwa zachodnie nie ścierpią, aby zbrodnie podobne, na Polakach dokonywane, się powtarzały.“

Zagraniczny organ zrewolucjonizowanych Rosjan „Kołokoł“ wydrukował artykuł p. t. „Mater Dolorosa“ (Matka Bolesna) którem to mianem Polskę oznaczał.

„Co za wzniosłość, co za poezja“, — pisze autor owego artykułu w Kołokole, — „te kobiety w żałobie, ten pocztyljon grający „Jeszcze Polska nie zginęła“, ten widok tłumów klęczących u stóp Madonny wobec dzikich, rozkiełznanych sołdatów“. — „Czytaliście to, Aleksandrze Mikołajewiczu?‘, zwraca się do cara. „Takich okropności nie znajdziesz nawet w balladach Żukowskiego. Jeżeli to wszystko stało się mimo twej woli, to wykryj winnych, ukarz złoczyńców, oddaj ich pod pręgierz, — albo zdejm koronę i idź do monastyru na pokutę.“

A dalej Kołokoł pisał:

„Kiedy Gorczakow, jak słowik — kochanek róży — nucił czule i zawodził tryle o łaskawościach cara i jego miłości dla narodu polskiego, to car uśmiechając się i przyklaskując dobrodusznie naro-

dowi, w tym samym czasie skrycie wyprawiał Chrulewa.“

Po koszarach rozrzucano drukowane w języku rosyjskim odezwy, by żołnierze na przyszłość nie strzelali do Polaków, choćby na wyraźny rozkaz najwyższej władzy.

Wiele Rosjanek, nawet w głębi Rosji, przywdziało żałobę po ofiarach poległych na ulicach Warszawy dnia ósmego kwietnia.

Gorczakow choć sam starał się zmniejszyć do minimum w urzędowych raportach ilość ofiar, w głębi duszy przerażony był olbrzymiemi rozmiarami katastrofy. Pod naciskiem okoliczności dał milczące zezwolenie na strzelanie do bezbronnego ludu, choć w głębi duszy przychylny był Polakom.

Na rozkaz najwyższy zmuszony był także wydać odezwę do wojska, że „Najjaśniejszy Pan raczył objawić najwyższą swą wdzięczność generał-porucznikowi Chrulewowi i będącym d. 8-go kwietnia (czyli podług Kalendarza rosyjskiego 27-go marca) pod jego dowództwem wojskom za uśmierzenie nieporządków wywołanych przez tłumy wzburzonego ludu na placu Zamkowym w Warszawie.“

Odezwa taka wobec rozmiarów klęski była jakoby szyderskiem naigrawaniem się nad tymi, którzy na krwawym bruku Warszawy w d. 8-go kwietnia ciosy śmiertelne w bezbronne piersi otrzymali. Odezwa taka była także moralnym policzkiem i lekceważeniem bólu tych, którzy najdroższych swych dnia tego utracili. — Odezwa taka musiała rozgoryczyć naród cały, którego oburzenie zwróciło się przedewszystkiem przeciw ślepemu wykonawcy najwyższych rozkazów, księciu Gorczakowowi.

A on nie mógł znieść wspomnienia dnia tego. — Wypadki ósmego kwietnia wstrząsnęły nim do głębi i powaliły go na łoże ciężkiej niemocy.

W gorączkowych wizjach widywał wokół siebie ubrane w żałobie kobiety polskie, wyrzucające mu śmierć swych ojców, mężów, synów i braci. — Wszędzie, gdzie spojrzał, widział strugi krwi.

Wizje te tak go dręczyły, że śmierć była mu prawdziwą wybawicielką.

Umarł d. 30-go maja r. 1861-go, nieżałowany przez nikogo, ani przez swoich rodaków, którzy patrzeli niechętnem okiem na jego sympatje dla Polaków, ani przez Polaków, którzy mu owego milczącego przyzwolenia na strzelanie do bezbronnego tłumu darować nie mogli.

Zwłoki jego wywieziono podług jego ostatniej woli do Sewastopola.

Rozgłośny grzmot dział armatnich i żałobne dźwięki dzwonów, bijących na pożegnanie zwłok księcia Gorczakowa zwiastowały zarazem narodowi polskiemu, że teraz jeszcze stokroć gorsze nadejdą czasy.

Czad krwi przelanej dnia ósmego kwietnia zdawał się unosić w powietrzu nietylko nad Warszawą, ale i nad całym krajem i zapalać umysły do krwawego odwetu.

Prąd rewolucyjny, objawiający się nazewnątrz śpiewanemi po kościołach i ulicach hymnami i manifestacjami narodowemi, stłumiony siłą, kryć się musiał i nurtował wewnątrz. Królestwo Polskie było jakby podminowane i jak wybuchu dymiącego wulkanu żadna moc ludzka powstrzymać nie zdoła, tak też nie było w ludzkiej mocy powstrzymać rwącego prądu krwawych wypadków dziejowych.

Wewnętrzne reformy, przeprowadzone w kraju przez Wielopolskiego, nie mogły już uspokoić drżącego w swych posadach kraju. Wszelkie po temu czynione usiłowania Wielopolskiego były jak owa wiecznie rwąca się przędza Penelopy.

Epilogiem rzezi kwietniowej było w dwa lata później wybuchłe powstanie styczniowe, które po bohaterskich wysiłkach upadło, bo wskutek nieprzyjaznych okoliczności upaść musiało.

I wtedy to naród zgnębiony i zrozpaczony postawił organizatorów powstania pod moralnym pręgierzem. Zwalono na nich winę za wszelkie klęski, jakie wynikły z pogromu, za strugi krwi bezowocnie przelanej.

Ale dziś, gdy świt wolności rozpalił się nad naszą Ojczyzną, schylamy kornie czoła zarówno przed heroizmem ginących na ulicach Warszawy d. 8-go kwietnia r. 1861-go jak i na polach bitew w bohaterskich zapasach r. 1863-go.

Z cieniów przeszłości wynurzają się ich postacie, okryte blaskiem niezgasłej chwały. Ich męczeństwo, na razie bezowocne, wydało jednak plon obfity. Oni to bowiem przez swój zgon krwawy przekazali następnym pokoleniom nieprzedawnione prawa i pragnienie niepodległości, a krwią swą pisali wśród huku dział i salw karabinowych nieśmiertelną epopeję czynu.

Koniec.

SZWEDZI W LĘDZINACH.

POWIEŚĆ GÓRNOŚLĄSKA

Z CZASÓW 30-LETNIEJ WOJNY

PRZEZ

ś. p. **KAROLA MIARKĘ.**

Mikołów, Woj. Śląskie

NAKŁADEM K. MIARKI, SPÓŁKI WYD. Z OGR. POR.

Imprimatur.

Ponieważ po przeczytaniu powieści Pańskiej **„Szwedzi w Lędzinach“**, nadesłanej nam na dniu 23 lutego, nie znaleźliśmy nic, coby jej rozpowszechnieniu przeszkadzało, udzielamy do druku Nasze urzędowe pozwolenie. Niech Pan Bóg błogosławi Pańskiej pracy, którą za bardzo pożyteczną dla ludu uznajemy.

Wrocław, dnia 12 marca 1868 r.

Generalny Wikaryat Jaśnie Wielmożnego Księcia-Biskupa.

Neukirch.

Wstęp.

Byłem jeszcze młodym, gdy ostatni raz odwiedziłem Lędziny. Po serdecznem z przyjaciołmi pożegnaniu, zwróciłem się ku górce św. Klemensa, blizko Lędzin położonej, aby oko moje jeszcze raz czarującym nasycić widokiem, który się wędrowcowi ze szczytu wzgórza przedstawia.

Celem podróży mojej był Kraków, a więc z osobliwą ciekawością spoglądałem ku wschodowi, daleko w polskie okolice, skąd malownicze krajobrazy z białemi kościołami i powabnie rozrzuconemi wioskami mile mnie wabiły.

Oj miłoć tu człowiekowi na tym wzgórzu, którego szczyt zdobi murowany kościółek św. Klemensa! Oko z rozkoszą spoczywa na rozległym widnokręgu, a serce z rozczuleniem marzy o przeszłości drogiej Ojczyzny naszej! Tu na tym wzgórzu, już w pogaństwie sławnym, przodkowie nasi kłaniali się bożkom i ofiary im składali. Tu Klemens, kapłan chrześcijański zasiał pierwsze ziarnko Wiary św. na Górnym Śląsku, bożków z pomocą Niebios strącił, a za lud, w Chrzcie św. oczyszczony, pierwszą Ofiarę najświętszą odprawił.

Myśli moje bujały w przeszłości, zapomniałem na chwilę o podróży i o wszystkiem, nie

chciało mi się odejść z tak uświęconego miejsca. Ale stary wojak, który niósł mój tłomoczek, przerwał miłe marzenia, upominając mnie, że jeszcze daleką mamy przed sobą podróż.

Upadłem na kolana u drzwi kościoła, aby uprosić na podróż opieki Najwyższego, a potem śpiesznym krokiem ku Gołowcu zstępowałem.

Słońce sierpniowe paliło nadzwyczajnie, dlatego wdzięcznie przywitaliśmy cień zielonego gaju i aby się nieco ochłodzić, rzuciłem się na trawę.

Stary wojak, chociaż mu pot zalewał oczy i nie mniej ode mnie potrzebował odpoczynku, jednak się jakoś wahał usiąść przy mnie na starej grobli, a nawet na wszystkie strony bojaźliwie się oglądał.

Gdy mu okazałem moje zadziwienie, odpowiedział mi nieśmiało: Wieczornym czasem lub w nocy pewniebyśmy tu spokojnie nie odpoczywali.

— A to dla czego? — zapytałem zdziwiony.

Stary wojak pokiwał głową i tak mówił: Mój paniczu, nie jestem tchórzem, bo oczy moje w francuskiej wojnie nieraz śmierci zajrzały w oczy, ale na miejscu, gdzie odpoczywamy, niegdyś straszne działy się rzeczy a nie jeden raz widzieli tu ludzie białego młynarza, który za przechodzącymi ciskał kamieniami. Oto na tej grobli stał niegdyś bogaty młyn, który Szwedzi podczas trzydziestoletniej wojny spalili i młynarza zabili. Nie znalazł młynarz spokoju po śmierci i nocną porą ludzi

straszy. Teraźniejszy świat nie wierzy w strachy, ale dziadek mój, co to dożył lat sto ośmnaście, często mi powiadał, co od dziadka swojego na własne słyszał uszy. Oj, wiedzielić to mój dziadek, Boże świeć ich duszy, różne historye o Lędzinach, o starym kościółku św. Klemensa, około którego niegdyś cała wieś stała, o Szwedach, jak wieś spalili, ale za to przez wojska Biskupie zostali pobici i tam za kościółkiem w tak zwanej szachcie są pogrzebani!

Starzec przestał mówić i chociaż go prosiłem, nie chciał na grobli starych historyi o Lędzinach opowiadać. Lecz w dalszej ku Oświęcimiu podróży rozwiązał się mu język i rozwodził się nad przypadkami, które podczas trzydziestoletniej wojny w Lędzinach i poblizkich zdarzyły się okolicach. Kończąc opowiadanie swoje, oznajmił mi, że na plebanii lędzińskiej mógłbym się nieco więcej doczytać w książkach kościelnych.

Opowiadanie starego wojaka pamiętam do dziś dnia zupełnie dosłownie. Aby się lepiej poinformować, skoro do Lędzin powróciłem, prosiłem o bliższe wiadomości ś. p. ks. proboszcza Galeję, który się użalał, że księgi kościelne, chociaż roku 1440 sięgają, jednak bardzo mało o dawnych wypadkach zawierają wiadomości.

Doczytaliśmy się przynajmniej, że Lędziny od najdawniejszych czasów należały do Biskupów krakowskich, że później wskutek zamiany przeszły

na własność Benedyktynek w Staniątkach przy Krakowie, które je nareszcie sprzedały rodzinie Promniców, panów na Pszczynie. Dzisiejszy kościół św. Klemensa, wymurowany w r. 1770 na miejscu dawnego starożytnego kościółka, który niegdyś był matką kościołów w Chełmnie, w Bieruniu, w Bojszowach i w Tychach. Od roku 1642 aż do 30 września 1644 roku kościół lędziński był zamknięty w czasie, gdy Szwedzi Lędziny i całą okolicę sąsiednią opanowali. Wypędził ich Biskup krakowski, Piotr Gembicki za pomocą Zygfryda Promnica, pana na Pszczynie i kościół św. Klemensa na nowo poświęcił.

Nie znaleźliśmy więcej w aktach kościelnych, lecz ś. p. ks. proboszcz Galeja potwierdził wiarogodność opowiadania starego wojaka, upewniając, że zgodnie i od innych ludzi podobne o dawnych losach Lędzin słyszał opowiadania.

Więc staremu wojakowi i ks. proboszczowi Galeji zawdzięczamy niniejszą powieść, a ponieważ już obydwaj w grobie odpoczywają, pomódlmy się za ich dusze nabożnem:

„Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie,
A światłość wiekuista niechaj im świeci!“

Mam pod ręką i stary kontrakt kupna z Lędzin z roku 1520 i ten mi nieco dopomógł do skreślenia dawnych stosunków lędzińskich.

I.

Lędziny pod panowaniem Biskupów krakowskich.

Lędziny wraz z przyległemi wioskami Chełm, Imielin i Kosztów należały od najdawniejszych czasów do Biskupów krakowskich, którzy je rzadko puszczali w dzierżawę, lecz zwykle postanawiali nad niemi starostów, którzy w imieniu Biskupów wioskami rządzili, oraz opłaty i podatki od poddanych zbierali.

Lędziny między wszystkiemi wioskami odznaczały się pomyślną zamożnością, bo liczne włościanom od Biskupów nadane przywileje uwalniały ich od różnych podatków i ciężarów, które chłopów sąsiednich wiosek uciskały.

Żebyście stosunki chłopów lędzińskich z XVI i początku XVII wieku lepiej ocenić mo-

gli, podaję wam spis powinności kmieci. Oddawali gospodarze zamożniejsi:

1. Poradlne po dwadzieścia dwa groszy srebrnych z łanu. Łan zaś był kawał ziemi, który dwoma końmi, dał się obrobić; więc po dzisiejszemu około 80 ćwiertni wysiewu.

2. Osep, szypka, czyli danina dla dworu w ziarnie, z łanu korzec żyta i korzec owsa.

3. Odbywali Łowne, czyli powinność, rocznie dwa razy posłać jednego chłopa na polowanie wilków.

Ogrodnicy, którzy ćwierć łanu posiadali, oddawali rocznie sześć groszy poradlnego, odbywali pańszczyznę pieszą po jednym dniu w każdym tygodniu, i także do łownego byli obowiązani.

Chłopi byli właścicielami i dziedzicami gruntów swoich, sądzili się w sądach królewskich w Oświęcimiu, nad któremi przełożony był kasztelan, powiatowy zarządca królewski. Mieli też Biskupi od królów przywileje do własnych sądów, lecz szlachetny Biskup Jakób Zadzik zrzekł się tego prawa na korzyść swoich poddanych, mówiąc: Niech poddanym moim wymierzona będzie sprawiedliwość bezwzględna! Zarządcą czyli starostą wsi był od roku 1622

Tadeusz Mącki, ubogi lecz bardzo uczciwy szlachcic. Za młodości walecznym był żołnierzem i niejednemu Turkowi rozpłatał głowę. Osobliwie w bitwie pod Chocimem roku 1620, gdzie hetman Chodkiewicz wielkie nad Turkami odniósł zwycięstwo, sławnie się popisał Mącki, lecz strzał turecki tak mu skaleczył lewą nogę, że ochromiał i z wojskowej ustąpić musiał służby. Powrócił do księcia-Biskupa Marcina Szyszkowskiego, który go był na wojnę wystroił, a Biskup w nagrodę zasług około Ojczyzny oddał mu zarząd, czyli starostwo nad Lędzinami.

Jak się odznaczał walecznością na wojnie, tak teraz roztropnością w zawiadowaniu powierzonej mu wioski.

Dlatego to, choć już trzeci Biskup zasiadał na tronie Biskupim, Mącki dla swej poczciwości został na starostwie, poważany od Biskupów, szanowany od szlachty sąsiedniej, a kochany od poddanych.

Jednak do śmierci nie zaparł się swej natury żołnierskiej, bo nie tylko, że najchętniej rozprawiał o wyprawach wojennych, w których niegdyś czynny brał udział, ale też po żołniersku trzymał porządek, posłuszeństwo i każdemu bezwzględnie wymierzał karę lub nagrodę, jak kto zasłużył.

Bali się go więc źli, lecz kochali go dobrzy, wiedząc, że potrzebującemu starosta Mącki nigdy nie odmówił dobrej rady i w potrzebie ratunku.

Najukochańszym przyjacielem jego był proboszcz miejscowy, ksiądz Walenty Sadanus, dawniej towarzysz jego wojenny, który później służbę wojskową porzuciwszy, stan obrał duchowny.

Sam Mącki sprowadził go do Lędzin a to takim sposobem: Gdy przed dziesięciu laty Mącki ostatni raz był u księcia-Biskupa w Krakowie, niezmiernie się uradował spotkawszy na dworze Biskupim najlepszego przyjaciela swego, Walentego w duchownej szacie.

Właśnie probostwo lędzińskie było przez śmierć plebana swego osierociałe. Mącki znalazłszy u księcia łaskawe względy a zapytany, co sobie za łaskę wyprasza, prosił za Walentym, aby go książę-Biskup na probostwo lędzińskie posunął, jako też prośba jego pożądany odniosła skutek.

Mieszkali więc starzy przyjaciele blizko siebie a miłość wzajemna osładzała im znoje życia codziennego. Ile razy dozwoliła służba, bywali jeden u drugiego a osobliwie wieczory z żołnierską akuratnością przepędzali na odmianę, raz u księdza, raz u starosty,

i tylko najosobliwsze wypadki mogły tu przeszkadzać.

Zgadzali się jak najlepiej! Obaj jak najsumienniej wypełniali powinności służby, obaj największymi pijaństwa byli nieprzyjaciołmi, obaj byli najlepszymi wioski ojcami i starali się o poddanych jak o dzieci, od Boga i od Biskupa im powierzone.

Obaj przyjaciele i w sposobie życia domowego byli sobie podobni, bo Mącki samotny jak ksiądz prowadził życie a o małżeństwie nie chciał ani słyszeć, ponieważ go pierwsza kochanka za młodszych lat dla chromej nogi porzuciła.

Przyjaźń wzajemna była ich największem szczęściem, jeden u drugiego szukał pociechy, której im było często bardzo potrzeba, gdyż prawie żyli w najniespokojniejszych latach XVII wieku.

II.

Obczyzna nasiała kąkolu między pszenicą.

Rok 1641 odznaczał się nieurodzajnością po całym świecie, wielki nastąpił niedostatek i coraz bardziej się wzmagał, do czego się i okropna wojna przyczyniła, która już dwu-

dziesty trzeci rok zgoła wszystkie kraje Europy pustoszyła.

I Lędzinom dokuczała nędza, bo ludzie ledwie tyle zebrali, ile do jesiennego potrzebowali obsiewu.

Nie znano jeszcze ziemniaków, a szczupłe żyta i zapasy tartarki, ledwie wystarczały do nowego roku. Dlatego dwór i plebanią codziennie otaczały gromady ubóstwa, o ratunek żebrzące. Pomagali starosta i proboszcz ile zdołali, gospodarzom pożyczali, uboższym darowali, ale żebrzących coraz więcej przybywało, a zboża coraz więcej ubywało.

Gdy z nowym rokiem zima się wzmogła, a głębokie śniegi aż do marca leżały na polach, nędza największego dosięgła stopnia.

Na początku marca zwilżało powietrze i do serc stroskanych zawitała nadzieja, obiecując nadejście wiosny i lepszych czasów, ale w wieczór 17 marca obrócił się wiatr i powstała wielka śnieżna zawierucha, jakiej najstarsi nie pamiętali gospodarze.

Wieśniacy pokryli się do chatek swoich, ani nawet psy się nie odezwały, chociaż przez wieś wysoki mężczyzna kroczył ku plebanii i brodząc przez śnieżne zamęty, ciężko oddychał i często głośno chrząkał.

Oczekiwał i słyszał przechodzącego ks. proboszcz, bo śpieszył się drzwi otworzyć, a potem serdecznym uściskiem przywitał starostę, który przykrą drogą tak był zadyszany, że dopiero za chwilę mógł zwyczajne wyrzec pozdrowienie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

— Na wieki Amen! — witał ksiądz proboszcz Walenty — ale powiedz mi panie starosto, że też cię ani taka zawierucha od wieczornego nie odstraszyła odwiedzenia?

Usiadł znużony starosta a odpocząwszy nieco, tak się odezwał: Księże przyjacielu, stary żołnierz niczego się nie lęka, oj! były to, jak wiesz, na wojence nieraz i przykrzejsze czasy, a człowiek nie opuścił placu! Wiesz, że dziś na mnie do odwiedzin jest kolej i więc, choćby i inny nie był się przyczynił interes, byłbym przyszedł.

Ksiądz Walenty kazał służącemu przyłożyć drew na kominie, a potem odezwał się do starosty:

— Panie bracie, okropne nadeszły czasy! Zima nie przestawa, głód i nędza we wsi się powiększa, śpiżarnie i gumna moje i twoje są puste. Na naszą prośbę do księcia-Biskupa nie nadchodzi pomoc, prosiłem także księdza Dziekana w Oświęcimiu o dwadzieścia korcy zboża, aby naszych poratować gospodarzy,

ale otrzymałem ledwie połowę żyta, gdyż i w Oświęcimiu panuje niedostatek. Jutro, jak w każdy piątek przyjdą nieboracy, lecz mało znajdą poratunku i cóż poczniemy z ubogim ludem?

— Księże przyjacielu! — odezwał się starosta — wiesz, że i mnie dotąd obchodziła nędza wioski, a że i moje gumna dla chłopów wypróżniłem. Ale po dzisiejszem doświadczeniu skamieniało serce moje, nie podźwignę chłopa, choćby przed mojemi umierał oczyma!

— Ale dla Boga, panie starosto — zawołał przelękniony ks. proboszcz — i cóż takiego zaszło, że cię do tak niegodziwych słów popchnęło?

— Słuchaj księże Dobrodzieju, a potem sam osądź! Chłopi lędzińscy wypowiedzieli mi dzisiaj posłuszeństwo i poddaństwo. Ogrodnicy oznajmili mi, że odtąd od dziesiątej nie będą młócić miarki. Daremne były moje przedstawienia, że u pobliższych panów chłopi za młockę odbierają szesnastą miarkę, a że nareszcie własną czeladź do młocki postawię. Wiesz co mi powiedział Spyra:

— Oho! i na to wiemy lekarstwo. W niemieckich stronach, gdzie są chłopi od nas mędrsi, dawno panuje wolność, tylko tu jesz-

cze musimy darmo na panów pracować. Cóż nam do Biskupa krakowskiego, czyśmy już dawno nie odrobili grunta nasze? A cóż i księdzu, który żyje bezdzietnie, po tak wielkich dziesięcinach? Jestem dwudziesty rok gospodarzem, każdorocznie musiałem dziesiąty oddać snop, a gdy księdza dziś w biedzie proszę o pomoc, daje mi po kilka miar zboża, a pewnie mi go później nie daruje!

Słysząc od poddanego tak niegodziwe i buntownicze zarzuty, osłupiałem. Oglądałem się wokoło, aby się przekonać, czy to prawdziwie na moje słyszę uszy, albo czy to mara? Ale ocucili mnie przytomni chłopi, oświadczając, że Spyra słusznie mówi! Jeszcze Spyra nie skończył, a tu drugi hufiec buntowników przychodzi do dworu. Młynarz Sobel przyprowadził z sobą zgoła wszystkich gospodarzy i tak się do mnie odzywa: Tak jest, wolność nadeszła dla chłopów i jesteśmy wolni od pańszczyzny, poradlnego, osepu i łównego. Nie damy się dłużej odzierać i gnębić jak niewolnicy. Gnębicie chłopstwo i ani nam uciechy nie pozwalacie! Panowie piją wino, ale chłopu zakazują dar Boży, gdańską wódkę! Chłop ma żyć, jak bydło nierozumne i przestawać na wodzie lub na drogiem piwie, które nikogo nie roz-

weseli! Chłopi! Pójdźcie do mnie, ja was poczęstuję złotą gdańską wódką, a ujrzymy, kto nam tego zakaże? — Chłopi zawyli radośnie i poszli za młynarzem. Widzisz księże przyjacielu, takiej dożyliśmy się niewdzięczności i takich buntowniczych czasów! Dobrzy Biskupi obsypali chłopów przywilejami i wspomagali ich w każdej doli niezliczonemi dobrodziejstwami, a za to takiej doczekaliśmy się nagrody! Niewdzięcznikom rozdaliśmy zboże z gumien, a że teraz już nic nie mamy i próżniactwa dalej wspierać nie możemy, podnieśli jawny bunt przeciw zwierzchności. A osobliwie, cóż ty zawiniłeś dobroduszny księże? — Ale poczekajcie! — zawołał starosta w gniewie — wszak książę-Biskup przyśle wojsko swoje, a jak w Boga wierzę, będzie wam kara sowicie wymierzona! Ale powiedz mi księże proboszczu, co ten lud dotąd tak dobry zatruło?

— Przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią! — odpowiedział ksiądz proboszcz, a boleść serca zadrżała w gosie jego. — Nieprzyjaciel przyszedł i nasiał kąkolu między pszenicę! Ostrzegałem cię często, abyś nie przyjmował tylu różnych przybyszów, a osobliwie strzegł się przybyszów niemieckich. Ci nam lud błędnemi zatruli naukami, które z Niemiec do nas przynieśli! Ostrzegałem cię, że-

byś nie dowierzał młynarzowi, oto widzisz, że on jest najgłówniejszym ludu uwodzicielem! Uniewinniam cię jednak, bo co uczyniłeś, uczyniłeś w dobrodusznej miłości, która się nad przybyszami zlitowała. Lecz nie rozpaczaj! Mam w Bogu nadzieję, że lud się upamięta i nawróci, skoro mu oczy stosowną nauką otworzę!

— Bóg niech nam i obłąkanemu pomoże ludowi! — rzekł starosta. — Chciałem jutro posłać gońca do księcia Biskupa, lecz nie poślę aż ujrzę, co się dalej dziać będzie! — Pożegnał się starosta z księdzem proboszczem i odszedł do dworu. Ksiądz Walenty jednak nie poszedł na spoczynek, lecz długo a rzewnie modlił się za owieczki swoje i ze łzami prosił Boga, aby od ludu obłąkanego Swojej nie odwracał łaski, lecz znowu na prostą drogę nawrócił.

III.

Uwodziciel.

Młynarz Sobel posiadał młyn wielki, żyzne łąki i obszerne pola. Młyn jego stał na pół drogi od Lędzin ku Goławcu, prosto wioski Górek. Nie znajdziesz dziś ani

szczętu z niegdyś znacznego młyna, tylko grobla stara a pod nią głęboki dół, nad którym dwa drągi na drugą przeprowadzają stronę, oznaczają miejsce jego niegdyś istnienia.

Młynarz Sobel powszechnie „Niemcem“ albo „Bogaczem“ zwany, nie był rodowitym Lędzinianem. Nikt nie wiedział, skąd pochodził! Domyślali się ludzie, że skądsiś z Niemiec, bo dobrze mówił po niemiecku. Starzy ludzie opowiadali, że przed dwudziestu kilku laty do młyna przywędrował młynarczyk Sobel, że się za parę lat po polsku mówić nauczył i z jedynaczką starego młynarza ożenił, że młoducha (oblubienica) przy ślubie omdlała, ponieważ ją do ślubu przymuszono. Za rok powiła Soblowi córkę i umarła, a stary Długaj, jej ojciec, ze zgryzoty wkrótce poszedł za córką do grobu. Po pogrzebie starego Długaja młyn zgorzał, lecz ludzie posądzali Sobla, że go sam zapalił, aby od państwa na odbudowanie wyżebrać drzewa i pomocy. Udało mu się, wystawił przepyszny młyn podług niemieckiej mody i odtąd nazywali go ludzie „Bogaczem“, bo wielki posiadał majątek, o którym ludzie bardzo różnie sądzili. Jedni mówili, że był niegdyś żołnierzem i na wojnie wielkie zagarnął pieniądze, które

przy Czarnej Studni miał zagrzebane. Inni twierdzili, że przy owej studni wielki skarb znalazł, ponieważ często tam do lasu chodził. Posądzali go także ludzie, że Sobel z rabusiami trzyma, którzy mu swoją zdobycz sprzedawają. Zadawanie się Sobla z rabusiami miało też być przyczyną, że pobożna żona jego i jej uczciwy ojciec, nie mogąc się zbrodniom przypatrywać, od zgryzoty tak rychło zeszli ze świata.

Tak o nabyciu bogactwa, równie jak o przeszłości Sobla nic ludzie pewnego nie wiedzieli i dlatego różnie sądzili. Wogóle nie lubili ludzie Sobla, bo już przy pierwszem wejrzeniu niemiłe na człowieku sprawiał wrażenie, do czego się rudy włos i wzrok zyzowaty przyczyniał. W dawniejszych czasach rzadko nawet odwiedzali ludzie Sobla, ale od dwóch lat jakoś się to przemieniło. Często gospodarze chodzili do młyna, a jeszcze częściej kręciła się tam młodzież z całej okolicy.

Co do młodzieży łatwo przyczynę odgadniecie, gdy wam powiem, że Hanka, jedynaczka bogatego młynarza liczyła ośmnasty roczek, przytem ładną była jak dzionek majowy a skromną jak fiołek. Hankę kochali wszyscy! Odznaczała się wielką pobożnością, która była dziedzictwem po

matce i skutkiem dobrego wychowania przez Małgorzatę jej krewną, którą po śmierci żony Sobel wziął do młyna. Dla pobożności nazywał ją ksiądz proboszcz najukochańszą córką, dla dobroci serca kochały ją wszystkie dziewczęta, dla ładnej twarzyczki i czarnych oczu, a niektórzy może dla bogactwa Soblowego, kręcili i umizgali się około niej i około bogacza wszyscy pachołcy, ale na darmo, bo Hanka nie chciała ani słówka słyszeć o wydaniu, a ojciec, kochający córkę nadewszystko, do niczego jej nie przymuszał.

Ludzie zaś posądzali Sobla, że ze skąpstwa nie chce córki wydać, aby się przez wyposażenie nie musiał rozłączyć z mamoną i aby obcej nie musiał gospodyni opłacać. Mówili też, że młynarz czeka na bogatego zięcia, a ponieważ Sobel przed nikim się nie zwierzył, więc trudno było odgadnąć, dla czego ładna Hanka za mąż nie wychodzi.

A zatem dowiedzieliśmy się, co młodzież do młyna wabiło, ale dla czegoż go i gospodarze, osobliwie w ostatnim czasie, tak często odwiedzali?

Słyszeliśmy wyżej, jak Sobel gospodarzy do dworu prowadził i po wypowiedzeniu pańszczyzny do siebie zaprosił. Pójdźmy

więc za nimi, aby się im przypatrzeć i przysłuchać.

Sobel z całą gromadą prosto z Lędzin udał się do młyna, kazał porozstawiać stoły i ławy, a na każdy stół postawił dzban i kubek, zachęcając gości do skosztowania złotawej wódki. Nie dali się goście prosić, lecz popijali w kolejkę i obsypali młynarza pochlebstwami.

— Panie młynarzu! — odezwał się Ucher, największy we wsi pijak. — Nie masz nic lepszego na świecie nad gdańską złotą wódeczkę; powiedzcież mi jednak, dlaczego nam ją Biskup zakazuje? — Dla czego — odpowiedział młynarz — to wam zaraz powiem.

— Najpierw z łakomstwa, abyśmy tylko z jego browaru pijali piwo i aby takim sposobem nasz zarobek znowu wrócił do jego kieszeni. Powtóre, aby nas gnębić i w ślepem utrzymać posłuszeństwie! Gdańska wódka posiada nieoszacowane przymioty i dlatego ją też nazwano złotą wódką! Wypiliście jej dzisiaj jeszcze niewiele, lecz czy nie czujecie jej skutków? Dodaje sercu odwagi, oświeca rozum i dlatego jej Biskup się lęka i boi, żeby przez nią nie przyszli chłopi do rozumu, otrząśli się z głupoty i o swoją domagali się wolność! Wierzajcie mi bracia, że już niejeden przewędrowałem kraj i poznałem różne

stosunki, ale takiego zdzierstwa jak tu, nigdzie nie widziałem. Wszędzie już panuje wolność, tylko tu gnębi chłopa niewola, pańszczyzna i dziesięciny!

— Ale szwagrze! — odezwał się Długaj, najstarszy gospodarz wioski i pokrewny nieboszczki młynarki. — Przecież dziesięcinę już w Starym Testamencie oddawano kapłanom, a według starych praw i rozumu mojego, to kapłanów, którzy codziennie przy ołtarzu za nas się modlą o błogosławieństwo, o urodzaj i o szczęśliwe żniwa, lud żywić powinien! Przecież jeszcze nikt z głodu nie umarł ani nie zubożał, kiedy dał sprawiedliwą dziesięcinę? Co do pańszczyzny, to już tam nic nie mówię, chociaż ją w kontraktach naszych mamy zapisaną, ale co się tyczy księdza proboszcza i tego, co mu się przynależy, to się lękam grzechu, bo to przecież pomazaniec Boży, o tem pamiętajmy!

Przy ostatnich słowach chłopi mimowolnie kapeluszy zdjęli z głowy, twarze nieco pobladły i serca zadrżały na wspomnienie Boga i pomazańca Jego.

Nastąpiło powszechne milczenie, bo jakoś sumienie ludu katolickiego się odzywało.

Sobel się zatrwożył, nie dla sumienia, bo go nie miał, lecz z obawy, aby

goście od niego i od zamiarów jego się nie odwrócili. Aby milczenie szkodliwe przerwać i sumienie utopić, zawołał: Ale proszę, dopijcie, a świeżej każę przynieść wódki!

Potem obróciwszy się do Długaja, rzekł niby z politowaniem: Widać sąsiedzie, żeście w świecie nie byli! Niema to jak ta nowa wiara, którą już wszędzie opowiadają! Wszędzie już lud zmądrzał, tylko tu między lasami to ludzie głupcy, jak nieprzymierzając dzikie zwierzęta! O! gdyby tu tylko wojska szwedzkie przyszły, skończyłaby się Biskupowi i księdzu naszemu uciecha i zdzierstwa! Pijcie bracia!

— Ale powiedzcież nam — zapytał Klimża — cóż to naucza ta nowa wiara?

— Co naucza? — rozśmiał się Sobel — naucza wierzyć w Boga i być dobrym chrześcijaninem, ale tego nie naucza, że Biskupi mają wsie posiadać i ludzi ubogich dręczyć. Wiara uczy, żeśmy są odkupieni i dlatego wolni od ucisków pańskich!

— Ale sąsiedzie! — przerwał znowu Klimża — kiedy przecież Biskupi naszą wioskę kupili, więc też mają prawo jak inni dziedzice! Czyż pobliższe wioski lepiej się mają pod panami świeckimi!

— Wy mnie nie rozumiecie dobrze! — rzekł na to Sobel. — Biskupi, księża i panowie starej wiary, jeden jak drugi, są po jednych pieniądzach! Ale w nowej wierze to zupełnie inny porządek! Znam ja prawa chłopów niemieckich, które zupełną ogłaszają wolność, ale też Niemcy już dawno przystali do nowej wiary a żyją sobie teraz jak u nas panowie!

— Panie młynarzu! — zawołał Ucher — wam to idzie mowa, jak z ambony, aż was miło słuchać! Powiedzcież nam jeszcze co więcej o wolności!

— Słuchajcie! — mówił dalej Sobel, wydobywszy z pod stołu papier. — Oto mam prawa chłopskie drukowane i wam je przeczytam!

Chłopi z uszanowaniem spoglądali na drukowany papier a Sobel czytał:

§ 1. Syn Boży odkupił wszystkich ludzi, a więc też chłopów. Dlatego wszyscy ludzie równe mają do wolności prawo.

— To prawda oczywista! — zawołał Ucher.

— Cicho! milczcie! — gromili go gospodarze.

Sobel czytał dalej:

§ 2. Wszyscy ludzie są bracia, bo są dziećmi jednego ojca w niebie i wszyscy do jednego przyjdą nieba.

§ 3. Kto braci swoich pańszczyzną lub podatkami uciska, grzeszy przeciw woli Bożej.

§ 4. Panowie powinni poddanym przyznać wolność i oddać im posiadłość ziemi za darmo, bo Bóg ziemię dla wszystkich stworzył.

§ 5. To jest wola Boża, a kto jej nie uczy, albo ją przekręca, nie jest dobrym pasterzem, lecz najemnikiem.

— To są paragrafy! To są prawa! To jest wolność! — wrzeszczeli goście Sobla.

Ciekawy, lecz nie łatwowierny Klimża przystąpił do młynarza i rzekł: Pokażcie sąsiedzie, jeżeli te prawa są drukowane?

— A jakże, oto patrzcie, czy was oszukuję? — odpowiedział Sobel, podając papier Klimżowi i innym chłopom.

Oglądając papier, mówili między sobą. Prawdę mówi młynarz, to jest drukowane, a kiedy drukowane, więc to święta prawda!

— Ale proszę was ludzie! — odezwał się znowu Długaj — pamiętajcież, że Pan Jezus powiedział: „Strzeżcie się fałszywych proroków!“ a także: „Słuchajcie Kościoła!“ Znacie naszego księdza proboszcza, że jesz-

cze nigdy nie skłamał, że owieczki swoje miłuje nadewszystko, że nawet czem może, w biedzie nas wspiera! On nas pewnie najlepiej pouczy, co jest wola Boża. Weźmijmy ten papier z sobą a spytajmy się go, jeżeli to prawda, czy też fałsz?

— Co? — krzyknął Sobel — księdza się pytać? Czyliż Biskupi i księża z panami nie szyją jeden but i nie nabijają na jedno kopyto?

Powstał wielki hałas. Jedni przystali na radę Długaja, inni obstawali na zdaniu młynarza. Pierwsi z Długajem odeszli do domu, aby się poradzić duchownego, a reszta została u Sobla, który dalej truł gdańską wódką i fałszywemi naukami.

Gdańska wódka i słyszane nauki były dla Lędzinianów coś nowego i pochlebiającego.

Zapytacie się może moi czytelnicy:

— Jakto, wódka była coś nowego dla Lędzinianów? Czyliż to wódki jeszcze nie znali?

Odpowiadam wam: Tak jest, przed rokiem 1635 nie znano w Polsce „wódki" lub jak mówicie „gorzałki." Gorzałka pochodzi od poganów z Arabii, skąd się około roku 1200 do Włoch dostała i „aqua vitae" tj. wodą życia nazwaną była. Uznawano

i potrzebowano ją przez dwa wieki tylko za lekarstwo. Później używano ten pogański wynalazek za trunek, ale go Ojcowie święci i Biskupi pod najcięższemi karami kościelnemi zakazywali.

Ale jak to bywa, że człowiek na dobrej roli sieje żyto, a często się zdarzy, zielsko i perz choć nie siane, zawsze bujno rosną i żyto głuszą!

Tak też i to pogańskie piekielne nasienie szybko się po całym świecie rozkrzewiło, lecz do Polski dopiero około roku 1635 przyszło i odtąd do dziś dnia ludzi na ciele i na duszy truje. Że gorzałka lud truje, wie każdy rozumny; kto temu jednak wierzyć nie chce, niech się zapyta ksiąg kościelnych. Przeglądałem już często księgi kościelne z przeszłych wieków i w księgach zmarłych znalazłem dość starców, co 90 i 100 i więcej lat dożyli. Lecz dzisiaj przypatrzmy się, ile ludzi dożyje 60 lat? Starcy o 70 latach są rzadkością, słabość ludzi coraz większa a życie coraz krótsze. Cóż to sprawiło, jeżeli nie gorzałka? Śmiało prorokować można, że jeżeli się nie wstrzymamy od tej strasznej trucizny, potomkowie nasi zaledwie dożyją lat 40. Tak to pijak nie tylko siebie ale i całe potomstwo truje.

O żeby każdy uważał, że na sądzie

Pańskim nie tylko za siebie, lecz przez pijaństwo oraz za otrucie potomstwa będzie odpowiadać musiał!

Uwaga nad wódką odwiodła nas od osnowy powieści naszej, więc do niej wróćmy.

Długaj odszedł, lecz przed młynem zawołał młynarczyka, który śpiesznie ku niemu przystąpiwszy, kolana mu uściskał i rękę pocałował:

— Witajcież drogi ojcze; jakże wam się powodzi? — zapytał młodzieniec z miłością na Długaja spoglądając.

— Dzięki Bogu — odpowiedział Długaj — zdrowy jestem, ale lękam się nieszczęścia, które nad nami wisi. Oj złe czasy nastały. Słuchaj Wacławie, znasz czwarte przykazanie?

Wacław: Znam i chętnie je pełnię.

Długaj: Więc bądź mi posłuszny a wypowiedz się Soblowi ze służby czem prędzej tem lepiej!

Wacław: Uczynię, coście kazali; pomówię z młynarzem, może że mnie zaraz puści ze służby. Ale...

Długaj: Ale? o tem później pomówimy, skoro przyjdziesz do domu!

Pożegnali się. Wacław uściskał kolana i pocałował lewą rękę Długaja, gdy tymczasem prawa ręka na znak błogosławieństwa

spoczywała na głowie pokornie schylonego młodzieńca.

Takie to były obyczaje owego czasu i do dziś dnia trwają w niektórych okolicach Wielkopolski. Przy spotkaniu i pożegnaniu rodziców, chrzestnych, stryjów i każdego starszego pokrewnego całuje młodszy rękę i ściska kolana, a tymczasem starszy kładzie prawą rękę na głowę młodszego. Ale na Śląsku nie spotkasz tego ślicznego staropolskiego zwyczaju. Nabyliśmy obcych obyczajów, ale nie na korzyść naszą, więc starajmy się, aby dziatki w pokorze i uszanowaniu starszych wychować, aby staropolskie zakwitły u nas cnoty.

Wacław jeszcze długo stał na grobli stawowej i spoglądał za odchodzącym staruszkiem, a serce rozczulone modliło się do Boga: „Boże dobrotliwy, racz go błogosławić za wszystkie dobrodziejstwa, które wyświadczył mnie ubogiemu sierocie; gdyś ojca i matkę moją powołał do Siebie, byłbym zginął w nędzy, lecz Tyś mnie wybawił od żebraczego chleba i posłałeś ojca chrzestnego, który mnie przyjął do siebie i wychował jak własne dziecię. Ciężko mi przypada odejść z młyna, ale zgrzeszyłbym przeciw Twemu przykazaniu, gdybym opiekunowi mojemu nie był posłusznym!

Modlitwa dodała mu odwagi; gdyż spotkawszy się w młynie z Soblem, zaraz go prosił o uwolnienie od służby.

— Idź do biesa, i zaraz! Ja ani o ciebie, ani o starego Długaja nie stoję! — krzyknął młynarz i powrócił do izby, gdzie chłopi upici Biskupowi i księdzu się odgrażali, że nazajutrz starostę i proboszcza ze wsi wypędzą!

Gdy późno w nocy z wrzaskiem i krzykiem młyn opuścili, młynarz szyderczem okiem i uśmiechem szatańskim spoglądał za nimi i tak sobie mruczał pod nosem: Głupia trzodo polskiego bydła! Idziesz, gdzie cię pędzę, lecz gdy cię więcej nie będę potrzebował, nogą cię odtrącę od siebie.

Sprawdziło się niemieckie przysłowie, że Polak głupi! Myślą, że z dobroduszności ich napawam wódką; głupiec Gwóźdź zaczął nawet o Hankę dla syna swego swatać, myśli bowiem, że ponieważ jest największym gospodarzem, ma największe prawo o nią swatać. Błazen! Ja Niemiec, mam córkę dać polskiemu żebrakowi. Hanka pójdzie za mąż, ale nie z polską krwią! Nikt nie wie, ani ona sama, że już dla niej obrałem męża. Poznacie go, głupcy Lędzmianie! Nauczy on was po niemiecku tańcować, a jak was do szczętu wyssamy, porzucimy was jak łupinę orzecho-

wą, a z jądrem majątku waszego powrócimy do naszej ojczyzny!

Po tych słowach położył się na pościel, lecz mijał go sen, bo się niespokojnie przewracał na wszystkie strony.

Czy go zdradzieckie plany dalej zajmowały? Czy mu sumienie wyrzuty czyniło i spokój odpędzało? Któż to może wiedzieć?

IV.

„Kto ojca i matkę więcej kocha jak Mnie, nie jest Mnie godzien!“ mówi nasz Pan i Zbawiciel.

Wacław zaraz tego samego wieczora zawiązał rzeczy swoje do tłomoczka i chciał odejść. Lecz gdy już miał wychodzić, coś mu serce ścisnęło i żal mu było, że się z wypowiedzeniem służby tak pośpieszył. Czy mu było żal służby? O nie! Żal mu było odejść z młyna bez pożegnania się z Hanką, która już spała w komórce swojej na górze. Ej, poczekam do jutra! — rzekł sam do siebie i został.

Wczas rano wyszedł Sobel z młyna, uwiadomiwszy córkę, że przed wieczorem nie powróci do domu.

Hanka opatrzywszy bydło usiadła przy piecu do kądzieli. Ale jakoś jej przędzenie nie szło od ręki, nici się targały, a wrzeciono co chwilę upadało na ziemię.

Jakieś smutne myśli ją trapiły, bo nareszcie porzuciła całkiem kądziel i wrzeciono, a z płaczem rzuciła się na ziemi przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, drogą dla niej pamiątką po nieboszczce matce. W żalu i w modlitwie tak się zatopiła, że ani wchodzącego do izby Wacława nie spostrzegła.

Wacław ujrzawszy dziewczynę w modlitwie zatopioną, cichutko został przy drzwiach i mimowolnie złożył nabożnie ręce. Stojąc na boku, patrzał na nią z taką czcią i uszanowaniem, jakie się nadziemskim tylko istotom należy. Bo i rzeczywiście, pewnie już kto z czytelników doznał świętego uczucia, które widok modlącej się dziewczyny w sercu naszem wzbudza. Nigdy panna uczciwemu człowiekowi tak piękną się nie wydaje, jak wówczas, kiedy się nabożnie modli. W jej upokorzonej postaci, złożonych rękach i uniesionej twarzy jest coś anielskiego!

Wacław tem bardziej był wzruszony, gdyż przyszedł pożegnać się z dobrą Hanką.

Powstawszy Hanka po skończonej modlitwie, zarumieniła się, gdy niespodziewanego świadka swej nabożności ujrzała.

— Tyś to Wacławie? — rzekła zmieszana, nie wiedząc sama, o co się pytała.

— Hanusiu! Czyż mam odejść bez pożegnania się z tobą?

— Ty odchodzisz? — zawołała Hanka, a rumieniec ustąpił miejsca bladości, która twarz jej okryła.

— Muszę — rzekł smutnie młodzieniec — bo tata rozkazali, a i twój ojciec mi oświadczyli, że się beze mnie obejdą. Więc Hanusiu, zostań z Bogiem...

Chciał jeszcze coś więcej powiedzieć, ale nie mógł od żalu, tylko łzy dalej a tem mocniej przemawiały.

— I tak mnie cały świat opuszcza? — westchnęła Hanka i więcej padła, aniżeli siadła na ławę.

Przyskoczył Wacław do niej i drżącym głosem jej mówił, aby się nie frasowała, że nie odchodzi w świat daleki, lecz tylko do ojca swego i że często odwiedzać ją będzie. — Nie płacz Hanusiu — zawołał boleśnie — bo mi serce pęknie!

— Jakże nie mam płakać, biedna sierota? — narzekała Hanka. — Matki nie poznałam, dobra ciocia, która mnie wychowała,

poszła przed rokiem za matką do nieba. I do kogoż mam się uciec, gdzież szukać pomocy?

— Hanusiu! — rzekł na to Wacław — życz matce i cioci odpoczynku wiecznego, pewnie się obie modlą teraz za ciebie u Boga!

— Dobrze im tam! — mówiła Hanka z cicha jak do siebie samej — bo są uwolnione od boleści, które mnie trapią i któreby i nieboszczki martwiły były, gdyby jeszcze na ziemi żyły! Boże, jaki to koniec weźmie? Coraz częściej przychodzą, piją, złorzeczą i bluźnią, knują okropne zamiary, a co największe dla mnie nieszczęście, ojciec im towarzyszy i rady dodaje!

— Ale powiedz mi, Hanko! — zapytał się Wacław — co ojca znęciło, że takie wystraja pijatyki a najwięcej nocną porą?

Hanka walczyła długo z sobą, nie wiedząc, czy co powiedzieć, czy nie, ciągle patrzała na obraz Najświętszej Panny, aby od Niej oświecenia uprosić! Potem obróciła się do Wacława i rzekła uroczyście: Wacławie, przystąp bliżej! Oto na medalik Matki Boskiej, który własna matka zawiesiła na szyję moją, połóż rękę i przysięgnij mi, że nie wyjawisz nikomu, co ci teraz oznajmię?

Wacław pocałowawszy nabożnie medalik, przysiągł: Biorę Najświętszą Boga-

Rodzicę za świadka, że tajemnicy nie wyjawię!

Hanka teraz oznajmiła Wacławowi: Przysłuchałam się wczoraj, schowana za drzwiami, naradzie ojca z Lędzinianami. Umówili się do buntu i przyszłej nocy chcą nie tylko starostę, ale o zgrozo! i dobrego księdza Dobrodzieja ze wsi wypędzić!

— Dla Boga — zawołał przelękniony młodzieniec — a ojciec czy na to przyzwolił?

— Pożal się Boże! — mówiła dalej Hanka — nie tylko przyzwolił, ale nawet sam zachęcał i dodawał rady! Wacławie, wiem że się Boga boisz, poradź mi, co mam teraz czynić, Okropna walka dręczy serce moje; ojca nie może dziecko oskarżać, a zaś milcząc, popełnię cudzy grzech, a przecież grzech, jak nas naucza ksiądz Dobrodziej, jest największem złem! I cóż uczynić, jakże niesłychanej zbrodni zapobiedz?

Wacław namyślał się długo, a potem odpowiedział Hance: Milczeć nie możemy. Zostań Hanusiu w domu, a ja, jeżeli pozwolisz, pójdę do księdza, aby go o niebezpieczeństwie uwiadomić, przyczem go jak najpokorniej prosić będę aby ojcu przebaczył. A ponieważ tobie ratunek swój zawdzięcza, więc dla ciebie pewnie ojca od kary ocali. Jakże, zgadzasz się na to? Pozwalasz?

— Idź z Bogiem! — odpowiedziała dziewczyna — ale Wacławie proś gorąco za ojcem, bo przecież jest moim ojcem!

Gdy Wacław odszedł i Hanka sama w młynie została, opanował jej serce niepokój i wątpliwość, czy też to dobrze uczyniła, że Wacława posłała i ojca wydała. Wybiegła za odchodzącym i wołała za nim: Wacławie, pamiętaj, że sama jestem, a że z niecierpliwością oczekuję odpowiedzi, jak twoje wykonałeś poselstwo.

V.

„Dobre owieczki słuchają głosu pasterza swego.“

Tego samego poranka odwiedzał Długaj gospodarzy lepszych w wiosce, a osobliwie tych, o których się spodziewał, że się Boga boją, naradzał się z nimi i prosto ku kościółkowi prowadził ich do księdza proboszcza.

Nie mało zdziwiło księdza, gdy razem ośmiu gospodarzy weszło do jego izby, więc się zapytał: I cóż was prowadzi do mnie?

Gospodarze uściskawszy kolana pasterza i pozdrowiwszy go po katolicku, oglądali się na Długaja, który się do przemówienia zbie-

rał: Przepraszamy księdza Dobrodzieja, przyszliśmy z prośbą, aby nam ksiądz Dobrodziej doradzić raczył. Oto młynarz Sobel knuje zdradę na starostę i Dobrodzieja.

Ksiądz proboszcz wdał się w rozmowę z chłopami i dowiedział się o wszystkich zabiegach i zamiarach uwodziciela i co się wczoraj w młynie działo. Lecz o umówionym na dzisiejszą noc zamachu nic mu gospodarze powiedzieć nie mogli, ponieważ spiskowcy dopiero po odejściu Długaja się umówili, że przyszłej nocy dwór i plebanię napadną.

Ksiądz proboszcz, rozważywszy wszystko, choć był bardzo zasmucony szerzącem się zepsuciem owieczek swoich, jednak nie rozpaczał. Przedsięwziął sobie w duchu, że na przyszłą niedzielę lud obłąkany pouczy, że mu w kazaniu przedstawi, jak to wielkie nieszczęście bunt za sobą pociąga. Spodziewał się, że większość parafian jeszcze nie tak zepsuta, aby na głos jego nie zważała. Podziękował przytomnym za przywiązanie, napominał ich do modlitwy, aby Bóg od wioski nieszczęście odwrócił i oświadczył, że jest zupełnie bez obawy, gdyż nikomu nic złego nie wyrządził i parafianom żadnej do zemsty przyczyny nie podał.

— Ale przepraszamy księdza Dobrodzieja — odezwał się Długaj nieśmiało — nam Sobel jednak wbił gwóźdź do głowy. Pokazał i czytał nam prawa drukowane, które dla chłopów wyszły, a te się bardzo ludziom podobały. Niech Dobrodziej będzie łaskawy i raczy pomówić z panem starostą, aby praw naszych nie tail, lecz je oznajmił i chłopów zaspokoił.

Wtem usłyszano dzwon na Mszę świętą zwołujący. Chłopi oddawszy ukłon zabierali się do odejścia, a ksiądz proboszcz zaprosił ich, aby po Mszy świętej znowu powrócili do niego, gdyż o nowych prawach jeszcze chce z nimi pomówić.

Po nabożeństwie stawili się gospodarze na plebanię, tu ksiądz proboszcz się ich zapytał: A któż te prawa wydał?

— No, jużci nie kto inny, jak Ojciec św. albo król, bo były drukowane! — odpowiedział Długaj i powtarzał wczoraj słyszane prawa, ile mu się w pamięci utrzymały, przyczem mu przytomni chłopi pomagali.

Na te słowa odpowiedział ksiądz proboszcz:

— Wiecie z dawniejszych nauk moich, ile nauka Marcina Lutra w świecie nabroiła złego. Nie tylko, że miliony ludzi oderwała od Kościoła św. i do kacerstwa przyciągła, ale

nadto zachwiała też wszystkiemi stanami i porządkami światowemi!

— Nauka Lutra zachęcała książęta, rycerstwo i miasta do najniegodziwszych gwałtów. Pozwalała zagarnianie dóbr klasztornych i duchownych, na co chciwość możniejszych chętnie przystała. A tak złupiono w Niemczech tysiące klasztorów i wydarto im dobra, które pobożność przodków duchownym darowała lub sprzedała w tej intencyi, aby się nieustanne za dobrodziejów odprawiały nabożeństwa i modlitwy.

— Ale też i ubogich chłopów i poddanych zbałamuciła nauka Marcina Lutra. Ponieważ on uczył, że każdy człowiek jest odkupiony i do wolności duchownej powołany, a że w duchowych sprawach każdy człowiek nawet Pismo święte może rozumieć i wykładać według własnego widzimisie, więc chłopi i poddani, słysząc o wolności, zrozumieli, że są wolnymi i od poddaństwa i od posłuszeństwa!

— Jest to prawdą niezaprzeczoną, że w niektórych krajach niemieckich lud stękał i upadał pod ogromnymi ciężarami, o których nasz lud polski nigdy nie słyszał. Dla uciśnionych poddanych była nauka Marcina Lutra hasłem i powodem do okropnych rozruchów. Chłopstwo niemieckie powstało przeciw pa-

nom swoim, nie tylko wypowiedziało posłuszeństwo i wszelkie poddaństwo, ale dopuszczało się, mszcząc się na panach, gwałtów najokropniejszych. Poddani napadali na zamki, mordowali nie tylko dziedzica, ale i żonę i niemowlęta jego, palili dwory i niszczyli własność pańską do szczętu.

— Książęta i szlachta powstali na Lutra, ponieważ nauka jego do takich doprowadziła okropności.

— Luter widząc ze strachem, dokąd prowadzi nauka jego, jak mówił ewangelicka, niebawem w przeciwną obrócił się stronę i w pismach do panów wołał: „Panowie, pomagajcie! kto może niechaj kłuje, bije, dusi tych buntowników; kto polegnie przeciwko nim, męczennikiem będzie przed Bogiem: a kto z chłopów zginie, do dyabła pójdzie jak głownia piekielna“, w innym zaś liście: „Mądry rzecze: osłu należy się obrok, ciężar i bat, chłopu słoma owsiana, bicz i rusznica!“ (strzelba).

— Dwaj uczniowie Marcina Lutra: Karlstadt i Myncer byli najgłówniejszymi chłopów buntownikami i pewnie jeden z nich kazał wydrukować te same lub podobne prawa, jakie wam młynarz Sobel czytał!

— Nauka Marcina Lutra zrodziła niesłychane mnóstwo odszczepieńców i sekt, wiele

bowiem osób opanował szczególniejszy szał, które z biblią w ręku największych nauczali niedorzeczności. Już Marcin Luter narzekał w swym liście, że: tyle jest nieomal wiar, ile głów.

— Żadnego niema tak nikczemnego i głupiego osła, któryby nie chciał, aby jego sny i wymysły za natchnienia Ducha świętego miano, a jego samego prorokiem nazywano! Tak pisał sam Marcin Luter i sprawdziło się na odszczepieńcach przysłowie polskie: „co głowa, to rozum!“ Poznajcie teraz sami, co było pobudką do buntów chłopskich, które najsmutniejszy wzięły koniec? Gdy bunty chłopów coraz okropniejszych dochodziły rozmiarów, zebrało się rycerstwo niemieckie i z najętem żołnierstwem ciągnęło przeciw chłopom, których się przy mieście Frankenhausen blizko 60 tysięcy zebrało. Przed walką użyto ostatniego środka i posłów posłano do chłopów, którzy im przepuszczenie obiecywali, jeżeli uwodzicieli i przewódców swoich wydadzą i do domów powrócą. Myncer, buntownik, lękając się wydania i kary, podmawiał chłopów, aby warunków pokojowych nie przyjęli, a tęczę na niebie okazywał za pewny znak zwycięstwa. Rozjątrzeni chłopi porąbali jednego z posłów na kawałki. Okro-

pność ta przyśpieszyła zgubę chłopów, którzy na górce zajęli stanowisko i do zaciętego gotowali się boju. Lecz skoro działa zagrzmiały, a rycerze na koniach natarli, chłopstwo poszło w rozsypkę. Powszechny okrzyk: „Ratuj się, kto może!“ był hasłem do najśpieszniejszej ucieczki. Poległo chłopstwa na placu 5 tysięcy, a resztę pochwytano. Na buntowników padł wyrok surowy, trzystu najgłówniejszych buntowników dało gardło pod miecz katowski, a między niemi i Myncer, uczeń Marcina Lutra. Działo się to 13 maja 1525 roku. Oprócz tak krwawego końca buntu, nastąpiły dla poddanych jeszcze gorsze czasy i cięższa jak kiedykolwiek przedtem pańszczyzna, aby chłopów odeszła chęć na zawsze do buntów. Chłopi w polskich krajach nie dopuścili się nigdy tak okropnych występków, ponieważ panowie polscy łagodniej się z poddanymi obchodzili, jak rycerstwo niemieckie. Ale jednak nauka Marcina Lutra i duch przewrotności i do naszej Ojczyzny poniósł zamieszanie, a jak widzicie i do naszej wioski wprowadził niechęć poddanych dla zwierzchności!

Tak i podobnie mówił kapłan do przytomnych, a kończąc, dodał: Moi mili, osądźcie sami, jeżeli Lędzinianie mają przy-

czynę uskarżać się na księcia-Biskupa? Popatrzcie się na stosunki poddanych po innych wioskach, ile tam chłopi ciężarów ponoszą? Czyż Lędziny nie cieszą się wiele lepszą pomyślnością? Wspomnijcie sobie, ile razy wam książę-Biskup daniny darował i nadto was jeszcze hojnie zbożem wspomagał, gdy nieurodzajne lata sprowadziły niedostatek. Gdy bydło wasze na zarazę wyginęło, posłał wam z Siewierza 120 krów i 20 koni. Nawet w teraźniejszej zimie odebraliście przez pana starostę czterysta korcy żyta!

— Ale nam go pan starosta tylko pożyczał! — rzekł Długaj.

— A czyż on to pańskiem zbożem samowładnie szafować może? — mówił dalej ksiądz proboszcz. — Starosta wam żyto pożyczał, ale zaraz pisał i prosił, aby książę-Biskup darował wam wszystko. Nie możecie się uskarżać na ciężką pańszczyznę i wielkie podatki, ale chociażby i większe były, pamiętajcież o tem, że posiadłości wasze niegdyś należały do księcia, i że je wam sprzedał pod warunkami, jak w waszych zapisane są kontraktach. Powtóre pamiętajcie o przykazaniu Bożem, które nas naucza, że zwierzchność pochodzi od Boga, a że nieposłuszeństwo jest grzechem śmiertelnym, przez który Boga ciężko

obrażamy! Idźcie więc z Bogiem, powtarzajcie sąsiadom naukę moją i starajcie się, abyście ich odwiedli od złych zamiarów, które w każdym razie nieszczęśliwy wezmą koniec!

Ledwie co gospodarze odeszli, przyszedł Wacław do księdza proboszcza i jeszcze smutniejsze przyniósł nowiny.

Ksiądz proboszcz chciał odwiedzić starostę, aby się z nim naradzić, co czynić wypada, lecz w tej chwili przyniesiono mu karteczkę, w której go starosta uwiadomił, iż w pilnym interesie odjechał do Oświęcimia, a dopiero wieczorem powróci.

Trapił się ksiądz Walenty różnemi myślami, aż nareszcie uciekł się do najlepszego środka. Upadłszy przed obrazem Ukrzyżowanego, gorąco się modlił i całą sprawę oddał Bogu, bez którego woli ani włos z głowy nikomu nie spadnie.

VI.

W Oświęcimiu.

Starosta Mącki niemało się zadziwił, wjeżdżając do Oświęcimia, gdy całe miasto i mieszczaństwo jak najuroczyściej spostrzegł wystrojone. Na zapytanie znajomego miesz-

czanina dowiedział się, że wczoraj przybył goniec i przybycie Jaśnie Wielmożnego księdza Proboszcza oznajmił. Całe miasto było na nogach, bo oczekiwany był znakomitą osobą, rzadko Oświęcim zaszczycając odwiedzeniem. Ówczesnym proboszczem był Mikołaj z Brzezia Lanckoroński, nie tylko przełożonym dziekaństwa oświęcimskiego lecz przytem i sekretarzem królewskim, oraz też proboszczem oleśnickim. Bawił zwyczajnie na dworze królewskim, zawiadując sekretarstwem, a w Oświęcimiu i na probostwie oleśnickiem miał swoich zastępców.

Nie tylko parafianie ale i cała sąsiednia szlachta przybywała w powozach i konno, aby wysokiemu dygnitarzowi głębokie oddać uszanowanie.

O drugiej godzinie po południu zagrzmiały działa na pagórku za miastem wystawione i zwiastowały, że się dostojnik zbliża. Powstał żywszy ruch w mieście, szlachta siadała na konie i utworzywszy lśniący orszak, wyjechała na powitanie; duchowieństwo i parafianie śpieszyli do kościoła, z upragnieniem oczekując zacnego gościa.

Nasz starosta, nie mając swego wierzchowca, stanął w powozie swoim, aby z wyższego stanowiska lepiej wszystko zo-

baczyć i dogodniej przypatrywać się przepysznemu wjazdowi. Na przodzie jechała świetnie ubrana szlachta, potem dworska służba dostojnika, a za nią w bogato wybitej karecie ksiądz dziekan, przy którego boku siedział marsowaty Stanisław Koniecpolski, kasztelan krakowski i sławny hetman Wielki-Koronny.

Wśród licznych okrzyków, którym działa wtórowały i przy odgłosie dzwonów, zbliżał się orszak ku kościołowi, gdzie przełożonego najstarszy z duchowieństwa święconą wodą i pokorną oracyą przywitał.

Za gościem postępował hetman Koniecpolski i cała szlachta, a za nią liczny tłum dwornej służby, aby wraz z duchownymi czołem uderzyć o ziemię przed Panem Niebios i w świątyni Jego odebrać błogosławieństwo, którego po skończonej modlitwie zacny pasterz udzielił.

Po odprawionem nabożeństwie poszli dostojnicy, a z nimi znakomitsza szlachta do mieszkania proboszcza, uboższa szlachta i mieszczaństwo rozeszło się po domach gospodnych, gdzie na pomyślność dygnitarzy rzęsiste wznosili wiwaty przy pełnych wina i miodu puharach.

Życzyłbym ci kochany czytelniku, być świadkiem nabożeństwa i uroczystości w

Oświęcimiu. Co za sliczny byłbyś widział przykład pobożności, jak hetman i cała szlachta upokorzyła się przed ołtarzem Najwyższego, jak czołem bili, jak krzyżem rzucali się na ziemię podczas błogosławieństwa. Byłbyś się rozrzewnił, widząc przez cały czas nabożeństwa uniżonych na klęczkach, całujących i modlących się na różańcach, który wówczas każdy szlachcic zawsze nosił przy pasie przywiązany. Oj! była za owych czasów pobożność w Polsce, a król i cała szlachta dawała tego przykłady.

Zostało nieco z dawnej pobożności u szlachty polskiej, jak się podczas podróży mojej do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie naocznie przekonałem, ale u nas, pożal się Boże, wraz z językiem tracą się i starodawne obyczaje pobożnych przodków.

Nie mówię tu o wieśniakach górnośląskich, bo na ich pochwałę świadczyć mogę, że lud wiejski zachowuje się przyzwoicie w świątyniach Pańskich. Ale przypatrzmy się warstwom tak zwanym wyższym ludu górnośląskiego, jak to lada frycek niemiecki postępuje sobie w kościele? Ledwie się jako tako ukłoni przed Zbawicielem swoim, a prostuje się tak, żeby mu sam Bóg miał ukłony oddawać.

Urągają się z różańców, szkaplerzy i me-

dalików, a pobożność ludu nazywają zabobonem polskim. Ludku mój polski! Nie naśladuj zniemczonych wyrodków, trzymaj się tem mocniej Wiary świętej i nabożnych obyczajów przodków twoich, aby cię święci Patronowie polscy po śmierci przywitali w niebie.

Szczyć się ze staropolskiej wiary, bo się masz z czego przechwalać!

Żaden naród nie liczy tyle Świętych Pańskich, tylu Męczenników, którzy w obronie Ojczyzny i w obronie wiary katolickiej krew swoją przelali, jak Polska! słuchaj! Ojcowie święci w Rzymie nazywają ziemię twoją ziemią Świętych, a gdy raz posłowie polscy półksiężyce (chorągwie tureckie) zdobyte na Turkach, do nóg Ojca świętego złożyli i o błogosławieństwo i relikwie Świętych prosili, odpowiedział im zastępca Chrystusa: „Polacy, weźmijcież garść ziemi waszej, a macie święte relikwie, bo cała ziemia polska przesiąkła krwią męczeńską w obronie Wiary świętej przeciw napadom Turków i Tatarów i innej pogaństwa nawałności przelanej!

Taka to pobożność i gorliwość wsławiała przodków naszych przed całym światem.

Nie potrzebuję ci powiedzieć, że u tak nabożnych przodków i duchowieństwo w Polsce w największem było uszanowaniu. Biskupi byli najwyższymi kraju dostojnikami; Arcybiskup gnieźnieński w czasie bezkrólewia rządził krajem, a krzesła Biskupie otaczały tron królewski.

Pytasz się mnie: „Czemu taki kraj, taki naród upadł?“ Oto masz odpowiedź: Dopóki król i naród zbawiennej Kościoła słuchał rady, dopóty zajmowała Polska pierwsze miejsce między mocarstwami Europy. Ale skoro Polacy zaczęli przestrogi Biskupów lekceważyć, nawet innowierstwu wrota otworzyli, upadła Polska, a kara Boża dotknęła ciężko kraj i naród!

Spełniło się, co wymowny ksiądz Piotr Skarga, wykazując to niecne źródło złego, na kazaniu sejmowem przepowiedział całemu narodowi:

— Tego prawi, — mówił ks. Skarga — palcami dotykacie, iż kacerstwa i różne fałszywe wiary, które jedną prawdziwą zepsować chcą, przyczyną są najprzedniejszą tych niezgód waszych! Bo póki te nieszczęśliwe sekty między wami nie były, pótyście byli jako jeden mąż, jednego serca i woli jednej w domu i na sejmach, gdzieście potrzeby kraju obmyślali! Ta niezgoda przywiedzie

na was niewolę, w której wolności wasze utoną i w śmiech się obrócą i będziecie, jako mówi Prorok: „sługa równo z panem, niewolnica równo z panią swoją, kapłan z ludem i bogaty z ubogim.“ Bo wszyscy z domy i zdrowiem swojem w nieprzyjacielskiej ręce stękać będą poddani tym, którzy ich nienawidzą! Język swój, w którym samym to królestwo między wielkiemi słowiańskiemi wolne zostało i naród swój podbijecie i ostatki tego narodu tak starego i po świecie szeroko rozkwitnionego potracicie i w obcy naród, który was nienawidzi, obrócicie, jako się innym przydało. Będziecie nie tylko bez pana krwi swojej i bez wybierania jego, ale też bez Ojczyzny i królestwa swego, wygnańcy wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie, popychani nogami tam gdzie was pierwej poważano! Gdzie się na taką drugą Ojczyznę zdobędziecie, w którejbyście taką sławę, takie dostatki, pieniądze, skarby, ozdobności i rozkosze mieć mogli? Urodzi się wam i synom waszym taka druga matka? Jak tę stracicie, już o drugiej nie myśleć! Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie, pragnieniu, obnażeniu i we wszystkim niedostatku i włożą jarzmo żelazne na szyje wasze, przeto iżeście nie służyli Bogu swe-

mu w weselu i radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego, a dla dostatku z wszeteczeństwa waszego gardziliście kapłanem i królem i innem przełożeństwem, wolnością beilalską pokrywając, a jarzma wdzięcznego Chrystusowego i posłuszeństwa nosić nie chcąc!

Te słowa świętobliwego kapłana, o których wierzymy, że są Duchem Bożym wyrzeczone, sprawdziły się we wszystkiem.

Odszczepieństwo od Wiary świętej rozburzywszy główną podstawę narodowości polskiej, przywiodło naród do upadku!

VII.

Przerwana radość.

Radość powszechna w Oświęcimiu coraz większe brała rozmiary; wieczorem zgromadziło się mnóstwo ludu przed zamkiem księdza Dziekana i nieskończone wznosiło okrzyki dla uczczenia pasterza swego i gości jego.

Lecz nagle, jak gdyby uciął, ucichła wrzawa, gdyż dzwon na trwogę zajęczał a jasna łuna na niebie się ukazała.

— Ogień! — Pożar! — Lędziny się palą! — wołano z różnych stron. Wybiegł lud za miasto i tu każdy się przekonał, że w Lędzinach gorzało, bo położony na wysokiej górce kościółek świętego Klemensa jasno się ukazywał na tle pożaru.

— Na ratunek, dwór mój się pali! — krzyknął starosta Mącki, który ze znajomymi dłużej jak zwykle w Oświęcimiu się zabawił, a teraz nieszczęście zobaczył.

Mnóstwo ludu śpieszyło pieszo i na wozach z narzędziami ogniowemi, aby ratunek przynieść wiosce nieszczęśliwej, reszta zaś ludu stała za miastem i przypatrując się łunie, coraz mocniej w górę się wzbijającej, chciała przynajmniej pobożnemi wykrzykami i wzdychaniami pomocy uprosić z Nieba dla nieszczęśliwych Lędzinianów.

Chociaż wiatr zimny przewiewał, jednak lud nie wracał do miasta, gdyż pożar coraz więcej się rozszerzał.

W tej chwili ktoś zawołał: Przecież milczcie a posłuchajcie, słychać dokładnie płacz i narzekanie biednych Lędzinianów!

Ucichła wrzawa i rzeczywiście dały się słyszeć jęki i płacz.

— To nie może być w Lędzinach — zawołał inny — bo płacz dobrze słychać. Słu-

chajcie! Coraz więcej się zbliża, pewnie u nas nieszczęśliwi szukają przytułku!

Zaturkotał wóz, a wkrótce nadjechał starosta Mącki, rozpaczliwie wołając: Zgroza niesłychana! Chłopi lędzińscy zbuntowali się, zapalili dwór i księdza Proboszcza wypędzili! Oto się zbliża z Przenajświętszym Sakramentem; zróbcie miejsce!

Zgromadzeni najpierw z przerażenia osłupieli, a potem upadli na kolana i z boleścią serca oczekiwali zbliżającej się procesyi.

Oj smutna to była procesya! Blady jak cień postępował ksiądz Walenty, niosąc Przenajświętszy Sakrament a za nim toczyła się mała gromadka chłopów i niewiast w niebogłosy wołając: Jezu, nie opuszczaj nas! — Zbawicielu! cóż poczniemy bez Ciebie? — Jezu, zmiłuj się!

Coraz więcej przyłączało się ludu, coraz więcej odzywały się narzekania i płacz, a gdy się tłum zbliżał ku kościołowi, oto hetman, duchowieństwo, szlachta i całe mieszczaństwo upadając na ziemię, witało Zbawiciela, którego kapłan Walenty niósł na odpoczynek w ołtarz kościoła oświęcimskiego. Po schowaniu Świętości udał się ksiądz Proboszcz lędziński do zamku, aby księdzu Dziekanowi oznajmić, że go własne wypędziły owieczki.

— I cóż to za przerażające nowiny nas doszły? — zapytał ksiądz Dziekan.

Ksiądz Walenty opowiadał, jak już rano o spisku chłopstwa słyszał, ale uwierzyć nie chciał, żeby parafianie na własnego kapłana podnieśli rękę.

— Lecz wieczorem — mówił dalej ksiądz Walenty — przyszedł młynarz Sobel na czele upitego pospólstwa i surowo mi rozkazał, abym ruszał z wioski, że odtąd Biskupiego nie potrzebują służalca! Chciałem przemówić do ludu, ale powstał ogromny wrzask, i słyszałem przytem brutalne groźby i złorzeczenia. Opuściłem więc Lędziny, wziąwszy z sobą Świętości i tu się schroniłem do łaski Jego Mości, mojego najłaskawszego Dobrodzieja!

Opowiedziawszy wszystko, rzekł na to hetman w uniesieniu: Nie frasuj się księże Proboszczu! Jutro ruszę ze szlachtą ku Lędzinom i wygubię psów, którzy bunt podnieśli przeciw zwierzchności i pomazańcowi Bożemu!

— Proszę uniżenie — błagał ksiądz Walenty, jak niegdyś Patryarcha Abraham za Sodomą — proszę, pohamuj Jaśnie Wielmożny Panie gniew Swój sprawiedliwy, przepuść im, bo nie wiedzą, co czynią. Proszę o cierpliwość, boby i niewinni z winnymi

zginęli. Moze się lud zbałamucony nawróci!

— A więc im przeklęty postępek ma ujść bez kary? Nie darmo nosi zwierzchność miecz u boku, jest jej powierzony od Boga na obronę spokojnych, a na ukaranie zbrodniarzy!

To wyrzekłszy hetman, przechodził się wielkimi krokami po sali, a nikt nie ważył się odezwać do niego, bo wszyscy widzieli, jak żyła gniewu nabrzmiała na czole jego i wiedzieli, że w takim razie każde słowo gniew hetmana podnieca.

Jednak ksiądz Walenty chciał dalej prosić za Lędzinianami, ale umilkł, gdy ksiądz Dziekan z otwartem pismem do hetmana przystąpił i tak się odezwał: Smutną donoszę nowinę Jaśnie Wielmożnemu panu hetmanowi! Oto przybył goniec z Krakowa, a list ten uwiadamia mnie, że nasz najprzewielebniejszy Książę Biskup wczorajszego dnia o szóstej godzinie z rana przeniósł się do wieczności!

— Zadzik umarł? — zawołał mocno wzruszony hetman.

— Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie!

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci Amen! — wtórowało całe zgromadzenie

upadłszy na kolana, aby według zwyczaju odmówić „Zdrowaś Maryo“ za jego duszę.

Wielki smutek wyrażał się na twarzach zgromadzonych, zapomniano nawet o Lędzinach, bo strata wielkiego Biskupa obchodziła każde serce.

— Gdzież umarł? — zapytał się hetman, przystąpiwszy do księdza Dziekana, który po cichu list czytał.

— Umarł w Bożeńcinie! — odpowiedział ksiądz Dziekan. — I jeżeli pan hetman pozwoli, odczytam list głośno. Oto pisze mi ksiądz Wawrzyniec Gembicki, proboszcz krakowski:

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Spotkała nas i ciebie Księże, Bracie drogi, niespodziana i nieoceniona strata. Nasz najprzewielebniejszy Książę Biskup Jakób Zadzik opuścił świat 17 marca o szóstej godzinie z rana i nas wszystkich zostawił sierotami. O Boże! czemuż nie zostawiłeś nam dłużej sługi Twego, który tak wiernie pasł owieczki Twoje?

Tak narzekał cały Kraków, dotknięty najboleśniej stratą ojca swego. Pióro moje nie potrafi opisać płaczu powszechnego, lamentu ubogich studentów, których był najlitościwszym opiekunem. Nie piszę ci o pobożności

zmarłego, bo ją dobrze znałeś, ale nie mogę milczeć o hojności jego na podniesienie domów Bożych, i o litości jego nad ubóstwem. Śp. Książę Biskup był za życia wyższy nad namiętności ludzkie, nie oglądał się na związki pokrewieństwa swego, lecz poświęcał życie religii, naukom i miłości bliźnich, im także zostawił majątek swój uczciwie nabyty. Przeznaczył 100 tysięcy czerwonych złotych na wsparcie ubogich studentów, 40 tysięcy na szpital polski w Rzymie przy kościele świętego Stanisława. Na kanonizacyę i kaplicę świętego Jana Kantego odłożył 30 tysięcy, kościół świętego Michała restaurował na zamku i kaplicę świętego Jana Chrzciciela jego nakładem wyłożono marmurem, i tam też pragnął być pochowanym. Wymurował kościół świętego Józefa i klasztor Panien Bernardynek, gdzie siostra jego była przełożoną. Kościół swój katedralny wspaniale przystroił, kościół nowy w Druzbinie, miejscu rodzinnem, wymurował i opatrzył kapłanem.

Kapitule chełmińskiej dla utrzymania kanonika darował wieś. Na nawrócenie heretyckich predykantów w Rakowie nałożył 100,000 i kościół tutejszy swoim podniósł kosztem. Wyliczyłem tu tylko dobrodziejstwa, które mam w pamięci, bo któż policzy

krocie tysięcy, które na inne nakłady pobożne wyłożył?

Największą stratę poniosło ubóstwo, któremu tygodniowe jałmużny dawał hojne i wstydzącym się żebrać, pieniądze przez domowników swoich posyłał. Umierając darował wszystkie długi poddanym i kazał z powodu panującego głodu rozdać 20 tysięcy korcy zboża. Oprócz tego kazał po śmierci swojej rozdać 100 tysięcy na klasztor i ubóstwo i uroczyście nie tylko urazy swoim odpuszczał nieprzyjacielom, ale nawet się za nich głośno modlił.

Zwłoki ojca naszego będą 21 b. m. przewiezione do Krakowa i tegoż dnia odbędzie się pogrzeb jego. Nie potrzebuję cię na niego zapraszać, bo znam twoje do zmarłego przywiązanie. Niech Mu Bóg da odpoczynek wieczny!

Dom mój na usługi Twoje stoi każdego czasu otwarty. Przybądź jak najrychlej, a pociesz Twego z boleścią Cię oczekującego brata

Wawrzyna Gembickiego.

Kraków, dnia 17 marca 1642 r.“

Złożywszy list dodał ksiądz proboszcz drżącym od płaczu głosem: Prawdę ksiądz przyjaciel mój pisze, ponieśliśmy i cała dyecezya stratę nieocenioną!

— Nie tylko dyecezya krakowska — rzekł na to hetman Koniecpolski — ale cała Polska opłakiwać będzie zmarłego!

— Wszystkie zmarłego Biskupa czyny, przez czas urzędowania jego, świadczyły o jego wierności i miłości, z jakiemi służył królowi i krajowi. Uznawali to królowie, uznawał to cały naród. Król Zygmunt, gdy mu w roku 1627 pieczęć oddawał, rzekł: „Nie człowiekowi daję tę godność, ale tej godności człowieka godnego!“ Posadzony na Biskupstwie chełmińskiem, prosił, aby mógł zostać przy tym jednym urzędzie, ale król stary nie dał sobie mówić o tem: Miałem dosyć pieczętarzów — rzekł — którzy się wpraszali na ten urząd, bądźże księże Biskupie jeden, który wyprasza się od niego! Równie kochał go i nasz Najjaśniejszy pan i król Władysław IV. Od wstąpienia jego na tron był nieodstępnym towarzyszem królewskich wypraw wojennych i podróży. Dodawał królowi zawsze rady najlepszej i jemu zawdzięczamy pokój ze Szwedami i z Moskwą. Przyszedłszy na Biskupstwo krakowskie roku 1635, byłem przytomny, gdy z głębi serca wyrzekł: Dzięki Bogu, żyć odtąd będę tylko dla siebie, to jest: dla zbawienia duszy mojej i dla uszczęśliwienia owieczek moich. Gdy się uwolnił z obowiązków pie-

czętarza, ubolewał nad odejściem jego dwór królewski i cały kraj. Mówiliśmy wówczas jeden do drugiego, żarty sobie stroiąc: Kanclerstwo każdy weźmie, ale komu też Zadzikostwo oddadzą!

Tak go dla dobroci i sprawiedliwości jego kochano powszechnie.

U księdza Dziekana długo jeszcze mówiono o zmarłym, a każdy obecny miał coś o nim chwalebnego do powiedzenia. Siedzieli goście, zapomniawszy kielichów i spania, aż hetman Koniecpolski skończył dalsze rozmowy upomnieniem, że potrzeba odpoczynku, gdyż nazajutrz wczas przypada się zbierać na pogrzeb.

Odchodząc obrócił się jeszcze do kasztelana oświęcimskiego i rzekł: Panie kasztelanie, po pogrzebie zbierz szlachtę i mieszczaństwo i staraj się, abyś chłopów lędzińskich nawrócił do posłuszeństwa!

Ze wzajemnem pozdrowieniem: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ rozeszli się wszyscy na spoczynek.

VIII.

Od wojny zachowaj nas Panie!

Dwie mile lasu oddzielają Lędziny od Pietrowic, wioski o milę od Mikołowa położonej,

gdzie r. 1642 stał oddział wojsk szwedzkich pod dowódcą Eriksonem.

Około wioski były wały, których pasmo i szczątki jeszcze dziś poznać można.

Było to miejsce do rozłożenia obozu bardzo stosowne. Naokoło gęste lasy i głębokie bagna broniły przed napadem wroga, a nadto wały z ziemi usypane licznemi były opatrzone działami.

Wesołe życie panowało między wojskiem, ale tem smutniejsze dla mieszkańców pietrowickich, którzy po największej części opuścili wioskę, a z dziećmi i z żonami po leśnych tułali się gęstwinach.

Zostali niektórzy z Pietrowianów we wsi, ale tylko sami niegodziwi, którzy się do wojskowych rot przyłączyli, żołnierzom rabować i wyszpiegować pomagali, gdzie ubodzy Pietrowianie swój majątek pochowali w dołach podziemnych przed nadchodzącym nieprzyjacielem.

Wrzask i zgiełk hałastry nie przestawał we dnie i w nocy. Pijaństwo i najgorsze wystenki panowały między żołnierstwem, bo mnóstwo wszetecznic niewstydliwie wojskowej towarzyszyło zgrai.

Oddział wojska po kolei pilnował straży na wałach, reszta żołnierstwa trawiła czas na pijaństwie i rozpuście, lub napadała na

pobliższe okolice, rabując, co tylko zobaczyła.

Bydło i żywność sprowadzano do obozu, inną zaś zdobycz, jako to: pierzyny, odzież itd. odkupowała czereda żydów i Niemców, którzy za wojskiem się smyczyli jak wilki na rabunek czyhające.

Oj smutne to były czasy podczas trzydziestoletniej wojny, która się zaczęła roku 1618 i nie tylko na Niemców ale też i na Górny Śląsk największe sprowadziła nieszczęście.

Pobudką do tej wojny byli książęta i miasta luterskie, które utworzyły związek, aby górę wziąć nad katolikami. A ponieważ cesarz niemiecki został wiernym Wierze świętej i katolików w swoją brał opiekę, więc cała złość sprzymierzonych obróciła się przeciw niemu i wiernym krajom jego, do których i część Górnego Śląska należała. Różnie wiodło się wojującym, raz zwyciężyły wojska katolickie, inny raz poniosły klęskę.

Lecz po dwunastu latach ciągłej wojny zdawało się przecież, że upragniony nastąpi pokój, gdyż cesarz swoich pokonał i upokorzył przeciwników.

Ale oto nowy nieprzyjaciel, którego się nikt nie spodziewał, stanął na placu do bitwy z cesarzem. Był to Gustaw Adolf, król

szwedzki, na okrętach przepłynąwszy morze Bałtyckie, coraz dalej darł się do krajów cesarskich.

Nowej otuchy za jego przybyciem nabrali książęta i miasta luterskie, skwapliwie garnęli się do niego, i okrzykiwali go swym wybawicielem.

Katolicy musieli na nowo brać się do broni. Nastąpiły znowu krwawe boje i nastały najokropniejsze zamieszania. Na początku mawiano powszechnie, że Gustaw Adolf dla wiary prowadzi wojnę, lecz chęć do wojny i upodobanie w wojaczce opanowały później wszystkie umysły tak, że zdziczałe przez wojnę ludy i książęta mało się o wiarę, ale więcej o osobisty zysk i o łupiestwo starali.

Gustaw Adolf wchodził w związki równo jak z luterskiemi, tak katolickiemi książęty, a coraz jawniej pokazywały się jego, z początku ukryte zamiary, iż mu nie chodzi tak o obronę nowej wiary, jak o zagarnięcie całego cesarstwa katolickiego. Jednak Bóg nie dopuścił poniżenia Wiary Jego świętej i ukarał śmiałka szwedzkiego, powoławszy go przed sąd Swój sprawiedliwy.

Roku 1632 poległ na placu, w bitwie pod Lützen. Jednak z śmiercią jego nie ustała woj-

na, bo wojskom szwedzkim z próżnemi rękoma odejść się nie chciało.

Gdy jeszcze Gustaw Adolf żył, była w wojsku jaka taka karność, ale po śmierci jego wszystko się rozprzęgło, i wojska szwedzkie stały się postrachem i zakałą plemienia ludzkiego.

Wojna z różnemi szczęścia odmianami toczyła się aż do roku 1648 i zostawiła po sobie ślady największego zniszczenia, bo Śląsk wyssały nie tylko wojska cesarskie, ale jeszcze więcej zniszczyły wojska nieprzyjacielskie, które chociaż kilka razy wypędzone, jeszcze z większą wracały zajadliwością.

Z następujących słów starej kroniki, którą mam pod ręką, można sobie okropne spustoszenie przedstawić, w jakiem Śląsk został po wojnie.

Pisze tak ówczesny kronikarz:

„Przewędrowałem cały Śląsk, lecz nie znalazłem niekiedy przez cały dzień podróży ani jednej chatki całej. Miasta i wsie leżą w gruzach po ogniu i zburzeniu, porosły trawą i zielskiem! Zamiast ludzi mieszkają w rozwaliskach gady i dzikie zwierzęta. W niektórych okolicach ledwie za trzy dni ujrzałem człowieka, który przede mną uciekał, jak dzikie zwierzę, albo nędzą i głodem strapione na

zwaliskach swej niegdyś kwitnącej posiadłości siedział i w rozpaczy swego oczekiwał końca. A któż opisze nędzę duchową żyjących jeszcze mieszkańców? Lud zdziczał okropnie, i nikt nie myśli o uprawie roli. Rolnik porzucił pług a chwycił się miecza, bo wojna zysk, a rola tylko daremną obiecuje pracę!

Tak okropny obraz Śląska przedstawiają nam kroniki z trzydziestoletniej wojny.

Lędziny aż do roku 1642 nie poznały okropności wojny. Wiedzieli bowiem Szwedzi, że należą do polskiego pana, a Szwedzi z Polską nie chcieli wojny zacząć, gdyż zrobili już doświadczenia, że bić się z Polakiem, to co innego, jak bić się z Niemcem.

IX.

Wieś bez zwierzchności — pierwszy obraz wolności.

W Lędzinach panowała wolność. Lud w niezmiernej radości, że się tak lekko pozbył jarzma Biskupiego, tańcował około kurzących się jeszcze zgliszczów na pańskim dworze, w którym niegdyś starosta mieszkał, rozkazywał i podatki zbierał.

Żyd propinator, który z rozkazu pańskiego dotąd tylko piwem i miodem, a po-

tajemnie wódką szynkował, dowiózł gdańskiej wódki a wieśniacy i wieśniaczki pili, wyskakiwali i tańcowali swobodnie aż do Bożego rana.

— Oj niemasz to jak wolność! — krzyczał Ucher, pierwszy wsi pijanica. — Człowiek bez strachu popija sobie, co mu się podoba, a nikt mu nie przepisuje, co ma lać do brzucha!

— Hej żydzie! Nalewaj złotej wody, a wylej piwo do gnojówki, lub chowaj je na ocet, bo ci go nikt więcej nie skosztuje!

Rozśmiała się cała kompania i przytakiwała dowcipnemu żarcikowi.

— Żydzie! — wołał Artek Koczy, największy leniuch z całej wsi — donoś mi wódki lecz na tacy, jak to panów obsługiwałeś, bośmy teraz twoimi panami! Rozumiesz?

— Tak! tak! panami jesteśmy! — wrzeszczeli wszyscy.

— Tobie żydzie przynależy nazywać nas Wielmożnymi — rzekł Wyrczek i złapawszy żyda, dusił, aż mu twarz zsiniała.

— Aj waj! gwałtu! ratujcie zloty ludkowie! — wrzeszczał duszony. — Ja was będę nazyfać Jaśnie Wielmożni, ale mi przecież nie zaduszajcie! Głupi! kto wam będzie nalewał, jak zadusicie Moška?

Wyrczek trącił żyda w kąt i rzekł: Musiałem ci dać nauczkę, abyś wiedział, jak się masz obchodzić z Wielmożnymi!

— Słuchajcie — odezwał się zaś Antek Koczy — wypraszam sobie, aby się odtąd nikt nie poważył mnie inaczej mianować, jak: Jegomość panie Antoni Koczowski!

— A mnie Jegomość panie Wyrczowski!

— A mnie Jegomość panie Ucherowski!

Tak wykrzykiwał każdy swoje nowe nazwisko.

Ale chłopów Jegomościów trochę zamieszało, gdy Mosiek przepraszał Wielmożnych Panów, że już całą baryłkę wypili wódki, a że nikt nie płaci. — Nazywam was Jaśnie Wielmożni Panowie — rzekł Mosiek — ale płaćcie też wielmożnie!

— A toż ty durniu tak się obchodzisz z Jaśnie Wielmożnymi? — krzyknął Wyrczek, podpierając sobie dumnie boki. — Do nóg parchu, a przepraszaj, albo cię...

Rzekłszy te słowa, wziął powróz, którym się przepasywał, i jak bije, tak bije żyda.

— Do nóg! do nóg! przepraszać! — krzyczeli wszyscy, a żyd nie widząc innego ratunku, upadł na ziemię i najpokorniej przepraszał Jaśnie Wielmożnych, którzy mu na-

reszcie łaskawie przepuścili i dalej nalewać kazali.

— A skąd wezmę? — odpowiedział pokornie Mosiek — przepraszam uniżenie, Jaśnie Wielmożni Panowie wypili całą beczkę, a pieniędzy nie dali, za cóż kupię znowu wódki?

— Weź skąd chcesz! — rzekł na to Ucher — a odrachuj sobie na św. Jan z zapłaty, która nam, dziedzicom wioski przynależy!

— Jak to, ja już zapłacił panu staroście do lipca — odpowiedział żydek pokornie.

— To sobie patrz starosty! — rzekł Ucher — jesteśmy panami dworu, wsi, a więc i propinacyi. Nam się należy od dzisiejszego dnia zapłata, a jak nie chcesz płacić, to fora ze dwora!

— Wolę uciekać — mówił Mosiek do siebie — wolę iść do Mikołowa i kozy paść, jak u takich Wielmożnych siedzieć na karczmie. Aj waj! Wypili wódki, choćby jej było jak wody w bieruńskim stawie, ale zapłacić to nikt nie myśli!

— Mośku, wódki! — Mośku, donoś czemprędzej, bo cię palnę w mózgownicę, aż ci pejsy odlecą! — tak wołali z różnych stron.

— Nie dam wódki — odpowiedział Mosiek — bo jej niema za co kupić!

— Słuchaj Mosieczku — prosił Ucher, za-

stąpiwszy żydowi drogę — dziś po południu będziemy się dzielić w dworze koniami i bydłem pańskiem, sprzedam ci krowę, więc nalej jeszcze!

— Obiecki pod niecki, a głupim radość! — wymawiał się żydek.

— Panie Mojżeszu — dyć przecie nalejcie, prosto z dworu wam przywiodę krowę! — prosił dalej Ucher.

— Słuchajcie wielmożny panie Ucherowski! Jesteście mi dłużen 20 złotych, naleję wam jeszcze dzbanek wódki, ale przywiedziecie mi tłusty krowy, ny?

— Zgoda Mośku, nalewaj! — wrzasnął wesoło Ucher.

— Mośku, ja ci sprzedam wołu, nalewaj!

— Żydku, ja ci sprzedam konia, nalewaj!

Tak na przemian wołali na żyda, który dzbanek na stole postawiwszy, rzekł do Uchera: Ale pamiętajcie, żeście mi obiecali krowę najtłuściejszy!

— Żydzie! — wrzeszczał Koczy Antek żydowi do ucha — nalewajże dla mnie i ja ci krowę przywiodę!

— Co ja będę robił z tyle krowy? Przynieście mi złoto! — odpowiedział Mosiek.

— A skądże złoto wezmę, kiedy go w spalonym zamku niema?

— Rozmyślajcie ebbes — mówił żydek — może się wam wspomni jakie miejsce, gdzie dość srebra i złota! Ny! największy dom we wsi? Ma wieżę wysoką! Co wy macie za liche oczy?

— Ko... — wybąknął Koczy, ale przytem tak się przeląkł, że mu ostatek w gardle zostało.

— Słuchaj żydzie, wara od kościoła, to mnie ty namawiasz do świętokradztwa?

To rzekłszy z oburzeniem, powstał Koczy i chciał żyda złapać, ale Mosiek się wywinął i znowu zapytał:

— I co robicie za gwałt? Byś dostał bitre gewire, cóż wam po kościele, kiedyście wypędzili księdza, ny?

— Co tobie do tego, żydzie? Przyjdzie nowy ksiądz! — odpowiedział Koczy.

— A kto wam pośle nowy ksiądz, ny? Biskup, ny? kiedyście księdza jego wygnali — zarzucił znowu Mosiek.

— Przyjdzie ksiądz nowej wiary — odezwał się Brzyżek — a ten nie będzie potrzebował nic złotego, ani srebrnego w kościele, jak tylko biblią!

— Ny, cóż wam po złocie i srebrze, kie-

dy tego ksiądz zaraz wyrzuci z kościoła! — zachęcał znowu Mosiek.

— Wara od nas szatanie w żydowskiej postaci! — zawołał teraz Benesz. — Cośmy zrobili, to się nie odmieni, ale na świętości kościelne nie sięgnie nasza ręka!

Brzyżek zbliżył się do Mośka i coś mu szepnął do ucha, a żyd odpowiedział mu także po cichu: Dobrze, wy jest taki mądry i nie taki głupi, jak te chlopi! Ale mi przynieście wszystko, ja dobrze zaplacę, herszte? Chcecie litkup?

— Dawaj dzbanek wódki i nalewaj koleją każdemu, bo poczęstuję wszystkich sąsiadów! — odpowiedział Brzyżek i zasiadł za stołem.

— Niech żyje wolność! Wiwat! — krzyczeli upici i bez rozumu lali jad do siebie.

Mosiek nalewał i w nadziei zagarnienia złota i srebra kościelnego głaskał sobie radośnie brodę i pokręcał pejsy.

X.

Drugi obraz wolności.

Nad wieczorem zgromadzili się Lędzinianie we dworze i naradzali się, co począć z dworskiemi stodołami, chlewami, zbożem i bydłem.

— Weźmy każdy po jednej krowie i basta! — rzekł Ucher.

— A czyli każdemu dostanie się cała krowa? — odpowiedział Benesz.

— Słuchajcie! — odezwał się Gwóźdź — my siodłacy weźmiemy po parę koni, a wy zagrodnicy po krowie!

— A czyście wy lepsi od nas? — krzyknął Koczy Antek. — Patrzcie no! teraz jest wolność i niema tu ani siodłaka, ani zagrodnika, lecz jesteśmy wolnymi panami. Rozumieliście, nienasyceni siodłacy?

— Podzielimy się równo polami, łąkami, lasem, i wszystkiem, a nareszcie i wasze statki przyjdą na podział, bo kiedy wolność, to i równość!

— Słusznie mówi! — krzyknęli zagrodnicy.

Zaczęły się swary i krzyki.

— Co? nam chcecie nasze grunta okupione odebrać? Nędzni głodnisie! — wołał Gwóźdź i dalej z pięścią na Koczego.

Zagrodnicy bronili Koczego, siodłacy Gwoździa i zaczęła się okropna bijatyka. Kto wie, jak długo byliby się za łby wodzili, gdyby żyd nie był użył doświadczonego środka.

Skoczył po wiadro wody, wlazł na drabinę na chlewie opartą i z wysoka wy-

lał wodę na niezgodnych. Woda ochłodziła zapaleńców, puścili się i ustała na chwilę bijatyka.

— Słuchajcie, wielmożni panowie! — rzekł Mosiek, korzystając z odurzenia mokrych chłopów — na cóż się przyda niezgoda wasza? Lepsza chuda zgoda, niż tłusty proces! i lepsze kilka złotych, jak kilka kułaków, które sobie udzielacie. A ponieważ mądra głowa ma dość dwa słowa, więc wam udzielę mądrej rady. To widzicie sami, że się koniami, krowami i innym dobytkiem na równo podzielić nie możecie, bo jeden koń tłusty, a drugi chudy, jedna krowa stara, druga młoda, jedna dojna, druga jałowa. Najlepiej się dzieli pieniędzmi, sprzedajcie wszystko, a potem się pieniędzmi podzielcie. Czas płaci i czas traci, ażeby to prędko was ugodzić, to ja daję za konie, bydło, wozy, pługi i brony tysiąc złotych!

— Czyś oszalał żydzie, tysiąc złotych? — odezwał się Gwóźdź — pierwsza lepsza para koni kosztuje 1000 złotych! Ja się zgadzam na sprzedaż, ale najpierw oszacujmy wszystko, a potem pomówmy o cenie!

Zaczęły się nowe swary, niektórzy żądali podziału bydłem, niektórzy zaś mówili za sprzedażą i już zaś obie strony gotowały się do bijatyki, gdy w samej chwili mły-

narz Sobel całkiem zadyszany przybiegł do dworu i tak na chłopów zawołał: Bracia, źle z nami! Wczoraj przybył do Oświęcimia hetman krakowski i sekretarz królewski z liczną szlachtą i żołnierstwem! Gotują się na nas!

— Trwoga! — Dla Boga! zabiją nas i dziatki nasze! — Cóż poczniemy nieszczęśliwi?

Tak narzekali chłopi i zaczęli przeklinać chwilę, w której się dali do buntu namówić.

— Ja nic nie zawiniłem i nie podpaliłem dworu! — zawołał Ucher.

— I cóż ja takiego zrobiłem? — pytał się Antek Koczy.

— Nie radziłem wam — rzekł Wyrczek — abyście nie szaleli. Ale wyście nie słuchali! Teraz pójdę do hetmana i opowiem mu całą rzecz i kto jest winien!

— Idź, szaleńcze — odpowiedział mu Gwóźdź — będziesz pierwszy powieszony, bo i ty byłeś na plebanii i wykrzykiwałeś najbardziej na księdza!

Wyrczek zbladł jak chusta. Bojaźń największa zajęła chłopstwo, narzekania i przekleństwa na zwodzicieli napełniły powietrze.

— Wiecie co? — zawołał teraz Ucher —

chwytajmy naszych zwodzicieli i okutych w kajdany oddajmy zwierzchności. Niech im będzie sprawiedliwość wymierzona, a my się ocalimy i przebłagamy łatwo Księcia Biskupa, który jest nader litościwy!

— Chwytajmy zwodzicieli! — odezwało się kilku zagrodników i prosto dążyli ku Soblowi i Gwoździowi, aby groźbę wykonać.

Około Sobla stanęło kilku chłopów i byłoby pewnie do krwawej przyszło walki, gdyby chytry Sobel nie był łatwiejszego wymyślił ratunku.

Sobel bowiem zrzuciwszy żyda z drabiny, sam na nią wskoczył, a spoglądając ciekawie ku Oświęcimiu, zawołał, udawając największą trwogę: Ratuj się, kto żyje! Oto od Oświęcimia widać kurz i już pewnie hetman nadjeżdża z wojskiem!

Co Sobel zamierzał, to się spełniło! Chłopi w strachu niezmiernym zapomnieli o wszystkiem, i w najśpieszniejszej ucieczce szukali ocalenia.

Sobel przytrzymał Gwoździa i kilku sprzymierzonych, aby nie uciekali i tak się odezwał:

— Zostańcie przy mnie, bo ja umyślnie skłamałem przed tchórzami, że się wojsko zbliża. Dobrze, że hałastra ucieka, my tym-

czasem możemy spokojnie o naszym poradzić się ratunku!

— A toż pewnie i o hetmanie zmyśleliście? — pytał się Spyra rozradowany.

— Nie! — odpowiada Sobel. — Mam pewne wiadomości z Oświęcimia, że tam hetman i dziekan przybyli, lecz już dzisiaj wczas rano znów odjechali i śpieszą do Krakowa na pogrzeb Biskupa, naszego gnębiciela!

— Książę Biskup umarł? — zapytali się chłopi.

— Tak jest! — odpowiada Sobel. — I bardzo dobrze dla nas, że właśnie teraz umarł, bo jesteśmy na długi czas od napadu gnębicieli naszych uwolnieni. Lecz jednak wypada o naszem myśleć niebezpieczeństwie, bo „będąc w swobodzie, myśl o przygodzie!

— I cóż czynić? — zapytał się Gwóźdź. — Słuchajcie młynarzu, dajcie nam rady, boście wy z nas najmędrszy. Zakwitła nam wolność, ale cóż nam po takiej wolności, kiedy zagrodnicy gotowi nas zabić. Już mówili o tem, że się i naszemi podzielą gruntami, a więc my siodlacy na biedę wyjść mamy. Przecież ktoś musi być, co porządek utrzymywać będzie i zagrodników skarci.

— Oj musi być jaka zwierzchność — rzekł

na to Spyra — bo i czeladka się zbuntowała przeciw gospodarzom, nie chce pracować i służyć, a parobcy głośno o tem mówią, że kiedy nadeszła wolność, to i służący jest wolny, a kiedy się chłopi gruntami pańskiemi dzielą, to parobkom i komornikom część posiadłości należy pańskiej. Moi parobcy poszli dziś z domu, i bydło moje stoi bez obroku w chlewie.

— Najlepiejby było — radził Gwóźdź — kiedybyście wy, młynarzu, rząd objęli, boście wy przecież najzamożniejszy. Prawda, że ja jestem wójtem, ale dziś jeszcze składam wójtostwo na ręce wasze, was ogłosimy wójtem i najwyższą zwierzchnością naszą!

— Lepiej będzie — rzekł Nieradzik — że wy Gwoździu zostaniecie wójtem, a Sobla zrobimy starostą, przecież i starosta musi być, chociaż nad wolną wsią!

— Zgadzamy się! — zawołali wszyscy.

— Kiedy tak sobie życzycie — odpowiada Sobel — to przyjmę urząd starosty, ale teraz śpieszcie do wsi, a starajcie się o to, aby i reszta gospodarzy na to zezwoliła.

Sobel poszedł na dół do młyna, a wójt z resztą sprzymierzonych udał się do Mośka na gdańską wódkę, lecz próżną znaleźli karczmę.

Lędzinianie, którzy przez cały dzień tak głośno szaleli, ucichli ku wieczorowi, jak żaby w kałuży, kiedy jaki swawolnik kamień między nie rzuci. Sprawił to postrach Sobla o nadjeżdżającym hetmanie. Krył się każdy, gdzie mógł i ze strachem oczekiwał, skoro wojsko nadjedzie. Lecz gdy po dłuższem czekaniu wojsko nie nadchodziło, wyłazili pomału i ostrożnie z kryjówek, a coraz śmielej pokazywali się na wsi, aż nareszcie, gdy się wieść o oszukaństwie Sobla rozniosła, wszyscy znowu się u Mośka zeszli.

Ucher dotrzymał słowa, poszedł do dworu i najpiękniejszą przywiódł krowę Mośkowi, Antek Koczy przyprowadził drugą, a Mosiek nalewał pełne dzbany.

Wójt Gwóźdź udawał w karczmie, jakoby o sprowadzonych krowach nic nie wiedział i milcząc o kradzieży, chciał takim sposobem pospólstwo tem przychylniejsze dla swego uczynić zamiaru.

Gdy sobie chłopi nieco podpili, wystąpił wójt i miał długą przemowę, w której dowodził, że wioska przy wszelkiej wolności jednak potrzebuje zwierzchności. Mówił przytem wiele na pochwałę młynarza, wyliczając wielkie około odzyskanej wolności zasługi jego, a ku końcowi poradził gminie, aby Sobla za swego obrała starostę. Lecz

ostatnim wnioskiem pchnął niby jakby kijem między osy.

Oburzyło się kilku członków z gromady i zaczęli wywoływać na Niemca i bogacza, a nawet na wójta nastawać tak, że Gwóźdź jak najśpieszniej szukał drzwi, aby przed grożącą schronić się nawałnicą.

Tylko jedna osoba mało się starała o zaszłe w karczmie sprzeczki. Był to Brzyżek, który albo coś szeptał z Mośkiem, albo kubek z wódką wypróżniał i własnemi zajęty myślami, wcale się o to nie starał, co się około niego działo. Mało kto zważał na szepty Mośkowe z Brzyżkiem i nikt też nie wiedział, jak po odejściu wójta żyd na Brzyżka mrugał i ręką ku drzwiom wskazywał. Brzyżek zrozumiał żyda i po cichutku wymknął się z karczmy, która ludem była tak napchana, żeby i jabłko nie było doleciało do ziemi.

XI.

Pszenica między kąkolem.

Opuśćmy karczmę, w której rozpusta coraz większa wrzała, na korzyść chciwego żyda i na radość chytrego dyabła, który na piecu siedział, a coraz więcej dusz do swoich zapisywał rejestrów.

Pójdźmy na sam koniec wioski, gdzie za doliną i na uboczu, nieco oddalone stoi pomieszkanie Długaja, któregośmy poznali w młynie, gdzie śmiało stanął w obronie praw Kościoła i kapłana Bożego.

Chociaż późno w wieczór, jednak mieszkańcy jeszcze nie śpią, bo widać w oknach światło.

Oj co to za różnica między karczmą a cichą chatką Długaja! W karczmie opuściliśmy dziką wesołość i zbytki, a tu widzimy smutek i płacz. Przed karczmą stoi czart i wszystko złe do niej wpędza, tu przed chatką unosi się Anioł, wszystko złe odpędza, a dobremu chętnie drzwi uchyla.

W izbie spotkamy kilku gospodarzy i niewiast, których ciężki trapi smutek.

Stary Długaj, który księdza Proboszcza z Przenajświętszym Sakramentem odprowadził do Oświęcimia, opowiada ostatnie pożegnanie księdza Walentego, lecz słowa ciężko mu się wydobywają z piersi, czyste łzy przerywają drżący głos, a powszechny płacz tłumi mowę jego. Już to raz trzeci powtarza Długaj wszystkie przypadki z Oświęcimia, jednak słuchacze z największą bacznością uważają na każde słowo, nie przestawają ubolewać nad krzywdą, własnemu pasterzowi od niewdzięcznej trzody wyrzą-

dzoną. Tęsknią jak sieroty za Ojcem i zanoszą się od płaczu, gdy Długaj im rozprawia o ostatniem pożegnaniu i błogosławieństwie ojca duchownego.

— Mój Boże! — narzekała Marysia, żona Długaja — i cóż poczniemy bez naszego ojca, któż doda rady zbawiennej w utrapieniu, któż pocieszy w smutku? Kiedy mi mój dwuletni Antosiek umarł, a mnie się zdawało, że się od żalu w ziemię zapadnę, to on mnie jedynie z rozpaczy wybawił, pytając się mnie: I cóż to moja Marysiu, chcesz się sprzeciwiać Ojcu niebieskiemu, który Antosia twego zrobił najszczęśliwszym aniołkiem i wybawił go od kłopotów i krzyżów, które na niego w świecie czekały! — Oj, trafiło święte słowo jego do zbolałego serca mojego i uspokoiłam się, ile razy żal mi serce zalewał. O mój drogi ojcze! Gdybym przynajmniej jeszcze raz mogła twoje uściskać nogi!

Rozpłakała się Długajowa i zapłakały rzewnie przytomne niewiasty.

— A kiedym ja — rzekła Łucka Jagrowa — męża mojego pochowała i sama na zaraźliwą uległa niemoc, kiedy pięcioro drobnych dziatek około mnie się czołgało i chleba wołało, kiedy cały świat mnie opuścił, lękając się zarazy, któż mnie i dziatki rato-

wał? Każdodziennie odwiedzał mnie ksiądz Jegomość, pocieszał świętemi słowy, przynosił dla mnie lekarstw, posyłał dla dzieci żywność i starej Frydzie płacił i przymawiał, aby mnie i dzieci pilnie opatrywała. Oj, pragnęłam zawsze odwdzięczyć się księdzu Dobrodziejowi, ale oto go wypędzili! O gdybym chociaż raz jeszcze mogła upaść do nóg jego!

— A cóż my ubodzy poczniemy bez jego opieki? — narzekała stara Małgorzata. — Jegomość jak własny ojciec nami zawiadował! Kiedym, spadłszy nieszczęśliwie z chlewa, nogę złamała i nie mogła do niego chodzić po piątkową jałmużnę, to on sam przynosił lub posyłał mi dwojaką cząstkę przez czeladź swoją. O czemuż mnie Bóg już prędzej nie wziął z tego świata, niżeli oczy moje na taką przypatrywać się muszą zbrodnię, wyrządzoną ojcu najlepszemu?

— Tak to, tak! — rzekł Sobek — ponieśliśmy nieocenioną stratę. Lędziny popełniły zbrodnię, kara Boża wisi nad nami, i jakoż przed sądem Bożym obstoimy?

— Kochani ludkowie! — odezwał się Długaj — pamiętajmy o ostatnich upomnieniach ojca naszego. — Kochany Długaju — mówił do mnie: Powiedz owieczkom moim, że im nie złorzeczę, że im wszystkie odpuszczam

urazy, owszem, że się każdodziennie modlić będę za nimi, aby im Bóg grzech i karę darował. Upominał dobrych, aby się Boga i Wiary Jego świętej tem gorliwiej trzymali. Starajcie się o kościółek opuszczony i strzeżcie go jak źrenicę oka waszego, aby go zły nie znieważył człowiek a w czasie niebezpieczeństwa ukryjcie kielichy i kosztowności domu Bożego, aby święconych rzeczy świętokradzka nie ruszała ręka. Jeżeli się zgadza z wolą Bożą, to Ojciec niebieski odejmie ten kielich ode mnie i znów do was powrócę, ale jeżeli Bóg przeznaczył, że was już więcej nie ujrzę, więc wam z serca udzielam ostatnie moje błogosławieństwo!

Przy ostatnich słowach zakrył Długaj dłońmi twarz swoją, a przytomni wszyscy rzewnie się rozpłakali.

— Tatusiu! — odezwał się po chwili Wacław, wychowaniec Długaja — kiedy nam Jegomość opiekę nad domem Bożym powierzył, to ja pójdę na nocną straż ku kościołowi.

— I ja z tobą pójdę! — rzekł na to Sobków Józef.

— Dobrze uczynicie, moje dzieci — odpowiedział Długaj — idźcie a strzeżcie świątyni jak źrenicy oka waszego, bo tak nam ksiądz Jegomość przykazał!

Wacław opatrzył się dobrym kijem i szedł prosto na górkę ku kościołowi, Sobków Józef wprzód bieżał do domu, aby wdziać na siebie kapotę i obiecał wprędce przyjść na straż ku Wacławowi.

XII.

Świętokradztwo.

Kościółek świętego Klemensa był starodawną budowlą, nizką, z małą dzwonnicą. Od południa znajdowały się drzwi kłódką opatrzone, i trzy małe okna. Pod dzwonnicą były także drzwi, lecz bez zamku, a tylko wewnątrz kościoła drewnianą zaporą zabezpieczone.

Północ była blizko, gdy się Wacław zbliżał ku kościołowi. W karczmie było jeszcze pełno gwaru i krzyku, noc była ciemna, księżyc ukrywał się za chmurami, bo wiatr zimny wiał od północy.

Przyszedłszy na cmentarz, nizkim obwiedziony parkanem, szedł Wacław prosto pod dzwonnicę, aby się przed zimnym ukryć wiatrem, który skrzypiał starą wieżą i na różne huczał głosy.

Wacława ogarnął strach, gdy się sam znalazł na cmentarzu około północy, aby się

więc ośmielić, uklęknął przy drzwiach kościoła i zaczął się gorąco modlić za dusze zmarłych. Myślał z początku, że Józef przychodzi, jednak wkrótce przekonał się, że tupanie pochodzi z kościoła, bo kroki na podłodze kościelnej głośno się odbijały.

— Co tu robić? — pomyślał Wacław — pewnie już złodzieje w kościele. O gdyby Józef nadszedł, abyśmy śmielej wystąpić mogli!

Gdy tak rozważa, coby wypadało uczynić, słyszy jak drugie drzwi od południa zaskrzypiały i że ktoś odchodzi. Widząc że nie ma chwili do stracenia, wychodzi śmiało z wieży i przy świetle księżyca, z poza chmur wychodzącego, widzi naprzeciw siebie człowieka, który napełniony niesie worek, a w ręku błyszczącą monstrancyę.

— Któż tu? — zawołał odważny Wacław i bez namysłu skoczył ku nieznajomemu, aby go przytrzymać. Lecz w tej samej chwili zabłyszczała monstrancya w powietrzu, Wacław poczuł mocne uderzenie w głowę i niezmierny ból w oku.

— Jezus, Marya! Złodzieje! Ratujcie! — zawołał całym głosem, a potem zaćmiło mu się w głowie i omdlały upadł na schody przed dzwonnicą.

Złodziej uderzywszy całą siłą Wacława

monstrancyą w głowę, szukał w prędkiej ucieczce ocalenia, bo słyszał jak krzyk Wacława kilku ludzi przywołał, którzy wołali: „złodzieje! chwytajcie!“ i ku kościółkowi się zbiegali.

Między nadchodzącymi był też i Józef, który oglądając się na wszystkie strony, ujrzał, jak jakiś człowiek od kościoła uciekał i przez parkan cmentarny przechodził. Schyliwszy się, biegł prędko pod parkanem, a doszedłszy drapiącego się na płocie, i widząc worek na ramieniu i coś świecącego się w ręku jego, bez namyślania machnął silnie koszturem swoim tak, że ugodzony jak kłąb się zwinął na ziemię. Józef rzucił się na niego i klęcząc na nim wołał o pomoc. Zbiegają się ludzie, a przy świetle smolaków poznawają Brzyżka, który jak nieżywy na ziemi leżał. W worku, obok niego leżącym, widzą kielich, srebrny krzyż z ołtarza wielkiego i inne naczynia święcone, a w omdlałej ręce monstrancyę krwią zbroczoną.

— Oto macie świętokradcę! — rzekł Józef, wskazując ręką na Brzyżka.

— Jeśliś go zabił, to dobrze uczyniłeś! — rzekł Benesz. — Niech zdechnie jak pies, kiedy ręką sięgnął na świętości kościoła!

— Byłaby to nader lekka kara — ode-

zwał się Wyrczek — zbrodniarzowi za świętokradztwo ręce ucinają i ciało na koło wplatają, jak to w Gliwicach zeszłego roku uczynili. Ale nareszcie patrzajcież, jeżeli jeszcze żyje, bo może tylko tak udaje, aby się schronić!

Przewracają więc złodziejem jak drewnem, ale on ani najmniejszego życia nie daje znaku.

— Poczekajcie — zawołał Ucher — ja go wskrzeszę! — Ucher zbliża się do Brzeżka i bije go kijem, aż począł złodziej jęczeć.

— Oho! ożyłeś? Mów: byłeś sam, albo było was więcej? — pyta się Benesz i złapawszy leżącego za włosy posadził go przy płocie.

— Ludkowie, darujcie mi — ja to uczyniłem w pijaństwie. Mosiek mnie namówił i wódką upoił, u niego znajdziecie resztę rzeczy kościelnych! — odpowiadał Brzyżek słabym głosem.

— Dalej po żyda! — krzyknęli przytomni i bieżą ku karczmie. Józef został przy Brzyżku i zaczął go wiązać rzemieniami, gdy chłopi z wielkim hałasem, bijąc i szturchając żyda, prowadzą ku niemu.

Żyd wołał ratunku i świadczył się Abrahamem, Izaakiem i Jakóbem, że o niczem nie wie, a Brzyżek jest kłamcą. Lecz gdy za

chwilę przyniósł Benesz z karczmy różne rzeczy kościelne i bieliznę z ołtarza, którą w komórce pod podłogą znalazł, zaczęli chłopi na nowo obsypywać żyda i Brzeżka kijami i przekleństwami.

— Przestańcie ludzie! — woła Benesz całem gardłem — zbrodniarze zasłużyli na większą karę!

— Aj waj wielmożny panie Benesz i jaśnie wielmożni panowie, nie zabijajcie mnie! — prosił Mosiek, czołgając się po ziemi. — Cóż wam z tego przyjdzie, jak mnie zabijecie? Ja wam dam całą beczkę wódki i pół beczki miodu, tylko schowałem co Brzyżek ukradł, aby potem oddać księdzowi, albo wam. Przy moim munes was przysięgam, żebym był oddał! Aj waj, zmiłujcie się jaśnie wielmożni panowie!

Chłopi odpowiadali szyderczym śmiechem i znowu kijami okładali złodziei. Lecz Wyrczek ich bronił, wołając: Przestańcie, dosyć od nas dostali, oddajmy ich teraz zwierzchności!

— Jakiej zwierzchności? — pytali się chłopi.

— Jesteśmy wolnymi i sami jesteśmy zwierzchnością, więc do nas należy ich sądzić — mówił Ucher. — Dowiedziono jest Brzyżkowi i Mośkowi świętokradztwo, cóż więcej

potrzebujemy świadectw i sądowych paragrafów? Oto stoją przy karczmie dwie wierzby, powrozy mamy pod ręką, dalej z nimi na wierzby! Zgadzacie się ze mną?

— Zgoda! Dalej na wierzby z nimi! — krzyknęli pijani chłopi, i nie zważając na prośby Mośka i Brzyżka, ciągnęli gwałtem złodziei ku karczmie.

Ucher wlazł na wierzbę, spuścił powróz na dół, chłopi zrobili pętlę na końcu i zadzierżgali żydowi na szyję i bez omieszkania powiesili na pierwszej, a potem Brzyżka na drugiej wierzbie.

Po skończonej sprawie udali się do karczmy, wytoczyli z komory beczki z wódką i miodem i sami sobie szynkowali. Złupili do szczętu majątek żyda, a ponieważ się w zgodzie podzielić nie mogli, więc nastąpiły kłótnie, zwady i bijatyki.

Wieść o zbrodni kościołowi wyrządzonej gruchnęła w okamgnieniu po Lędzinach i cała wieś garnęła się ku kościołowi.

Kobiety i dzieci z przestrachem uciekały od wisielców, bo nie mogły znieść okropnego widoku. Skupiły się około Józefa i nalegały na niego tysiącznemi pytaniami, aby swoją zaspokoić ciekawość i gadatliwość.

Podczas opowiadania Józefa powstał no-

wy hałas przy samym kościele, gdzie znaleziono biednego Wacława nieżywego i krwią zbroczonego.

— O cóż za nieszczęście! — narzekał Sobek, przyświecając smolakiem — przed paru godzinami, gdy się wybierał z domu, był zdrowy i pełen dobrych chęci, a teraz!

— Może jeszcze żyje! — Ratujmy go! — Przynieście wody! — wołały niewiasty i schyliwszy się ku niemu, zaczęły zmywać krew i pieszczotnemi na niego wołać słowami.

— Żyje! — Ożył! — Serce bije! — O Boże ratuj go! — wołały o Wacława troszczące się niewiasty.

Sobek z Józefem tymczasem przynieśli mary z pod dzwonnicy, położyli na nie ostrożnie Wacława, a na jego pierś skrwawioną monstrancyę, przy nim też umieścili pokradzione z kościoła rzeczy i tak z licznym orszakiem narzekających niewiast ruszyli na dół ku pomieszkaniu Długaja:

Przyszedłszy naprzeciw wisielców, ujrzeli zbliżającego się Długaja i mimowolnie postawili mary na ziemię.

Przystąpił bliżej staruszek, a chociaż głośno nie narzekał, jednak wszyscy z twarzy jego bladej wyczytywali, jak wielka boleść kraje serce jego.

Nogi pod nim zadrżały, w oczach mu się

zaćmiło, gdy ujrzał ulubieńca swego, tak okropnie zranionego.

Sąsiedzi, chcąc go pocieszyć, przymawiali mu, że Wacław jeszcze żyje i że wyzdrowieje, ale Długaj ani słówka nie odpowiadał, jak gdyby nic nie słyszał.

Coraz więcej zgromadzało się ludu, bo i pijacy powychodzili z karczmy, przypatrując się okropnemu widowisku, któremu Sobel wielkim przyświecał smolakiem.

Długaj po długiem milczeniu podniósł oczy ku niebu, jak gdyby się przed Bogiem użalał i na winowajców narzekał.

Cichy ból starca głębokie na przytomnych sprawił wrażenie, cisza grobowa panowała, gdy Długaj zaczął narzekać:

— Okropna zbrodnia! Zabili bezbożni najpoczciwszego młodzieńca! O biedny Wacławie, życiem przypłaciłeś wierność twoją ku kościołowi! Oto patrzcie, jak okropnie zraniona głowa, oko wybite! Niewinny padł ofiarą i nie lękacie się to kary Bożej?

Ucher przystąpił bliżej i rzekł do Długaja:

— Myśmy niewinni, nie narzekajcie na nas, oto patrzcie na powieszonych, wymierzyliśmy im sprawiedliwą karę!

— O obłąkani! — odpowiedział na to Długaj — czyliż myślicie, że morderstwem, któregoście się dopuścili na Brzyżku i żydzie, po-

kryjecie Wacława krew niewinną, o pomstę do Nieba wołającą? Któż was postawił sędziami nad żydem? a osobliwie nad Brzyżkiem, któregoście bez pokuty, bez Spowiedzi świętej na tamten świat posłali? Teraz stoją przed Sędzią i tam was oskarżają, żeście im czasu do pokuty nie pozwolili? O ludzie zaślepieni, jakoż się kiedyś na sądzie Bożym usprawiedliwicie? Czyliż jeszcze nie poznajecie, że Bóg od was odwrócił łaskę Swoją świętą? Sprzeciwialiście się Bogu, boście wypędzili ze wsi pomazańca Jego i podnieśliście bunt przeciw zwierzchności, którą Bóg nad nami postanowił! Lecz co najgorsza, zbrodnia początkowa ciągnie cały łańcuch coraz większych grzechów za sobą: pijaństwo i zbytki szkaradne, złodziejstwo na własności Biskupiej i kapłańskiej popełnione! Wśród obżarstwa zrodziło się między wami świętokradztwo i zabójstwo najlepszego ze wsi młodzieńca: Nie było czartu na tem dosyć, popchnął was, abyście bliźnim odebrali życie, którego panem jest Bóg, bo On mówi: „Jam jest Bóg i Moja jest zemsta!“ Ludkowie upamiętajcie się, a szukajcie najskwapliwiej miłosierdzia Bożego, pojednawszy się z Kościołem świętym, bo kara Boża wisi nad głowami waszemi, a cóż jest okropniejszego, jak zasłużyć na karę wiecznego potępienia!

Głos staruszka, z początku powolny, nabierał coraz więcej dźwięku i potęgi. Przy ostatnich słowach podniósł prawicę ku Niebu i był podobny prorokowi, grożącemu zgubą Lędzinom i ich mieszkańcom.

Potem skinął ręką i zstępował z górki na dół ku pomieszkaniu swemu, a za nim postępowali niosący Wacława w milczeniu.

Przedstawcie sobie w duchu, kochani czytelnicy, płacz i narzekanie poczciwej Marysi, żony Długaja, bo moje pióro tego opisać nie zdoła.

Sobek ją uspokajał i pocieszał nadzieją, że Wacław jeszcze wyzdrowieje, zachęcał przytomne niewiasty, aby się o pomoc i lekarstwa starały.

Używano wszelkich środków, zatrzymano dalszy upływ krwi z oka i ran na głowie będących, lecz Wacław nie przychodził do siebie, leżał bez władzy, a tylko niekiedy zajęczał od bólu.

XIII.
Łoże boleści.

Nad ranem rozeszły się litościwe niewiasty, ale Długaj i żona jego nie szukali odpoczynku.

Długaj obwinął monstrancyę, kielich i krzyż srebrny w białe płótno i wraz z resztą rzeczy kościelnych włożył w skrzynkę, którą mocno zabiwszy, z izby wyniósł na ogród pod okna i pod młodą gruszką zakopał do ziemi, bo nie wiedział miejsca bezpieczniejszego.

Żona zaś jego z macierzyńską troskliwością krzątała się około chorego. Długaj bawił długo na podwórzu, a gdy powrócił także usiadł przy łóżku Wacława.

— Drogi Wacławie! — narzekała Długajowa — nigdyś nas nie zasmucił, zawsze byłeś pokorny i posłuszny, a kochałeś nas jak własnych rodziców. Pobożność twoja wiodła cię na straż ku kościołowi i za twą cnotę taką odebrałeś nagrodę?

— Nie narzekaj Marysiu — cieszył ją Długaj. — Bóg wie, że Wacław w obronie świętości Jego utracił zdrowie! Ofiarujmy go opatrzności Ojca niebieskiego i Matce Jego Najśw. Za Jej przyczyną zaś ozdrowieje, jeżeli jest święta wola Boża!

— Oj smutnoćby też to było dla nas, gdyby nam Bóg zabrał Wacława — mówiła Marysia po dłuższem milczeniu — Bóg nas nie udarował dziatkami ale nam dał Wacława, któregośmy za własne uważali dziecię. Jak nas opuści, zostaniemy na starość bez podpory.

Wacław się poruszył i coś przemówił, Długajowa przyświecała i pyta się troskliwie, czego potrzebuje? Ze smutkiem przekonała się, że ją Wacław nie słyszy, i że tylko w gorączce marzy i urywczo mówi: Ja ci przysięgam, że nic nie zdradzę! Nie płacz, ja cię znowu odwiedzę! I czemuż nie czekasz? Uciekasz przed ojcem? Ojciec cię chce utopić, ale nie bój się, woda cię nie przyjmie, bo jej Matka Boska zakazała! Najświętsza Panna mi ciebie obiecała! Już to idziesz po mnie? Poczekaj, aż mnie ustroją do ślubu!

— Bóg wie, co mu się stawia przed oczyma! — rzekł Długaj a pomacawszy chorego po głowie, polecił żonie, aby chustę umaczała w święconej wodzie i ochłodziła głowę gorącą. Marysia powstała, aby poleceniu męża zadosyć uczynić, gdy się drzwi odchyliły i biała postać stanęła na progu. Marysia z przelęknieniem patrzała ku drzwiom i nie mogła się ani kroku ruszyć z miej-

sca. Dopiero, gdy przychodząca osoba: „niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ z płaczem wyrzekła i z płachty się odsłoniła, poznali Długajowie Hanusię młynarza.

— Pójdź Hanusiu i oglądaj Wacława, jak go złodzieje poranili.

Hanusia ujrzawszy okropne rany w oku i głowie, zbladła jak chusta, ból niezmierny ścisnął jej serce, że ani słówka wydobyć ze siebie nie mogła, nogi pod nią zadrżały i jak bez władzy uklękła przy łóżku chorego, głowę swoją położywszy na rękę gorącą Wacława.

Matka widząc przywiązanie dziewicze do Wacława, zakryła twarz dłońmi i tłumiła płacz, aby nie przeszkadzać cichej boleści dziewczyny.

Wtem się Wacław poruszył i podniósł rękę do oka prawego, aby ciemną zasłonę, jak myślał, odjąć z niego, namacawszy ciało zranione, boleśnie twarz skrzywił. Pojąć nie mógł, co się z nim dzieje, macał się po głowie, a lewem okiem oglądał się po izbie, aż obok siebie płaczącą ujrzał Hankę. Oko jego zabłysło i pełne miłości spoczywało na bladej twarzy dziewczyny. Chciał się podnieść i natężał wszystkich sił, ale ledwie słabym głosem zawołał: Hanusiu! — już to

znowu słabość oko jego zaćmiła, a gorączka zmysły jego pomieszała, że nie wiedział i nie słyszał, jak rozpaczliwie dziewczę zapłakało i nad nieszczęściem jego i swojem narzekało.

Płacz przyniósł ulgę zbolałemu sercu Hanusi, podniosła się i zdjąwszy z szyi medalik Matki Boskiej Częstochowskiej, położyła go na piersi chorego.

— Matko Najświętsza! — modliła się z cicha — Ty znasz uczucia serca mojego. Ofiaruję Ci miłość moją, zlituj się nad nami, weźmij w opiekę Twoją macierzyńską, uzdrów go, a całe moje poświęcę Ci życie!

Chory w marzeniach gorączkowych zaczął głośno mówić:

— Oj długo czekać muszę na kapłana, ale poczekam tak długo, aż mnie zaprowadzi do ślubu i położy do chłodnego łoża przy świętym Klemensie! Aniołowie drużbowie ukazali mi skrwawioną monstrancyę, prześlicznie się świecącą? Hanusiu, tyś mnie porzuciła? Dobrześ zrobiła, żeś uciekła pod płaszcz tak prześlicznej pani, która mi balsam na pierś położyła? O jak też to chłodzi przyjemnie! Tak słodko na sercu! O Boże, skoroż przyjedzie ksiądz Jegomość, który mnie zaprowadzi do domu ślubnego!

Hanka i Długajowie z boleścią i z przestrachem słuchali chorego dzikich i niezrozumiałych mów, które w gorączce sam ze sobą prowadził.

XIV.

Dwa tygodnie wolności.

Ledwie dwa tygodnie upłynęły a już się wolność uprzykrzyła Lędzinianom, i większa połowa ludu tęskniła za dawną zwierzchnością.

Wolność albo lepiej powiedzieć, swawola powszechna, najbardziej dokuczała gospodarzom i zamożniejszym wieśniakom, bo czeladź wyzuła się z posłuszeństwa, a nie myśląc o służbie, domagała się równych z gospodarzami praw i swobody. Ubóstwo żądało groźnie równego podziału nie tylko posiadłości pańskiej, ale oraz i gruntów gospodarzy.

Głód przytem coraz bardziej dokuczał, bo chociaż Lędzinianie cały inwentarz dworski i plebański zagarnęli, to jednak zdobycz w powszechnej swawoli prędko znikła, a nikt też o szczędności nie myślał.

Nędza coraz bardziej się wzmagała i przy powszechnej swawoli nikt obcej nie szanował własności. Nareszcie utworzyły się

bandy zbiegłej czeladzi i ubogich chałupników i najprzód nocnym czasem, później w jasny dzień napadały na zamożniejszych. Przemocą wydzierali żywność i dobytek, gdzie go znaleźli i przyszło nawet do krwawych bijatyk.

Aby grożącemu ujść zniszczeniu, zgromadzili się gospodarze u Sobla na naradę.

Młynarz wysłuchawszy narzekających gospodarzy, tak się odezwał:

— Grożą nam z dwóch stron niebezpieczeństwa! Kasztelan oświęcimski zgromadza szlachtę około siebie, aby nas do dawnej podbić niewoli. Daremnie myśleć o skutecznym odporze, gdyż największe panuje w wiosce zamieszanie; daremnieby też było szukać u kasztelana przebaczenia, bo jawnie odgrażał się w Oświęcimiu, że nas zniszczy i surowo ukarze, aby wszystkich chłopów od buntu odstraszyć! Drugie a jeszcze większe niebezpieczeństwo zrodziło się w naszej wsi! Czeladź i chałupnicy powstali przeciw nam i zamierzają nasze zupełne zniszczenie!

— I cóż poczniemy? — zapytał się wójt Gwóźdź.

— Rozmyślałem całą noc nad naszą niedolą — odpowiedział młynarz — i oto nad ranem przyszła mi myśl szczęśliwa.

Puścimy wieś w dzierżawę albo ją zupełnie sprzedajmy. Dla naszych posiadłości wyrobimy sobie najswobodniejsze warunki a oprócz tego podzielimy się pieniędzmi, które za wydzierżawienie lub za sprzedaż wsi odbierzemy!

— A któż w teraźniejszem położeniu od nas wieś kupi, lub od nas w dzierżawę weźmie? — zapytał się Gwóźdź.

— I na to wiem radę! — odpowiedział Sobel. — Mam znajomość z zamożnym panem przy Gliwicach, który z pewnością ugodzi się z nami!

— Ale jakże — zapytał się wójt Gwóźdź — będzie on tak potężny, że nas przed kasztelanem lub przed Biskupem obroni?

— Jeżeliby nie umiał na państwie się utrzymać, pewnieby naszej wsi nie kupił!

— Jeżeli tak — rzekł Nieradzik — to nie traćmy czasu, a starajmy się jak najprędzej załatwić z tym panem układy. Ale rozważmy sobie rzecz dobrze, abyśmy dla gruntów naszych jak najkorzystniejsze swobody uzyskali! Poradlne, osep, łowne, musi z naszego kupna na wieczne czasy być wykreślone!

— O to najmniejsza — odpowiedział Sobel — jeżeli sami wieś sprzedajemy, przecież

od nas warunki sprzedaży zależeć będą. Jeżeli się zgadzacie, udamy się do Pietrowic, gdzie się nasz pan przyszły obecnie znajduje.

— Zgoda! — odpowiedział wójt — was, kochany młynarzu, prosimy, abyście całą naszą sprawę załatwili i jak najlepiej do końca doprowadzili.

— Kiedy tak — rzekł Sobel — więc wójcie i wy Gwoździu pójdźcie ze mną do Pietrowic!

XV.

Szwedzi w Lędzinach.

Deputacya lędzińska udała się bezzwłocznie prosto do Pietrowic, aby sprzedać lub w dzierżawę puścić wieś obcemu panu, którego oprócz Sobla nikt nie znał.

Śpieszmy przed nimi do Pietrowic, aby nowego dziedzica poznać.

Opowiedziałem wyżej, że z wojskiem szwedzkiem ciągnęły gromady chciwych żydów i chytrych kupców niemieckich, którzy grabież od żołnierzy odkupywali, a przytem za szpiegów służyli i tak dwojako a niegodziwie zarabiali. Nie potrzebuję wam powiadać, że takiemu rzemiosłu tylko najniegodziwsi od-

dawali się ludzie, których bezsumienność i nienasycone pragnienie za zyskiem przechodziła wszystkie granice.

Między oszustami tego rodzaju odznaczał się pewien Witow, też Witoszem zwany, który był prawdziwą szarańczą Górnego Śląska. Utworzywszy całą kompanię rabusiów, którzy pod jego dowództwem dopuszczali się najokropniejszych gwałtów i największych okrucieństw, nagrabił on wielkie bogactwa, które w najgłębszych ukrywał lasach.

W lasach tychowskich, przy tak zwanej mikołowskiej łące, miał murowane pieczary. Krąży do dziś dnia o nim okropna powieść, że murarzy, których do murowania podziemnych lochów z różnych stron sprowadzał, po skończonej robocie pozabijać rozkazał, aby nikomu nie zdradzili, gdzie swoje skarby ukrywał.

W tychowskim lesie do dziś dnia znajdują się szczątki starych murów, które mi stary wojak, gajowy lędziński, przed 30 laty pokazywał.

Młynarz Sobel był kumpanem Witosza, bo chociaż mu przy wycieczkach rabusiowskich nie towarzyszył, to jednak zdobycz jego odkupywał. Dobrze się znali od dawna i dlatego to ludzie posądzali Sobla, że do

lasów ku Czarnej studni chodzi, gdzie wielki skarb znalazł.

Wiemy teraz, poco tam Sobel chodził i skąd jego bogactwo pochodziło.

Biedni Lędzinianie ślepo szli w sidła i tego nie przeczuwali, że Sobel do buntu przeciw zwierzchności jedynie dlatego ich pobudzał i uwiódł, aby ich jak bezbronną trzodę módz oddać w ręce Witosza.

Deputacya lędzińska, przybywszy do Pietrowic, długo się targowała z Witoszem, którego Sobel wielmożnym panem Witowskim nazywał, zanim się ugodzono o cenę kupna za wioskę.

Zgodzili się nareszcie, że pan Witowski zapłaci gminie 10,000 czerwonych złotych, a że ani poradlnego, ani osepu, ani łownego żądać nie będzie.

Sobel pozornie najwięcej się targował i nie odstąpił, aż pan Witowski wszystko na papierze spisał i trzema pieczęciami potwierdził.

Z wielkiem ukontentowaniem powróciła deputacya do domu i rozgłaszała wesołą wieść, że jutro nowy dziedzic do wsi przybędzie.

Lecz powszechna radość przemieniła się na drugi dzień rano w największą trwogę, gdy Lędzinianie ujrzeli mnóstwo wojska

szwedzkiego, nadchodzącego od lasu prosto ku wiosce. Powstał płacz i narzekanie, na które wojsko mało zważało. Nowy dziedzic wśród wojska oznajmił przelęknionym Lędzinianom, że dla obrony przed ich Biskupem załogę do wioski od Szwedów wyprosił.

Oj otwarły się Lędzinianom oczy, gdy zobaczyli, jak żołnierze wygodnych kwater, wszelkich dostatków i wymyślnych potraw ostro się domagali.

Kościół św. Klemensa obrócili na magazyn, pułkownik wraz z nowym dziedzicem zamieszkali na plebanii, bo zamek był spalony. Porucznicy umieścili się u zamożniejszych gospodarzy, wójt Gwóźdź otrzymał kwatermistrza, a reszta żołnierstwa rozdzieliła się po całej wiosce.

Już nazajutrz przypominali sobie boleśnie Lędzinianie ostatnie słowa wypędzonego kapłana: Że poznają, ale zapóźno poznają obłąkanie swoje!

Cóż teraz pomogły wszystkie narzekania, które w dzień i noc nieszczęśliwi mieszkańcy posyłali do Nieba? Nowy dziedzic kazał wójtowi zwołać wszystkich gospodarzy, aby się kontraktami swemi wyświadczyli, że są prawymi posiedzicielami gruntów swoich.

Z bojaźnią oddali gospodarze dokumenta swoje, które pan Witowski u siebie zostawił, a po odejściu wieśniaków przez służącego na ogień rzucić kazał. Znikły ich od dobrych Biskupów otrzymane przywileje i kupna, i przepadły na wieczne czasy.

Zamiast oczekiwanych 10,000 czerwonych złotych, otrzymali od pana Witowskiego surowy rozkaz, aby każdodziennie gospodarze z zaprzęgiem, a chałupnicy do pieszej pańszczyzny stawili się do dworu.

Taki wielki strach opanował dumnych przedtem włościan, że ani jeden się teraz nie odzywał.

Podałem wam wyżej kilka obrazów rozhukanej wolności, a teraz odmaluję wam jeszcze kilka obrazów niedoli, która po krótkiej nastąpiła wolności.

XVI.

Pierwszy obraz niedoli.

Nowy dziedzic Witowski uciskał lud bezsumiennie. Nie dosyć na tem, że włościanom kontrakty i stare przywileje zniszczył, ale nadto w wiosce najcięższą zaprowadził pańszczyznę. Nie darował on Lędzinianom bydła, koni i zboża, które po odejściu starosty we dworze

zagarnęli, lecz rozkazał, aby do ośmiu dni wszystko było oddane.

Kto mógł, czemprędzej zaspokoił Witowskiego, ale ubodzy, którzy krowę lub zboże pańskie zjedli i znowu głód cierpieli, cóż ci mieli oddać?

Jak dnia sądnego, oczekiwali dnia ósmego, bo wiedzieli, że hardego Witowskiego nie wzruszy ani prośba, ani nędza powszechna.

Po upłynionym terminie posłał Witowski żołnierzy po winowajców, kazał zabrać i ostatnią kurę, a tych, którzy wrócić lub zapłacić nie mogli, sprowadzić do dworu, gdzie pod jego dozorem dziesięć ustawiono g ą s i o r ó w.

Gąsior była to machina na wymierzanie kary. Skład gąsiora był taki: stały dwa słupki, na trzy łokcie od siebie oddalone. Między słupki wsuwały się deski na kształt płotu. W drugiej od ziemi desce były wyrznięte otwory na szyję i ręce, na wierzch przychodziła deska ciężka, także wyrznięta. Zamknięty człowiek miał więc postawę, jak gdyby łaził po czterech, a w gąsiorze uczuł za krótki czas niezmierną boleść, bo twarz jego od nacisku krwi sczerniała, a oczy aż na wierzch wystawały.

W największej bojaźni spoglądali sprowa-

dzeni na okropne gąsiory, których przedtem nikt w Lędzinach nie znał.

Gdy na ostre zapytanie Witowskiego: Czy oddadzą zagrabione rzeczy? tylko prośbami o cierpliwość odpowiadali, skinął dziedzic na żołnierzy, którzy narzekających przemocą do gąsiorów wlekli, a na ponowne skinienie Witowskiego niemiłosiernie kijami i postronkami bili.

Rozlegały się jęki boleści po placu, ale daremnie i próżny też był płacz niewiast i dzieci, które za ojcami przyszły do dworu. Witowski kazał płaczące biczami odpędzać, a dłużników tak długo bić, aż krew lała się strumieniami. Po skończonej egzekucyi wyciągali żołnierze męczonych z gąsiorów bez życia i porzucili za dworski płot.

Opowiadam tylko jeden przykład surowości Witowskiego, ale podobne katusze powtarzały się prawie codziennie, bo Witowski i za najmniejsze przewinienia nie tylko czeladź ale i gospodarzy zasadzał do gąsiora.

Witowski cieszył się z urodzajności i obliczał hojne dochody z obszernych gruntów pańskich, ale serca wieśniaków krwawiły się, ile razy na swoje spojrzeli pola.

Ponieważ chłopi dopiero po skończonym u Witowskiego siewie o obrabianiu własnej mogli myśleć roli, więc nie dziw, że owies

i jęczmień późno zasiany, chude obiecywał żniwa.

Wyniszczone na pańszczyźnie konie i woły nie były do pracy zdatne, a do sił przyjść nie mogły, gdyż Witowski zabraniał paszy w blizkim stawie bieruńskim, co za przeszłych dziedziców dozwolone i prawne było.

Równo z ludźmi i bydło podupadło, a nędza tak dokuczała kwitnącej niegdyś wiosce, że gospodarze o ucieczce rozmyślając, ani własnej nie byliby obrabiali roli, gdyby ich Witowski nawet przez wojsko nie był przymuszał do obsiania pola wiejskiego. Nie czynił on to z troskliwości o wieśniaków, lecz dla własnej korzyści, bo w porozumieniu z dowódcą szwedzkim, z swej własności nic nie ofiarował, owszem cały ciężar utrzymania wojska nieprzyjacielskiego zwalił na gminę.

XVII.
Drugi obraz niedoli.

Lędziny nie tylko stękały pod jarzmem Witowskiego, lecz nie mniej cierpiały pod uciskiem Szwedów. Rozpasane wojsko było nienasycone, a domagało się surowo wymyślnego stołu i wszelkiej wygody weź skąd chcesz.

Przy najmniejszem nieukontentowaniu pastwili się nad biednym gospodarzem, a często dziatwa od głodu kwiliła, gdym tymczasem żołnierze w zbytkach jedzenie rozrzucali po ziemi.

Jeżeli się ubogim źle wiodło, to bogacze na większe jeszcze niebezpieczeństwa byli wystawieni, bo żołnierstwo od nich nie tylko pożywienia, ale i pieniędzy żądało.

Kto nie chciał, albo nie mógł się wykupić, tego brali na „szwedzkie poczęstne“, które najbogatszych gospodarzy o utratę zdrowia, a najczęściej i życia przyprowadzało.

To nieszczęście spotkało i Gwoździa! Gdy bowiem nienasyconych wymagań porucznika, który u niego na załodze zostawał, zaspokoić nie mógł, kazał go wyprowadzić na „szwedzkie poczęstne.“

Położyli Gwoździa na deskę, między zęby wcisnęli lejek, a tyle gnojówki do niego wlali, aż cały był rozdęty, jak beczka. Potem go przyłożyli drugą deską, na której żołnierze się huśtali i skakali, aż woda ustami i nosem z niego odeszła. Powtarzali wlewanie i wyciskanie gnojówki kilka razy, aż nareszcie żyły w niem pękły, a wraz z gnojówką krew się ustami rzuciła i życia pozbawiła.

Wojsko szwedzkie wymyślało okropne męczarnie na biednych mieszkańcach krajów zawojowanych. Jednak najokropniejszych występków opisać wam nie mogę, bo serce i ręka mi drętwieje, ile razy wspomnę, na jak szkaradne męki niewiasty były wystawione.

Żołnierstwo szwedzkie uznawało się panami, nie tylko całej wsi i całego wieśniaków majątku, ale oraz panami nad najświętszemi dobrami człowieka, nad niewinnością niewiast. Nie szanowano ani honoru matki, ani związku świętego małżeństwa, ani anielskiego panieństwa dziewcząt, często i niedorosłych! Chuci pożądliwej żołnierstwa zdziczałego padły ofiarą matki i córki, a biada temu, który się chciał tej zgrozie sprzeciwiać!

Oj wojna! Okropna to kara, którą Bóg sprawiedliwy na lud nieposłuszny zsyła! Nie ogranicza się ona na tem, że tysiące żołnierzy polega na placu lub zostaje kalekami! większe są nieszczęścia, które jak łańcuch bez końca za sobą ciągnie! Lędziny doznały tej okropności wojny w najwyższym stopniu!

Pobliższe wsie: Bieruń, Urbanowice, Tychy i zgoła cały Górny Śląsk wiele też wycierpiały od wojsk szwedzkich, ale mieszkańcy mieli czas, bydło i ruchomy mają-

tek w blizkich ukryć lasach. A chociaż nad utrapieniem powszechnem narzekali, jednak nie wpadli w rozpacz, bo u kapłanów swoich i w domu Bożym znaleźli pociechę, którą tylko Wiara święta udzielić może.

Pociechy kościoła brakowało Lędzinianom i to ze wszystkich nieszczęść najbardziej ciężyło na ich sercach, że dla zbrodni pasterzowi swemu wyrządzonej, widzieli się od kościoła, od Boga opuszczonymi.

XVIII.

Trzeci i najsmutniejszy obraz niedoli.

Zdaje się nieraz grzeszącemu człowiekowi, że się można łatwo obejść bez kościoła, bez kapłana. I między katolikami jest wielka liczba obojętnych, którzy mając kościół pod nosem, jeszcze się nigdy nad tem nie zastanowili, co też to blizki kościół i kapłan we własnej wsi za wielka łaska Boża!

Dla ocenienia wielkości tej łaski, podaję wam tylko jeden obraz z niewoli lędzińskiej.

Nieradzik żył z żoną swoją Katarzyną bardzo szczęśliwie, a tylko to go smuciło,

że dziatek nie mieli. Pobożna Katarzyna zdawała się zupełnie na wolę Bożą i nie sarkała przeciw Opatrzności. W intencyi, aby ją Pan Bóg, jeżeli to wola Jego, dziecięciem obdarować raczył, odprawiła podróż pobożną do Najświętszej Matki Boskiej Częstochowskiej, i Pan Bóg ją wysłuchał.

Nieradzik, mimo ucisku powszechnego, był szczęśliwy, ile razy o blizkim ukochanej żony połogu rozmyślał. Ale ile razy Bogu za to szczęście chciał dziękować i za opiekę Jego nad żoną się pomodlić, za każdym razem opanował serce jego smutek, nigdy zaczętej nie dokończył modlitwy, bo mu sumienie powiadało: „Daremnie się odzywasz do Boga, którego kapłana znieważyłeś!“

Przeczuwał zawsze jakieś nieszczęście i lękał się kary sprawiedliwej, na którą, jak sam przed sobą wyznawał, słusznie zasłużył. Czego się obawiał, nastąpiło wkrótce. Katarzyna wpadła w ciężką chorobę, której przyczyną był kwatermistrz bezwstydny. Gdy bowiem pożądliwości jego zadosyć uczynić nie chciała i silnie się broniła, wystawiła się na obelżywe razy i zaraz zachorowała.

Mąż oskarżał daremnie kwatermistrza

przed pułkownikiem, bo ten ani nie pomyślał o ukaraniu swego ulubieńca. Nieradzik zgrzytał zębami i w duszy zemstę napastnikowi i jego towarzyszom przysięgał, lecz cóż to pomogło?

Żona cierpiała niezmierne bóle, a narzekania chorej krajały serce męża kochającego.

— Mężu drogi, zmiłuj się! — wołała nieustannie. — Przyprowadź mi kapłana, bo nie przetrwam boleści, i nie wyproszę się śmierci!

Prośby podobne jak gwoździe raniły serce Nieradzika! Uciekał w rozpaczy przed niemi na pole, tułając się po zimnem powietrzu, jak bez zmysłów. Lecz gdy go wiatr ochłodził, a miłość do chorej przywiodła, usłyszał jeszcze serdeczniejsze prośby o księdza.

Nazajutrz jeszcze się chorej pogorszyło, kręciła się na łożu, łamała członki od bólu, mdlała co chwilę, aż po okropnych utrapieniach porodziła chłopczyka, pięknego jak aniołeczek.

Narodzenie upragnionego potomka byłoby ojca niezmiernie uweseliło, gdyż jak wyżej powiedzieliśmy, z ukochaną Katarzyną w bezdzietnem żył małżeństwie, gdyby nie ciężka choroba drogiej żony.

Mdlała biedna, lecz gdy ją przez używanie różnych środków do życia przywrócono, było jedyne jej odezwanie się, nieustanne prośby o kapłana.

Mąż żalem ściśniony, podparł głowę szumiącą obiema dłoniami i długo rozmyślał. Porwał się nareszcie, wybiegł na górę a wziąwszy worek z pieniędzmi ukrytemi, śpieszył do sąsiada Macieja, gorąco go prosząc, aby z pobliższej wsi sprowadził kapłana dla chorej Katarzyny.

Sąsiad, wysłuchawszy go, wymawiał się jak mógł.

— Przecież wiecie, żeśmy z kościoła wyłączeni, i że daremne będą moje drogi, bo żaden kapłan do nas nie przyjdzie!

Gdy tenże przestał nalegać i coraz więcej pieniędzy wciskał w ręce sąsiada, dał się nakłonić i obiecał, że pójdzie do Chełma, aby kapłana do chorej sprowadzić.

Powrócił Nieradzik do domu i pocieszył chorą nadzieją, którą w jej sercu wzniecił, że nawet w narzekaniach zamilkła.

Nadszedł wieczór. Chora bardzo osłabiona, leżała cicho, a jedyne jej odzywania były, często powtarzane pytania, jeżeli jeszcze Maciej nie powrócił?

Dziecię, leżące przy matce, zapłakało, a oj-

ciec śpieszył ze światłem do łoża, gdy matka z osłabienia ani się obrócić nie mogła.

Chłopczyk dotąd czerstwy, leżał blady obok matki, z ust sinych toczyła się piana. Nieradzik przelękniony pobiegł Maciejową o pomoc prosić.

Gdy z sąsiadką powrócił do izby, ujrzał Macieja, z smutkiem opowiadającego, że go ludzie z każdej wypędzili wsi, i nie dopuścili z kapłanem pomówić.

— Ach Boże — mówił Maciej — co za okropne przeklinanie zsyłają na nas wszyscy sąsiedzi! Włosy mi na głowie stawają, gdy sobie przypomnę owe nieznośne złorzeczenia! A co gorsza? Myśmy je zasłużyli!

— Ach zasłużyli, zasłużyli! — narzekała chora. — Bóg nas karze surowo, lecz sprawiedliwie! Oto ja umieram nie pojednana z Bogiem, bez Sakramentów świętych. Jakoż ja obstoję przed gniewem Jego?

Milczała chwilę, aż znowu z płaczem narzekać poczęła:

— I cóż to niemowlątko zawiniło, że bez Chrztu świętego schodzi z tego świata i nie będzie aniołkiem?

— Przestań Katarzyno droga, bo mi serce pęknie! — zawołał Nieradzik, włosy na głowie swojej z rozpaczy targając.

Maciejowa pocieszała chorą i napominała ją, aby nie wątpiła o miłosierdziu Boskiem: Wszakże Pan Jezus przyjął łotra do łaski, toż i ciebie Katarzyno nie odrzuci w ostatniej godzinie, kiedy Go tak serdecznie pragniesz!

— Pragnę Jezusa i ufam w miłosierdzie Jego! — szeptała Katarzyna po cichu. — Ale ty mężu i wy dobrzy sąsiedzi nie odwłóczcie ani na chwilę pokuty i poprawy życia. Szukajcież jak najprędzej miłosierdzia Bożego przez przebłaganie Kościoła! Módlcie się też za moją duszę biedną!

Poświęciła Maciejowa, Katarzyna już nie żyła, a dziecię wkrótce za nią poszło.

Mąż usiadł na łożu, i zakrył dłońmi oczy. Maciej i żona opuścili dom smutku.

Po chwili wziął Nieradzik smolak gorejący z kominka i zbliżał się do ciał martwych.

— Droga żono, drogie dziecię! — zawołał boleśnie. — Ja sam, wasz własny ojciec, jestem sprawcą waszej śmierci, bo sprowadziłem żołnierzy szatańskich, z których jeden ciebie, dobra Katarzyno, zamordował! Kara Twoja, o Boże, jest okrutną, lecz sprawiedliwą! Ale czemuż mnie nie karzesz? Czemuż zemsta Twoja tych niewinnych trafiła? O gdy-

by mnie już Twój piorun zabił, aby mnie wraz z moją Katarzyną pochowali, abym z nią żył po śmierci!

Zląkł się Nieradzik przed własnemi słowy.

— Głupiec ja szalony! — mówił do siebie w rozpaczy — czyż ja zbrodniarz, wyłączony z Kościoła, wymazany z księgi żywota, mogę się spodziewać cząstki z niewinnymi? Z żoną dobrą, która mnie tak często odwodziła od złego, od szkaradnych postępków przeciw księdzu proboszczowi? Ale ja nie słuchałem jej! Ona poszła do Boga, a ja pójdę do piekła! Któż mnie stąd wybawi?

Milczał długo, smolak spadł na ziemię i zgasł, na co Nieradzik wcale nie zważał, będąc zajęty różnemi myślami. Zacięta walka wszczęła się w sercu jego, chwilowo dobre przedsięwzięcia wzięły górę, lecz znowu zły duch je wypędził, nalawszy do serca jadu i pychy. Grzesznikowi bardzo ciężko przychodzi nawrócenie, i Nieradzik nie mógł zwyciężyć pokuszeń złego ducha. Lecz miał dwóch sprzymierzeńców, o których wcale nie pomyślał. Anioł Stróż stał przy boku jego, i posilał go w boju zaczętym. A w Krakowie u grobu świętego Stanisława w tym samym czasie klęczał ksiądz pro-

boszcz Walenty i gorące modły ofiarował Ojcu niebieskiemu za zbłąkane owieczki w Lędzinach.

Modlitwa pobożnego kapłana w Krakowie przebiła Niebiosa, a Bóg zesłał promień łaski Swojej do serca zbolałego. Nieradzik upadł przy łożu zmarłych na ziemię, rozpłakał się rzewnie, a w skrusze i żalu topniał lód serca jego, jak wosk nad płomieniem. Nadzieja w miłosierdzie Ojca niebieskiego zawitała do serca stroskanego, a gorąca modlitwa umocniła grzesznika pokutującego.

Nadchodząca Maciejowa znalazła rano Nieradzika klęczącego przy zwłokach zmarłych i obudziła go z pobożnego rozmyślania.

Pochowano Katarzynę i dziecię jej bez dzwonienia, bez wody święconej, bez modlitwy kapłana.

Takie i podobne przypadki nawiedziły zgoła każdą rodzinę lędzińską, bo głód i nędza powszechna zaraźliwą sprawiły chorobę, która liczne do grobu wlekła ofiary.

Kochany czytelniku! Przedstawiwszy sobie ostatni obraz, przyznać musisz, że kościół i kapłan we własnej wsi są wielką i nieocenioną łaską Boga dobrotliwego.

Po pogrzebie Katarzyny zaprosił Nieradzik kilku gospodarzy do siebie i długą z ni-

mi miał naradę. Niewiadomo nam, co tam uradzili, lecz nazajutrz gruchnęła po wsi wieść, że z trzema gospodarzami poszedł do Krakowa, aby Biskupa w imieniu Lędzinianów ubłagać i o ratunek prosić. Dowiedział się o tem pułkownik i odesłał raport Eriksonowi, dowódcy w Pietrowicach. Długi czas był na baczności, ale gdy od Krakowa ciągle nic się nie pokazywało, żył sobie znowu bezpiecznie.

Było to na wiosnę, kiedy Nieradzik ze wsi znikł. Nadeszły żniwa, lecz o nim i towarzyszach jego we wsi nie było żadnej wiadomości.

Znowu nowina przyszła do wsi, że Biskup zagniewany wtrącił posłańców do więzienia, a niektórzy dodawali, że ich Biskup powiesić kazał.

W pierwszych dniach sierpnia zaś nowa pogłoska krążyła po wsi, od chałupy do chałupy. Szeptali Lędzinianie jeden drugiemu, że Nieradzik w nocy odwiedził Lędziny, ale znowu potajemnie odszedł do Biskupa, który z wojskiem na pomoc nadchodzi. Ale nikt nie wiedział nic pewnego.

XIX.

W młynie.

Jakże się młynarzowi podczas powszechnej powodziło niedoli? Dobrze, Sobel był wesoły, bo się widocznie mnożyły jego skarby. Młyn jego był dla Szwedów karczmą, sprzedawał młynarz gdańską wódkę i nieustannie trwały u niego zbytki i pijatyki.

Przytem wszystko, co żołnierze w Lędzinach albo w pobliższych wsiach zrabowali, przynosili do niego i sprzedawali za lada jaką cenę.

Sobel z Witoszem żyli w najlepszej przyjaźni i doradzali sobie nawzajem, jak z wioski wyssać zysk największy.

Wiedząc, że ich panowanie tylko tak długo trwać będzie, jak długo wojska szwedzkie w Lędzinach się utrzymają, używali wszelkich i najniegodziwszych środków do zagrabienia majątku. Że wioska przy tem zupełnie upadła, że ludzie od głodu umierali, mało ich obchodziło.

Byli każdego czasu gotowi wraz ze Szwedami Lędziny opuścić i z grabieżą swoją powrócić do Niemców, skąd pochodzili. Całe ich gospodarstwo opierało się na tem, żeby plony

jak najrychlej spieniężyć, aby po sobie, oprócz gołych ścian, nic nie zostawić.

A jakże się Hance powodziło?

Hanka bardzo była nieszczęśliwą; znikł rumieniec z jej twarzy, a oczka jej zapadnięte, czerwone były od płaczu. Miała też wiele przyczyn do smutku i płaczu.

Serce jej drętwiało, gdy żołnierze z wyprawy do poblizkich wiosek wracali, i z okrucieństw swych głośno się przechwalali; ubolewała nad uciskiem ludu lędzińskiego i płakała rzewnie, gdy pomyślała, że ojciec jej tyrana Witosza jest sprzymierzeńcem. Wacław, do którego całem sercem przywiązaną była, chociaż się z ran odniesionych wyleczył, jednak cierpiał na pomieszanie zmysłów, nigdy do zdrowego nie powrócił rozumu, i to Hankę najbardziej bolało, że jej czasami nawet nie poznawał.

Do zupełnego jej nieszczęścia przyczynił się własny ojciec, namawiając ją, aby była Witosza małżonką.

Daremne były jej prośby i oświadczenia, że nie mogłaby żyć z Witoszem, że woli iść do grobu, jak do ślubu z nieznośnym człowiekiem.

Sobel uporczywie obstawał przy wypełnieniu swojej woli, prosił, a nareszcie groził

i surowo rozkazał, że córka musi być posłuszną, ponieważ on postanowienia i przyrzeczenia swego nie odmieni.

Witosz przychodził często do młyna i łasił się około dziewczyny, którą za każdem zbliżeniem jego, zimny dreszcz przechodził.

Biedna dziewczyna! Nie miała nikogo na świecie i komuż miała ból serca zwierzyć? Wacław, którego mimo obłąkania umysłu, kochać nie przestała, jej nie rozumiał, choćby się przed nim uskarżała.

Jedyną ulgę przynosiła jej modlitwa przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, który z izby szynkownej do swej przeniosła komórki.

Ciągłe zmartwienia złamały nakoniec jej zdrowie i siły ducha osłabiły. Schła widocznie, jak kwiatek złamany, i zbliżała się szybkim krokiem do grobu, w którym odpocząć pragnęła.

Nagła zmiana zaszła w jej usposobieniu ducha. Gdy bowiem pewnego razu, przy gorącej modlitwie przed obrazem Matki Boskiej zasnęła, widziała we śnie Najświętszą Pannę, która jej rzekła: Bądź posłuszną ojcu i nie sprzeciwiaj się woli jego. Twoja ufność w opiekę Moją nie zawiedzie ciebie.

Sen jej był tak jasny, że i po obudzeniu się mocno wierzyła, że ją Najświętsza Panna odwiedziła. W pobożności dziecinnej wierzyła mocno, że się Matka Boska nią opiekuje, i że Ona u Syna Swego najukochańszego uprosi jej wybawienie. Skądby ratunek przyjść mógł, o to się nie frasowała, dosyć jej było na tem, że jej Boga-Rodzica wybawienie obiecała.

Nie opierała się dalej naleganiom ojca, i nawet się nie opierała, gdy jej 28-my sierpnia na dzień ślubu naznaczono.

Zamiast zwykłych przygotowań do wesela, trawiła cały czas na modlitwie, i nikt się temu nie sprzeciwiał, owszem ojciec ją z powodu pokory i dziecinnego posłuszeństwa często pochwalał, i wszystko szczęście jej przepowiadał.

Zaślepiony w mamonie ojciec, cieszył się, że bogatego ułowił zięcia, i że pewne dla córki szczęście przygotuje. Oj ojcze! duch łakomstwa cię opanował i tak zaślepił że nie widzisz, co każdy przewidywał, że u rabusia i tyrana lędzińskiego córka twoja pobożna zwiędnie i uschnie, jak lilia na mroźne wystawiona powietrze.

Zdarza się niekiedy, że pobożna i roztropna niewiasta nawróci lekkomyślnego męża na drogę cnoty. Ale czy tego u Wito-

sza spodziewać się można, który w zbrodniach brodził? Witosz, lub jak się teraz nazywał: „wielmożny pan Witowski“, pewnie zamiast serca miał kamień w piersi zawieszony; nie wzruszyła go niewinność i pobożność Hanki, bo względem niej odgrywał najohydniejszą rolę.

Długi jej opór obrażał jego dumę i zrodził szatańskie postanowienie.

Nie szło Witowskiemu o serce Hanki, lecz tylko o jej upokorzenie i o dziedzictwo po jej śmierci, która przy codziennie wzmagającej się słabości, podług jego rachuby w krótkim czasie niezawodne nastąpić musiała.

— Za życia Hanki — myślał Witosz — zagarnę wszystkie bogactwa Sobla, a potem i jego osoby łatwo się pozbędę!

Dla spełnienia swoich niegodziwych zamiarów potrzebował pomocnika, i znalazł go w pewnym oszuście, który niegdyś służył w klasztorze, a później był rozbójnikiem. Namówił go, aby się w szaty kapłańskie zaopatrzył, i przy ślubie jego z Hanką udawał kapłana katolickiego.

Witosz wielkie do wesela swego robił przygotowania, zaprosił z Lędzin i Pietrowic wszystkich dowódców wojska, bo w ciągłej z nimi żył przyjaźni.

Sobel także sprowadził wielką beczkę gdańskiej wódki, aby ją żołnierstwu w dzień wesela ofiarować.

XX.

Jutrzenka wybawienia.

Państwo pszczyńskie, od połowy XVI wieku należało do rodziny Promniców. Kupił je bowiem w roku 1548 wrocławski Biskup, Baltazar Promnic od rodziny Turzo, a cesarz Ferdynand potwierdzając kupno 5 lutego r. 1549, postanowił, że odtąd państwo pszczyńskie zostaje w posiadaniu Promniców.

Od roku 1623 był dziedzicem Pszczyny Zygfryd Promnic, pan wielkich cnót i pobożności, który żyjąc bezdzietnie, obrał za dzieci ubóstwo z państwa swego i nad poddanymi najtroskliwszą miał opiekę.

Najazdy szwedzkie wielkie mu sprawiły zmartwienia, lecz siły jego były za słabe do skutecznej zaczepki na wrogów.

Obwarował zatem miasto, a osobliwie zamek pszczyński jak najmocniej, obwiódł wałami i wodą dokoła i przygotował rycerstwo swoje, aby przy dogodnej sposobności rzucić się na nieprzyjaciela Ojczyzny i Wiary świętej.

Tymczasem po śmierci Zadzika objął tron Biskupi w Krakowie Piotr Gembicki ku końcu roku 1642. Na jego dworze bawił Walenty, ksiądz proboszcz lędziński i z niezłomną wytrwałością błagał Księcia Biskupa przy każdej sposobności o wybawienie owieczek swoich pod jarzmem szwedzkiem cierpiących.

— Lędzinianie — odpowiadał Biskup — zgrzeszyli bardzo ciężko, i nie można ich na łono Kościoła przyjąć bez pokuty!

Ale gdy Nieradzik z deputacyą lędzińską na święty Jan przybyli do Krakowa, i w najgłębszej pokorze rzucili się do nóg pasterzowi swemu, ożyła na nowo nadzieja w sercu wiernego kapłana, który za swojem wstawieniem się wyjednał posłuchanie na dzień następny.

Nieradzik i towarzysze jego udali się przed kościół katedralny, głowy posypali popiołem, a szyje, na znak, że się śmierci winnymi uznawają, powrozami obwinąwszy klęczeli całą noc przed drzwiami świątyni Pańskiej, w ciężkim żalu i w głębokiej skrusze modląc się do Boga i mało się o to troszcząc, że liczny tłum Krakowianów na niezwykłe zbiegał się widowisko.

Nazajutrz zaprowadził ich ksiądz Walenty do pałacu Biskupa, przed którym

krzyżem leżąc na ziemi, z płaczem żałosnym swoją wyznawali winę i o rozgrzeszenie błagali. Widoczną skruchą wzruszony, odpuścił Biskup przewinienie i obiecał ratunek, bo któryż ojciec chętnie nie przepuszcza synowi błądzącemu, jeżeli w skrusze winę wyznaje i o ojcowskie żebrze zmiłowanie?

Biskup krakowski owych czasów był to pan bardzo bogaty, bo posiadał udzielne panowanie nad księstwem siewierskiem, które Zbigniew, Biskup krakowski, w r. 1443 kupił od Wacława, księcia cieszyńskiego, a w potrzebie kraju stawiał do czterech tysięcy rycerstwa do boju gotowego.

Po odprawieniu wysłańców lędzińskich, dawszy im wprzód różne tajne polecenia, rozesłał gońców do szlachty swojej i rozpisał powszechne ruszenie, komornika zaś swego, pana Kochtyckiego, wysłał do Pszczyny, aby pana Promnica, którego Biskup znał osobiście, wezwał do współudziału w walce przeciw napastnikom szwedzkim.

Z wielką radością i okazałością przyjął Promnic szanownego posła i obiecał całą swoją potęgę stawić pod dowództwo księcia-Biskupa. Uwiadomił przytem pana Kochtyckiego o sile Szwedów w Lędzinach, w Pietrowicach i doradzał, żeby załogę lędzińską

niespodzianie z dwóch stron napaść i znieść, zanim się z zasiłkami pietrowickiemi połączyć zdoła.

Obowiązano się do zachowania tajemnicy względem rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich przeciw Szwedom i zadowolony poseł jak najśpieszniej wracał do Krakowa. Posłał pan Promnic gońców do szlachty sąsiedniej, która chociaż własne posiadała wioski, jemu jednak poddaną była, i przysięgę wierności do rąk jego składała. Wezwał rycerstwo do powszechnego ruszenia naznaczając dzień 28 sierpnia do stawienia się na krzyżowej drodze w tychskim lesie.

Szlachta z zapałem sposobiła się do boju, i tak dobrze zachowała tajemnicę, że Szwedom ani się śniło o tak blizkiem niebezpieczeństwie.

Ku wieczorowi 28 sierpnia przybywało coraz więcej rycerzy na placu w lesie tychskim, gdzie ich pan Promnic, na czele czterystu własnego wojska witał.

Nie myśl sobie, kochany czytelniku, że żołnierze Promnica podobni byli do oddziałów dzisiejszego wojska, już w tem zachodzi wielka różnica, że każdy rycerz uzbrajał się według własnego upodobania.

Czołem wojska w XVI i XVII wieku,

były zawsze huzary dla świetności i przepychu zbroi, składającej się tylko z bogatej szlachty. Każdego towarzysza nosił dzielny koń, który niekiedy po dwieście dukatów kosztował.

Ponieważ nie każdy szlachcic zdobył się na ogiera, więc jeździł i na kobyle, dlatego lud górnośląski do dziś dnia nazywa ubogiego szlachcica k o b y l a r z e m.

Każdy towarzysz huzarski służył zwykle na pięć koni, to jest z czterema pacholikami. Stokonna chorągiew miała najwięcej 20 towarzyszy. Huzar miał hełm świetny stalowy, siedział od stóp do głowy w ciężkiej zbroi. Na plecach spływały mu dwie tygrysie lub niedźwiedzie skóry, od barków wznosiły się w górę orle lub sępie skrzydła, a u boku miał szablę zakrzywioną.

Mieli także huzarzy młotki czyli obuchy do rozbijania zbroi. Ale główną bronią była kopia na 17 stóp długa, żelaznym grotem uzbrojona. Bogate siodła na koniu, srebrne i pozłacane strzemiona, kończyły wspaniałe uzbrojenie huzara.

Według dawnego obyczaju pan Promnic rozdawał nowe kopie i każdemu huzarowi po sto talarów w prezencie.

Uboższa szlachta stanęła między pancer-

nymi, którzy nosili hełm nizki, od którego spadająca siatka z kolek żelaznych zakrywała twarz, kark, ramiona i boki przeciw nieprzyjacielskiemu pałaszowi.

Oprócz pałasza zakrzywionego, przewieszonego z prawego ramienia, miewali pancerni jeszcze pistolet za pasem i rusznicę z ładownicą.

O piechotę mało dbano w owych czasach, dlatego z panem Promnicem ciągnęło tylko 80 piechoty, którą cechy pszczyńskie stanowiły. Każdy piechotnik opatrzony był w długą rusznicę, to jest palną strzelbę, którą żołnierz widelcem podpierał i lontem zapalał, bo jeszcze kurka przy strzelbie nie znano.

Pan Promnic podzielił wojsko swoje na dwa hufce. Sam na czele huzarów i piechoty ruszył ku jaszorowskiej grobli i zbliżał się od południa ku górce lędzińskiej. Drugi oddział samych pancernych pod dowództwem pana Zogoły, rycerza na Pawłowicach, posłał przez tychskie lasy naprzód, aby nieprzyjaciela od zachodniej zaczepili strony i ucieczce jego ku Pietrowicom zagrodzili.

XXI.

Przerwane wesele.

Tego samego dnia huczała w Lędzinach dzika wesołość. Plebania, gdzie Witosz mieszkał, napełniła się gościami, a pod namiotami, przed plebanią wystawnemi, i zielonemi gałązkami przybranemi, bawili się przełożeni wojskowi grą w kostki o pieniądze, jedząc różne pieczenie i zapijając wyborną gdańską wódkę.

Wyprosił sobie Witosz dwadzieścia szeregowców dla obsługi gości, którzy służbę weselną wykonywali, i na każde skinienie gości byli w pogotowiu.

Witosz sam gości obchodził i zachęcał do uczty i wesołości.

Jeszcze więcej wrzawy było na dole w młynie. Sobel ofiarował całą beczkę gdańskiej wódki dla szeregowców i podoficerów szwedzkich, którzy bez miary używając trunku, w najdzikszej bawili się rozpuście.

Oprócz wojska szwedzkiego nie było gości ani u Witosza, ani u Sobla, bo zaproszeni pokrewni rodziny Długajów się nie stawili.

Jednak mnóstwo ubogich Lędzinianów otaczało gości i z łakomstwem zbierali odro-

biny, które rozpustne żołnierstwo rzucało na ziemię.

Witosz chciał ślub wieczorną porą odprawić, a to dlatego, aby żaden z gości fałszywego nie poznał kapłana.

Przed młynarzem i Hanką kłamał i oświadczał, że z niecierpliwością z każdą minutą oczekuje kapłana Franciszkanina z Gliwic, i że za jego przybyciem po oblubienicę przyjdzie.

Przeszło już popołudnie, nadchodzi wieczór i zaczął się młynarz niecierpliwić, że się wesele opóźnia, mając przytem niemało kłopotu z upitem i nienasyconem żołnierstwem.

Hanka przeciwnie dziękowała Bogu i wszystkim Świętym za odwłokę, i nie znając przyczyny, cieszyła się nadzieją, bo pewną była opieki Najświętszej Panny, która, jak Hanka myślała, dla ślubu sprowadza przeszkodę.

Lecz gdy jej oznajmiono, że się oblubieniec z licznym zbliża orszakiem, zgasła w jej sercu nadzieja i ustąpiła miejsce największej trwodze.

Hanka stała na izbie jak bez zmysłów, nie słyszała co do niej mówiono, nie spojrzała na bogate podarki, które przed nią składano i nawet nie wzbraniała się wten-

czas, gdy ją pan młody zaniósł do przepysznego powozu.

A gdy na świeżem powietrzu nieco do siebie przyszła i na towarzyszy orszaku się obejrzała, opanował ją największy strach. Trunkiem rozpalone twarze i ponure postacie szwedzkich rycerzy, liczna służba, pochodniami i smolakami przyświecająca wydawały się jej jak mieszkańcy piekła, a podróż do ślubu była dla niej tak okropna, jak podróż do przepaści piekielnej.

Tymczasem przed kościołem św. Klemensa zgromadzili się zgoła wszyscy Lędzinianie. Cóż ich tu sprowadziło? Może ciekawość, aby podziwiać przepych wesela?

O nie!

Nędza powszechna tak dokuczała Lędzinianom, że im się wesel i wesołości odechciało.

I pocóż przyszli?

Kochany czytelniku, przypomnij sobie, że kościół świętego Klemensa od dwóch lat był dla parafian zamknięty. Szwedzi, obróciwszy świątynię na magazyn, złożyli w nim swoje zapasy, a dowódcy wojska swoją zdobycz. Klucz kościelny chował pułkownik u siebie, i postawił przed kościołem straż, która we dnie i w nocy pospólstwu przystępu do domu Bożego zabraniała.

Nadzieja więc, że przynajmniej dziś przy

odprawieniu ślubu wnijść będą mogli do kościółka, i tam żale swoje przed Bogiem wynurzyć, zgromadziła wielką liczbę parafian, którzy z boleścią oczekiwali, skoro się otworzą drzwi kościoła.

Przyszedł kwatermistrz z kluczami, tłum go zaraz obstąpił, żeby wraz z nim wstąpić do świątyni, ale bardzo się zawiedli w nadziei. Kwatermistrz oznajmił zgromadzonym, że nikogo nie wpuści do magazynu, oprócz gotujących. A gdy lud się rozpłakał, rozkazał surowy kwatermistrz, aby straż ryczące stado odpędziła, dodając, że przy weselu płaczący sprawiają najnieprzyjemniejsze wrażenie.

Cofnęli się zgromadzeni, lecz za przykładem Długaja na wystrzał od straży upadli na ziemię, ręce i serca wznosząc ku kościołowi swemu i z żalem wołając do Nieba o zmiłowanie.

— Mój Boże — odezwała się stara Małgorzata — gdyby przynajmniej do ślubu zadzwonili, abym choć jeszcze raz przed śmiercią usłyszała głos dzwonów naszego kościoła!

— Jeszcze nigdy nie byliśmy tak nieszczęśliwymi jak teraz! — narzekała Maciejowa. — Chociaż też i dawniej bieda trapiła człowieka, ale skoro dzwony w dzień święty zawołały

do kościółka, jużto lżej było na sercu, i jakoś o nędzy się zapominało!

— Nie tylko w dzień świąteczny — rzekł na to Długaj — ale każdodziennie dzwony mile przemawiały do rolnika! Ledwie się człowiek podniósł z nocnego spoczynku, już go dzwon napominał: „Człowiecze, upadnij na kolana, dziękuj Ojcu najdobrotliwszemu, że cię w nocnej porze od wszelkiego zachował nieszczęścia, a proś Go o błogosławieństwo dla dziennej pracy!“ Pokrzepiony modlitwą chętnie udaje się rolnik do pracy i nie przestaje, aż go w południe dzwon napomina: „Człowiecze, przerwij pracę twoją, ochłódź czoło zapocone, podnieś chociaż na chwilę twoje oczy ku Niebu, abyś przy staranności o doczesność nie zapomniał o duszy i wieczności!“ A cóż tkliwiej przemawia do serca, jak dzwon, wieczorną porą na spracowanych ludzi wołający: „Człowiecze, zdaj wszystkie starania twoje na Boga, bo On ma staranie o tobie!“

— Ciekawy jestem — rzekł Maciej — jakby też dziś dzwony brzmiały, czy wesoło, lub smutno? Bo dzwon poświęcony ma współczucie z ludźmi, jak mi to często babka powiadała. Dlatego odzywa się wesoło przy weselu, a wydaje smutny dźwięk przy pogrzebie. A przy procesyi to z ludem uroczyście i nabożnie śpie-

wa. Stara moja babka mówiła, że jednak tylko pobożny człowiek rozumie, co dzwony mówią!

Daremnie czekali ludzie, bo dzwony milczały, ani też nie okazały współczucia nad oblubienicą, jak śnieg bladą, prowadzoną bez władzy do ołtarza, przed którym rabuś w ubiorze kapłańskim czekał.

Hanka podniósłszy oczy do ołtarza, błędnemi oczami szukała umęczonego na krzyżu Zbawiciela. Nie było Go, bo Krzyż święty świętokradzka ukradła ręka.

Wtem wzrok jej padł na smutną twarz Wacława, który na uboczu stojąc, swój medalik Matki Boskiej Częstochowskiej jej pokazywał.

— Ratuj mnie Najświętsza Panno! — zawołała boleśnie, i omdlała upadła na stopnie ołtarza.

Równocześnie z jej upadkiem odezwały się z dala trąby i kotły, wydając nie weselne, lecz przeraźliwe głosy. Struchleli szwedzcy goście, bo znali z dawniejszych bojów głos straszliwy polskiej trąby, wzywający nieprzyjaciela do krwawego tańca.

Przed kościołem powstał niezmierny krzyk i hałas, wpada do kościoła zadyszany rotmistrz, oznajmując, że nieprzyjaciel przede drzwiami!

Dowódca Eriksen z Pietrowic, który był także weselnym gościem, najpierwszy się opamiętał z powszechnego przerażenia, a dobywszy pałasza, krzyknął całym głosem: Dalej za mną! T[illegible]hacze, zwołujcie naszych!

Oprócz omdlałej oblubienicy i Wacława, wszyscy pouciekali z kościoła.

XXII.

Głupi mówi w sercu swojem: „Niema Boga!“

Młynarz nie odprowadził córki swojej do ślubu, lecz został w domu. Zdawało mu się niemożebnem opuścić gości, obawiając się, żeby go nie okradli podczas jego nieobecności.

Upici żołnierze albo leżeli na grobli, albo tarzali się na podwórzu, wrzeszcząc i rozpustne śpiewając pieśni.

Usunął się przed niemi Sobel także nieco podchmielony, poszedł do komory, a postawiwszy dzban wódki przed sobą, sam z sobą rozmawiał:

— Duszo moja, popij sobie i wesel się, bo ci się wiedzie, jak sobie życzysz i upragnionego dopięłaś celu! Dziwne zdarze-

nie, że dzień 28 sierpnia tak ważną w życiu mojem odgrywa rolę. Prawie dziś przed dwudziestu dwoma laty przywędrowałem do tej okolicy, ubogi jak komar, a goły jak kołek. Dziś przed dwudziestu laty wraz z żoną odziedziczyłem młyn starego Długaja, a dziś 28 sierpnia wydaję córkę za Witosza, pana niezmiernie bogatego, u którego dziecię moje będzie w bogactwie i szczęściu nieprzerwanem opływać. Głupi Polacy, zginajcie kolana przed potęgą ducha mojego! Zabobonny lud mitręży czas na modlitwach w kościele, martwi się wiarą, piekłem i wiecznością i truje pokój serca głupiemi skrupułami, które sumieniem zowie. I na cóż się to Lędzinianom przydało? Jęczą w największej nędzy, gdy tymczasem duch mój wyprowadził mnie z ubóstwa i otoczył bogactwem i skarbami, które nielada książę posiada. Zaraz po weselu opuścimy z Witoszem i córką tutejsze strony, bo niema tu już nic do zyskania. Powrócimy do naszej ojczyzny, gdzie sobie łatwo zjednamy szacunek i powagę, bo w Niemczech nie troszczą się o to, w co wierzysz? jakie masz sumienie? lecz pytają się: Wiele posiadasz? Jeżeliś bogaty, łatwo dopniesz się i najwyższych godności, możesz zostać szlachcicem, hrabią i nawet książęciem. I cóż

mi jeszcze brakuje do spełnienia wszystkich życzeń moich?

— Błogosławieństwa! — odpowiedział teraz jakiś niewidzialny głos.

Zdziwił się młynarz, kto mu odpowiada i oglądał się po komorze, nawet zajrzał do izby, lecz nikogo nie było. Usiadł znowu przy dzbanie.

— Błogosławieństwa? Bajki, skoro sobie sam człowiek ukuje szczęście, jak ja, ugruntował także sobie błogosławieństwo. Któż mi je dać, a któż mi wziąć może?

— Pan Bóg! — odpowiedział znowu głos niewidzialny.

— Któż tu? — zawołał Sobel i znowu szukał po całym młynie, lecz oprócz pijanych na grobli Szwedów, nikogo nie znalazł w bliskości komory.

— Co to ma znaczyć? — rozważał Sobel, bo mu się jakoś niemiło zrobiło na sercu. — Bajki! Boga niema! Natura wydała człowieka jak inne zwierzęta, które równo jak człowiek starają się o wygodne życie. Ja sobie je zapewniłem aż do śmierci, a z śmiercią wszystko weźmie koniec, bo cóżby jeszcze po śmierci nastąpić mogło?

— Sąd Boży! — odpowiedział znowu głos niewidzialny.

Struchlał młynarz, od dawna uśpione

ocuciło się sumienie i najprzykrzejsze zrodziło myśli. Całe życie młynarza w najszkaradniejszych obrazach stawiło się przed oczy jego.

Za życia sponiewierana żona, skrzywdzony teść Długaj, różne krwawe i blade postacie, wszyscy mieszkańcy Lędzin gromadą oskarżali go o majątek wydarty, i o pomstę wołali do Nieba.

W strachu największym wyskoczył młynarz z poza stołu, bojąc się zostać dłużej w samotności i uciekł między upite wojsko, aby się pozbyć nieznośnych myśli.

Na podwórzu panował niezwyczajny ruch. Wystraszony młynarz słyszy z dala dolatujące głosy trąb i kotłów i widzi w największym pędzie na plac przyjeżdżającego żołnierza, który głosem przerażającym budzi kolegów swoich: „Trwoga! Stawajcie! Dalej na Górkę! Nieprzyjaciel morduje braci naszych!

Śpieszą Szwedzi ku Górce, skąd słychać wrzaski przeraźliwe i grzmot walki zaciętej. Nad Lędzinami okrywa się niebo krwawą jasnością, cała Górka jest podobna do morza ognistego, bo Szwedzi wieś podpalili.

Sobel został w najprzykrzejszem położeniu. Przewidywał, że upici Szwedzi będą zwyciężeni, wiedział, że i dla niego wybije

ostatnia godzina, jeżeli się dostanie w ręce nieprzyjaciela, a rozum mu powiadał, żeby w najśpieszniejszej ucieczce szukał ratunku, ale jakże odejść skarbów swoich? Wpadł do młyna i bieży do piwnicy, gdzie w pobocznej ścianie były zamurowane bogactwa, lecz w ciemności nie można nic począć. Wraca więc do młyna po światło i po siekierę; rąbie mur, aż się iskry sypią z twardego kamienia. Natęża wszystkich sił, że nie dziw żyły jego pękają, i pot mu oczy zalewa. Wtem dogorzał smolak i musiał iść po światło, a tu czas tak pilny!

Rzuca się na nowo do pracy, aż ścianę przecież zgruchotał. Napełnia teraz kilka worków złotemi i srebrnemi naczyniami i pieniędzmi różnego gatunku, porywa się do wynoszenia, lecz worka dźwignąć nie może. Usypuje połowę i ciągnie worek, aby go schować w poblizkim lesie, gdzie dla ukrycia zdobyczy od dawna gotową miał kryjówkę.

W Lędzinach wzmaga się grzmot i wrzask i pobudza młynarza do większego pośpiechu. Powracał kilka razy, już ostatek skarbu swego donosi do schronienia i wpuszcza w dół otwarty, gdy z przelęknieniem spostrzega przed sobą dwóch żołnierzy szwedzkich.

— Cóż tu kryjesz, zdrajco?

— Ja nie zdrajca! — odpowiada Sobel. — Jestem jak wiadomo waszym przyjacielem najlepszym i stoję pod osobliwszą opieką dowódcy waszego!

— Zdrajcą jesteś przeklętym, bo tu sprowadziłeś nasze wojsko, które dziś zdradziecko zginęło! Ledwieśmy dwaj się ocalili ucieczką, ale próżno nie odejdziemy, wydawaj nam twoje skarby, o które nas oszukałeś!

Widział Sobel, że tu nie przelewki, porwał więc siekierę i chciał do ostatniego bronić przystępu do mamony swojej. Lecz Szwedzi dobywszy miecza, rzucili się na niego i po krótkiej walce leżał Sobel w własnej krwi na ziemi.

Napastnicy wyciągnęli worek z dziury, nabrali ile mogli pieniędzy, a z zemsty podpalili młyn i zniknęli w gęstwinie.

Sobel ocucił się z omdlenia i pomału przypomniały mu się ostatnie wypadki. Rana w boku jak ogień paliła, ale jeszcze więcej męczyła go myśl, że koniec dla niego nadchodzi.

Chociaż w całem życiu zapierał się Boga, jednak w ostatniej chwili życia prawda o istnieniu Boga, o sądzie i o piekle, przejęła go do żywego.

Szeregiem stanęły przed oczyma jego zbrodnie popełnione, strach i bojaźń zajęły serce jego i zaczął wołać do Boga, z którego przykazań dotąd się wyśmiewał. Lecz i w godzinie śmierci jednak był obłudnikiem! Zamiast w żalu i w skrusze szukać przebłagania Ojca zagniewanego, myślał tylko o utrzymaniu życia doczesnego, bo się nie mógł oswoić z myślą, że musi swoje skarby opuścić i zostawić je obcym ludziom.

— Boże, zmiłuj się i daruj mi życie! Wystawię Ci kościół wspaniały! Nie daj mi zginąć, bo cóż Ci przyjdzie z śmierci mojej?

— Skarby moje...

To były ostatnie słowa. Rzuciła się krew z piersi, śmierć zaćmiła oczy i powołała Sobla przed sąd Boga sprawiedliwego.

XXIII.

„Podam nieprzyjaciół w ręce twoje", mówi Pan.

Lędziny! Niech dla was w świętej pamiątce zostaje dzień 28 sierpnia, bo tego dnia r. 1644 ziemię waszą poświęciła krew męczeńska, przelana za Wiarę św. i dla wybawienia waszego z jarzma obcego.

Piotr Gembicki, Biskup krakowski i dziedziczny pan Lędzin, za prośbą Nieradzika i towarzyszy jego nie tylko przebaczył buntowniczej wiosce, lecz sam na czele rycerstwa swego przyniósł wybawienie.

Dowiedziawszy się od Nieradzika, który Lędziny często nocną porą odwiedzał, że 28 sierpnia Witosz i Sobel sute wesele wyprawiają i całą załogę szwedzką w gościnę zaprosili, słusznie tę sposobność za bardzo stosowną do zaczepki uznawał i pana Promnica o tem uwiadomił.

Wojsko Biskupie od Chełma z jednej, a zasiłki Promnica od Tychów z drugiej strony, tak szybko i tak tajemnie zbliżały się do Lędzin, że Szwedzi przy wszelkiej ostrożności nic się nie dowiedzieli i ani nie pomyśleli o zbliżającej się zgubie.

Rycerstwo Biskupie pierwsze stanęło na placu i byłoby całe przełożeństwo wojska szwedzkiego złapało w kościele, gdyby nie byli przeszkodzili powracający z pijatyki od Sobla żołnierze, których już blizko kościoła poprzedzający oddział wojska Biskupiego dojechał.

— Jezus, Marya! — krzyknęli Polacy i dalej na wroga.

Odgłos trąb uwiadomił weselników w kościele o blizkiem niebezpieczeństwie.

Dowódca Eriksen, stary wojownik, nie tracąc przytomności ducha, kazał dać znak trwogi na kotłach i trąbach i zapalić wieś, aby poznać liczbę nieprzyjaciela. Łuna pożaru ocuciła mieszkańców, którzy w niebogłosy narzekając, ledwie z gołem życiem uciekali w pole.

Okropne zamieszanie powstało we wsi. Szwedzi zbiegali się około dowódcy swego, który dwie, jako tako zebrane roty, posławszy na zatrzymanie nacierającego nieprzyjaciela, czemprędzej wojsko zbierał i do boju szykował. Lecz nie dali mu Polacy tyle czasu, bo z hasłem: „Jezus, Marya!“ huzary naprzód z złożonemi kopiami uderzyli na jego szeregi.

Wszczęła się krwawa bitwa! Huzary przełamawszy szeregi szwedzkie, zawiesili kopie, a dobywszy pałaszy, bili ile się zmieściło wściekle walczących Szwedów.

Zgrzytał zębami Eriksen, widząc, że placu nie dotrzyma i myślał o odwrocie, gdy w tym momencie dla niego niespodziana przyszła pomoc.

Załoga pietrowicka, dowiedziawszy się od szpiegów, że Promnic w Tychach zbiera wojsko, posłała dwie roty pancerne do Lędzin, aby dowódcę swego uwiadomić. Mijając tychskie lasy, przeprawiły się obie roty

przez Ławki i w największej potrzebie stanęły na placu.

Szwedzi nabyli nowego ducha, a z boku zaczepieni Polacy zaczęli się cofać.

— Gustaw Adolf! — wrzasnęło wojsko szwedzkie i z zaciętością odpierało Polaków.

Lecz niedługo trwała radość Szwedów, bo teraz przybył pan Promnic z rycerstwem pszczyńskiem do boju. Szwedzi poszli w rozsypkę i w blizkich lasach i bagnach szukali ocalenia.

Rycerz Zogoła ze swym oddziałem, jako też i pszczyńska piechota wcale nie przyszli do bitwy, bo pierwszy musiał daleko objeżdżać, a piechota nie mogła równego z jeźdźcami dotrzymać kroku i dopiero po skończonej sprawie stanęli w Lędzinach.

Wszystkie usiłowania Biskupa, aby wioskę z okropnego ratować pożaru, były daremne, bo wielki wiatr ogień roznosił i oprócz kościółka nie pozostała ani jedna chatka. Spłonęły wszystkie budynki dworskie i wiejskie. Zwrócił więc książę-Biskup opiekę swoją na ranionych wojowników i nie odpoczął prędzej, aż wszyscy podług możności byli zaopatrzeni.

Naprzeciw z pogoni powracającemu Promnicowi szedł książę-Biskup na powitanie i podziękował za waleczną pomoc.

Potem zaintonował „Te Deum!“ a wszyscy upadłszy na ziemię na pobojowisku, serdeczne dzięki składali Bogu za odniesione zwycięstwo.

Nastąpiły teraz najszczersze powitania między krakowskimi i pszczyńskimi rycerzami, a radość wzajemna była tem serdeczniejsza, gdyż wszyscy tym samym władali językiem; w owych czasach bowiem wszyscy górnośląscy panowie nie obcym, lecz przyrodzonym polskim mówili i modlili się językiem.

Byliby gwarzyli aż do rana, lecz natura domagała się swego prawa i dlatego znużeni bohaterowie na pobojowisku, gdzie i jak kto mógł położyli się, aby w krótkim spoczynku odzyskać nowe siły.

Piechota pszczyńska zaciągnęła wartę dla bezpieczeństwa odpoczywających.

XXIV.

Bóg zasmuci, Bóg pocieszy.

Oprócz wystawionej straży i opiekujących się rannymi, całe wojsko odpoczywało. Tylko ksiądz Walenty nie szukał spoczynku i po powszechnem uciszeniu się, opuścił namiot Biskupi, śpiesząc ku kościółkowi. Unikał gościn,

bo serce jego nader smutnemi zajęte było myślami:

— Wiosko ukochana! Kiedym cię opuścił, byłaś kwitnąca jak raj, a teraz nie posiadasz ani jednej chatki! O, dopiero dziś zrozumiałem żal Twój, o Jezu, któryś miał, narzekając nad spustoszeniem Jerozolimy. Biada, i ja dziś powtarzać mogę słowa Zbawiciela: „Lędziny, Lędziny, ileż razy chciałem jak kokosz dziatki swoje zgromadzić około siebie, ale one mnie nie słuchały. O żebyście poznały, co służy ku zbawieniu waszemu!“ Przy ostatnich słowach, usiadł na progu spalonej plebanii, głowę podparł dłonią i dalej snuł wątek smutnych myśli, serce jego dręczących. Blask zorzy rannej oświecił bolesne rysy twarzy jego i wydawał się ksiądz Walenty jak Prorok Jeremiasz siedzący na zgliszczach Jerozolimy.

Zbliżają się ku niemu nędzne postacie w podartych siermięgach, ale on ich nie widzi. Rzucają się do nóg jego i na rany Zbawiciela proszą o przebaczenie. Dopiero teraz ocuca się ksiądz Walenty z bolesnego marzenia i poznaje Długaja, żonę jego i innych Lędzinianów i płacze nad znędzniałemi owieczkami swemi, które w żalu i skrusze oskarżają się i ubolewają nad nędzą swoją.

— Jezu mój dobrotliwy! — modli się głośno kapłan nad niemi — w Sercu Twojem najświętszem składam boleść moją i błagam Cię najpokorniej, przyjmij skruchę owieczek moich! Nie odwracaj od nas oblicza Twego, lecz przyjmij nas do łaski, jakoś przyjął Magdalenę i łotra na krzyżu! Wierzę mocno, że mnie i utrapione pocieszysz owieczki moje, bo wśród powszechnego spustoszenia ocaliłeś kościółek nasz, chcąc nam pokazać, że w nim znajdziemy źródło łaski i miłosierdzia.

Modlitwa i pocieszające słowa pobożnego kapłana były balsamem dla serc zbolałych, które w rozczuleniu nie wiedziały, jak wdzięczność swoją okazać Bogu łaskawemu.

Odprowadzili pasterza swego do kościoła, gdzie najmilsze znalazł owieczki swoje: Hankę i Wacława, w modlitwie przed ołtarzem tak zatopionych, że na nic około siebie nie zważali.

— O Najświętsza Panno! Tyś mnie ratowała i posłała mi na ratunek mojego najdroższego dobrodzieja! — zawołała Hanka w uniesieniu i rzuciła się do nóg pasterza swego i puścić go nie chciała.

Opowiedziała potem księdzu Walentemu, co podczas jego niebytności wycierpiała i jak

Najświętsza Panna opiekę obiecała i jak teraz widzi, cudownie spełniła obietnicę Swoją.

Najwięcej zadziwiło wszystkich nagłe i cudowne uzdrowienie Wacława, który w najlepszym porządku opowiadał, jak się jemu wiodło na straży przy kościele. Tylko o chorobie swojej nic nie wiedział.

— Ja sam nie wiem, jak się tu do kościoła dostałem, tylko to pamiętam, że ujrzałem strapioną Hankę w wieńcu ślubnym, uczułem niezmierny zawrót głowy, aż coś nagle w głowie strzeliło i krew mi się nosem rzuciła. Ulżyło mi w głowie i czuję się zupełnie zdrowym.

— Dziatki ukochane — rzekł ksiądz proboszcz — dziękujcie Bogu dobrotliwemu, który tak wielkie cuda nad wami uczynił, i który widocznie pokazał, że dobre dziatki w nieustającej trzyma opiece Swojej!

Niech przystąpi heretyk i niech zaprzeczy, że Najświętsza Panna nie jest matką i pomocniczką naszą?

Świętą prawdę wyraża modlitwa nasza: „Pamiętaj o najdobrotliwsza Panno Maryo, że od wieków nigdy nie słyszano, żeby kto do Ciebie się uciekając i Twej pomocy wzywając, Ciebie o pomoc prosząc, miał być od Ciebie opuszczony!“

XXV.

Odmiana zupełna.

Miłe promienie słońca sierpniowego przepowiadały szczęśliwy dzień dla wieśniaków lędzińskich. Ale z mieszkańców, którzy przed dwoma laty z namowy Sobla za wolnością szaleli, mało dożyło tego dnia, bo katusze szwedzkie, zdzierstwo Witowskiego, nędza i zaraźliwe choroby trzy części ich zaprowadziły do grobu, do którego przez dwa lata zmarłych, nieprzymierzając jak ścierw bydlęcy, bez dzwonów, bez błogosławieństwa Kościoła i bez święconej wody spuszczano.

Ze smutkiem liczył ksiądz Walenty małą garstkę owieczek pozostałych, które się upokarzając, głośno się spowiadając, do księdza-Biskupa wołali: Ojcze odpuść nam, bośmy zgrzeszyli przeciw niebu i przeciw Tobie!

Widok pokutującej szczupłej gromadki ludzi, cały zabytek z niegdyś kwitnącej osady, rozczulił i najtwardszych wojowników. Biskup w tkliwej nauce przedstawił pokutującym dawne ich szczęście, szkaradę grzechu nieposłuszeństwa i widoczne skutki jego, a na-

reszcie udzielił im rozgrzeszenia i przyjął ich znowu na łono Kościoła.

Za pomocą pobliższych wsi pogrzebano poległych Szwedów w liczbie 638 na miejscu, które lud do dziś dnia szwedzką szachtą zowie, z którego pług oracza często wyoruje kule lub szczątki starej broni wojskowej.

Nasze wojsko w porównaniu do wielkiej liczby pobitych nieprzyjaciół, małą poniosło stratę, bo oprócz 40 rannych, tylko 21 poległych liczyło towarzyszy, których z wielką okazałością pochowano na cmentarzu przy św. Klemensie.

Ranionych zaś, tak katolickich, jako też i 180 szwedzkich żołnierzy kazał Biskup odwieść do Chełma, gdzie w zamku jego najstaranniejszego dostarczano im pielęgnowania.

Kościół wypróżniono z szwedzkich zapasów magazynowych i przysposobiono do nabożeństwa; Długaj przyniósł z radością naczynia kościelne, które dotąd zdołał przed chciwemi oczami Szwedów utaić i nastąpiło nowe poświęcenie domu Bożego 30 sierpnia.

Sami osądzicie, kochani czytelnicy, z jakiemi uczuciami, z jak wielką nabożnością obecni, a osobliwie Lędzinianie wstępowali do kościoła św. Klemensa. Zdawało im się, że

już kosztują niebieskiej szczęśliwości. Przez ciężkie doświadczenia poznali nieoszacowany skarb łask Kościoła i szczęście posiadania własnego we wsi kapłana.

Lecz nie tylko w skarbie wieczne, ale też i w dobra doczesne opatrzył Biskup poddanych swoich. Bezpłatnie brali z lasów Biskupich drzewo na odbudowanie chatek swoich, darował im bydło i zboże na wyżywienie i dla obsiania roli, a za prośbą Lędzinianów oznaczył miejsce dla nowej wioski na dolinie, gdzie wioska do dziś dnia stoi. Tamże kazał nowy wystawić dwór swój.

Postanowił książę-Biskup nowe dla osady prawa, lecz dawnych Lędzin swobód już nie odzyskali nowi osadnicy.

Tak zginęła stara wieś i spełniło się przysłowie Salomona: „Pamiątka bezbożnego zaginie, a dom jego obróci się w perzynę!“

XXVI.

Dwadzieścia lat później.

Minęło dwadzieścia lat, nowa osada znowu się zaludniła, bo mnóstwo przybyszów wciskało się do wioski Biskupiej, lecz starosta Mącki, który chociaż siwy jak gołąbek, jednak

mocną ręką trzymał ster zarządu wioski, był ostrożniejszy i nie przyjmował nikogo, oprócz prawowiernych Polaków, bo żadnemu nie dowierzał Niemcowi.

Mieszkańcy wioski odznaczali się posłuszeństwem i gorliwem do Kościoła przywiązaniem.

* * *

Pod koniec sierpnia śpieszył pielgrzym ku kościółkowi świętego Klemensa, a wstąpiwszy na cmentarz, zwrócił kroki swoje ku południowej stronie, gdzie przed dwudziestu laty pochowano poległych Polaków w boju ze Szwedami. Grób bohaterów był pięknie obwiedziony krzewem zielonym, a wśród niego wznosił się krzyż wieńcem świeżym obwiniony. U podnóża krzyża czytał pielgrzym napis:

— Stój wędrowniku, oddaj cześć cieniom bohaterów, poległych w obronie Wiary świętej i uciśnionych braci.

Uklęknął pielgrzym przy grobie i odmawiając modlitwę za zmarłych, nie spostrzegł, że obok niego stanął wieśniak, nie tak wiekiem, jak wewnętrznem cierpieniem pochylony, który pielgrzyma po skończonej modlitwie mile powitał.

— A czy panu wiadomo, kto tu spoczywa? — zapytał wieśniak pielgrzyma.

Pielgrzym: Wiem dobrze, tu odpoczywają moi towarzysze. Ale powiedz mi, kto grób ich tak pięknie umaił? Któż krzyż postawił?

Wieśniak: Wdzięczność nasza!

Pielgrzym: Piękna to cnota i błogo wiosce, jeżeli w niej ta cnota panuje. Zdaje się, że lud lędziński nie zapomniał nieszczęścia swego i z niego korzysta! Czy żyje jeszcze czcigodny ksiądz proboszcz Walenty?

Wieśniak: Dzięki Bogu! żyje i prosimy codziennie Opatrzności, aby nam go jak najdłużej zostawiła!

Pielgrzym: A stary Długaj, wasz przewodnik w owej wyprawie na Szwedów?

Wieśniak: Odpoczywa wraz z swoją dobrą żoną na tym cmentarzu. Boże, daj im odpoczynek wieczny, a światłość wiekuista niechaj im świeci!

Pielgrzym: A jakże o Witoszu i o spólniku jego nie doszły was jakie wiadomości, bo wówczas zniknęli wraz z resztą Szwedów?

Wieśniak: Witowski skończył na szubienicy, bo go złapał pan Promnic w tychskich lasach. Młynarza Sobla znaleziono zabitego przy jego skarbach, młyn jego spalili Szwedzi i nikt go budować nie chce.

Pielgrzym: Wspomniałeś pana Promnica, czy żyje jeszcze?

Wieśniak: Dobry pan Promnic w dwa lata po lędzińskiej wyprawie umarł bez potomków i już czwarty po nim dziedzic panuje w Pszczynie.

Pielgrzym: I szlachetny książę-Biskup Piotr Gembicki, już siódmy rok odpoczywa w grobie. Lecz błoga pamiątka dobrych panów zostaje na wieki!

Milczeli dłuższy czas. Potem wywiadywał się dalej pielgrzym: A Hanka, ładna córka młynarza?

— Chodź ze mną, panie! — rzekł wieśniak i prowadził obcego za kościół, a stanąwszy nad starannie pielęgnowanym nagrobkiem, wskazując na niego prawą ręką, ocierał lewą łzy płynące.

Spojrzał pielgrzym na wieśniaka, którego twarz głęboki wyrażała smutek, a przejęty współczuciem zapytał zasmuconego:

— I cóż było przyczyną jej wczesnej śmierci?

Wieśniak: Zmartwienie zatruło jej serce i zadało zdrowiu cios niezagojony. Cztery tygodnie po wybawieniu Lędzin poszła do wiecznej ojczyzny, za którą tęskniła dusza jej czysta!

Pielgrzym: A Wacław?

Wieśniak: Oto panie, widzisz przed sobą Wacława, stróża jej grobu i kościoła naszego, który nic nie pragnie, jak tylko jak najprędzej obok Hanki być pochowany.

Odszedł smutny Wacław do domku swego, obok cmentarza stojącego, a pielgrzym, w zamyśleniu opuścił górkę Klemensową.

KONIEC.

Spis rzeczy.

	Str.
Wstęp	3
Lędziny pod panowaniem Biskupów krakowskich	7
Obczyzna nasiała kąkolu między pszenicą	11
Uwodziciel	17
Kto ojca i matkę więcej kocha jak Mnie	31
Dobre owieczki słuchają głosu pasterza	36
W Oświęcimiu	44
Przerwana radość	51
Od wojny zachowaj nas Panie	60
Wieś bez zwierzchności, pierwszy obraz wolności	65
Drugi obraz wolności	71
Pszenica między kąkolem	79
Świętokradztwo	84
Łoże boleści	94
Dwa tygodnie wolności	98
Szwedzi w Lędzinach	101
Pierwszy obraz niedoli	105
Drugi obraz niedoli	108
Trzeci i najsmutniejszy obraz niedoli	111
W młynie	120
Jutrzenka wybawienia	125
Przerwane wesele	131
Głupi mówi w sercu swojem: „Niema Boga“	137
Podam nieprzyjaciół w ręce twoje	143
Bóg zasmuci, Bóg pocieszy	147
Odmiana zupełna	151
Dwadzieścia lat później	153

Drukiem Karola Miarki
Sp. z ogr. por.
w Mikołowie Woj. Śląskie.

W NIEWOLI TATARSKIEJ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

OSNUTA

NA TLE HISTORYCZNEM

1920.
SPÓŁKA WYDAWNICZA KAROLA MIARKI
MIKOŁÓW G.-ŚL.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Krwawe Nieszpory.

Było to za panowania Zygmunta I, którego naród kochał a postronni szanowali. Nawet sułtan turecki, Soliman, mądry i dzielny, starał się o przyjaźń króla polskiego, śląc doń listy, pełne szacunku. Kraj zdawał się zabezpieczonym od wojny tureckiej na czas jakiś, co jednak nie przeszkadzało Tatarom rabusiom trapić go najazdami swemi.

Był ciepły wieczór w miesiącu kwietniu. Łąki już bujną okryte zielenią błyszczały od żółtych jaskrów, jak gdyby gwiazdkami usiane; na wierzbach rozpękały puszyste kotki, a lud wiejski zrywał z nich gałązki i związywał w pęki, bo właśnie nadchodziła Palmowa Niedziela. A wioska to była urocza. Niedaleko Tulczyna, śród pól ornych tłustego czarnoziemiu, nad rzeczką, jednym bokiem do lasku brzozowego i olchowego przyparta, rozsypała się wioseczka, zielonemi łąkami, jak wieńcem okolona. Chaty, jak stado wróbli szarych, to się u jaru tuliły, to nachylały ku rzeczce, której strumyk kryształowy szumiał jeszcze od wiosennej powodzi.

Właśnie słoneczko, za laskiem zachodząc, rzucało czerwony blask na pagórki, z przeciwnej strony, niby wałem, wioskę od wschodu okalające; nad łąkami wznosiły się wilgotne opary, jak siatka srebrzysta, a dzwon z cerkiewki brzmiał rozgłośnie, po przez pola i łąki. Już się ku cerkiewce tłoczy gromadka wieśniaków w kożuchach lub granatowych sukmanach, szerokim wełnianym pasem przewiązanych. Niewiasty w białych na głowie namitkach [1]), dziewczęta w krasnych wstążkach i koszulach wzorzysto czerwoną i granatową bawełną wyszywanych, z powodu ciepłej pory, bez kożuszków nawet.

Opodal od wioski, z za białych brzózek, widnieje futor [2]) nad jarem, gdzie szumi bystry potoczek, sadkiem wiśniowym od północy zasłonięty domek z modrzewia, a opodal rojna pasieka lipami obsadzona Na futorze tym mieszka szlachcic poczciwy, z dziadów i pradziadów na usługi kraju gotowy. Dziś tu osiadł spokojnie z żoną i trojgiem dzieci, które mu niby kwiatki na futorze wyrastały, rumiane i wesołe. Za młodu służywał w pancernej chorągwi, aż dopóki mu pod Kłeckiem, nogi nie odrąbano. I stąd już pan Bohowityn niejednokrotnie uganiał się za Tatarzynem, choć ten jakoś szczęśliwie Kozińce omijał,

---

[1]) Wieśniaczki na Ukrainie i Podolu, do tej pory obwiązują głowę długiemi, cienko tkanemi, niby ręcznikami lnianemi, których długie końce na plecy im spadają; są to tak zwane n a m i t k i.

[2]) F u t o r nazywa się na Podolu i Ukrainie folwark.

ciągnąc szlakiem [1]) ku południowi, gdzie leżą Latyczów i Winnica, lub bliżej Dniepru w stronę Kijowa.

Właśnie pan Bohowityn z żoną i dwoma synkami wybrał się na nieszpór do cerkiewki. Już się do wrót zbliżają, a pani Bohowitynowa w białym na głowie czepcu i jupce, barankiem krymskim podbitej, zalecа Hani, żwawej i dorodnej dziewoi, żeby najmłodszego dziecka dobrze w izbie pilnowała; już Janko ze Staśkiem, za ręce się wziąwszy, żywo naprzód pospieszają, gdy wtem... cóż to? Czy się ziemia zatrzęsła? Czy nagła wichura pędzi z za gór? Zadudniało coś od wschodu, dzikie okrzyki zagłuszyły dzwon cerkiewny i nagle, jak szarańcza, co chmarą spada na zielone pola, wali się jarem hurma Tatarów.

— Ałłachu! Ałłachu! — wrzeszczą, pędząc na koniach.

Twarze ich żółte i wykrzywione, oczy błyszczące jak węgle żarzące, zęby białe i ostre, jak u wilków, i oni też, jak stado wilków dzikich, rzucają się na gromadkę wiejską. W jednej chwili wieś stanęła w płomieniach, a pohańcy rozbiegłszy się w różne strony, spędzali bydło i lud w jednę wielką gromadę.

---

[1]) Głównych szlaków, czyli dróg tatarskich były trzy: kuczmański, wołoski i czarny. Nad całą siecią szlaków, strażnic i mogił kresowych, panował zamek, dawniej Rów zwany, potem na cześć królowej Bony, przezwany Barem, najmocniejsza po Kamieńcu twierdza. Nadzór nad twierdzami i strażnicami granicznemi należał do osobnego urzędnika, zwanego „Strażnikiem trzech szlaków", który podlegał władzy hetmana koronnego, najwyższego naczelnika sił zbrojnych rzeczypospolitej.

Stary Bohowityn zrazu chciał się rzucić na ratunek, ale go żona powstrzymała, bo i cóż było jednemu robić z taką hałastrą? Namawiała, by się z dziećmi ukryć gdzie w piwnicach, ale nim to zrobić mogli, już się Tatarstwo rzuciło na futor. Stanął przy wrotach pan Bohowityn z nabitą rusznicą, za nim wierny Maciej, co go w żadnej nie opuszczał potrzebie, i naraz padły dwa strzały i dwóch Tatarów z koni na ziemię się stoczyło; ale setki innych zjawiło się, jak z pod ziemi. Wrzask dziki napełnił powietrze, płomienie buchnęły i już pan Bohowityn tarzał się we krwi własnej, a siwa głowa Macieja, krwawą skąpana posoką, odleciała daleko na murawę.

W godzinę, z pięknej wioski już tylko zgliszcza zostały i resztki dopalających się głowni; cerkiewka złupiona, bez drzwi i okien, sterczała jak trupia głowa ogromna, dzwon nawet, co przed chwilą wzywał lud na nieszpór, unieśli pohańcy, żeby go później rozbić i przetopić. A lud cały? Mężczyzni, co dzielniejsi, polegli, broniąc swoich; innych pognano, zarzuciwszy powróz na szyję, a z nimi kobiety i dzieci co starsze. Niemowlęta i starców pomordowała dzicz, lub powrzucała w palące się domostwa; mało kto zdołał uciec i schronić się w podziemnych kryjówkach, skąd ludzie nazajutrz ostrożnie wychylali się, szukając ciał ukochanych swoich, albo wyciągając resztki pożywienia z pod zgliszcz i popiołów.

Szczęśliwsi byli jeszcze ci, którzy zginęli: Bóg im pewnie na tamtym świecie wynagrodzi męczeństwo tu poniesione, ale cóż się stać miało z tymi, których dzicz w niewolę pognała? Jakie

męki, udręczenia i pokusy czekały ich jeszcze w tym srogim jasyrze! A ileżto tysięcy naszych braci tak niegdyś w jasyr pognano!...[1])

II.

Na Jasnej Górze.

I znów się słońce ku zachodowi skłania, ale złociste jego promienie padają na klasztor, co to od wieków stoi na górze, Jasną zwanej. I prawdziwie to Jasna Góra, takie dziś od niej biją płomienie, gdy cała w blasku różowym zachodu skąpana, z ziemi ku niebu, wznosić się zdaje. A na górę tę, niby stado gołębi białych, wstępuje gromada pielgrzymów ze stron dalekich; starcy o siwych włosach i brodach, niewiasty, mężowie w sile wieku, dzieci nawet, a wszyscy na klęczkach, zwolna na szczyt góry wstępują, śpiewając hymn nasz stary: „Bogarodzico Dziewico". Z wieży dzwon się odzywa, organy brzmią na nieszpór, a tysiące ludu, na twarz padając, łączą głosy swe ze śpiewem kapłana: „Przed tak wielkim Sakramentem upadajmy na twarze".

Odśpiewano nieszpór, nabożeństwo się skończyło i rozeszli się pielgrzymi, jedni szukając schronienia po gospodach, inni, aby pod gołem niebem obozować, u stóp Góry i Matki Częstochowskiej. Ale w kaplicy Bożej Matki, przy bladem światełku lampy srebrnej, cóż to za postać, krzyżem le-

1) Tatarzy 91 razy na Polskę napadli; 18 napadów miało miejsce za panowania Zygmunta I, 14 za Zygmunta III, zresztą, po kilka napadów pod każdem panowaniem; ostatnie dwa za Augusta II Sasa.

żąc, ni się rusza, ni podnosi? Możnaby myśleć, że skamieniała, gdyby nie to, że usta szepcą słowa rzewnej modlitwy, a z piersi dobywa się czasem głośniejsze łkanie.

Tu znów ciemnowłosa głowa młodziana opada na płyty kamienne, a usta jego całują ziemię po kilkakroć i łzami ją skrapiają. Czy to pokutnik jaki, czy grzesznik, wzywający zmiłowania Bożego w tak późnej godzinie, gdy się już wszyscy na spoczynek rozchodzą? Oj, nie grzesznik to chyba, bo gdy powstał z ziemi, to jasnem okiem powiódł dokoła, czoło pogodne, a twarz choć ogorzała, jak bronz, dziwnie jakoś szlachetny i pociągający miała wyraz. Podniósł rękę do oczu, gdzie jeszcze łzy perliste błyszczały, otarł je i powoli ku drzwiom się zwrócił, jeszcze raz głowę skłaniając przed cudownym Bogarodzicy obrazem. I wzrok jego padł na dwie inne postacie, skulone w kącie kaplicy i tak do siebie przytulone, że gdyby nie srebrny promyk lampki, co padł w tę stronę, dojrzećby ich nie można było.

— Mateńko — szepnęła jedna z nich, młode dziewczę, której jasne, długie warkocze, mieniły się w niepewnym blasku lampki — mateńko złota, pójdziemy już, boś strudzona ciężko, a jutro, skoro świt, znów na Jasną Górę pospieszymy.

I chciała z ziemi dźwignąć staruszkę, której blade lica, łzami zalane, utkwione były w obraz Bogarodzicy z takim wyrazem bólu i błogości zarazem, że się zdawało, iż to jedna z owych świętych niewiast, co je na obrazach malują. Gdy córka do niej przemawiała, zwróciła się ku niej trochę, i usiłowała wyprostować zgięte kolana, powstać z ziemi, lecz siły ją opuściły i napowrót się

pochyliła. Ale młodzieniec już klęczał przy niej i z pomocą jego i córki, na której ramieniu się oparła, zdołała staruszka powstać i powoli wszyscy troje wyszli z kaplicy, a stamtąd przez kościół ku drzwiom się skierowali. A czas był wielki, bo właśnie braciszek w białym habicie ks. Paulinów, z ogromnym kluczem, zabierał się ciężkie zamykać podwoje.

Gdy pielgrzymi nasi znaleźli się za progiem świątyni, już księżyc przyświecał i srebrzystem swem światłem oblewał całą górę i tulące się u stóp jej gromady podróżnych, co tu noclegu szukali; dalej w dolinie rozciągało się miasteczko Częstochowa, o niskich domkach, tu i owdzie bez wielkiego ładu porozrzucanych.

— Jakże wy tam zajdziecie, mateńko? — odezwała się dziewczczka z niepokojem — wszak to spory kawał, a widzę, żeście już całkiem z sił opadli.

— Nic mi nie będzie, doniu![1]) Pan Bóg dopomoże. Czyż to nie On zesłał tego zacnego młodziana, co się nad staruszką ulitował i tak mię wspiera, jakby syn matkę. Oj, miałabym ja, miała na kim wesprzeć się w starości i wdowieństwie mojem, gdyby nie to nieszczęście... — tu łzy mowę jej przerwały.

Młodzieniec ze spółczuciem patrzał na biedną niewiastę. Oczy jej, głęboko wpadnięte, nosiły ślady łez wylanych, zmarszczki pofałdowały czoło, a włos biały prawie dobywał się z pod wdowiego czepca; jednak nie była jeszcze podeszłą w latach; nie wiek, ale raczej cierpienia powlokły

1) Córeczko.

smutną pomroką te ciemne i dotąd jeszcze piękne oczy, pomarszczyły blade lica, co niegdyś pewno świeżym rumieńcem i gładkością świeciły. Wielce z rysów podobną do matki jest hoża dzieweczka, która ją teraz szczupłem, lecz silnem ramieniem objąwszy, troskliwie z góry prowadzić się starała; oczy tylko miała modre, jak dwa bławatki, choć jeszcze od łez wilgotne i wdzięcznie niemi spojrzała na młodzieńca, który z drugiej strony wspierał chwiejące kroki jej matki.

— Dozwólcie, mateczko, odprowadzić się do gospody waszej — rzekł wreszcie głosem łagodnym — tylko wskażcie, którędy iść mamy, bo ja tu po raz pierwszy i nieświadom drogi.

— I my pierwszy raz na Jasnej Górze — odezwała się wdowa — ale mamy tu krewniaczkę, co nas gościnnie w dom swój przyjęła, a Maryjka upewniała, że do niej i po nocy trafi; cóż, doniu, czy nie zbłądziłaś?

— Nie, mateńko! Ot, tam — przy tych topolach, gdzie się jeszcze świeci, stoi biały dworek ciotki Wincentowej, a może i wujek idzie naprzeciw nam.

Jakoż niezadługo spotkali się pielgrzymi nasi z barczystym szlachcicem, o pełnej, ogorzałej twarzy, z wąsem sumiastym i podgoloną czupryną, na której butnie wsadzona była szafirowa z siwym barankiem rogatywka.

— A wracacie mi przecie, pani bratowo! — przemówił. — Sądziliśmy oboje z moją jejmością, żeście się tam gdzie zbłąkały i już do nas nie traficie.

— Wracamy, Bogu dzięki, z pomocą tego zacnego młodzieńca, co nas tu prowadzi, a widzi

mi się, że bez jego poczciwego ramienia nie dowlokłabym się już z moją Maryjką.

— Bóg zapłać, waści! — rzekł pan Wincenty — ale dokądże sami idziecie i co z sobą robić zamyślacie?

— Bogiem a prawdą, nie wiem, gdzie się obrócić, bom tu obcy, ale przecież, gdzie tyle ludzi nocuje, to i ja znajdę przytulisko, choćby pod gołem niebem.

— Co masz waść szukać noclegu, chodź lepiej do nas. Obcy nie jesteś nigdzie na swojej ziemi, a żeś szlachcic i poczciwy, to ci od razu z oczu patrzy. Dziwnie tak mi się wydaje, jakbym cię gdzieś już spotkał. Ale teraz gadać nie miejsce i nie pora; ruszaj waść z nami, wyśpisz się na świeżem sianku w stodole, a jutro się rozgadamy na dobre.

I poszli już we czworo. We dworku palił się ogień na kominie, wesoło trzaskały jodłowe gałęzie, a przy nich grzała się wyborna polewka piwna; do tego na misie stał chleb i ser w kostkę krajany, a na patelni smażyła się jajecznica. Mięsa widać nie było, ale bo też to święta Wigilja do Matki Boskiej Zielnej, więc niktby go do ust nie wziął.

Pani Wincentowa, życzliwie gościa powitawszy, jak to u nas było w zwyczaju, z wieczerzą prędko się załatwiła, żeby podróżnych do snu ułożyć; wkrótce też wszystko pogrążone było w błogim spoczynku. Maryjkę na posłaniu własnem umieściła cioteczna jej Halka, czarnobrewa, żwawa jak iskra, jedynaczka państwa Wincentych. Poszeptały jeszcze trochę dziewczęta, położywszy

się, jak to zwyczajem młodych, co nad sen i spoczynek gawędę przekładają, ale matki kazały im się uciszyć, ażeby jutro, skoro świt, być na nogach.

III.

Brańcy. — Step. — Straszny nocleg. — Pieśń. — Obóz chana.

Dzień Wniebowzięcia Najśw. Marji Panny przeszedł cały na modlitwie; zrana spowiedź, po której tłumy pątników przystępowały do Stołu Pańskiego; w ich liczbie wdowa z córką, Wincentowie oboje z Halką i nieznajomy młodzieniec, który im towarzyszył; ten znów krzyżem leżał przez całą Mszę w kaplicy cudownej Najśw. Marji Panny. Po sumie i posiłku poszli na nieszpór, tak, że dopiero wieczorem zasiedli znów wszyscy u komina, na którym, mimo że wieczór był ciepły, płonęła z trzaskiem jedlina pachnąca.

— Teraz — odezwał się pan Wincenty Gozdawa — kiedyśmy już Panu Bogu oddali cześć i chwałę, musisz nam, młodzieńcze, opowiedzieć, skąd tu do nas przybywasz, a zdaje mi się, że masz co opowiadać, choćby i do północka, boś sam wspominał, że w dalekich bywałeś krajach.

— Oj, bywałem, dobrodzieju mój, choć nie z własnej woli i chęci; długoby o tem mówić, ale kiedyście łaskawi pytać, będę mówił o wszystkiem wam, coście mnie sierotę, do ogniska waszego przygarnęli.

Dziewczęta przysunęły się ciekawie do komina; pani Wincentowa przyłożyła kilka gałęzi do ognia, a wdowa łzawem okiem wpatrzyła się

w młodziana, jak gdyby serce jego przeniknąć chciała do głębi, ten zaś tak mówił:

— Wracam z tatarskiej niewoli, cudowną ręką Bożą wyrwany z rąk pohańców, co wydarłszy mi rodzinę i ojczyznę, jeszcze mą duszę zgubić chcieli na wieki, namawiając i przymuszając niejako wyrzec się wiary ojców. Ale z Bożą pomocą wszystko się przetrwało i oto u stóp Matki Częstochowskiej leżąc w prochu, całowałem tę ziemię ojczystą, której lat dziesięć z górą oczy moje nie oglądały.

— Jakżeto i skąd dostaliście się w moc pohańców? rozpowiedzcie nam.

— Nie mogę sobie przypomnieć samej chwili porwania, ale potem, wszystko mi się w oczach przesuwa, jakby szereg obrazów dziwnych, okropnych, że mię dreszcz przejmuje, gdy to w pamięci widzę. Stoimy na stepie, noc, ogniska palą się wokoło, a przy nich dzikie twarze Tatarów. Ci porozciągali się na trawie i grają z sobą w kości, a który wygrywa, krzyknie, jak dzikie zwierzę i zabiera drugiemu coś ze złupionej zdobyczy; ten podrzuca do góry kielich szczerozłoty, złupiony z jakiegoś kościoła tamten narzucił na plecy kapę, inny ornat złotem haftowany, tylko zamiast rubinów błyszczą na nim świeże jeszcze krwi krople; inny okręca głowę sutym pasem polskim, w różnobarwne kwiaty, srebrem przetykane — a wszystko błyszczy dziwnie, przy świetle ogniska, jak gdyby szatani w piekle igrzyska jakieś wyprawiali.

I mnie się to tak wydawało, kiedym rzucał trwożne spojrzenie dokoła. Słyszę płacz rzewny i jęki; staliśmy powiązani, spętani w gromadę wielką, niby trzoda owiec; ci już ze znużenia na zie-

mię popadali, tamci przykucnęli na zranionych i potłuczonych nogach, inni jeszcze stali, wspierając się plecami jedni o drugich, a byli tam i mężczyzni wysocy i barczyści; ten z odrąbaną ręką, ów płatnięty przez czoło, z krwią skrzepłą na oczach i twarzy, ale najwięcej niewiast; niejedna z małem dzieciątkiem u piersi, blada i spłakana, jak ta Matka Bolesna, co Ją w naszych kościołach na obrazie nieraz widać, i dziewczęta o długich warkoczach, za które po dwie lub trzy razem Tatarzy je pozwiązywali, albo pacholęta małe, jak ja lub brat mój młodszy, który płacząc, do mnie się tulił.

I my obaj byliśmy krwią zbryzgani. Tatarzyn, który mnie porwał, opowiadał później, że się broniłem jak małe lwiątko, i wkońcu tak go zębami za rękę uchwyciłem, że mnie z bólu i złości płatnął przez głowę krzywym swoim mieczem. Dotąd mam bliznę, ot tu, z lewej strony, przez czoło i skroń, ale wtedy była rana krwawa i srodze mnie bolała. Brat, choć moją tylko krwią zbryzgany, ale słabszy i wątlejszy ode mnie, nie mogąc się już na nóżkach utrzymać, stulił się, płacząc cicho, do mego boku. Wokoło nas pasły się konie tatarskie. I tak przeszła ciepła noc wiosenna ale nikt usnąć nie mógł z nas jeńców nieszczęsnych, tylko Tatarzy, napiwszy się wódki, co ją w beczułkach z sobą przywieźli, chrapali, miotając się i wrzeszcząc jeszcze przez sen [1]).

---

[1]) Tatarom, jak i wszystkim Mahometanom, zabrania ich religja używania wina i tym podobnych upajających napojów, ale że prorok nie znał wódki i nie wspominał o niej w swoich przepisach, więc pohańcy pozwalali sobie tego trunku, natrafiwszy

A nam serce zamierało ze zgrozy i obrzydzenia, patrząc na tę dzicz. Pamiętam, że ukląkłszy z bratem, odmawialiśmy cicho „Pod Twoją obronę“, tonąc przytem we łzach gorących. Usta nam paliła gorączka, a nie było komu podać kropli wody i męczyliśmy się tak aż do świtu. Kiedy się od wschodu białawy rąbek na niebie ukazał, już się Tatarzy zrywali z ziemi i konie poili w rzeczułce, co się opodal sączyła; i nas jakiś miłosierniejszy, co zdawał się być ich wodzem, kazał podpędzić ku rzece tak, żeśmy powiązani jedni do drugich, ukląkłszy, napić się wody mogli, czerpiąc dłonią albo wprost ustami ze strumienia. A tu słońce wschodziło krwawo na stepie, i pohańcy jakieś przed niem musieli odprawiać modlitwy, bo padali na twarz, mrucząc wyrazy niezrozumiałe, a potem kiwali się w różne strony.

Między nami zaś, jeńcami, znajdował się jakiś niemłody już szlachcic ze szpakowatą, podgoloną czupryną i siwym wąsem, a tak szpetnie pokaleczony na głowie i rękach, że go poznać trudno było i ledwie się mógł ruszać. On jednak, padłszy na kolana, silnym głosem zaintonował pieśń do Najśw. Marji Panny — „Gwiazdy zarannej“, a za nim reszta niewolników. Cienkie i słabe głosy dziecinne i niewieście łączyły się z silnym, męskim śpiewem, tworząc dziwną, podniosłą jakąś muzykę a łzy rzęsiste spływały po licach, niby ta rosa, co się szkliła na murawie. Z tą pieśnią jakaś dziwna nadzieja wstąpiła nam w serca i zdawało się,

---

nań przypadkiem. Podobnie wiadomo o Turkach, że przysięgając na małą książeczkę, koranu niby, kazali takie książeczki robić z mydła i uważali, że wtedy przysięgę bezkarnie złamać mogą.

że nas Bóg nie opuści, że tu, jak i wszędzie, święte oko Jego czuwa nad nami.

Tymczasem pohańcy już na koniach pędzili nas, otaczając niby kołem drapieżnych kruków, a bali się widać pogoni, bo raz tylko wypocząwszy około południa, gnali nas dalej i dalej, gdzieś ku wschodowi słońca. Teraz już padaliśmy, jak muchy po drodze i Tatarzy musieli brać wielu na koń do siebie, bo wozów żadnych nie mieli. Brat mój, biedactwo, z poranionemi nóżkami, bo mu obuwie w drodze spadło, uchwycił się mnie za szyję i puścić nie chciał, kiedy go jakiś Tatarzyn na swego konia chciał wciągnąć; ale i w poganach serce być musi, bo ten się ulitował i obu nas na konia swego wsadziwszy, sam szedł pieszo.

Już się słońce chyliło ku zachodowi, kiedyśmy z daleka spostrzegli, jak gdyby wielką jakąś gromadę i natychmiast kilku Tatarów pędem strzały pomknęło naprzód, a po chwili słyszeć się dał odgłos bębna. Teraz już widać było dobrze wielki obóz tatarski, czyli K o s z, do którego tak pospiesznie dążyliśmy. Tu się sam han znajdował, jak się później dowiedziałem. Wtedy jeszcze nie zrozumiałem tego wszystkiego, ale podczas długich lat niewoli u pohańców, poznałem wszystkie ich zwyczaje i obyczaje. Tak tedy w koszu tatarskim, gdzie na przyjęcie naszego hufca bito w bęben jedną pałką, stał w pośrodku namiot hański, wokoło którego zatknięte były cztery chorągwie: jedna czerwona z żółtą kitajką, druga biała z czerwoną, trzecia z białej kitajki, a trzy zielone końce u niej, z wierzchu zaś czarny ogon koński, czwarta najpiękniejsza, z jabłkiem złotem na wierzchu, czerwona cała i wyhaftowana zło-

tem pismem arabskiem. Wozy stały także, ale o dwóch kołach wszystkie, przy nich duże, garbate zwierzęta, co je dromedarami zowią, a koni moc wielka, więcej nawet niż ludzi, bo Tatarzy zabierają konie, aby z nich mieć pożywienie, dojąc kobyle mleko, a przytem ładując na nie łupy i jeńców słabszych.

Teraz nasz hufiec radośnie był przywitany, a inne podobne nadejść musiały, bo zastaliśmy gromady podobnie jak my powiązanych jeńców, w koszu tatarskim. Tu było miejsce na odpoczynek nam wyznaczone; wokoło bujnych traw podostatkiem było, aby koniom pożywienia nie brakło. Na tej świeżej jeszcze, wiosennej trawce ległem, brata do siebie przytuliwszy, a jakiś Tatarzyn narzucił na nas opończę; spałem twardo jak kamień i nic nie słyszałem, co się wokoło nas działo. Tak to z wielkiego znużenia i głodu, człowiek częstokroć zapomina o tem, co go w sercu boli, i nawet żal najsroższy jakoś w nim zamiera.

— Możeby i teraz spocząć nie zawadziło — odezwał się pan Gozdawa — jutro musicie nam dalej opowiadać dzieje wasze ciekawe. Przecie wam nie pilno nas porzucić; posiedźcie, wypocznijcie, a raźniej wam będzie puścić się w dalszą wędrówkę.

— Ciężka to była wędrówka — odparł młodzieniec — bom w tych długich latach niewoli zatracił pamięć miejsca i ludzi, nazwiska własnego zapomniałem od gorączki, co mnie zgnębiła, i teraz obcy wśród swoich, tułać się muszę, sierota.

— Nie mówcie tak — rzekła wdowa, rzewnie na młodziana patrząc — u nas każda matka przygarnie jak swoje, takie biedne a zacne dziecię zie-

mi naszej. Żeście poczciwi, to wam z oczu patrzy, a i to dowód, żeście dzieckiem porwani od rodziny i kraju, nie zapomnieli ojczystej mowy i nie dali się poturczyć, jak tylu innych nieszczęsnych jeńców, w jasyr zapędzonych. Och! stokroć lepiej zginąć — zawołała, łzami się zalewając — niż się wyrzec Boga i kraju własnego! Schylam też pokornie głowę pod wyrok Boży, co mi dzieciny moje w kwiecie wieku zabrał, żeby je może od większego jeszcze złego uchronić.

Młodzieniec, kornie się schyliwszy, ucałował rękę wdowy, która nad głową jego po macierzyńsku krzyżyk nakreśliła, i wszyscy rozeszli się na spoczynek; tylko gwiazdki migotały nad cichym dworkiem, jak gdyby zajrzeć chciały, co się tam dzieje, mrugając złotemi oczkami.

IV.

Jak wyrusza wojsko tatarskie. — Trwoga i nadzieja. — Krwawa mogiła.

Nazajutrz, gdy się znów całe grono w dworku Gozdawów zgromadziło, ciągnął dalej swe opowiadanie młodzieniec:

— Chmurno jakoś zaświtał drugi poranek niewoli naszej, ale przededniem jeszcze, obudził nas wielki rozruch w koszu tatarskim; musiały nadejść jakieś wieści nowe, dzicz bowiem uwijała się, jak mrowie, a stary szlachcic, co się mną i bratem zaopiekował, wytłomaczył nam, co się święci. Widocznie nas brańców, wraz z wielką gromadą wołów, koni i innego bydła, naspędzanego ze wszech stron, miano prowadzić dalej, ale han

z częścią wojska wyruszał znów na północ, ku Polsce. Robiono przygotowania do pochodu, a rankiem han z wojskiem swojem wyruszył.

Dziwne to jest wojsko! Najprzód niosą owe chorągwie, o których już wspomniałem; dalej przed hanem wiodą kilkanaście pięknych koni. Za hanem, wielki hufiec ludu, a każdy Tatarzyn wiedzie po pięć lub sześć koni za ogony powiązanych. Potem szły działa polowe, z dziesięć może, potem strzelcy z rusznicami i wozy przez owe dromedary ciągnione, a wszystkie o dwóch kołach. Czterech było synów hańskich, a każdy miał swój buńczuk czyli chorągiew z końskim ogonem — u każdego odmiennej sierści. Za nimi dopiero tłum Tatarstwa, a strasznie to wyglądało: odarte, bose, w lichych siermięgach, bez pancerzy, a niejeden, zamiast żelaznej broni, z kością kobylą uwiązaną u kija.

Zatrąbiono jak na psów, uderzywszy wprzód w bęben, zawsze jedną pałką; wtedy cała ta hałastra wrzasnęła straszliwie i rzuciła się, jak chmara dzikiego ptactwa, po zielonym stepie. Brat wylękły tulił się do mnie, a ja, ogłuszony tym wrzaskiem, stałem z oczyma wlepionemi w tę czarną nawałę i patrzyłem, jak gdyby mi dusza za nimi rwała się, tam daleko, do ojczyzny mojej. I teraz zda mi się, że widzę przed sobą tę dziką hurmę i słyszę wrzask ich i te trąby, co uszy rozdzierały... aż powoli, powoli wszystko ginęło gdzieś w oddali i tylko z daleka zalatywały czasem krzyki niesforne, a wkońcu i ucichły zupełnie...

My zostaliśmy z hufcem tatarskim, co nas otaczał wielkiem kołem, ale w drogę się jeszcze nie wybierał. Tatarzy rozrzucili między nas kawały

mięsa końskiego, które z pod siodeł wyjmowali, ale mimo głodu, co nas dręczył, niepodobna było do ust wziąć, tego cuchnącego i wstrętnego, końskim i ludzkim potem przesiąkłego jadła; bojąc się więc, żebyśmy im nie poginęli, pozwolili doić nam mleko krów i owiec, spędzonych z wiosek naszych. Biedne stworzenia także czuły niewolę, bo dziwnie jakoś ryczały i usiłowały rozbiedz się w różne strony, ale je pohańcy spędzali do kupy, bijąc powrozami i łukami swoimi. Jedna krówka padła była w nocy jeszcze; na tę rzucili się pohańcy i rozrywając na sztuki, pożerali to mięso nawpół surowe, przypiekłszy je trochę tylko nad ogniem, rozpalonym z resztek jakichś połamanych sprzętów i skrzyń, które zrabowali; na stepie bowiem trudno o drzewo, i nawet lud tam podobno na paliwo używa nawozu suszonego, co go k i r p i c z e m zowie. Na ten widok takie nas obrzydzenie zdjęło, że niejeden nie mógł przełknąć i tego mleka upragnionego, które mu za jedyny posiłek starczyć miało.

Niezadługo jakoś po wyruszeniu hana dziwny hałas odbił się o uszy nasze; szlachcic przypadł do ziemi, słuchał, a podnosząc się, rzekł drżącym głosem:

— Bracia, módlmy się — to bitwa. Nasi gdzieś musieli dognać Tatarów, już słychać strzelanie, Bóg wiedzieć raczy, co z nami będzie!

Wszyscy, jak jeden człowiek, przypadliśmy do ziemi, nasłuchując. Jakże drżała ona od dalekiego huku i tętentu. Ale pohańce zmiarkowali od razu, co się dzieje i kiedyśmy poklękali, głośno śpiewając „Bogarodzico Dziewico“, zaczęli nas bić i spędzać w gromadę, abyśmy nie zrobili jakich

czarów. Co się wtedy w duszy działo, wypowiedzieć niepodobna! Mówił nasz szlachcic, że to już nieraz bywało, iż hufiec pana hetmana, albo którego z dzielnych panów naszych [1]) dognał pohańców i rozgoniwszy ich, uwolnił cały poczet brańców. Pewnie i Tatarzy o tem pamiętali, bo ich teraz widoczny ogarnął niepokój; jedni pędzili na zwiady, inni coraz ciaśniejszem nas kołem otaczali, groźnie wywijając mieczami krzywymi i powrozy narządzając. Tymczasem mgła gęściutkim deszczykiem na ziemię opadła, niebo się przejaśniło, a słońce, jakby świeżą rosą spłukane, wyjrzało z poza chmur i wysoko strzeliło na nas swemi promieniami.

Już było blisko południa a huk nie ustawał — przeciwnie, nawet zdawał się zbliżać ku nam; mnie serce biło jak młotem, zdawało się, że pierś

---

1) Wieczna cześć się należy tym, co krew swą tam przelewali, co ciałami swemi sypali wał przeciw wrogom. Buczaccy zaczynają ten szereg bohaterów, dalej Odrowążowie, Wiśniowieccy itd. Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski, dognawszy zagon tatarski pod Komorowem 1506 roku, odbił łup wszystek, ubiwszy 2000 pohańców; potem dwaj książęta Ostrogscy Konstantowie, ojciec i syn, codziennie nieledwie wiedli boje z Tatarami; zasłynął Ostafi Daszkiewicz i inni. Za Zygmunta Starego, Stanisław Lanckoroński, Mikołaj Firlej, Bernard Pretwic, uwieńczony w pieśni ludowej, starosta barski i trębowelski („za pana Pretwica, bezpieczna od Tatar granica"). Niewiasty nawet w bojach tych zasłynęły, jak Anastazja księżna Słucka, Katarzyna księżniczka Ostrogska, co z wielu pannami straszne wytrzymała oblężenie w zamku Dubieńskim i Beata Dolska, co w wigilję wesela swego ćmy Tatarów od Dubna odparła. Słynne było zwycięstwo nasze pod Wiśniowcem 1512 roku. straszna klęska pod Sokalem 1519 roku.

rozsadzi. Aż tu widzimy jak kilku pohańców, co się byli oddalali w stronę bitwy, pędzą co koń wyskoczy. Prowadzą ich przeto do najwyższego po hanie rządcy tatarskiego i widać, że ważne musieli przynieść wiadomości, bo natychmiast wielki ruch powstał w koszu.

Strach mówić... dziś mi jeszcze serce zamiera, gdy sobie o tem wspomnę... Tatarzy, wpadłszy między wielki tłum brańców, spędzonych jak owieczki, na kupę ogromną, zaczęli wybierać starszych i słabszych, odprowadzając ich na bok w oddzielną gromadkę. Widziałem, jak pędzili przed sobą kilka kobiet z dziećmi u piersi i rannych, co się ledwie na nogach trzymali. Wreszcie jeden z pohańców zarzucił pęta na szyję naszego szlachcica i wlókł go za sobą; my obaj z bratem uczepiliśmy się jego szaty, ja za powróz złapałem i tak trzymałem mocno, że Tatarzyn, klnąc dziko, zamierzył się na mnie i w zamachu przeciął własny postronek. Tymczasem nasz stary opiekun mówił:

— Dajcie pokój, dziatki, Bóg was nie opuści, a mnie staremu lżej będzie zginąć, niż iść w jasyr. Tylko pamiętajcie, dzieci! Bóg i ojczyzna nadewszystko! Nie dajcie się zbisurmanić! niech was Ojciec Niebieski strzeże na wieki wieków Amen!... i rękę skrwawioną nad naszemi głowami wyciągnął.

I porwali go nam, wlokąc za innymi i wszystkich na jeden powróz ściągając. Patrzyliśmy wzrokiem osłupiałym, nie pojmując, co to będzie... Tymczasem Tatarzy ustawili się w długi rząd i wydali przeciągły, okropny świst... W tej chwili chmura strzał gwizdnęła w powietrzu, a my pa-

dliśmy twarzą do ziemi... Kiedy się podniósłem, nie było już tej gromady jeńców naprzeciw nas; wszyscy leżeli we krwi zbroczeni. Zginęli od strzał tatarskich w jednej chwili, żeby nie przeszkadzać w ucieczce.

Brat mój, gdy podniósł główkę i zobaczył, co się dzieje, padł jak martwy na ziemię; przypadłem go cucić, sam ledwie żywy z przerażenia i grozy. Wokoło nas szlochanie i jęk straszny, a tu pohańce pędzą dalej. Nas dzieci i kobiety na wozy lub na konie wrzucają, resztę na powrozach ciągną, przytroczywszy u siodła. Gdyby nie brat, zdaje się, że umarłbym był z żalu i grozy, widząc, jak za nami zostawała niby mogiła z ciał pomordowanych; wreszcie wszystko znikło z oczu, tylko przed nami i za nami step został niezmierzony.

I znów pędziliśmy aż do nocy, w dzikim pospiechu. Braciszek przyszedł do siebie, ale rzewnie płakał i wołał starego szlachcica, co jak ojciec opiekował się nami. I mnie serce się z bólu krajało, ale pocieszałem brata, jak mogłem. Widzisz, mówiłem, oni teraz wolni, do Pana Boga poszli i może na nas z nieba już patrzą i nic ich nie boli, niczego się nie lękają, tak, jak ci święci Męczennicy, co nam o nich matusia nieraz opowiadała. Kiedym wspomniał matusię, obaj rzewnie płakać zaczęliśmy i wśród tego płaczu Bóg nam zesłał sen twardy znowu, żeśmy na chwilę zapomnieli o trwodze i tęsknocie naszej.

V.

Obyczaje Tatarów. — Najgorsi Nohajce. — Jak żyją. — Co jadają. — Jak wyglądają. — Kotarhy. — Łoszaki.

I ciągnęliśmy stepem coraz dalej a dalej. Tatarzy widząc, że ich mięsa uduszonego pod kulbaką na koniu, brańcy jeść nie mogą, a bojąc się, by nie potracić ludzi, którzy dla nich cenny towar stanowili, zabili kilka owiec i z tych mięso nad ogniem upieczone nam dawali, pozwalając je zapijać mlekiem świeżem.

— A jakże to oni swoje jadło przygotowują? — spytał pan Gozdawa — bo u nas rozmaite rzeczy o tem opowiadają, a nie wiadomo, co prawda, a co fałsz.

— Jużto na Krymie, po miastach, dobrze sobie żyją Tatarzy, i nawet rozlicznych wygód używają; ale te ich hordy, co się tułają po stepach, za Dnieprem, aż po Don i Wołgę, jak „Nohajcy", rozbitki Złotej Hordy, żyją w wielkiej dzikości i barbarzyństwie. Nie orzą ani sieją, nie znają chleba ani jarzyn, za to bydła i wszelkiego dobytku dużo chowają; u jednego bywa po kilkaset owiec, po kilkanaście wielbłądów, po kilkadziesiąt krów, wołów i klaczy. Jedzą chętnie wilki i lisy, które w polach biją. Pieniędzy nie znają, a gdy do nich przybędą Tatarowie z Czerkas z suknem i płótnem, to im płacą sztukami trzody swojej. Najlepsza zwierzyna dla nich, kiedy bydlę padnie. Twierdzą, że to co sam Ałłach (Pan Bóg) zabił, jeść trzeba. Zresztą ze skór bydlęcych robią wory; w te doją mleko klaczy, wielbłądzie, owcze itd., kwaszą je, a po odlaniu serwatki, zgęstniałe na ser, wylewają

na opończę, na której zwykle sypiają i tak to się suszy na słońcu; a jedno i drugie, przechowują na zimę, bo drzewa nie mają, żeby sobie co ugotować mogli, tylko czasem suchą trawę zapalają. Większe kawały mięsa, jak mówiłem, pod siodła kładą, żeby się tam rozparzyło i wymacerowało, a potem ze smakiem jedzą.

— Ach, jakież to szkaradne! — wykrzyknęły dziewczęta.

— To jeszcze nie koniec; kiedy im bydło wyginie od pomoru lub nieprzyjaciela jakiego, to się nieraz zdarzy, że syn ojca zabija i zjada; rodzice zmarłe dzieci z ziemi wykopują i pożerają [1]).

Wszyscy słuchali grozą przejęci, a Gozdawa pytał:

— Czyście to wszystko na własne oczy widzieli?

— A jakże — odpowiedział młodzieniec. — Długiem ja lata między nimi przepędził i bywałem na stepach, w domkach ich czyli namiotach, zwanych kotarchy, co sobie klecą z pilśni owczej lub wielbłądziej ubitej na grube sukno. W lecie i tego nie potrzebują, koczując z miejsca na miejsce, gdzie lepsze pastwisko. Wielki to już pan u nich, gdy

1) Tak opisuje spółczesnych sobie Nohajców Bielski, historyk XVI wieku. Naruszewicz zaś, znakomity historyk z czasów Stanisława Augusta, pisze, że Dżyngis-han takie przepisy zostawił swoim poddanym: „Jeśliś głodny, szukaj posiłku z myśliwstwa i łuku, albo zaciąwszy konia w żyłę krew jego wypij; jeśli chcesz tęższego pokarmu, zrób z owcy pieczenię, podłóż ją pod kulbakę, prędko się ona rozparzy, a ty ją spożyj; jeżeli ci się gdzie zdarzy znaleść gałgan sukna, albo kawał kożucha porzucony, przyszyj go do twojej sukni, choćby nowej, abyś potem naprawki nie potrzebował szukać“ itd.

na dwóch wozach majątek swój i dom wieźć musi, zaprzągłszy wielbłądy lub woły. I konie tatarskie dziwnie wytrzymałe, bez paszy się obchodzą, często poprzestając na liściach suchych, lub korzonkach, z ziemi kopytem wygrzebanych. Konie te, łoszaki, niewielkie, cienkie i długie, niepozorne ale silne, ubiegają i 20 mil na dzień, nie lękając się ani ognia, ani wody. Czasem w polu nad wodą stoi jakaś świątynia pogańska; tu Tatarzy schodzą się i składają bogom na ofiarę pierworodne bydło swoje, połowicę paląc, a drugą połową karmiąc ptaki i różne zwierzęta; stąd wielka tam moc bywa sępów, orłów, kruków itp.

Dzikie te hordy najwięcej szanują hana z Perekopu, co na Krymie siedzi, ale i tego nie zawsze słuchają, więc często musi się im okupywać, albo wojować z nimi [1]) Ci to właśnie Nohajcy, których sporo było w naszym koszu, wymordowali jeńców tam na stepie; nawet wyglądali daleko straszniej od innych, z czarnemi wypukłemi oczyma i głową goloną, na której jeden tylko kosmyk zostawiają, około ucha zakręcony. Twarze ich śniade, szerokie, zęby jak u wilków. Już Tatarzy krymscy daleko więcej do ludzi podobni.

---

[1]) I tak w 1510 roku car krymski dwakroć poraził Tatarów nohajskich nad Donem i zabrawszy 70 000 ludzi, głównie kobiet i dzieci, do hordy swej zapędził, poczem Nohajcy spokornieli.

VI.

Na Krymie. — Przeprawa przez Dniepr. — Gorączka. — Krym. — Niewolnicy tatarscy. — Grody i miasta.

Tymczasem pędzili nas Tatarzy coraz dalej ku południowi. Czwartego dnia, od czasu porwania naszego, o zachodzie słońca, stanęliśmy nad rzekę ogromną, o żółtawych wodach, co się z wielkim szumem rozbijała na kamiennych skałach, przerzynających jej koryto w poprzek niby olbrzymie progi. To były Dnieprowe porohy! Nad brzegiem rzeki zatrzymaliśmy się na noc, ale jakże nam, jeńcom nieszczęśliwym, straszno było myśleć, że to ostateczna ziemi naszej granica! Jutro powloką nas dalej w kraj obcy, straszny; dziś jeszcze, choć w niewoli, ale widzimy wokoło siebie szerokie, bezmierne, jak okiem zajrzeć, stepy Ukrainy. To też wieczorem, przed snem, choć znużeni śmiertelnie, uklękliśmy wszyscy do pieśni nabożnej i całowali z płaczem ziemię u stóp naszych, jak gdyby żegnając ją na wieki.

Nie było już naszego szlachcica, który niby ojciec czuwał nad całą gromadą, ale teraz miejsce jego zajął ksiądz, zakonnik w habicie kapucyńskim, którego jakoś pohańcy oszczędzili, myśląc zapewne, że to czarownik jaki. Bali się dotknąć jego i paciorków, które w ręku trzymał, odmawiając często różaniec, ale pędzili go z innymi w jasyr, gdyż był jeszcze zdrów i silny. On to z rana o świcie i przed nocą, pierwszy intonował pieśń do Bogarodzicy, a wszyscy za nim, kto tylko miał siłę jeszcze usta otworzyć. O świcie Tatarzy za-

częli się gotować do przeprawy przez Dniepr i to bez łodzi i bez mostu żadnego.

— A tom ciekawy, jak sobie poradzili, mości panie? — pytał pan Gozdawa.

— Dziwne oni na wszystko mają sposoby. Oto i teraz, konie wiążąc po kilka i przyczepiając im snopy z trzciny, żeby lżej było płynąć, związywali im ogony razem. Kiedy takie żywe tratwy były przygotowane, co sporo czasu zabrało, zaczęli wsiadać, nas jeńców także powiązanych, na koniach przymocowując, i wybrawszy miejsce, gdzie rzeka mniej bystro pędzi, dziko wrzeszcząc na konie, rzucili się wpław do wody. Pewny byłem, że ostatnia godzina nasza nadeszła, ale i tym razem nas Opatrzność ocaliła. Ile czasu trwała przeprawa — nie wiem, bom ledwie żywy ze strachu, obejmował z całej siły brata, żeby mi się nie wysunął. Wreszcie zmoczeni, zbici, znaleźliśmy się na drugim brzegu. Nie obyło się bez szkody; kilka kobiet z dziećmi utonęło; jedna, jak dziś pamiętam, która omdlawszy, wypuściła z ramion dziecię, kiedy oprzytomniała już na brzegu, skoczyła jak szalona i rzuciła się w rzekę, nim ją Tatarzy pochwycić zdołali.

Bydło powiązane za rogi i ogony, wielkiemi tykami popychali Tatarzy na brzeg, ale wiele się podusiło i pozabijało; te pochwyciwszy, zaczęli po swojemu na jadło przyrządzać. Wozy, o wysokich dwóch kołach każdy, poprzewlekali jako tako na drugi brzeg i tam dopiero, po ciężkiej przeprawie, rozpoczął się popas.

Co dalej było, nie umiem powiedzieć; zziębnięty, przemokły, straciłem przytomność i leżałem w gorączce. To mi się zdawało, że woda zalewa

mi nogi, ręce, szyję, podchodzi coraz wyżej, dusi i pochłania, a ja wyrywałem się i broniłem z całej siły; to znów czułem, jak matka się pochylała nade mną i głowę moją bierze w ręce swoje, ale te ręce jakoś palą, niby ogień, i pali się głowa cała i pęka z bólu strasznego. Musiałem długo tak cierpieć, a oni nieprzytomnego wlekli dalej, coraz dalej.

Kiedyś, pamiętam, otworzyłem oczy. Nade mną braciszek siedzi i płacze, a łzy jego spadają mi na czoło jedna po drugiej i staczają się, jak perły po twarzy mojej. Patrzyłem długo, długo, aż wreszcie wyciągnąłem ręce i zarzuciłem mu je na szyję.

— Ty żyjesz bracie mój! — wołał i płakał mocniej jeszcze, a blada twarzyczka jego tuliła się do mojej — myślałem, że już nigdy na mnie nie spojrzysz, nigdy nie przemówisz swoim głosem prawdziwym, nie tym okropnym, którym wołałeś pierwej i matusi i tatka, to znowu groziłeś pohańcom — i całował biedactwo moje ręce, a ja się wpatrywałem w jego wychudzoną, białą twarzyczkę i zdawało mi się, że to jeden z tych aniołków, co je na obrazku w kościele widywałem.

— Gdzież my jesteśmy? — pytałem — co się stało? Wokoło nas zielona równina, ale to już nie step, bo w oddali widzę pagórki, a tuż obok jakieś dziwne domostwa, jakich nigdy oczy moje nie widziały przedtem. A powietrze dziwnie ciepłe i miłe; wietrzyk orzeźwiający od wschodu zawiewa, słońce czerwono zachodzi gdzieś za górami.

— Jesteśmy w Krymie — brat odpowiada.

Nieraz w bajkach słyszeliśmy o tym Krymie, gdzieś nad morzem, gdzie to zimą, zamiast śniegu, róże zakwitają i w pieśniach śpiewaliśmy o zielo-

nym Krymie za Perekopem, a teraz tam nas Tatarowie w jasyr zawiedli! Tam kraj piękny i grodów dużo stoi, co je pohańcy innym ludziom poodbierali: Kaffa, nad samem morzem Czarnem, Bakczysaraj, i blisko Kaffy gród wielki i piękny, co się Krym zowie, a od niego i cały półwysep tak nazwany. Ten półwysep, wkoło morzem oblany, wąskim tylko paseczkiem ziemi [1]) lądu się trzyma.

Kiedyśmy przez ten przesmyk jechali, nic nie widziałem, bom w gorączce leżał na wozie, ale brat mi mówił, że po obu stronach widać było morze szerokie bez końca, co się od słońca srebrzyło i szumiało mocno, a środkiem szedł pas ziemi zielony, niby wstęga i ten nas zawiódł do Krymu. Tu zaczęli Tatarzy rozdzielać jeńców; jednych kałga, co w nieobecności hana całą gromadą dowodził, rozdawał po dwóch, po trzech i więcej swoim Tatarom, żeby im po wsiach służyli, na nich pracując. Innych pędzono do miast, żeby ich stamtąd na sprzedaż do Carogrodu wyprawiać. Nas obu z bratem zatrzymał dla siebie jakiś urzędnik kałgi, i ten nas do swojej zabrał osady.

Na Krymie wielka moc żyje niewolników, co koło roli dla panów swych pracują, bo Tatar, lichy rolnik, pracować nie lubi, tylko do wojny i rabunku skory. Żyją tam w niewoli i Włochy, co dawniej swe osady [2]) mieli na półwyspie i Gruzińcy i Czerkiesi z pod gór Kaukaskich, ale najwięcej naszych Polaków i Rusinów, szczególnie

---

[1]) Ten pasek ziemi zwie się „Perekop".

[2]) Przed samą nawałą mongolską cały półwysep należał po części do Greków a w drugiej części do Włochów. Chodziło im tu głównie o handel ze

z ludu prostego. Ze szlachty mniej się tam dostawało, bo ginęli w obronie po większej części, a niejeden znów bywał wykupiony przez rodzinę, co się do ostatniego ściągała, byle ojca czy brata oswobodzić z jasyru; ale biedniejsi, nie mogąc złożyć drogiego okupu, do śmierci zostawali w niewoli pogańskiej. Smutno powiedzieć, ale wiele, zwłaszcza z ciemnego, nieoświeconego ludu, zapomniało o Bogu i ojczyźnie, zapomnieli języka swego; żenili się tam, a dzieci ich, nie pomnąc już nawet na pochodzenie ojców, szły nieraz z Tatarami rabować macierzystą ziemię.

U naszego pana, co się zwał Edyga-bey, dużo było rozlicznych niewolników. I nie można powiedzieć, żeby ci pohańcy bardzo ich dręczyli; męczą co prawda tych, od których się spodziewają okupu, żeby tem mocniej nalegali na swoich o przysłanie pieniędzy i kosztowności, ale z innymi nieźle się obchodzą, i nawet czasem wolność im darują, bo to ich religia zaleca. To właśnie bieda, że wszystkich do tej swojej wiary nawracać chcą gwałtem i niejednemu srogie męki zadają, żeby od niego wymusić wyrzeczenie się Chrystusa Pana.

Między niewolnikami Edyga-beya znajdował się człek już niemłody, który od lat wielu w jasyrze zostawał. Oswoił się już widać z własnym losem i smutny był, ale spokojny, a Tatarowie szanowali go wielce; miał też nadzór nad wszyst-

---

Wschodem czyli z Azją. W Kaffie głównie panowali Genueńczycy, rozciągając handel swój aż do Chin i Indji. Oprócz nich Wenecja i Piza miały na pobrzeżu krymskiem swoje osady.

kimi niewolnikami pana swojego. Zmiarkowaliśmy wprędce, że nam sprzyja, choć się na razie do nas nie zbliżył, a tylko w czasie choroby mojej, jak mówił brat, często w nocy nawet przychodził i jakieś mi zioła przykładał i napoje chłodzące dawał.

Kiedyś, pamiętam z rana, o wschodzie słońca, przyklękliśmy oba i według zwyczaju, śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy; wtem nadchodzi stary z rzemienną pletnią, którą miał niewolników do pracy naganiać; groził nią też nieraz i krzyczał, ale rzadko się zdarzało, żeby kogo uderzył. Teraz rzucił okiem na nas obu, przystąpił i słuchał z daleka pieśni; kiedyśmy skończyli, patrzę, a jemu po ciemnej, opalonej twarzy, płyną dwie grube łzy, aż na siwą brodę. Zbliżył się, położył mi rękę na głowie, a brata po jasnych włosach pogładził, ale nie rzekł ani słowa i jak zwykle, naznaczył nam robotę w winnicy, na Krymie bowiem piękne dojrzewają winogrona. Wina jednak Tatarowie nie piją, bo im prorok ich, Mahomet, którego wiarę wyznają, zabronił używać tego napoju.

— Mądry to był człowiek, ten Mahomet — wyrzekł pan Gozdawa — że bestyjstwu temu napitków gorących zabronił. Już i tak dzikie to, jak zwierz leśny, cóżby dokazywali, gdyby się jeszcze zapijali!...

— I wieprzowiny im także jeść niewolno, bo to ma być nieczyste zwierzę.

— Pewno, mości dobrodzieju, czyściejsza ta konina zdechła, którą pod siodłem wyduszą, od naszej kiełbasy, abo schabu ze śliwkami! Głupi naród, że się na tem nie zna. Ale mniejsza o jadło; gadajno waćpan, coś tam więcej między tem plu-

gawem tatarstwem widział i słyszał, boś się przecie i ich języka nauczyć musiał?

— A jakże, tylko to nie tak łatwo poszło. Pracy zbyt ciężkiej nie mieliśmy, najwięcej, jak mówiłem, koło winnicy; potem przy dojeniu owiec, których moc wielką Tatarowie trzymają, bo oprócz mleka potrzebują ich wełny na odzież swoją; okrywają się zwykle białą opończą z wełny owczej lub ciemną, z wielbłądziej sierści ubitą.

Niedaleko siedziby Edygi był wielki gród, Krym [1]) tak wielki, że jeździec na dobrym koniu, zaledwie w pół dnia mógł go objechać, a stały tam piękne gmachy i nawet szkoły. Meczet też, czyli świątynia tatarska, zdobny był marmurem i purpurą. Do tego Krymu przybywali kupcy aż z Azji, z Chiwy [2]), wioząc rozmaite zamorskie korzenie, drogie futra, materje jedwabne itp. Mieszkańcy tego grodu, skąpi a chciwi, złoto do skrzyń zamykali, biednym nic nie dając, a tylko z pobożności meczety wspaniałe budowali. Han jednak nie tu mieszkał; dawniej przebywał, gdzie mu się podobało: w Kaffie, Karazubarze itp., ale mężny han Mengli-Girej, który tam teraz jeszcze panuje, osiadł w Bachczysaraju, nad rzeką Czuruku, na południu półwyspu i tam teraz jest stolica państwa Tatarskiego na Krymie.

— Oj! dzielny to musi być ów Mengli-Girej, bo się naszym nieraz dał we znaki — rzekł pan Gozdawa.

---

1) Miasto Krym było stolicą półwyspu; do dziś dnia oglądać można zwaliska grodu tego.

2) Chiwa jest kraj w Azji Środkowej, który był dawniej pod panowaniem Tatarów a od roku 1873 pod panowaniem Rosji.

— Tatarzy go czczą, jakby jakiego półboga, ale bo też on wiele dokonał w swem życiu, i teraz jeszcze, choć podeszły w wieku, nie siedzi bezczynnie. Sam sułtan turecki w Carogrodzie bardzo go szanuje.

— A sułtana waćpan nie widziałeś też przypadkiem? — pytał Gozdawa.

— Na szczęście moje do tego nie przyszło, choć już blisko było. Tatarowie bowiem mają zwyczaj, wybrawszy co najdorodniejsze z pacholąt chrześcijańskich, wyprawiać takowe jak bydło na targ, do Carogrodu, albo posyłać w podarku możnym dostojnikom tureckim, którzy ich poturczywszy, do służby swej używają, albo do wojska przysposabiają. Nie jeden doszedł do wysokich zaszczytów i bogactw, zapomniawszy ojczyzny i Boga, a setki ich co rok idą do szkół tureckich, gdzie ich do wojska sposobią. I nas pewno byłby Edyga-bey wyprawił do Turcji, ale żeśmy strasznie byli wynędznieli, chciał nas trochę odżywić i czas jakiś na Krymie zatrzymał.

VII.

Szlachta tatarska. — Mały Tatarzyn i psoty jego. — Prześladowanie. — Mały męczennik.

— Pan nasz, Edyga-bey, należał do szlachty!

— Alboż to i te pohańce są szlachcicami! Tfu, co waćpan gadasz? — zawołał z oburzeniem pan Gozdawa — a skądże to oni nabyli to szlachectwo? Czy z tego, kto więcej bydła ukradnie, albo ludzi niewinnych namorduje?

— A jednak — ozwał się młodzieniec — i oni mają swoją szlachtę, potomków starych rodzin, która jeszcze z Dżyngis-hanem z Azji przywędrowała; zowią ich „Mirzami“ [1]). Takich rodzin jest już tylko pięć, ale bardzo rozgałęzione, wielu mają członków. Z rodzin Mirzów nieraz hanowie panujący z rodu Girejów, wybierają sobie żony, czyli raczej niewolnice. Są znów cztery rodziny starożytne „Ulemów“, to jest szlachty duchownej, a z tej pochodzą kapłani i uczeni, strzegący miejsc świętych i klasztorów, do których lud tatarski pielgrzymki odbywa.

— Co waść prawisz? U Tatarów święte miejsca i klasztory! Słychać i u nas wprawdzie o pogańskich świętych, ale to tylko o tureckich i ci pono nieszczególnie wyglądają, jak mówi nasze przysłowie: „Goły, jak święty turecki“.

— Pewno, że to nie są Święci prawdziwi, jak u nas, ale Tatarzy im się kłaniają i do nich się modlą, a nawet obfite składają ofiary w świątyniach, czyli meczetach. Zaś ich zakonnicy, czyli derwisze, umartwiają się srodze, palą się ogniem i krają ciało brzytwami. Na odzienie, co prawda, niedużo wydają, a mydła i szczotki, to już nie znają z pewnością; dość na nich spojrzeć, żeby temu uwierzyć. O jedzenie żebrzą, a resztki ubogim oddają. Oprócz rodzin tych dawnych Mirzów i Ulemów, jest jeszcze inny rodzaj szlachty, który się tego stanowiska dorobił, sprawując rozmaite urzędy; tych mniej szanują w Krymie i zowią ich

---

[1]) Mirza albo Missa oznacza właściwie tyle co syn Emira albo Knicia. W obecnych stosunkach odpowiada temu tytuł turecki „Effende“.

„Kapikulisami“. Ma się rozumieć, żem się o tem wszystkiem później dopiero dowiedział.

Otóż Edyga-bey był z Kapikulisów, miał dwór obszerny, nawet ze szklanemi gdzieniegdzie szybami, które Tatarzy możniejsi od kupców weneckich nabywali; posiadał dużo gruntów i te mu niewolnicy uprawiali. Żon miał pewnie z piętnaście, sporo córek i kilkunastu synów, małych chłopaków, którzy się najbardziej wszystkim we znaki dawali, a szczególnie jeden, wielki ulubieniec ojca, Adżi, silny i dziki jak drapieżne zwierzę. Wymyślał różne złośliwe psoty, z których jednę najlepiej pamiętam. My, jeńcy, sypialiśmy w wielkiej szopie, licho z gałęzi i trzcin skleconej, bo w tatarskich ziemiach drzewa mało, gdzie więc nie budują domów z kamienia, to żyją w namiotach z pilśni, czyli w szatrach nędznych.

Otóż jednej nocy, kiedyśmy obaj z bratem ułożyli się na sianie w kąciku szopy i smacznie usnęli, napracowawszy się przez dzień cały, a potem napłakawszy się, jak zwykle, przy wieczornej modlitwie, czuję, że mię coś dusi i oddech tłumi, gorąco straszliwe, szum jakiś... wreszcie zrywam się, a tu nad nami dach płonie, dym bucha kłębami i oczy wygryza, że widzieć nic prawie nie można. Krzyknąłem gwałtu, a tu zrywają się i inni; popłoch, krzyk i ledwieśmy żywi uszli, a niejeden poparzony, z opalonemi włosy. Cóż się pokazało? To sprytny Adżi z kilku braćmi ogień podłożyli na czterech rogach dachu, i chcieli nas żywcem upiec. Jakże się ojciec śmiał, podparłszy się grubemi pięściami pod boki, mówiąc, że z Adżiego będzie kiedyś dzielny seraskier, czyli wódz plemienia tatarskiego.

Kiedyś znów mądry Tatarzynek wrzucił psa swego do kotła z mlekiem owczem, które dla nas do jedzenia przygotowane było. I tak nie było prawie dnia, żeby czego nie spłatał na krzywdę ludzką. Brata mego zawsze lubił targać za długie jasne włosy; ale kiedy dnia pewnego całą garść mu ich wyrwał, a biedny Stasiek aż pobladł z bólu, ja, choć mniejszy od Tatarzyna, jakem go schwycił za gardło, to padł na ziemię i wyrwać się nie mógł. Nie wiem, coby się dalej stało, lecz nadbiegł nasz nadzorca, ów stary, o którym mówiłem, i mnie odrzucił, a Tatarzynowi, za ramię ująwszy, tak coś nagadał po tatarsku, czego jeszcze wtedy dobrze nie rozumiałem, że uciekł i długi czas do nas się nie zbliżał, tylko z daleka, nienawistnem z podełba rzucał spojrzeniem...

Kiedyś, pamiętam, było to pod jesień i zbliżało się jakieś wielkie święto tatarskie, Edyga-bey z synami wybierał się do meczetu w sąsiednim grodzie; kobiety tylko zostawały w domu, bo im do meczetu wchodzić niewolno, ani się modlić, ponieważ, według wiary Mahometan, duszy nie mają. Pewnego rana Kubalim, nasz nadzorca, kazał nam się ubrać w nowe opończe z białego sukna, w obuwie ze skóry cielęcej i na głowy włożyć barankowe czapeczki z okrągłem denkiem, jakie noszą Tatarzy. Nie wiedzieliśmy, co to ma znaczyć, ale ucieszyliśmy się, osobliwie Stasiek, bo dotąd obdarto i boso musieliśmy chodzić, a nogi mieliśmy pokaleczone i niezahartowane jeszcze wcale. Kiedy jednak Kubalim kazał nam iść do pana, spytałem go, coby to znaczyć miało. Odrzekł, że wolą Edygi-beya było, abyśmy razem z nim wybrali się do meczetu i tam uczyli się mahometańskich

modlitw i obrzędów. Spojrzałem na Staśka, który nic nie rzekł, ale zrozumieliśmy się i bez tego.

— Powiedzcie — odezwałem się do Kubalima — że do meczetu pójść nie możemy, bośmy chrześcijanie i nigdy nimi być nie przestaniemy.

Stary pokiwał głową i odszedł, ale za chwilę nadbiegł Tatarzyn jakiś od pana i porwawszy nas obu za uszy, powlókł do izby pańskiej. Edyga-bey, tłusty bardzo i niemłody już człowiek, siedział na macie plecionej na ziemi, jak to u nich zwyczajem, i palił fajkę. Zmarszczył się srodze, spojrzawszy na nas i krzyknął:

— Wy psy, giaury [1]), do meczetu i obmyć się z grzechów!

Nasz Tatarzyn rzucił był nas obu od razu plackiem do ziemi przed obliczem pana, bo u Mahometan taki zwyczaj, że biją pokłony przed swym przełożonym, jak my tylko przed Panem Bogiem, ale teraz staliśmy już na nogach, pokłoniłem się więc Edydze i powiedziałem spokojnie:

— Każ nam, panie, pracować, a będziemy, ale do meczetu nie pójdziemy, bo się nam nie godzi wiary naszej wyrzekać.

Edyga poczerwieniał jak burak, na żółtej twarzy swojej i skinął na sługi. Dwóch pachołków tatarskich porwało nas i wywlókłszy z izby, zaczęło nas ćwiczyć trzcinami. Zacisnąłem zęby, żeby nie krzyczeć, ale kiedy Stasiek biedactwo jęknął żałośnie, to mi o mało serce nie pękło z bólu. Wolałbym był, żeby mnie na sztuki rozsiekali, jak

---

1) Giaurami przezywali mahometanie wszystkich, którzy nie byli tej samej wiary co oni, a zwłaszcza chrześcijan.

żeby jego kaleczyć mieli; ale on potem ucichł i już go nie słyszałem.

Kiedy bić przestali, spojrzałem na brata, który leżał blady, jak ten marmur z krymskich meczetów i jakby nieżywy. Rzuciłem się na niego, krzycząc i szlochając, całowałem usta jego i rączki; po chwili oczy otworzył i przez łzy spojrzał na mnie. Byłbym tych katów szarpał zębami za to, że mi brata męczyli, ale Kubalim stał już nad nami blady i kazał obu nas zanieść do szopy, a sam do izby pańskiej wkroczył. Co tam było, nie wiem; musiał coś za nami przemówić, bo już nas nie bili dnia tego i przynieśli jedzenie w glinianej misie, ale wstać żaden z nas nie mógł. Tuliłem brata do siebie i płakałem nad nim, opatrując sine pręgi, jakiemi był okryty i własnego bólu nawet nie czułem. On zaś mnie pocieszał; zawsze był bardzo spokojny i teraz mówił:

— Widzisz braciszku, chcą z nas zrobić męczenników za Wiarę świętą, trzeba cierpieć a Bóg nas nagrodzi w niebie i Matka Najświętsza, co mi się tej nocy objawiła w niebieskim płaszczu ze srebrnemi gwiazdami, a promienie biły od Jej głowy.

I rozmawialiśmy długo, postanawiając nie dać się pohańcom, choćby nas na sztuki mieli rozerwać; ale jak pomyślałem, że mi Staśka katować będą, to mi się serce krwawiło.

Wdowa, słuchając tego opowiadania, zalewała się łzami i dziewczęta także, wreszcie odezwała się:

— To jakbym widziała moje własne dzieci. I moje biedactwa od niewiernych zginęły — do-

dała. łkając cicho — i mój był Stasiek kiedyś, kiedyś...

Pan Gozdawa, także wzruszony stał i rzekł do młodzieńca:

— Nie mówcie już dzisiaj więcej, proszę was. Moje baby się rozbeczały a wam, pani bratowo, tego nie potrzeba; i tak jużeście ledwie oczu nie wypłakali nad swojemi; teraz pomódlcie się i dobrej nocy.

VIII.

Opiekun odjeżdża. — Szatański pomysł małego Adżi. — Sen.

Nazajutrz wdowa tak się czuła osłabioną po wzruszeniu wczorajszem i nocy bezsennej, że z łóżka wstać nie mogła. Młodzieniec nie chciał przy niej dalszych swych przygód opowiadać, żeby się nazbyt nie zmęczyła, ale że reszta towarzystwa ciekawą była serdecznie tego, co się dalej działo, zasiedli pod wieczór wszyscy, prócz wdowy, przed dworkiem w sadzie i młody braniec mówił co następuje:

— Rano, zaledwieśmy się pobudzili, stanął nad nami Tatarzyn, od pana przysłany, żebyśmy szli do meczetu, co usłyszawszy, pokazałem mu krwawe pręgi na plecach brata i swoich i powiedziałem, że nie możemy iść nigdzie. I tak jeszcze dzień przeszedł, nie pędzono nas do roboty, dano misę mleka i kilka z prosa wypiekanych placków, które bairami nazywają, a nazajutrz raniutko przyszedł Kubalim i namawiał, żebyśmy do meczetu poszli. Tłomaczył, że Edyga ma nas posłać do Carogro-

du, gdzie nas i tak zmuszą do przyjęcia wiary mahometańskiej, lepiej więc od razu zgodzić się, niż cierpieć napróżno prześladowania rozmaite. Odpowiedziałem, że obaj z bratem gotowi jesteśmy znieść wszelkie męczarnie, ale od wiary nie odstąpimy; może się Pan Bóg zlituje i śmierć ześle, ale poturczyć się nie damy, wolimy tu cierpieć, niż potem na tamtym świecie, gdzieby się nas wyparł ojciec rodzony, który padł krwią oblany i zamordowany od pohańców, i matka by nas przeklęła na wieki. Nieraz nam ona opowiadała o dziadku, któremu Tatarzy oczy wypalili w niewoli, żeby się ich prorokowi pokłonił, a on nie uległ, i Bóg mu dał tę łaskę, że choć stary i ślepy, powrócił wkońcu do swoich i był od nich czczony, jakby święty Męczennik jaki.

Słuchał stary, nic już nie mówiąc, wreszcie podniósł się i poszedł znów do pana. Przez cały dzień dali nam pokój, ale do jedzenia dostaliśmy tylko placek owsiany i wody trochę. Ja wstałem i poszedłem do roboty, ale braciszek nie miał siły ruszyć się ze swego kącika. Na trzeci dzień rano Kubalim przyszedł i powiedział nam, że się wybiera w daleką podróż, w stepy, zbierać daninę, którą jakieś pokolenie Nogajców ma składać dwa razy do roku Edydze-beyowi; zalecał, żebyśmy byli posłuszni i dodał, że przecież nie zaszkodzi pójść do meczetu, a potem możemy pomodlić się po naszemu w kąciku, gdzie nikt nie widzi. Nie chciałem nic mówić przy Staśku, lecz poszedłem za starym i błagałem, by się nami zaopiekował i wyjednał u pana, żeby mi brata męczyć nie kazał. Ja starszy i silniejszy, to więcej zniosę, ale on biedactwo już i tak ledwie żyje, a płacze no-

cami i tęskni za matusią i za ojczyzną naszą. Zadumał się stary, a po chwili odpowiedział, że nas już bić nie będą, za to on ręczy, bo musiał mu to Edyga przysiądz, ale trzeba choć trochę pana złagodzić uległością naszą. — I wyjechał w drogę nadzorca nasz z wielbłądami i sporym pocztem tatarskim, zaś około południa Edyga-bey kazał nas prowadzić do izby swojej, gdzie znów siedział, fajkę paląc, a obok niego Adżi, z kociemi oczyma błyskającemi z pod grubych powiek.

— Jutro pójdziecie do meczetu — powiedział — dostaniecie kaftany czerwone i pasy ze złotą frendzlą, i łakoci rozmaitych, tylko bądźcie posłuszni.

A tu na dużej tacy postawił niewolnik na ziemi, jak to zwyczaj u Muzułmanów, rozmaite tureckie konfitury, jak ajwa[1]) i bakalje rozmaite, a pan wskazał palcem, żebyśmy sobie brali; drugi niewolnik przyniósł pysznie haftowane kaftany, pasy i zawoje tureckie, które położył na kobiercu koło pana. Stasiek blady ścisnął mnie za rękę, ale nic nie mówił i do łakoci ani się schylił. Ja pokłoniłem się do ziemi i rzekłem:

— Panie, daj nam chleb czarny i kawał grubego sukna do okrycia, każ nam wodę nosić i ogród twój kopać, ale nie każ nam wyrzekać się Boga naszego.

— Ach, wy psy niewierne! — krzyknął — tak wy cenicie moje dary?

Skinął na sługi, którzy nas porwali z izby, ale widziałem, że Adżi coś do ojca gadał i śmiał się, szeroko usta otworzywszy, że mu zęby, jak

---

[1]) Rodzaj białego ciasta słodkiego z orzechami.

u wilczka młodego sterczały. Potem wybiegł i coś poszeptał ze służbą. Staliśmy, nie wiedząc co z sobą począć, gdy po chwili dwóch pachołków, wziąwszy powrozy, przywiązało nas do słupa, który stał wbity na podwórzu do przywiązywania koni tatarskich. Myślałem, że nam głowy utną i zaczęliśmy z bratem cicho odmawiać: „Zdrowaś Marjo", polecając dusze nasze Bogu; ale to co innego się przygotowywało!

Adżi pobiegł i wrócił wkrótce, trzymając swój mały łuk i strzały; stanął opodal i zaczął mierzyć. Świsnęła strzała w powietrzu, a dziki malec wydał krzyk radości, bo jego strzała utkwiła mi w nodze nad kolanem. I znów mierzył; rzuciłem się pomimo więzów, żeby sobą brata zasłonić, ale druga strzała, przeleciawszy mi koło ucha, minęła nas tym razem. Adżi jednak nie zmęczył się tak prędko, brał coraz nowe strzały i ciskał je, dopóki nie zobaczył, żeśmy obaj pokaleczeni i krew obficie spływa. Stasiek blady stał i modlił się tylko; ja z gniewu zaciskałem pięści i targałem więzy, że aż mi się w ciało wpiły.

— Pójdziecie do meczetu, psy niewierne? — krzyknął malec.

Nic nie odpowiadaliśmy, a tymczasem wyszła z budowli stara Tatarka jakaś i zaczęła do siebie wołać Adżiego, pokazując mu figi i inne owoce; popędził za nią, a nas tymczasem odwiązali pachołcy i zaprowadzili do szopy. Był to czas spoczynku brańców; wszyscy nas otoczyli i wyjmowali strzały i całowali, obmywając rany nasze. Stasiek dziwnie był spokojny i jakby świętość jaka biła mu od twarzyczki bladej.

— Nie boli, braciszku — mówił, słodko się

uśmiechając — nie boli już. Pan Jezus na krzyżu więcej cierpiał niż my.

Wieczorem zaprowadzono nas do lochu, jaki był pod szopą, gdzie przechowywano winogrona i inne owoce. Tam na garści słomy legliśmy obaj i usnęliśmy tak twardo, żeśmy zapomnieli o bólu i ranach naszych, a we śnie zdawało mi się, że widzę dziadunia tego, któremu oczy powypiekali; tylko zamiast nich miał dwie gwiazdy prześliczne a włos srebrzysty, rozwiązany na głowie. Tulił on do siebie Staśka, któremu tak samo dziadek we śnie się pokazał, jak mi z rana o tem opowiadał.

IX.

Jasny promyk. — Mira. — krzyżyk. — Nie upadamy na duchu.

Musiał już być dzień, chociaż w naszej ciemnicy widać tego nie było, kiedy odwalono ciężkie drzwi, które z góry loch nasz zamykały; błysnął światła promień i po schodach zsunęła się postać jakaś; nie był to żaden z nadzorców, ani niewolników Edygi-beya, ale coś, co leciuchno stąpało, białą osłonione szatą, Stasiek, który mi właśnie opowiadał o śnie swoim, otworzył szeroko oczy, błyszczące od gorączki i szepnął:

— Widzisz, braciszku, Anioł Stróż do nas zstępuje.

Nie Anioł to był jednak, tylko jedna z dzieweczek Beya, chowana z wielu innemi w haremie [1]). Często ona zbiegała do ogrodów, kiedyśmy

[1]) Tatarzy bowiem bogatsi, tak jak i Turcy, ma-

tam byli zajęci pracą i wyścigając się z siostrami, zawsze umiała zbliżyć się do nas i albo słówkiem się miłem odezwała, albo łakocie jakie pokryjomu Staśkowi rzuciła. Teraz, nie wiem już jakim sposobem, potrafiła wymknąć się z haremu i przychodziła do nas potajemnie. Czarne jej oczki zalały się łzami, gdy zobaczyła nas obu na słomie leżących, zakrwawionych i wybladłych po wczorajszej męce. Małe strzałki Adżiego nie zadały nam wprawdzie ran niebezpiecznych, ale boleśnie pokaleczyły w wielu miejscach, a upływ krwi osłabił szczególnie Staśka, który zaledwie główkę mógł podnieść. Mira, tak było na imię dzieweczce, uklękła i małą rączką zaczęła wydobywać z węzełka owoce słodkie, placki z białej mąki, a nawet czarkę sorbetu [1]) chłodzącego, którą przy niej wypić musieliśmy. Potem cichutko wysunęła się z ciemnicy, a ktoś, co na górze czekał, spuścił drzwi, dzielące nas od reszty świata.

I tak przeszło dni wiele; nie męczono nas już, ale nie wypuszczano z więzienia, za całe pożywienie dając dzban wody i placek owsiany, który nam co rano stróż Tatar do lochu przynosił. Ciężej byłoby nam znosić to więzienie, gdyby nie to, że słabość i tak nie dozwalała się ruszać z miejsca. Najprzykrzejszy był brak światła, ale oczy nasze powoli i do tej ciemności nawykły. Codzień też, tylko nie rankiem, jak po raz pierwszy, ale nad wieczorem, niby promyk słońca, w białej swej

---

ją swoje haremy, gdzie ich liczne żony i niewolnice mieszkają zamknięte.

[1]) Sorbet jest to napój z soków owocowych i cukru, zaprawiany wonnościami. Używa się tego napoju ogólnie na Wschodzie.

szacie wsuwała się Mira, niosąc słówko pociechy, żywność i balsam jakiś, którym rany nasze drobnymi paluszkami nacierała. Czasem przesiadywała i dłużej, a wtedy musieliśmy jej opowiadać o naszym kraju, o rodzicach, o Bogu naszym, o Jezusie Chrystusie, co był kiedyś na krzyż przybity i srodze cierpiał, aby nas ludzi cierpliwości nauczyć.

To ostatnie szczególnie kazała sobie wiele razy powtarzać i płakała rzewnemi łzami, słuchając, jak Jezus był biczowany i męczony i jak wśród tego modlił się do Ojca Swego w niebie za katów Swoich. A kiedy jej Stasiek pokazał wizerunek Zbawiciela na krzyżyku, który nosił zawsze na szyi to go całowała i wpatrywała się weń długo. — Ona znów opowiadała nam o swej matce, która była Czerkieską, z dalekich stron przywiezioną i często płakała i tęskniła za ziemią rodzinną, nie mogąc się przyzwyczaić do więzienia swego, choć już lat tyle w niem spędziła. Sama z haremu wyjść nie mogąc, chyba do małego, murem otoczonego ogródka, długie godziny nieraz opowiadała córeczce o kraju swoim, pięknej Gruzji, gdzie dziewczęta jak sarneczki po górach się wspinają i żyją na słońcu wśród róż, pod nieba błękitem dopóki zły człowiek nie wpadnie i nie porwie której, by ją sprzedać później w Carogrodzie. I ją tak kiedyś do stolicy Turcji zawieziono, gdzie na targu kupioną została przez jakiegoś tureckiego oficera ze straży sułtańskiej, który darował ją później przyjacielowi swemu Edydze do Krymu. Biedna Gruzinka, sama niewolnica i wygnanka, nie pocieszyła się, jak jej towarzyszki, zjadaniem smacznych łakoci i strojeniem się

w wonne paciorki i materje złotolite; nie, ona tęskniła i płakała zawsze, a litość miała nad wszystkimi jeńcami. Za jej to namową mała Mira, mniej pilnie strzeżona, wymykała się z haremu i nieraz nosiła nieszczęśliwym, jak oto teraz nam, żywności podarki, pocieszając ich słowem i widokiem swoim. Litowała się dziewczynka nad niedolą naszą i z początku zrozumieć nie mogła, dlaczegośmy się wzbraniali pójść do meczetu, Ałłachowi się pokłonić.

— Gdyby wasz Bóg był dobry — mówiła — nie pozwoliłby was tak męczyć w tym lochu; spróbujcie, może Ałłach lepszy będzie!

I dopiero musieliśmy jej tłómaczyć, o ile potrafiliśmy w tatarskiej mowie, której nie znaliśmy dobrze, jak to Bóg prawdziwy jest miłosierny, jak nieszczęśliwych kocha, jak za wszystkie cierpienia wynagradza potem w niebie, jak swoją wiarę i kraj rodzinny kochać każe i nigdy się, nigdy, tej miłości nie wyrzekać. Stasiek szczególnie, kiedy mówić zaczął, to mu się twarzyczka tak rozpromieniała i oczy błyszczały świętym jakimś anielskim ogniem, że ja sam z podziwem patrzyłem na niego, nie rozumiejąc, skąd mu taka siła i wymowa przychodziła. Mira, wpatrzona w niego, słuchała zadumana, a czasem duże oczy jej czarne we łzach tonęły.

Raz, pamiętam, ukląkłszy na słomie i złożywszy wychudzone rączki, zaczął cichym lecz dźwięcznym głosem pieśń do Bogarodzicy i ja z nim głos mój połączyłem, a Mira padłszy na kolana obok nas, z oczyma w niebo wzniesionemi, zdawała się łączyć z modlitwą naszą. Gdy

umilkł drżący głos Staśka i on znużony usunął się na posłanie, dziewczynka zawołała:

— I ja z wami mówić chcę do Boga waszego! i ja chcę pójść do nieba i widzieć Chrystusa i Matkę Bożą. Uciekajmy daleko, daleko, gdzie nas ani Edyga-bey nie dogoni, ani Ałłach nie zobaczy; tylko mamę moją weźmy, bo i ona także chciałaby widzieć Chrystusa. Sama mi to mówiła wczoraj wieczorem, kiedy gwiazdy świeciły na niebie! Uciekajmy!

Łatwo to było powiedzieć, ale jak tu myśleć o ucieczce? Ja chodziłem już po więzieniu naszem, ale Stasiek ledwie się podnieść mógł i gdybyśmy nawet z pomocą Miry wyjść mogli z lochu, to cóżbyśmy dalej zrobili, otoczeni dzikimi Tatarami, w kraju obcym i nieznanym? Trzeba więc było znosić i cierpieć, a dziwną nam jakąś siłę Bóg dawał. Nie upadaliśmy na duchu; leżąc na słomie jeden obok drugiego, przypominaliśmy sobie zagrodę rodzinną i głos matki kochanej, jak to z nami co wieczór odmawiała pacierze przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym lampka dniem i nocą płonęła. Wspominaliśmy ojca, który zerwał karabelę ze ściany, gdy się trwoga tatarska w naszej wiosce wszczęła, a potem padł krwią zalany i już go nie widzieliśmy więcej. Siostrzyczkę małą w kołysce, i nawet lipy w sadzie... wszystko nam przed oczyma stanęło, a potem we śnie widzieliśmy ich znowu i Matkę Bożą, która nas płaszczem Swym niebieskim, gwiazdami zasutym osłaniała.

— Nasi wszyscy już pewno w niebie — mówił Stasiek — bo ich pohańce męczyli. Żeby to i nam pójść za nimi!...

A mnie trwoga przejmowała, patrząc na wątłą i codzień słabszą postać braciszka, na oczy jego coraz większe, błękitne, we łzach pływające, a tak często ku niebu wzniesione. Ja wolałbym był jeszcze wyrwać się z tej niewoli i z nim razem lecieć tam do domu, do ziemi rodzinnej, i wyszukać matusię naszą, bo ona przynajmniej żyła, myślałem sobie, i ciągle miałem jakąś nadzieję, że nam kiedyś lepiej będzie.

Tymczasem jednego wieczora przybiegła Mira łzami zalana i powiedziała, że już więcej przychodzić nie może, bo wrócił Kubalim z wyprawy w stepy i odtąd on będzie miał nadzór nad niewolnikami, zamiast starego Tatarzyna, który ją lubił i tajemnie do lochu naszego wpuszczał. Zasmuciliśmy się, że i tej nam zabraknie pociechy; rozmawialiśmy długo, a Stasiek, rozpowiadając Mirze o Bogu i Jezusie Chrystusie, dał jej wreszcie do pocałowania krzyżyk, który na piersiach nosił.

— Daj mi to tymczasem — prosiła dziewczynka — ja się codzień modlić będę do twojego Boga i całować jego ręce gwoździami przebite i mamie go pokażę, a potem odniosę ci twój skarb, nie lękaj się.

Stasiek się zawahał; jak tu się rozstać z pamiątką najdroższą — jedyną, co mu pozostała z rodziny i ojczyzny, bo Tatarzy, odbierając nam odzienie i wszystko, co mieliśmy przy sobie, to jedno zostawili, sądząc pewno, że to jakiś amulet [1]).

---

1) Jak my nosimy szkaplerze, medaliki, krzyżyki, tak poganie noszą na piersiach drogie kamienie lub inne przedmioty, którym przypisują tajemniczą siłę chroniącą od nieszczęść. Zowią je amuletami.

I oni noszą amulety czyli przedmioty według nich cudowne, od jakichś czarowników lub wróżek tatarskich zakupione, które ich bronić mają od wszelkiego złego, temu zaś, coby je odebrał, szkodzą okrutnie. Dlatego to przesądu zapewne nie śmieli odebrać naszych świętości, przez matkę na szyi każdemu z nas zawieszonych. — Ale dziewczynka tak bardzo tego pragnęła, a my pewni byliśmy prawie, że ją nawrócimy na wiarę chrześcijańską, więc Stasiek zdobył się na wielką ofiarę. Ucałował po kilkakroć krzyżyk i włożył go na szyję Mirze, opowiadając, jak się powinna modlić i kochać tego Ukrzyżowanego, który na nas wszystkich z nieba patrzy i w sercach naszych czyta. Mówiliśmy długo, aż wreszcie stary Tatarzyn, który u wnijścia do lochu czekał, zmusił Mirę do odejścia i ciężkie drzwi zamknęły się znowu nad nami.

X.

Widzenie. — Opiekun niespodziewany. — Anioł ulatuje do nieba.

Odmówiwszy jak zwykle wieczorne pacierze, usnęliśmy, ale nad ranem, kiedy oczy otworzyłem, spostrzegłem, że braciszek blady jak chusta, leży nieruchomy i nieodpowiada na moje zwykłe powitanie. Zerwałem się.

— Co ci jest, Staśku mój? — pytam z trwogą.

— Nic — odszepnął cichym głosem — tylko mi bardzo słabo... We śnie... w nocy — mówił przerywanym głosem — widziałem ojca i dziadunia, wołali mnie do siebie... tylko matusi tam

nie było... ale Najśw. Matka tak się do mnie uśmiechała... i dawała białą lilję... chciałem ucałować kwiat niebiański... i przebudziłem się.

I patrzył mój braciszek jedyny błękitnemi oczyma, jak gdyby widział jeszcze niebo nad sobą i tę lilję białą. Zdawało mi się, że uleci ode mnie, jak te anioły, co się czasem ludziom zjawiają i trwoga mnie zdjęła ogromna; zacząłem go całować, wołając:

— Stąsku, spojrzyj na mnie trochę, czyż ty mnie nie kochasz?

— Kocham cię, bracie — odrzekł — ale muszę ciebie porzucić... mnie tam będzie lepiej... tylko mi żal zostawiać ciebie... i Mirę także... ale kiedyś, kiedyś przyjdziecie do mnie...

I umilkł i pobladł bardziej jeszcze, ale usteczkami białemi poruszał, jak gdyby się modlił. Ukląkłem przy nim, podniosłem główkę jego i wlałem mu do ust kilka kropel napoju, który nam Mira zostawiła była w małej, z pięknego jakiegoś kamienia wyrobionej flaszeczce. To go trochę orzeźwiło i rumieniec wystąpił na bladą twarzyczkę. Obmyłem mu czoło wodą, której trochę od wczoraj zostało w dzbanie. Tymczasem drzwi się otworzyły i razem z jasną smugą światła wszedł nie stary stróż, ale sam Kubalim. Z początku oglądał się, nie mogąc trafić do nas w tej ciemnicy, ale po chwili, dojrzawszy w kącie na słomie coś bielejącego, przystąpił bliżej i nachylił się nad nami.

— Co to jest? — pytał — co wam zrobili?

Zerwałem się z ziemi i w krótkich wyrazach opowiedziałem, jak nas męczono, a potem zamknięto.

— Pies przeklęty — mruknął do siebie — przy-

siągł mi, że bić nie będzie... i nie bił też, ale dobrze sobie poradził, zwierz dziki!...

— Widziałem, że był wzruszony i zagniewany; jąłem go więc prosić, nie za sobą, lecz za bratem, co mi tu ginie w tej ciemnicy bez ratunku. Nachylił się Kubalim, przyłożył siwą głowę do piersi Staśka, dotknął czoła jego, potem, nie mówiąc ani słowa, wziął go na ręce i do wyjścia poniósł; szedłem za nim. U drzwi krzyknął srogim głosem na Tatarzyna starego, co tego lochu pilnował i obsypując go gradem przekleństw tatarskich, kazał iść przed sobą. Tatarzyn przypadł do ziemi, jak to u nich zwyczaj, gdy do przełożonych mówią i coś tam gadał, ale dostawszy tylko kopnięcie nogą i nowe przekleństwo, wstał i szedł przed nami.

Tak doszliśmy do namiotu, który musiał być mieszkaniem Kubalima, bo tam na łożu z koców i skór owczych wysłanem, ułożył mego Staśka. Potem z jakiejś misternie srebrem wykładanej skrzynki dobył kryształowej flaszeczki, nalał z niej kilka kropel na spalone usteczka biednego męczennika. Po chwili braciszek mój spał, spokojnie oddychając, a Kubalim mnie zaczął wypytywać, co się z nami działo w tym lochu, czy długo tam siedzieliśmy, cośmy jedli itd. Wśród tego napoił mnie mlekiem świeżem, które mi się wydało doskonałem, jakby napój czarodziejski i dał placek owsiany z kawałkiem mięsa baraniego.

Potem wyszedł nasz opiekun, ale wkrótce powrócił do namiotu i właśnie kiedy Stasiek oczy otwierał ze snu, ujrzał go siedzącym na łóżku u nóg. Czy braciszek mój miał widzenie gorączkowe, czy mu, przywykłemu przez dni tyle do

ciemności, światło dzienne tak było olśniewającem, nie wiem, ale wyciągnął wychudłe ręce i szepnął:

Ojcze, ojcze!... chodź do mnie.

Patrzę, aż tu Kubalimowi dwie łzy toczą się po twarzy, wreszcie pochylił się i tuląc w objęciu Staśka, szepnął:

— Śpij, dziecko, śpij. — I to, o dziwo, powiedział po polsku.

Zdumiony, patrzyłem na niego, nie śmiejąc i słowa przemówić; zdawało mi się, że to sen, czy majak gorączkowy. On, widząc moje zdumienie, położył palec na usta i rzekł:

— Cicho, nie mówić... i ja z Polski... kiedyś... dawno temu... biedne dzieci!...

Później dowiedziałem się, że ów Kubalim był kiedyś szlachcicem...

— I cóż u licha tak się zbisurmanił? — przerwał pan Gozdawa.

Zdaje się, że w ojczyznie ciężko był pokrzywdzonym przez któregoś z panów, wówczas dokazujących, bodaj czy nie przez samego Glińskiego, co to za czasów króla Aleksandra nikogo się nie obawiał i o nic nie dbał. Jak to tam było, nigdy się dokładnie dowiedzieć nie mogłem, bo Kubalim o tem mówić nie lubił, dość, że zabiwszy podobno kilku dworzan Glińskiego, ścigany jak złoczyńca, musiał uchodzić ze stron rodzinnych i dostał się na dzikie pola Ukrainy, gdzie go Tatarzy, właśnie z wyprawy na ojczyznę naszą wracający, przydybali i z sobą uprowadzili.

Zrażony srodze do króla i rodaków, wyrzekł się ojczyzny i Boga nawet, to też Edyga-bey, który go był od razu wziął do siebie, nie dowierzał

mu zupełnie i chociaż w domu swym w Krymie postanowił go nadzorcą nad majętnościami i niewolnikami, jednak przydał mu nieodstępnego jak gdyby stróża, Tatarzyna, który miał rozkaz, niby mu posługując, śledzić, czy czasem do Polski uciec nie zechce. Zresztą, wszyscy tu poważali wysoce Kubalima, który był wysyłany z towarem do Kaffy i nawet do Carogrodu, a w srogiej zaciętości swej nawet nie próbował wracać do rodaków. Jednak w sercu jego tkwiło jakby przywiązanie jakieś do ziemi i mowy ojczystej; długo tajone, teraz wybuchnęło nagle i człowiek ten twardy, surowy, płakał jak dziecko, tuląc do piersi jasnowłosą główkę Stasia mego.

Święty ten chłopczyna jak anioł czuwał nad tymi, co się do niego zbliżali; nawet ów dziki Turczyn, który nas w lochu pilnował, z dziwną jakąś trwogą zbliżał się do niego i cichym doń przemawiał głosem. Teraz braciszek mój wróciwszy do przytomności, patrzał wielkiemi oczyma swemi na Kubalima i domyślił się pewno, co się w sercu jego działo, bo zarzuciwszy mu ręce na szyję, coś mu długo, długo szeptał do ucha. Potem Kubalim skinął na mnie, a kiedy ukląkłem przy nim, prosił o trochę wody. Wpuścił do niej jakieś orzeźwiające krople opiekun nasz, a Stasiek cokolwiek pokrzepiony, mówił:

— Ja umieram bracie, ale mnie nie płacz, nie żałuj, mnie bardzo dobrze... Ty i może Kubalim wrócicie kiedyś do naszej Polski i Mirę z sobą weźmiecie, żeby była chrześcijanką; ja gdzieindziej pójdę, ale mnie jeszcze lepiej będzie, niż wam, a teraz pomódlcie się ze mną, tylko krzyżyka mego niema... szkoda.

A kiedy podniosłem oczy... mój braciszek nie żył... duszyczka jego uleciała do tego nieba, do którego tak tęskniła...

Zerwałem medalik z szyi i włożyłem mu w rączki, a on ucałowawszy go, potem Kubalimowi do ust przyłożył Matkę Boską Częstochowską. Stary, jak dziecko posłuszny umierającemu, pocałował wizerunek święty, a ja zacząłem głośno mówić: „Pod Twoją obronę“, choć mi łzy mowę tamowały. Stasiek mi rękę na głowie położył i czułem, że ta rączka coraz cięższa i zimniejsza... a kiedy podniosłem oczy... mój braciszek nie żył... duszyczka jego uleciała do tego nieba, do którego tak tęskniła. Złoty promyk zachodzącego słońca przez podniesioną kotarę namiotu, padł na twarzyczkę jego, która w tym blasku anielsko świeciła, niby twarz męczennika. Co dalej było, nie wiem; padłem jak nieżywy u stóp mego brata ukochanego i straciłem przytomność na długo.

Kubalim mi opowiadał, żem przebył wiele dni i nocy, bliższy śmierci niż życia, w strasznej gorączce, to płacząc rzewnie, to grożąc prześladowcom naszym, to wołając ojca i matki. Kiedym się ocknął i przejrzał raz pierwszy w strumieniu czystej wody, co opodal płynął, nie poznałem sam siebie. Oczy mi gdzieś głęboko powpadały, a na głowie ledwo tu i owdzie został włosów kosmyczek. Co gorsza, straciłem pamięć do tego stopnia, że nazwiska swego w żaden sposób przypomnieć sobie nie mogłem; zapomniałem nazwy wioski naszej, imion rodziców, Stasia tylko jednego wciąż wołając wśród gorączki, imię jego zatrzymałem. I tak teraz podwójnie sierota, tułać się będę w ojczyźnie, nie mogąc trafić do swoich.

To mówiąc młodzieniec, rzewnemi zalał się łzami.

XI.

Medalik. — Cudowne odkrycie. — Opowiadanie wdowy.

Wszyscy ze wzruszeniem tego opowiadania słuchali. Wdowa, która wyzdrowiawszy cokolwiek, przyłączyła się była do innych, płakała teraz nad sierotą wydziedziczonym wśród swoich, nie z dóbr i majętności, bo tych chciwym nie był, ale z tej miłości rodzinnej, do której lat tyle tęsknił.

— Czyż to być może — wyrzekła — żebyście tak zupełnie pamięć stracili o stronach rodzinnych? Spróbujcie przywołać wspomnienia, może dojdziemy razem, z jakich okolic was porwano, a wtedy łatwiej będzie dopytać o kogoś z rodu waszego, jeśli jest jeszcze przy życiu. Przypomnijcie sobie, jak to wyglądał ów domek, ojcowizna wasza, jakie przy nim rosły drzewa, jaki był kościołek?

Młodzieniec zbierał myśli; oczy jego patrzyły w dal, czoło zmarszczone i usta zaciśnięte wskazywały, że wytęża wszelkie siły pamięci, zamglonej cieniem przebytych nieszczęść.

— Tak, tak — mówił przerywanym głosem, jak gdyby do siebie — widzę, zdaje się, przed sobą mały, biały dworek i drzewa także białe... od kwiatu... i ule z pszczołami i rzeczkę, co płynie z cicha po zielonej łące... Ach! i słyszę jakieś dzwony... a wtem krzyk dziki jakiś się rozlega... i ogień widzę, i krew wokoło mnie, i siwą głowę ojca na ziemi we krwi, pies biały ją liże... potem nic nie wiem... tylko krew, ogień... step...

— Boże wielki! — zawołała wdowa — Boże wszechmocny! dzwony, i pożar, i tego psa białego... Czy nie mieliście na szyi medalika, a w nim

za obrazkiem Matki Częstochowskiej kilku włosów siwych, ukrytych pod złotą blaszką?...

Młodzieniec, drżącą ręką rozrywając ubranie, wyciągnął na cienkim, mocno z końskiego włosa uplecionym sznureczku, medalik sczerniały. Wdowa chwyciła go... padła na kolana i szepcąc: „Boże miłosierny... Boże wszechmocny!...“ drżącymi palcami przyciskała brzegi małego obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej, malowanego na blasze, która odskoczyła i wypadł z za niej kosmyk srebrzystych włosów.

— Janku! synu mój!... Janku!... — krzyknęła wyciągając ręce do młodzieńca, stojącego przed nią nieruchomie i padła bez zmysłów na ziemię.

Rzucili się wszyscy cucić omdlałą, a młody braniec, biały jak marmur, na kolana się osunąwszy, pochwycił ręce omdlałej i tulił je do serca, co mu się z piersi wyrywało. Cała dusza, zdaje się, w oczach mu się skupiła; patrzał w bladą twarz kobiety i powtarzał z cicha:

— Janku... Janku... Boże wielki! Tak mnie kiedyś wołali... Makto! matko moja! — i przypadłszy do ziemi, całował stopy tej, która cudem prawie poznawszy dziecię od lat tylu stracone, teraz upadła pod zbytkiem szczęścia. Wkrótce jednak otworzyła oczy; spojrzenie jej padło na klęczącego obok młodziana, wyciągnęła doń ręce, a tuląc jego głowę do piersi, powtarzała słowa cichej modlitwy. Teraz z kolei przystąpiła córka, którą Janek objąwszy silnem ramieniem, przyciągnął do siebie, powtarzając: „siostra!“ jakby sam sobie nie wierzył. Wszyscy byli zdumieni i wzruszeni, nie śmiejąc przerywać słowy tej dzi-

wnej a niespodziewanej sceny; wreszcie pan Gozdawa się odezwał:

— Wytłomaczcie się, pani bratowo, skąd się to wszystko wzięło, bo dalipan nic nie rozumiem! Przecież od lat piętnastu lejecie łzy po zgonie małżonka i synów waszych, a tu nagle zmartwychwstaje jeden z nich! Jak i skąd? powiedzcie, na miłość Boga.

— Ja sama, panie bracie, nie pojmuję jeszcze, jak się to stało, a jednak wiem, że syn mój rodzony tu stoi przede mną. Nie darmo mi serce dziwnie jakoś uderzyło, kiedym go raz pierwszy u Jasnej Góry ujrzała, a potem się na jego synowskiem ramieniu wsparła! Ten oto medalik zawiesiłam na szyi pierworodnego syna naszego, błogosławiąc go, by się stał kiedyś podobnym do śp. dziadka swego, a rodzica mojego, którego włosy w medaliku ukryte były.

— A ja o tem nie wiedziałem nawet, przechowując ów skarb przez lat tyle na piersi mojej! Czyż nie on mnie chronił w tych niebezpieczeństwach i ciężkich uciskach, jakich doznawałem, a teraz, czyż nie tej świętej relikwji zawdzięczam cudowne odnalezienie matki?... — i tu młodzieniec całował gorąco medalik i ręce złożone wdowy naprzemian.

— Więc to o tym dziadku wspominaliście, że był przez Tatarów męczony? — spytała nieśmiało Maryjka, patrząc w oczy bratu — a ja, mateńko, nie wiedziałam o tem, inaczej byłabym się domyśliła przecież, że to... że to brat... — dokończyła i zalawszy się łzami z wielkiego wzruszenia, gdy ten wyraz wymówiła, osunęła się do kolan matki.

Ta gładząc jasnowłosą główkę dziewczęcia, mówiła:

— Nie chciałam już duszyczki twojej zasmucać, przypominaniem dziejów męczeństwa naszego! I tak po owym okropnym napadzie pohańców, drżałam długo o życie twoje, o skarb ostatni, jaki mi był na ziemi pozostał. Cudownym sposobem uniknęłyśmy śmierci i jasyru, bo na pierwszy okrzyk trwogi, niańka twoja ukryła się z tobą do piwnic głębokich, przy dworku naszym wykopanych. I ja się tam rzuciłam, posłyszawszy płacz mego dziecka, a osłabiona ciężką niemocą, z której dopiero byłam powstała, upadłam zemdlona i nic nie wiedziałam, co się dalej stało. Kiedym się ocuciła, tyś płakała na rękach niańki zawodzącej głośno. Wyjrzałam z ukrycia naszego, ale cóż za okropny widok! Zamiast białega dworku naszego, kupa dopalających się gruzów, na podwórku we krwi trup męża mojego i wiernego naszego Macieja, a pies nasz Biłek lizał ich zwłoki. Synów moich ani śladu nie było. Z całej wioski zostało kilkoro może ludzi, którzy płacząc, rozgrzebywali zgliszcza domostw swoich, szukając zwłok pomordowanych; resztę czerń uprowadziła...

Powlokłam się z dzieckiem i wierną Hanią do Tulczyna, gdzie nas przedewszystkiem ksiądz proboszcz tamtejszy przygarnął. Właśnie pędziło wojsko nasze w stronę szlaku tatarskiego, na wieść o strasznych mordach i pożogach, jakie wyprawiała ta dzicz, wpadłszy niewiadomo skąd chyłkiem na ziemie nasze. Dowodził oddziałem naszych sam pan Ostafi Daszkiewicz[1]) a miał pod

[1]) Przyjaciel księcia Konstantego Ostrogskiego, jednego z najsłynniejszych wodzów bitnej

sobą dużo Kozaków, którzy najlepiej z Tatarami radę sobie dawać umieli. Wypytując ludzi po drodze, pędzili oni w ślad za tatarstwem, a dowiedziawszy się, że mnoga siła pohańców pono się zjawiła, wlekli ze sobą i działa. Pocieszał mnie dobry ksiądz pleban i inni, że nasi Tatarów dogonią i brańców im odbiją, jak to pono nieraz bywało. Oto, mówił dalej ksiądz pleban, przed kilku laty Jan Kamieniecki, kasztelan lwowski z pięciuset tylko ludzi służebnych, dognał zagon tatarski już uciekający pod Komorowem (1506), ze 2000 pohańców na placu położył; odbił łupy i jeńców. I wiele innych przykładów podobnych mi opowiadali, a nadzieja zaczęła w biedne serce moje wstępować, że dzieciny moje jeszcze do mnie wrócą.

I dognali nasi Tatarów; to musiała być ta bitwa na polach Kijowskich [1]), którą ty, synu mój, słyszałeś z daleka. I wrócili pobiwszy Tatarów, ale brańców nie znaleźli, tylko mogiłę z ciał pomordowanych i już przez dzikie ptastwo poszarpanych. Wśród szmat krwawych, jakie zabrali z sobą dla poznaki, znalazłam cienką chusteczkę, mojemi rękami uprzędzoną i tkaną...

— Ach, to ta pewnie będzie, którą naszemu szlachcicowi pokaleczoną rękę obwinąłem był i z nią go pohańcy na śmierć powlekli — przerwał Janek.

---

kozaczyzny, którą urządzać począł. Ostafi liczne staczał walki z Tatarami.

1) Krym od Polski oddzielały stepy, zwane Kijowskiemi Polami, bo Kijów stał niby na straży z wieżycami swojemi i zdala poglądał na te stepy. W zamku kijowskim czuwał wojewoda, wyglądając zawsze Tatarów. Po obu stronach Dniepru ciągną się bezludne stepy aż do Perekopu.

— Oblałam łzami gorzkiemi tę spuściznę po moich dzieciątkach i puściłam się pieszo w drogę do tego okropnego miejsca, żeby choć ciała ich odszukać. Ale mnie wstrzymywali ludzie, bo i te resztki, co zostały, nasi pogrzebali już na stepie i nicbym ujrzeć nie mogła. Odtąd porzuciłam Ukrainę i z dzieckiem schroniłam się na Wołyń pod Krzemieniec, do krewnych moich po matce. Ślubowałam Matce Najświętszej pielgrzymkę do Jasnej Góry, jeśli mi Maryjka zdrowo do lat szesnastu urośnie, a Ty Boże wielki... — dodała matka biedna, padając na kolana — dajesz mi syna, jakby wskrzeszonego z martwych...

I długo jeszcze, długo trwała rozmowa przerywana łzami i dziękczynieniem Bogu, aż późno w noc Gozdawowie nakłonili wszystkich do rozejścia się, chociaż nikt oka zmrużyć nie mógł z radości i wzruszenia wielkiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Kara Boża. — Kolęda. — Wyprawa na Oczaków.

Kiedy już matka nacieszyła się cokolwiek synem, a Janek odzyskaną niespodzianie rodziną, kiedy opłakali razem stratę Staśka, co już chyba z wysoka radość ich dzielił, kiedy wreszcie wszyscy złożyli modły dziękczynne u stóp tej Matki na Jasnej Górze, co się nimi cudownie opiekowała, a wdowa z dwojgiem dzieci przystąpiła ponownie do Stołu Pańskiego, Gozdawowie nie chcieli ich puścić od siebie, dopóki Janek nie dopowie dalszego ciągu przygód swych w niewoli tatarskiej. Pewnego tedy wieczora rozpoczął w te słowa:

— Gdym po owej ciężkiej a długiej gorączce przyszedł do siebie, dowiedziałem się, że tegoż samego dnia, kiedy Stasiek nas opuścił, mały Adżi, goniąc w złości któregoś z braci, wpadł do rzeki i utonął; Edyga-bey zaś rwał sobie brodę z żalu po stracie ulubieńca którego zawsze bardziej od innych miłował. Kubalim, korzystając z tego, wytłomaczył mu, że to Ałłach go karze za umęczenie niewinnego dziecka i wymógł tyle, że mnie

jemu, to jest Kubalimowi, w wyłączną oddano opiekę. Odtąd nie opuszczałem go wcale i wiele mu w tej mojej niewoli zawdzięczam.

I on się do mnie, jak do syna przywiązał; od śmierci Staśka dziwna w nim zaszła zmiana. Codzień modlił się ze mną razem do tego Boga, o którym przez lat tyle zdawał się zapominać; wypytywał mnie o strony rodzinne i z rozrzewnieniem słuchał, kiedym mu o was, matusiu, opowiadał, o ojcu i całym domu naszym. Dziwna rzecz, pamiętałem twarze wasze opowiadania dawne, nawet komnatę ojcowską, gdzie nad łożem wisiała karabela i palma święcona, ale żadnego imienia przypomnieć sobie nie mogłem, nawet tego, którem na mnie wołano, a kiedy się siliłem przywieść je na pamięć, to mię straszliwie coś w głowie, w jednem miejscu boleć zaczynało.

— Bywa to, bywa, panie bracie — odezwał się pan Gozdawa — i mój jeden towarzysz, cośmy z nim razem pod Orszą się bili, jak dostał w głowę od jakiegoś draba, to padł niby martwy, a potem choć wyzdrowiał, to ani rusz, nie mógł powiedzieć, jak się nazywa, a do samej śmierci, przez lat dziesięć, nie wymawiał rozmaitych głosek, co je wpierw doskonale mówił, jak my wszyscy. Ale gadaj waść, co tam dalej porabiałeś w Krymie.

— Kubalim chciał mnie uwolnić i do ojczyzny odesłać, ale tego w żaden sposób uczynić nie można było. Edyga-bey nie kazał już mnie męczyć, ani do Carogrodu na sprzedaż posyłać, ale wypuścić też za nic nie chciał i nawet Kubalima już po dawnemu nie wyprawiał w różne strony z towarami i innymi interesami. Bał się widać, żeby stary nie uciekł, bo mu wielce był przydatnym

do nadzoru nad niewolnikami, a przytem posiadał rozmaite wiadomości lekarskie i jego samego pono kiedyś z ciężkiej choroby wydźwignął. Tak tedy Kubalim nadzorował niewolników, a ja będąc mu nieodstępnym towarzyszem, niejedną ulgę braciom naszym wyświadczyć mogłem.

Mira, dowiedziawszy się o zgonie Staśka, strasznie rozpaczała, płacząc dniem i nocą, przyczem ciągle całowała krzyżyk jej przez niego dany. Myślały Tatarki, że to jakiś czarodziejski dar i chciały go odebrać, ale broniła ze wszystkich sił i kiedy w czasie snu wykradziono jej ów krzyżyk, nie chciała nic wziąć do ust i groziła, że się zabije, dopóki baby nie zwróciły amuletu, jak go nazywały. A dbano tam bardzo o Mirę, gdyż była nadzwyczaj piękną, więc miano ją, gdy podrośnie, odesłać do Carogrodu sułtanowi w podarunku, żeby mu tam śpiewała i przygrywałą na guśli [1]). Wszystko to nam opowiadała dziewczynka, gdyż wymykała się często z haremu, żeby ze mną i Kubalimem, którego teraz bardzo polubiła, rozmawiać o Staśku, o Polsce, o Panu Bogu i wielu, wielu rzeczach. Mówiła zawsze, że do Carogrodu zawieźć się nie da i koniecznie chrześcijanką zostanie, żeby tam w niebie zobaczyć Staśka i żeby ją do Pana Jezusa zaprowadził. Tymczasem uczyła się ode mnie po polsku i pewną była, że tym językiem Matka Boża i Aniołowie rozmawiają.

I tak przyszła zima, choć to tam w Krymie wcale zimy nie znają, bo około naszego Bożego

[1]) Gęśl, po rusińsku guśl jest instrument muzyczny ze strunami, o które się uderza smyczkiem, pałeczkami albo palcami.

Narodzenia tam róże kwitną. Trudno to było wymiarkować, bo ci niewierni lata i miesiące inaczej niż my liczą, ale między brańcami byli tacy, co nie stracili rachunku czasu, i kiedy nadszedł dzień Narodzenia Pańskiego, postanowili go obchodzić, jak się da w niewoli pogańskiej. I tak: kiedy pierwsza gwiazda na niebie zabłysła, zebraliśmy się w szopie, gdzie nas na noc zamykano i śpiewaliśmy kolędę na chwałę Nowonarodzonemu Dzieciątku. Nie obeszło się tam bez płaczu i szlochania, bo wszyscy sobie ojczyznę przypomnieli, a byli tacy, co już lat wiele w jasyrze spędziwszy, nie spodziewali się przed śmiercią ziemi rodzinnej oglądać.

Byli też w osadzie i tacy, co przebywszy długie lata służby u Tatarów, wreszcie dostali po kawałku gruntu do uprawy i odrabiając już tylko pańszczyznę panom swoim pogańskim, pożenili się także z brankami i starali się dzieci swoje w wierze ojców wychowywać. Często tam jeden, wiekiem starszy, niby kapłan do ślubu błogosławił i dzieciom Chrztu świętego udzielał, a tak starali się biedni brańcy niepoddawać pogaństwu. A kiedy nowi przybywali, cóż to był za ruch i wzruszenie w całej osadzie! Wszyscy się gromadzą, dopytują, co słychać tam w ojczyźnie, pocieszają nowoprzybyłych i tak to się dziwnie dzieje na tym pięknym Krymie tatarskim!

Raz pamiętam, niezadługo po Staśkowej śmierci, zrobił się wielki gwałt między Tatarstwem, a nawet Edyga posłał gromadę swoich z jednym synem na czele, gdzieś na północ. Wrócili wkrótce, nic nie wskórawszy i rozpowiadali, jak dwaj

wodzowie z Ukrainy [1]) ze swoimi kozakami podkradli się pod Oczaków [2]) i trzy bitwy z Tatarami zwiódłszy, uprowadzili sporo jeńców pogańskich, koni kilkaset i bydła do 30 000 sztuk, co się tam po łąkach wypasa (w 1516 r.) Pienił się ze złości Edyga-bey i syna łajał, a srogą zemstą pałając, sześciu brańcom głowy pościnać rozkazał i na wielkich tykach zostawić, żeby je ptaki rozszarpały. Straszny to był widok, aż nam żywym serce drgało z żalu patrzeć na takie okropności.

Zaraz następnego lata znowu hufiec polski w tysiąc koni z Jazłowieckim, Sieniawskim i innymi na czele, puścił się na ten Oczaków i sporo już Tatarów natłukli, kiedy się okazało, że w mieście rządzi Oslam sułtan, sprzymierzony jeszcze dawniej z miłościwym królem naszym Zygmuntem, a niedawno tam przybyły. Dowiedziawszy się o tem, nasi oddali zdobycz Tatarom, a Oslam zaprosił wodzów na bankiet do siebie. Ledwie jednak ci się oddalili, zdradne Tatarstwo rzuciło się na Polaków i mordować ich zaczęło. Próżno Oslam wołał, groził swoim i zabijał ich nawet własną ręką; nie było sposobu wstrzymać rozbestwionej dziczy i dużo tam naszych zginęło. Sam słyszałem, jak syn Edygi, Kantarej, chwalił się, że niejednego własną ręką ubił. Tak się druga wyprawa na Oczaków (1517 roku) nie powiodła.

Czasem znów Tatarstwo robiło wyprawę na ziemie nasze, a nam brańcom trzeba było patrzeć, jak się do tego przygotowywali, a potem wracali ze świeżym łupem i jeńcami.

---

1) Przecław Lanckoroński i Daszkiewicz.

2) Oczaków leży przy ujściu Bohu do limanu Dnieprowego, dawniej polskie miasto, dziś tatarskie.

II.

Dzieje napadów mongolskich. — Czyngis-han. — Batu-han. — Bitwy pod Kałką i Lignicą. — Złota Horda.

— Moja niewola przez to o wiele lżejszą była, żem zostawał zawsze przy Kubalimie, a ten mną się po ojcowsku zajmując, nie dopuszczał zbyt ciężkiej pracy; a że sam był człek mądry i nawet w księgach uczony, wielem się od niego dowiedział, szczególnie o Tatarach, ich rozmaitych dawnych wodzach i przygodach.

— To gadajże, panie bracie, co wiesz o tym pogańskim rodzie — mówił pan Gozdawa — bo mi dziwno jakoś wierzyć, żeby ta dzicz i miasta budowała i czemkolwiek się innem zajmowała, jak owym mordem i rabunkiem, co najwięcej nasze ziemie polskie trapi.

— Wiadomo, że Tatarzy z Azji przyszli, a właściwie nie są to Tatarzy, choć ich tak nazywamy, lecz Mongołowie. Błąkali się oni po stepach środkowej Azji w dawnych już bardzo czasach, aż się zjawił pewien han dzielniejszy od innych, który podbijał wszystkie plemiona pod swoje panowanie i był pierwszym władcą Mongołów. Nazywają go tylko Wielkim Hanem, ale syn, któremu władzę swą przekazał, zwie się „Temuczyn". Ten wszystkie plemiona zebrawszy, utworzył dziewięć obozów, aż nad brzegami Amuru. Okrutny, dziki, tych, co się przeciw niemu buntowali, rzucać kazał do kotłów z wrzącą wodą, a jednego z hanów, który mu się hardo stawił, zabiwszy na miejscu, czaszkę jego w srebro okuć kazał i wszystkim pokazywał, jako dowód gniewu

swego. Kiedy się otoczył różnokolorowymi namiotami, po stepie rozrzuconymi, przemawiał do dzikich hord swoich i obiecywał, że im da skarby i bogactwa, jeśli za nim pójdą w kraj daleki. Wtem zjawił się pustelnik jakiś, niby prorok i ogłosił, że sam Bóg oddaje świat Temuczynowi, który nadal ma się nazywać Czyngis-hanem, czyli Wielkim hanem.

Odtąd wszystko się poddało wodzowi, który ogniem i mieczem pustoszył Azję, palił ludne i bogate miasta, do meczetów i świątyń konno wjeżdżał, przebył nawet sławny mur chiński i takie pożogi wyprawiał, że pałac cesarzów w Pekinie gorzał miesiąc cały, a powietrze zaćmiewało się od dymów, rzeki zaś czerwieniły się krwią. Po miejscach, które przeszedł Czyngis-han, jak wicher dziki, zalegała pustka i zniszczenie. Dzicz mongolska rozlała się wszędzie jak rzeka ogromna, krwawa i ognista, zalała Azję i spłynęła na Europę.

Przebywszy Kaukaz, pędząc przed sobą Alanów i Połowców plemiona, Mongołowie rzucili się na Ruś. Nim jeszcze doszli, już książęta Rurykowicze po wielkiej naradzie odbytej w Kijowie, przebywszy Dniepr, rzucili się, by przeciąć pochód barbarzyńcom. Dziesięć dni szli w stepach, aż do rzeki Kałki, gdzie ogromną stoczono bitwę (1224 r.) Straszna to była klęska dla Rusi; książąt poległo aż siedmiu, samych Kijowian z 10 000, a Mongołowie gnali niedobitki, paląc i rabując, aż po sam Dniepr; stamtąd jednak cofnęli się i wrócili w stepy do Czyngis-hana.

To była pierwsza napaść Mongołów, która jakby łuna krwawa zapowiadała cały szereg rozbojów i spustoszeń na ziemiach chrześcijańskich

dokonywanych. W trzy lata potem umarł Czyngis-han, zostawiając władzę synowi „Oktajowi", który znów wodza „Batego" na ruskie kraje wypuścił. Zrabowawszy z północy Razań, Suzdal, Moskwę, rzucił się Baty na Kijów, który zdobył i złupił. Nigdy się ów gród sławny nie dźwignął do dawnej wielkości i przestał być stolicą Rusi. Co żyło to uciekało do Polski i Węgier, ale pohańcy gonili uciekających.

Wtedy to i na nasze ziemie polskie spadła nawała mongolska (1240 r.) trzema zagonami, jak wąż obejmując kraj nieszczęśliwy. Wtedy to spalony Lublin i Sandomierz, zajęte Węgry; Henryk wrocławski, syn świętej Jadwigi, ginąc pod Lignicą, na Śląsku, stawił jednak pohańcom dzielny i bohaterski opór. Odtąd już się nigdy dzicz tak daleko nie zapuszczała, a Baty wrócił ponad brzegi Wołgi.

Dumny zdobyczami swemi Baty zwał się hanem „Złotej Hordy" i założył we wschodniej Europie państwo „Kapczackie". Obejmowało ono część Rusi, Krym, Kaukaz oraz wszystkie stepy, od Donu aż do Dunaju, na zachód. Nikt mu się tam sprzeciwić nie śmiał, a książęta ruscy, jeden po drugim, zjawiali się w hordzie, aby bić czołem przed hanem. Ojciec święty słał do niego, a potem do wielkiego hana Oktaja poselstwo, namawiając, żeby się nawrócił do wiary chrześcijańskiej, ale pohaniec, dowiedziawszy się od przysłanego do siebie mnicha „Ascellinusa" o zasadach religji naszej, powiedział, że przy takiej wierze ludzie znikczemnieliby i stali się niezdatnymi do wojny.

— Głupi poganin — mruknął pan Gozdawa — niby to my, choć chrześcijanie, dobrze ich bić nie potrafimy!

— Znów Ojciec święty słał dwóch Franciszkanów do hana; obaj to pono byli Polacy i zostawili po łacinie opis swej podróży, ale i ci nic nie wskórali (1246 roku). W dziesięć lat później umarł Baty, a przed nim jeszcze w Azji wielki han Oktaj. Następcę Batego w Złotej Hordzie, hana „Berkę", kupcy Buczaccy nawrócili na wiarę Mahometa, a za jego przykładem mnóstwo Mongołów przyjęło tę religię, że zaś prorok nakazuje im szerzyć swą wiarę mieczem po całej ziemi, tem gwałtowniej więc rzucili się ci pohańcy na kraje chrześcijańskie.

Polska trzy jeszcze wielkie napady zniosła w XIII wieku i siła ludu utraciła. Wtedy to zamordowano błogosławionego Sadoka i 40 Męczenników w Sandomierzu, później zaś królowa nasza Kinga musiała uciekać aż w góry Pieniny, a Mongołowie oparli się o Tatry. Napadali oni na pogańską podówczas jeszcze Litwę, ale rzadziej; tymczasem stamtąd właśnie gotowały się dla nich najsroższe klęski. Gedymin i Olgierd zaczęli bić Mongołów, kiedy książęta moskiewscy jeszcze im się poddawali, potem i ci ostatni trochę podnieśli głowę. Dymitr, Dońskim przezwany, na polu Kulikowskiem (1380 r.) blisko Donu, pokonał hana Złotej Hordy, Mamaja. Ale i z drugiej strony spadła nawała na Złotą Hordę. Tłumy dzikich z Azji Mongołów, pod przewodem straszliwego wodza Tamerlana, zwaliły się na Kapczackie państwo i srogie w niem wyrządziły zniszczenie, ale potem wróciły nad Wołgę.

Tymczasem łączyła się Litwa z Polską, a wielki książę Witołd straszne zadał ciosy Mongołom; chciał nawet sięgnąć do Azji i obalić samego Tamerlana, który pysznił się zwycięstwy swojemi i pobitego sułtana Bajazyda obwoził w żelaznej klatce. Ruszył Witołd w stepy, ale tu został pobity nad rzeką Worsklą (1399 r.) przez Edygę, hetmana Tamerlanowego; poległo w tym boju dwunastu książąt litewskich i ruskich, oraz wiele panląt polskich. Mimo to Witołd często jeszcze napastował Tatarów, podtrzymując jednych hanów przeciw drugim, aż się Złota Horda rozpadła na kilka mniejszych państw. Głównie gospodarował Witołd na Krymie i niejednego hana zmusił do hołdowania Litwie. Pokazywał mi Kubalim dużo pieniążków, które się na Krymie dotąd przechowały z herbem Witołda i napisem łacińskim. Złota Horda ich używała.

Tymczasem powstały trzy państwa tatarskie, t. j. państwa: Astrachańskie, Kazańskie i Krymskie, i utworzyła się w stepie dziksza od innych horda Nohajców, pod wodzem „Nohajem“ (teść Michała Paleologa, cesarza wschodniego). Między książętami na Rusi zaś odznaczał się Iwan, Wielki Książę Moskiewski, ten uderzył na Mongołów, zdobył Saraj, ścigając hana Achmata, a gdy tego ostatniego jakiś nieprzyjazny mu inny wódz tatarski zamordował, rozsypała się i przestała istnieć Złota Horda (1480 r.) Synowie Achmata już się wynajmowali za dobrą zapłatę naszym królom Jagiellończykom. Szachmat, jeden z hanów kapczackich, wojując z Moskwą i hanem Krymskim Mengli Girejem, szukał sojuszu z królem Aleksandrem, ale wkońcu tak dokuczył ustawicznem

wichrzeniem, że go musiano zamknąć w zamku Kowieńskim, gdzie też żywota w łańcuchach dokonał (1505 r.) na rok przed zwycięstwem Glińskiego nad Tatarami pod Kłeckiem.

— Tam ojciec twój bił się po raz ostatni na wojnie — rzekła Bohowitynowa — i tam od strzały tatarskiej był srodze w nogę raniony. Dostał też od nowego a dziś nam jeszcze panującego króla Zygmunta, który w tymże roku po bracie nastąpił, ów futor pod Tulczynem, gdzie nas to srogie nieszczęście spotkało.

Dziewczęta słuchały wprawdzie opowiadania o Mongołach i Złotej Hordzie, ale przykrzyło im się cokolwiek, bo ciekawe były dalszych losów Jana na Krymie. Maryjka też się nieśmiało odezwała, prosząc brata, by im coś o tem powiedział. Na co pan Gozdawa mruknął:

— Jużto znać, mości panie, że u białogłów włos długi, ale rozum za to krótki! Niech tylko coś poważnego a mądrego mówić zaczną, już im się przykrzy, a to przecież ciekawa rzecz mości panie i każdego obchodzić powinno, bo się tyczy sąsiadów a srogich nieprzyjaciół naszych.

— My też słuchamy, proszę tatki dobrodzieja — odezwała się cicho Halka — i ja nawet pamiętam, jak się ci wszyscy hanowie nazywali i co robili, ale zawsze dla nas to ciekawsze, co pan brat na Krymie porabiał i jak się stamtąd wydostał.

III.

Brańcy. — Trzy szlaki tatarskie. — Klęska pod Sokalem. — Jaka rada na Tatarów.

Janek tedy ciągnął dalej:

— Kubalim dobrym był dla mnie bardzo, a choć nie mówił o swojej przeszłości, znać było, że teraz częściej myślał o ojczyźnie i serce jego zmiękło. Edyga, strapiony srodze po śmierci syna, siedział po całych dniach w swojej izbie, fajkę kurząc, a Kubalimowi zostawił zarząd nad dworem i niewolnikami, którym też lepiej dziać się poczęło. Dostawali obfitsze i lepsze jadło, a co wieczór, gdy ich Kubalim liczył i w szopie na noc zamykał, pozwalał nam iść z sobą; wtedy odmawialiśmy razem wieczorne pacierze i nawet śpiewaliśmy pieśń do Bogarodzicy, co im wielce ducha umacniało. I mnie się wtedy rzewnie na sercu robiło, stawał przed oczami dworek rodzicielski, gdzie co wieczór matusia z czeladką pacierze tak odmawiała, a potem pieśń wszyscy razem śpiewali.

— To pamiętałeś, synu mój miły — odezwała się Bohowitynowa, gładząc bujne włosy młodzieńca.

— Pamiętam żywo, mateczko moja, jako i wszystkie nauki, co od was w dzieciństwie słyszałem i to mnie utrzymywało, żem się nie dał temu pogaństwu, i jeśli prawdę mam powiedzieć, tom niejednemu dopomógł do utrzymania się w wierze ojców i wierności dla kraju.

W parę lat już po zabraniu nas w jasyr, wybrała się wielka nawała Tatarów na kraj nasz; znów widzieliśmy ich przygotowania, i serdeczniej

jeszcze modliliśmy się co wieczór za naszych rodaków, by ich Bóg od złego chronił. Ale tym razem inaczej widać sądzono było. Wybrało się Tatarstwo w samym środku lata naszego, około pory żniwa, a była tego moc ogromna. Han ze stolicy swej Bakczysaraju, jak zwykle tylko do szlachty rozsyłał gońców; ci zbierali swoich podległych, czyli wasalów, którzy po większej części powstali z uwolnionych, a ziemię uprawiających jeńców wojennych i ich potomków. Alboż to raz synowie i wnukowie tych, co niegdyś z naszej ojczyzny w jasyr zagnani byli, zapomniawszy i mowy, i wiary przodków, szli w szeregach tatarskich, i z pohańcami razem łupili i rabowali [1]).

Na teraźniejszą wyprawę Edyga-bey sam się nie wybrał, ale posłał znów jednego syna ze sporym pocztem wojennym, tudzież z kilku powózkami sucharów i kilku workami pieniędzy, jak to szlachta tatarska zwykła dawać. Drugi syn, który był wodzem u Nohajców, także miał pędzić na kraj polski. A trzeba wiedzieć, że Tatarstwo ma już trzy zaznaczone szlaki, czyli drogi, któremi napada rzeczpospolitą naszą; od Oczakowa Kuczmański przez Sawrań, Kudem i rzekę Szarawkę, która do Bohu wpada, ku Lwowu; drugi od południa, Wołoski szlak, przez podolskie pola i Dniestr na Wołoszczyznę, trzeci Czarny szlak, po lewej stronie Dniepru, gdzie się kryli czas ja-

---

1) Wielu takich zaprzańców historja wspomina. U Turków pojmany chłopakiem małym Bobowski, nazwany Hali-beyem, wsławił się wielu dziełami uczonemi w mowie tureckiej: Białoskórski, wszechwładny rządzca u Kałgi tatarskiego Dewlit gireja, pustoszył Wołyń i Podole około 1615 roku.

kiś Tatarzy po przeprawie; ten także ku Lwowu zmierzał, ale przez Kaniów, Kijów nawet, Zasław, Łuck i Sokal.

Tym to czarnym szlakiem teraz się wybrali Tatarzy, a kiedy wrócili, znać było, że się napaśli krwią i złotem z ojczyzny naszej, bo znów nawieźli łupów i jeńców sporo. Do Edygi syn Giwlet przywiózł w jasyr znowu gromadkę ludu naszego, a była między nimi i szlachta. Tej ostatniej do najcięższych robót bey używać kazał, żeby się o okup starali prędko. Na noc zamykano ich do lochu tego, gdzieśmy ze Staśkiem tyle dni i nocy spędzili; strawę mieli lichą i Kubalim nic na to poradzić nie mógł, bo od tego był stróż inny, Tatarzyn dziki i okrutny. Na robocie jednak można się było widzieć i rozmawiać z tymi brańcami.

Jeden z nich, Roguski, szlachcic wysoki i srodze pokaleczony, na głowie zwłaszcza, nie tracił jednak ducha i mówił, że woli zginąć w jasyrze, a pohańcom ani jednego tynfa (pieniądz ówczesny) nie przysporzy... Ten nam rozpowiadał dzieje owej nieszczęsnej wyprawy.

— Już — mówił — Tatarstwo, nachwytawszy łupów co niemiara i ludu, a bydła naspędzawszy gromady, nim się wojsko rzeczypospolitej zebrać mogło, by tak wielkiej liczbie pohaństwa przeszkodzić, umykało z powrotem, kiedy nasi puścili się za niem w pogoń. Było wojsko i szlachta ruska, a połączył się z niemi niezmordowany książę Konstantyn Ostrogski z ludem swoim; wszystkiego razem zebrało się 25 000, a pogaństwa było 80 000. Nie dziwota to dla naszych, bo ileż to razy garstka Polaków, walcząc jak lwy, rozbiła całą nawałę tatarską.

Tatarzy byli tuż koło Sokala nad Bugiem, stary więc i doświadczony książę radził, żeby dać wielkiej hurmie Tatarów przeprawić się przez rzekę, a gdy ich część przejdzie na tę stronę, wtedy dopiero uderzyć. Tłuszcza nie szukała bitwy, bo wiadomo, że Tatar nie pragnie ani sławy, ani nawet krwi rozlewu; tylko chciwi poganie ci na łupy i z tymi umykają. Starsi potwiedzili radę księcia Ostrogskiego, ale młodzi nuż narzekać, sarkając na księcia, że im zazdrości sławy wojennej, a pośmiewając się, że u niego, jako zabobonnika [1]), wtorek dzień nieszczęśliwy, więc się bitwy boi. Najgorętszy był pan Frydrusz Herburt i ten się najwięcej bitwy napierał. Darmo książę ręce składał a prosił, żeby się choć do jutra zatrzymać, a tymczasem nadciągnie Tarnowski z Podola, i Litwa, i Wołosza; młódź ani słuchać nie chciała. Nie pierwszy to raz, i pono nie ostatni, niesforność ta stała się przyczyną klęski srogiej.

Książę, rad nie rad, siadł na koń, a młodzież rzuciła się do przeprawy przez Bug. Tymczasem chytry wróg tajemnie nagotował doły i pułapki, w które nasi z końmi wpadali, a Tatarstwo z łuków strzelało z poza ogrodów i płotów, koło spalonego już przez nich miasteczka. Książę, widząc to, innym brodem się przeprawił i na pomoc swoim pospieszył; bili się jak lwy, ale napróżno: wśród ćmy Tatarstwa nie znać było nawet tych setek i tysięcy, które ginęły, a naszych szczupłe szyki coraz się zmniejszały. Przytem konie podnosiły taką kurzawę na ziemi pooranej i słońcem wysuszonej, gdzie bitwa się staczała, że widać

1) Książę Ostrogski był schizmatykiem czyli prawosławnym.

nic nie było. Powoli Tatarzy, zwarłszy się swoim zwyczajem w wielkie koło, otoczyli naszych ze wszech stron. Niektórzy ratowali się ucieczką, ale młódź nasza walczyła do śmierci. Sam słyszałem, jak Frydrusz Herburt, krewki, ale wielkiego serca młodzian, zawołał:

— Boże, tego nie daj, abym ja przy miłej braci, gardła nie miał dać! — i rzucił się między obręcz tatarską, ja za nim i w moich oczach go rozsiekali na sztuki. I jam padł, jak nieżywy, cięty szablą w samo czoło, ale mnie potem ocuconego na poły Tatarzy z pola bitwy zabrali i z sobą powlokli, bom miał odzież sutą i karabelę kamieniami sadzoną. Było to pod Sokalem, 20 stycznia 1519 roku.

Serce nam się krajało, gdyśmy słuchali opowiadania szlachcica.

— Oj, pamiętam tę sokalską klęskę — odezwał się pan Gozdawa — ale przecie już potem nasi nieraz pohańców pobili; ot, niedalej, jak lat temu trzy, ten sam książę Ostrogski wjeżdżał do Krakowa z więźniami i proporcami tureckimi (1527 r.), król mu dziękował, a lud okrzyki wydawał na cześć jego. Ale co to ludu naszego w tych wojnach naginie, a większa jeszcze szkoda tych, którzy marnie zgniją w jasyrze, albo się tam poturczą.

— Moim niewieścim rozumem sądząc — odezwała się pani Bohowitynowa — przecieżby temu jakoś zaradzić można, a granic naszych od tego najezdnika bronić.

— Wiele o tem gadają i radzą: ot, i pan Ostafi Daszkiewicz, wielki Tatarów pogromca, najlepszy zda mi się podaje sposób. Otóż kiedy pan ten do Krakowa przybył, na pokaz przywożąc wielkie

kule od strzelb tatarskich, przeciw którym się bronił na zamku Czerkaskim, król nasz miłościwy dziękował mu i dał dwa zamki za Dunajem, a inni panowie podarki mu składali, przyczem go pytano, jakby najlepiej zaradzić tym napadom tatarskim. Radził tedy pan Daszkiewicz, żeby na ostrowach (wyspach), które są na Dnieprze, wszędzie zameczki budować, a chować ustawicznie ze 2000 ludzi, którzyby na czajkach bronili Tatarom przeprawy, oraz z kilkaset jazdy, którąby się o żywność troskała dla tej załogi. I pewno, że toby się najlepiej udało, ale jak zaczęto rozważać, tak do tej pory nic nie zrobiono, a Tatarzy, jak łupili, tak łupią i nieledwie co rok rzeczypospolitej krwi upuszczają.

IV.

Ucieczka. — Niewidomy. — Pismo do kraju. — Zgon szlachcica.

— Wkrótce po sokalskiej klęsce — mówił Jan dalej — przybiegła do nas Mira we łzach, bo jej matka w srogich bólach ducha wyzionęła. Zaniemogła nagle pod wieczór, a chociaż do niej sprowadzono rozmaite znachorki i czarownice niby, które nad nią niezrozumiałe słowa mruczały i zioła jakieś paliły, do rana żyć przestała. Musiano ją otruć, bo mówiła Mira, że oddawna już dokuczały jej mocno inne żony Edygi za to, że bey był na nią łaskawy i nieraz nawet jej prośby wysłuchał, kiedy się za jeńcami wstawiała. Biedna dziewczynka rozpaczała bardzo po stracie matki. Pewnego razu przybiegła do mnie aby się zapytać, czy ją może kiedyś znaleźć w niebie.

Kiedy matka tak bardzo się męczyła, — mówiła Mira — całowałam jej ręce i nogi, i przypominałam, że Pan Jezus cierpiał więcej jeszcze i dałam jej krzyżyk pocałować, ale mnie znachorki, te wiedźmy szkaradne, odepchnęły i chciały wydrzeć krzyż.

Pocieszałem dziewczynkę, że nad jej matką pewno się Bóg zlituje, bo dobra była i miłosierna dla nieszczęśliwych; uczyłem ją, jak się modlić za duszę matki i wreszcie, cokolwiek uspokojona, wymknęła się biedaczka. Ale nazajutrz znów przybiegła i wschodnim obyczajem na ziemię padłszy, ściskała nogi Kubalima, żeby ją ratował.

— Chcą mnie — mówiła, łkając — do Stambułu [1]) odesłać, żebym była sułtanką, ale ja tam nie pojadę, wolę się zabić... utopić! Ja chcę być chrześcijanką, chcę uciec do Polski, a następnie pójść do nieba...

I płakała i prosiła tak długo, aż się mój stary Kubalim rozczulił i powiedział, że ją wyratuje, niech tylko będzie spokojna i czeka cierpliwie.

Jakoż nazajutrz wezwał Edyga-bey Kubalima i kazał mu się sposobić w podróż, żeby do Kaffy odwieźć towary, jakie Wenecjanie kupują i Grecy, to jest futra, skóry, a nawet i łupy, w Polsce zabrane. Przytem miał odwieźć Mirę ze starą niewolnicą, Murzynką i oddać ją kupcowi ze Stambułu, który znów po żywy towar jeździ i już zawiadomiony został o przesyłce od Edygi. Znaczną sumę, którą w piastrach [2]) i drogich kamieniach złoży handlarz, miał Kubalim zabrać i do beya

---

[1]) Stambuł, tak nazywali nasi ojcowie miasto stołeczne Turcji Carogród czyli Konstantynopol.

[2]) Piastr, moneta, ma wartości około 20 halerzy.

tu odwieźć. We dwa dni wszystko było gotowe; naładowano kilka powózek o dwóch kołach, a Mira z Murzynką siedziała już na wielbłądzie, odziana w bogate, złotem haftowane szaty, z białą zasłoną na różanej twarzyczce, śród której świeciły się jak węgiel czarne, łzami zalane oczy. Przedtem, choć mocno strzeżona, potrafiła wieczorem wybiec na chwilę do naszego namiotu i rozmówić się z Kubalimem, a mnie żegnała, płacząc i opowiadała, jak ją właśnie Stasiek odwiedził i obiecał, że się kiedyś wszyscy spotkamy.

— Śnił ci się? — spytałem.

— Ale gdzieżtam! Widziałam go żywego, spłynął z nieba na promieniu miesiąca i taki był jasny jak Anieli, co mi o nich opowiadał, dodając, żebym się ich nie bała, lecz jechała daleko i chciał mi dać krzyż cały z gwiazd złocistych, ale gdy ręce wyciągnęłam i krzyknęłam z radości, wbiegła Sumita, Murzynka i wszystko zniknęło. Płakałam gorzko i chciałam uderzyć Sumitę za to, że mi przeszkodziła, alem tego nie zrobiła, bo Stasiek mówił nieraz, że nikogo bić nie trzeba...

Nie mogłem mówić Mirze, że to był sen tylko; nawet czasu na to nie miałem, bo Murzynka ją gwałtem zabrała, żeby ich nie spostrzeżono i dopiero nazajutrz już na wielbłądzie siedzącą Mirę zobaczyłem.

Minęło niedziel parę, a Kubalim nie wracał; wreszcie jednego wieczora, kiedy się słońce ku zachodowi skłaniało, a wietrzyk ciepły poruszał w ogrodzie róże wonne, zobaczyłem z daleka tuman kurzu i biegłem szybko w tamtę stronę, bo mi już tęskno było za Kubalimem, a któżby to jechał, jeżeli nie on? I jechał przodem na małym

tatarskim koniku; biała broda spływała mu na piersi, łuk miał przez plecy przewieszony i sajdak ze strzałami i miecz krzywy, całe uzbrojenie tatarskie; ale serce nie pogańskie biło w tej piersi. Spojrzał na mnie tak jakoś rzewnie, po ojcowsku, a kiedym przyskoczył, położył mi rękę na głowie, nie mówiąc ani słowa. Przemówiłem z cicha po polsku, powitałem go i pytałem o Mirę.

— Popłynęła — rzekł krótko.

— Co? jak? do Stambułu? — wyrzekłem drżący i przerażony.

— Nie, do Wenecji.

I dowiedziałem się, że przybywszy do Kaffy, zamiast ją oddać handlarzowi ze Stambułu, wyszukał okręt chrześcijański i powierzył dziewczę kapitanowi, uczciwemu człowiekowi, który je miał zawieźć na ziemię włoską i oddać do klasztoru panien Benedyktynek, skąd się dostanie, gdzie zechce, przyjąwszy światło Wiary świętej. Handlarz podobno wściekał się ze złości, że go ominął drogocenny towar, od Edygi-beya przyobiecany i pewno srogie na Kubalima skargi prześle wkrótce.

— Niech się jednak co chce dzieje — dodał stary nasz opiekun — dobrze, że za moje zmarnowane życie choć jednę duszę wybawię z tej pogańskiej niewoli.

Ale żaden z nas nie domyślał się, co nastąpić miało. Pokazuje się, że Edyga, chciwy jak każdy Tatar, nietylko na bogatą zapłatę za Mirę rachował, ale spodziewał się, że za nakazem sułtana zrobią go Kałgą, czyli najwyższym po hanie wodzem i rządcą na Krymie. Teraz, gdy się dowiedział, że Mira gdzieś zniknęła, wpadł w srogi gniew; rzucał się i pienił, jak zwierz dziki, aż się

powalił na ziemię, krzyczał i klął się na Proroka, że Kubalima każe ze skóry obedrzeć żywcem. Do tego jednak nie przyszło, ale porwali go na rozkaz pański służalcy i zawlekli do ciemnicy. Tego samego dnia... strach powiedzieć... oczy mu wypalili ci zbóje, barbarzyńcy!...

— Tak, jak dziadkowi waszemu — szepnęła wdowa.

Nazajutrz ochłonął cokolwiek dziki bey i żal mu się zrobiło sługi, który mu tyle lat strzegł domu i dobytku i ze srogiej choroby podźwignął. Wiedział, że mu nikt Kubalima nie zastąpi, bo na swoich rabusiów spuścić się nie mógł w niczem. Ale zapóźno, już biednemu starcowi nikt oczu nie wróci! Nie męczyli go już więcej i nawet pozwolili mi doglądać nieszczęśliwego, kiedy skrwawiony leżał w gorączce.

Przynieśliśmy go do namiotu; myślałem, że z temi dwiema krwawemi strugami, które mu z pod czoła płynęły i życie mu uleci, ale nie! człowiek dużo przetrwać może i mnie serce nie pękło, kiedy nas z ojczyzny porwali, ani gdy tu przede mną Stasiek umierał. Kubalim wytrzymał ból straszny i rany mu się zagoiły i powstał z łoża, w namiocie usłanego. Ale teraz, jak dziecko, opieki potrzebował; nie mogłem go opuścić ani na chwilę. Edyga-bey nie przysłał nowego nadzorcy, a że ja byłem przyzwyczajony wszędzie Kubalimowi towarzyszyć i wyręczać go jak mogłem dawniej, tak i teraz, prowadząc go, chodziłem do jeńców co rano i co wieczór, a że robota szła w porządku, bo wszyscy starca szanowali, więc i nadal tak zostało. Dziwnie powiedzieć, ale starzec ślepy i dziecko, bo ja wtedy byłem wy-

rostkiem przecież, utrzymywali nadzór nad tylu ludźmi. A byli tam nietylko nasi jeńcy, ale także Czerkiesi, Gruzińcy, a nawet dzikie Kałmuki.

I tak znów przeszło lat ze dwa. Przez ten czas zmarł ów dzielny szlachcic z pod Sokala, który się zaciął, aby pohańcom okupu nie dawać.

— Żony i dzieci nie mam — mówił — ojczyzna się beze mnie obejdzie, bo i tak już bym miecza nie dźwignął, straciwszy siły i dwa palce pod Sokalem, a bracia niech lepiej grosz schowają na potrzeby Rzeczypospolitej, niżby go za moje nędzne cielsko tym psom pogańskim oddawać mieli; dusza i bez okupu im się wymknie, obaczycie!

I rzeczywiście słabnąć zaczął, a Tatarzy, bojąc się stracić towar, kazali mu pisać do Polski. Do tej czynności mnie użył, bo sam piórem władać nie mógł.

— A skądżeś się waść do pióra zaprawił — zapytał pan Gozdawa — czyżby i tego cię Tatarzy nauczyli?

— Ej, gdzie tam, wuju dobrodzieju, między jeńcami, którzy się do Edygi-beya dostali, był pewien szanowny Ojciec Benedyktyn, wielce mądry i uczony, ten mnie dużo nauczył i nieraz, pamiętam, nocami siedzieliśmy nad księgą. Ksiąg kilka było u Kubalima, który je z pomiędzy łupów tatarskich powybierał, kiedy już pohańcy powyrywali srebrne klamry i piękne malowidła, jakie zazwyczaj w księgach bywały. Tak się tedy, dzięki wielebnemu Ojcu, nauczyłem cokolwiek łaciny i pisania, co mi się potem bardzo przydało i do mego uwolnienia dopomogło. Otóż kiedy mi przyszło pisać list od pana Rogalskiego do jego braci, któ-

rzy na Wołyniu posiadłości mieli, a Ostoją się pieczętowali, dyktował mi sam słowo po słowie wszystko, a było tam powiedziane, że czując się już bliskim zgonu, nie żałuje, że życie w obronie ojczyzny poświęcił, że pod błogosławieństwem im zakazuje czynić jakiekolwiek kroki o wykupienie nawet zwłok jego, a nakoniec zaleca, aby wioskę jego, zda mi się Szumsk, na własność wziąwszy, używali każdy szeląg na potrzeby ojczyzny, a synów swych bogobojnie wychowując, przygotowali ich na tęgich obrońców kraju od wrogów. — To moje ostatnie zlecenie — dodawał — przyczem was żegnam i błogosławię.

Tu mu się łza zakręciła w oku, ale ją prędko otarł i musnąwszy siwego wąsa, list własnoręcznie złożył i w braku sygneta herbowego, który mu Tatarzy odebrali, medalikiem, z szyi zdjętym, przypieczętował. I takie to pismo pohańcy sami z innymi dokumentami do Polski wysłali, nie umiejąc go przeczytać i spodziewając się, że im okup hojny za jeńca sprowadzi. Pan Bóg jednak sprawę tę zakończył i za cały okup krew szlachcica przelaną przyjąwszy, zabrał do lepszego świata duszę jego zacną.

We dwie niedziele może po wyprawieniu owego pisma, zasłabł bardzo ciężko i odbywszy spowiedź świętą przed ojcem Innocentym, Benedyktynem naszym, z żalem tylko, że Sakramentów św. przyjąć nie może, zasnął w Panu, kazawszy się obrócić twarzą w stronę północy, gdzie kraj ojczysty i rodzinę zostawił. Przed śmiercią jeszcze uścisnął rękę Kubalima, a jeńców, którzy się wkoło niego zebrali, błogosławił, napominając, żeby ducha nie tracili, o Bogu i Ojczyźnie nigdy nie za-

pominali. Przykład tego zacnego szlachcica niejednego z nas umocnił i utwierdził na dalsze losu koleje.

V.

Łuna krwawa. — Stoczona walka. — Nowa strata.

Wkrótce też potem zachorował i nasz Kubalim; osłabł tak, że już się z łoża dźwignąć nie mógł, a była to wiosna, już pono ósma od owego wzięcia w jasyr. Pilnowałem starca, jakby ojca rodzonego, on mnie też jak syna miłował; chociaż ociemniały i słaby, odkrywał mi jeszcze różne wiadomości, do których w długiem i ciężkiem swem życiu doszedł; nauczył jak leczyć różne niemoce, rany opatrywać, z ziół rozmaitych leki przygotowywać; opowiadał także, co wiedział o dziejach i urządzeniach tatarskich.

Jednej nocy, pamiętam, było ciepło i rozkosznie na dworze, podniosłem kotary [1]) namiotu, a niebo gwiaździste świeciło, jak gdyby tysiącem brylantów osypane. Aż tu zdala, od wschodu, jakby od Kaffy, czerwona łuna płonie. Nie miesiąc to, nie zorza też, bo dopiero północ, a łuna coraz bliżej i bliżej, i rozruch jakiś słychać i krzyki straszliwe... Stary wzniósł się i nasłuchiwał, wpatrując się niby krwawemi powiekami w stronę, skąd wrzawa dochodziła; w całej osadzie rozruch się wszczął i trwoga.

— Kozacy! Kozacy! — krzyczeli Tatarzy, w nieładzie rwąc się do broni i łoszaków swych dosiadając.

[1]) Kotara jest zasłona z ciężkiej materji.

— Nieraz to tak bywało — mówił Kubalim — że dzielne syny Zaporoża w czajkach [1]) swoich pomykali się ku wybrzeżom Krymu, ba, nawet i Turcji, i wpadłszy nocą niespodzianie, nabrali łupów, zapalili jakie miasto lub wieś pogańską i nim się Tatarstwo opatrzyło, nim się zorza zaczerwieniła na niebie, zmykali, jak ptaki wodne, które ulatują gdzieś daleko.

Teraz musieli być w znacznej sile, bo sie zapędzili kawał od wybrzeża, aż ku naszej osadzie, która między Kaffą a Krymem leżała i szeroką łuną znacząc swój pochód, straszny popłoch między Tatarstwem wzniecili.

Naradziliśmy się prędko z Kubalimem i ja pobiegłem do szopy brańców, ażeby im otworzyć wrota, korzystając z ogólnego zamieszania. Jakoż po chwili zupełnie pusto było w szałasie, a nasi jeńcy spieszyli do łuny czerwonej, która im teraz świeciła nadzieją swobody, bo tam spodziewali się dostać do Kozaków.

I mnie serce żywo biło w piersi, mogłem i ja szczęścia próbować, żeby się do swoich przedrzeć, ale jakże zostawić tego starca ślepego, niedołężnego, który nikogo, prócz mnie, już nie miał na świecie? On mnie sam wyprawiał, wypędzał nieledwie, ale sumienie nie pozwalało; ukląkłem i gorąco westchnąłem do Matki Najświętszej, a potem cicho zbliżyłem się do namiotu Kubalima. Stary klęczał, płakał i modlił się, a krwawe łzy spływały po bladej i jak gdyby mchem porosłej twarzy jego. Patrzyłem i taki mnie zdjął żal, żem przypadł do staruszka i objąłem go za szyję.

---

1) Czajki były to lekkie łodzie używane przez Kozaków.

Nad ranem Tatarzy wracać zaczęli a wiedli ze sobą wielu brańców, pochwytanych napowrót po drodze; niektórzy szczęśliwie zdołali się przemknąć do Kozaków, ale dużo poległo od strzał i kul, z obu stron ciskanych; między tymi i ów Ojciec Benedyktyn, który chciał do kraju się przedrzeć, żeby potem z okupem, w Polsce zebranym, wrócić dla oswobodzenia jeńców. Bóg wie, czy i mnie nie byłby ten sam los spotkał! Tymczasem jednak Tatarzy, znalazłszy nas obu z Kubalimem w namiocie, dziwili się mocno i odtąd nawet Edyga-bey łaskawszem okiem na mnie patrzył.

— Dobrześ zrobił, synu mój, żeś starca nie porzucił — odezwała się poważnie Bohowitynowa — i to ci pewno Bóg policzył.

— Kubalim żył jeszcze rok cały po tej przygodzie, ale słabł coraz więcej. Mnie się długo, długo co noc zdawało, że słyszę wołania i krzyki że łuna czerwona coraz bliżej; czasami śniło mi się, że płynę czajką po Dnieprze, a czasem, że u nóg waszych klęczę, matulu, a Stasiek przy nas i ojciec z krwawą karabelą. Jednego ranka już różowe słońca promyki wciskały się do namiotu, kiedy się zerwałem z łoża i patrzę, a Kubalim leży biały i już zimny, jak kamień; przypadłem cucić go, nie żył i tak cicho w nocy zmarł, żem nawet jęku jego nie słyszał, a przywykłem był zrywać się, jak tylko się poruszył i podawałem mu wody, albo poprawiałem posłanie; widać, że przed zgonem już nic nie cierpiał, a dusza jego cicho wymknęła się do lepszego świata. I tak zostałem znowu sam na ziemi...

VI.

Nowy gość. — Co to Budziak? — Ojciec Jacek z okupem.

Dzień po dniu płynął przy opowiadaniach Janka i już się ku jesieni miało, kiedy jednego popołudnia nadjechał niespodzianie z dwoma pachołkami siostrzeniec pana Gozdawy, który służył przy hetmanie Tarnowskim i chociaż wielce młody i gładki, niby dzieweczka, nieraz już oręża w obronie ojczyzny dobywał.

Jurko, tak go bowiem zwano, rodem był także z Rusi i wnet się zaprzyjaźnił wielce z Jankiem, którego przygody niezmiernie go zaciekawiły. Musiał tedy młody braniec powtarzać wiele szczegółów ze swej niewoli i udzielać rozmaitych wiadomości o kraju tatarskim, o zwyczajach, urządzeniach i sprawach tamtejszych... Jurko, przy mądrym i dzielnym hetmanie ustawicznie bawiąc, nauczył się zajmować wszystkiem, co się tyczyło kraju.

— Powiedz mi — rzekł razu jednego do Janka — co to za nowi jacyś Tatarzy zjawili się teraz na Budziaku [1]), pono gorsi jeszcze od innych? Straszne o nich rzeczy opowiadają...

— I prawdę mówią — odparł Janek — bo ci dają się nawet we znaki Tatarom krymskim; są

---

1) Tatarzy Nohajcy, zapędzeni przez krymskich w krainę między ujściem Dniestru i Bohu i dalej na zachód ku Prutowi, dziś zwaną Bessarabją, dawniej Budziakiem. Tam też stała twierdza Akerman, po słowiańsku Białogród zwana. Później i tych Tatarów tam osiadłych zwano Białogrodzkimi; zawsze mieli oni dużo dzikości i nie ulegali żadnym prawom.

to dzicy Nohajcy aż z nad Wołgi i Donu; nieraz oni napadali na Krym i uprowadzili w niewolę straszną żony i dzieci tamtejszych Tatarów, carowie zaś perekopscy żadnej rady sobie z nimi dać nie mogą. Wprawdzie jeszcze w roku 1510 car krymski zabrał im, jak mówią, ze 70 000 pogłowia rozmaitego z kobietami i dziećmi, ale też się za to nieraz zemścili.

Właśnie około tego czasu, kiedy zmarł mój stary Kubalim, gotowała się w Krymie straszna wyprawa na Nohajców. Pan mój, Edyga-bey, choć już w latach podeszły i wielce otyły, wybrał się też na wyprawę, rozgniewany srodze, bo mu Nohajcy zamordowali syna starszego, który był wodzem w jednej z ich hord i nie chcieli dać haraczu, czyli podatku, jaki zwykle carom krymskim składać mieli. Podobno, że hanowie Nohajscy udawali się do Polski, do miłościwego króla naszego, obiecując hołd, żeby im tylko dopomógł przeciw Krymowi, ale jakoś im się nie powiodło i Mengli-Girej poraziwszy ich srodze i wyrząwszy moc wielką, wielu też uprowadził do niewoli i osadził między Dnieprem a Dniestrem, aż ku Akermanowi. Trudno tę dzicz utrzymać w spokoju i chętnie ją car krymski wypuszcza, jak stado wilków zgłodniałych, na nasze ziemie, ażeby się tam krwią i łupem nasyciła. Dzicz tę od razu poznać można i odróżnić od Tatarów krymskich, bo ci ostatni więcej po ludzku wyglądają. Bo też w tym Krymie dziwna mieszanina: Grecy, Włosi, Czerkiesi, Słowianie, Turcy, wreszcie Tatarzy, tak się z sobą poplątali od wieków, że już niewiadomem, do jakiego plemienia których z nich zaliczyć.

W czasie tej wyprawy krymskich Tatarów przeciw Nohajcom zjawił się we dworze Edygibeya gość niespodziewany; był to ksiądz-zakonnik, aż z Wołynia przybyły, który się tu przedarł, niosąc wykup za jednego szlachcica, brańca, którego Edyga w niewoli trzymał. Zacny to człek być musiał, bo się właśni jego poddani składali, ażeby go z niewoli wykupić, a w wiosce czekała go żona z maleńkiem dzieckiem. Zwał się Korczak, zdaje mi się, człek był hartowny, bom nigdy skargi z ust jego nie słyszał. Niewolę i kalectwo znosił cierpliwie, ale gdy zobaczył znajomego sobie księdza ze stron rodzinnych, padł jak nieżywy na ziemię, a potem łzami się zalał. Nie można jednak było wypuścić go, dopóki Edyga z wyprawy nie wróci i tak zeszło miesięcy kilka, a tymczasem kapłan ów, człek wielce mądry i poczciwy, przebywał ciągle między brańcami. Jednych umacniał w Wierze świętej, innych pocieszał, obiecując się o wykup postarać, a mnie polubiwszy, nauczał rozmaitych rzeczy.

Z jego to ust dowiedziałem się o ludach, które dawniej ziemie te zamieszkiwały. Pięknemi słowy malował mi dzieje dawnych Greków, opowiadał ich podania czyli myty, bohaterskie ich walki, wyprawy morskie, wśród których nieraz zabłądzili na tę Taurydę, którą my dziś Krymem zowiemy. Prawił o Rzymianinach i ich pięknych czynach, a mnie, słuchając tego, rosło serce w piersi i pragnąłem choćby kosztem życia mojego, dorównać któremu z tych szlachetnych bohaterów, a dusza mi się rwała do ojczyzny mojej. Myślałem sobie, że i u nas żyją bohaterowie, którzy krew przelewają w obronie ojczystej ziemi, a czułem już w so-

bie dosyć siły, żeby miecz udźwignąć. Ojciec Jacek, bo tak się nasz zakonnik nazywał, obiecywał pamiętać i o mnie za powrotem do kraju; o ucieczce zaś nie było co i myśleć, bo ta się nigdy prawie nie udawała.

Tymczasem nadjechał Edyga z hufcem swoim, znużony srodze wyprawą i zły, bo nawet łupów mu nie przyniosła żadnych, prócz koni i owiec, które Nohajcom zabrał. Tem chciwiej zaczął się targować z kapłanem o okup za szlachcica i nie chciał przyjąć kilku tysięcy czerwonych złotych, twierdząc, że to za mało. Zacny ksiądz, który przyrzekł był wiernym kmiotkom i nieszczęśliwej żonie Korczaka, że nie wróci bez pana, ofiarował się zostać na jego miejscu w niewoli, dopóki nie zbierze się reszta pieniędzy na wykup. Nie chciał tej ofiary przyjmować szlachcic, ale wreszcie dał się nakłonić i wyruszył w drogę, ale niełatwą było rzeczą doczekać się reszty wykupu, gdyż podróż na Krym, z tysiącem jest połączona niebezpieczeństw, a Dzikie Pola i Perekop gęsto zasiane bywają gromadami Nohajców, którzy nawet spokojnego posła nie poszanują i nie znają się na żadnych glejtach czyli listach bezpieczeństwa, jakieby ci mogli mieć przy sobie. Dla mnie obecność uczonego zakonnika, wielkiem była dobrodziejstwem; słuchałem go, a umysł mój się rozjaśniał i coraz mocniej, zda mi się, miłowałem Boga i ojczyznę.

VII.

O Tatarach litewskich. — O Witoldzie i gościnności naszej dla przybyszów.

— Powiedzcież mi jeszcze, panie bracie — rzekł jednego razu Jurko — skąd się wzięli ci Tatarzy, których tyle na Litwie siedzi i pono niezgorzej się tam jeszcze sprawują?

— Już to od dawnych czasów brali w jasyr Tatarów książęta Ruscy i Litewscy, za czasów też Gedymina wiele było na Litwie Tatarów. Witold Kiejstutowicz z wyprawy swej nad Don [1]), przywiódł też wielką liczbę Tatarów, w roku 1397 i osadził ich nad rzeką Waką, gdzie im ziemie ponadawał, a tak się dobrze z nimi obchodził, że potem i dobrowolnie hanowie ze szczątkami rozbitych hord przychodzili szukać na Litwie schronienia. Podatków tam nie kazano im płacić, tylko musieli chodzić na wojnę. Dawniej, za czasów pogańskich, pomagali Litwinom przeciw Polsce, potem, jak wiadomo, chodzili na Krzyżaków i przecież w sławnej a wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem niemało ich w naszem wojsku było. Z czasem Tatarzy bardzo się przywiązali do Litwy i osiedlili się tam na dobre, jakby w ojczyźnie swojej. Wiadomo o tej księżnie z rodu Tamerlana, która poszła za mąż za Monwida Litwina; wy-

---

1) Pisze o tem kronikarz Bielski: „Witold wyprawił się przeciw Tatarom, których poraził i przygnał jednę hordę na Litwę z żonami i dziećmi, które osadziwszy, rozdał im pewne wsi około rzeki Waki, uczynił wolnymi od podatków wszelkich, tylko na wojne powinni są jechać". Są też poszlaki, że już od czasów Gedymina osiadali na Litwie Tatarzy.

chrzciwszy się na imię Zofii [1]), rozległe zakupiła dobra na Litwie i wiele narobiła hałasu za czasów Jagiełły jeszcze. Jużto Witolda Tatarzy wielce czczą i miłują.

— Wiem o tem — przerwał Jurko — przecież nam pan hetman opowiadał, że niedawno do miłościwego króla naszego przyszło z Litwy poddanie od tamtejszych Tatarów (1519 r.) gdzie było powiedziane: „Nie mamy już sławnego Witolda; on nam nie pozwalał zapominać o proroku i obracając wzrok nasz ku świętym miejscom, powtarzaliśmy imię jego, jak imiona kalifów naszych. Przysięgaliśmy na miecze nasze, że kochamy Litwę, gdy w czasie wojny uważali nas za jeńców, a przy wejściu naszem do tej ziemi mówili, że ta ziemia, ten piasek i ta woda będą dla nas wspólne. Witolda znają dzieci nasze i przy jeziorach słonych (tj. na Krymie) i w Kapczaku wiedzą, żeśmy w ziemi tutejszej nie cudzoziemcy".

— No, proszę, dobrodzieju mój — odezwał się pan Wincenty — ktoby się spodziewał, że te psy pogańskie tak się obłaskawić dadzą! Bogiem a prawdą, jeszczem nie wiedział o tem wszystkiem co gadacie!

— Ale i teraz — mówił Janek — często gęsto ciągną całe gromady Tatarów i osiadają na Litwie i na Rusi; pełno tam jest rozmaitych beyów, mu-

---

[1]) Zofja pisała się tak: Z familji Tamerlanów Izmaela Sofihali i Solimanów Paalsknisowa, Kniahinia Mongolji, Georgji, Czerkiesów Komańskich, hrabina Abissynji, Sewastopola i brzegów morza Czarnego. Wyjechała wreszcie do Tatar, zostawiając na Litwie syna, Jana Janowicza de Tamerlan z Pausza (Paalsknis)...

rzów, ulemów, jak tam siebie nazywają i szlachta nasza pono nieźle ich przyjmuje.

— Ale bo też — rzekł Jurek — niektórzy z nich przyjmują nasze nazwiska od wsi, w których mieszkają, ba, nawet herby biorą [1]); i w naszej chorągwi jest jeden taki, zwie się Tupalski i gdyby nie krzywe oczy i twarz dziwnie żółta, ogorzała, trudnoby było poznać, że z Mongołów pochodzi.

— O już, co to, dobrodzieju mój — krzyknął pan Wincenty — to już licha warto, żeby mi taki Tatarzyn miał się klejnotem herbowym pieczętować. Dziwno mi, że nasi miłościwi królowie na to pozwalają. Ja bym to powywieszał na gałęzi, a nie jeszcze cackał się z nimi [2]).

Nikt nie oponował sierdzistymu wybuchowi pana Gozdawy, bo młodzież wtedy wielki miała respekt przed starszymi i rzadko się odzywała z jakiem słówkiem zaprzeczenia. Po chwili Janek mówił dalej:

— Ja myślę, że z tych Tatarów możnaby dobrą konnicę urządzić, co by się w wojsku naszej rzeczypospolitej przydała [3]), bo oni pod dobrem okiem, to i bić się potrafią.

---

1) Dotąd jeszcze na Litwie dużo jest rodzin pochodzenia tatarskiego: Abrahamowicze, Azulewiczowie, Buczaccy, Oknińscy, Bielakowie, nawet Baranowscy, Bykowscy, Józefowicze, Januszewscy itd.

2) Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary i Zygmunt August, okazywali wiele łaskawości Tatarom litewskim, a ci wielce się przywiązali do przybranej ojczyzny. Szlachta tylko, przez zazdrość i obawę o swój klejnot herbowy, starała się ścieśniać ich prawa.

3) Rzeczywiście urządzono hufce takie; już za Zygmunta Augusta dobrze się sprawiały hufce ta-

— Janku, synu mój — odezwała się pani Bohowitynowa — bardzo ciekawe to wszystko, coś nam o Tatarach prawił, ale moje dziewczęta strasznieby chciały wiedzieć, co się tam z tobą dalej działo na Krymie.

VIII.

Janek posłem. — Co to Kałga a co Nuredyn? — Obietnica. — Gościna w Karazubazarze.

— Prawda, że zarówno na Kałgę, jak i na Nuredyna wybierano tylko członków panującej rodziny Girejów, ale nasz Edyga, przez żonę z rodem panującym spokrewniony, spodziewał się, że dostanie tę godność, byle kto zręcznie potrafił około tej sprawy obchodzić i podarki jego dla hana i przybocznych urzędników tegoż ofiarować w dobry sposób.

Owóż okazało się, że niewiadomo czemu, Edyga-bey mnie właśnie przeznaczył na posła do hana i dał mi do zrozumienia, że się mogę spodziewać wielkich nagród, jeżeli się poselstwo moje powiedzie. Kto wie, może nawet zechciałby mnie mianować swoim wezyrem, bo trzeba wiedzieć, że nietylko Han i Kałga, ale nawet Nuredyn w Krymie posiada swój dwór i swego przybocznego wezyra. Widząc jednak, że te obietnice nie czynią na mnie zbyt wielkiego wrażenia, dodał, że jeżeli mi się będzie podobało, to po wyjednaniu mu pożądanej godności, mogę sobie iść, gdzie zechcę,

---

tarskie pod Połockiem i pod Pskowem, gdzie dowodził nimi Radziwiłł Rudy (1581 roku).

choćby i do „psów niewiernych“ — jak Tatarzy nas, chrześcijan, nazywają.

Kiedy to Tatar, jak zwykle, wymówił powoli i bełkocąc językiem, czułem, że mi krew do głowy uderza, skłoniłem się i odrzekłem, żem za taką cenę gotów nawet w morze skoczyć albo w ogień. Oburzony tym moim uporem, Tatarzyn raczył mi jeszcze tłomaczyć, że jestem ostatnim głupcem, chcąc porzucić dwór jego, gdzie mnie bogactwa i dostojeństwa czekają; wkońcu jednak obiecał świadcząc się Koranem, że otrzymam wolność, jeżeli tylko dobrze się sprawię i przywiozę od hana pomyślną odpowiedź.

Nie było co robić, musiałem się sposobić do drogi, naradzając się pocichu z Ojcem Jackiem, który dotąd w jasyrze pozostawał. Wreszcie otrzymawszy jego błogosławieństwo, przystrojony niby z turecka w suty kaftan karmazynowy, żółte buty, z jataganem (krzywym mieczem) u pasa i w baraniej, wysokiej czapce, wyruszyłem w drogę. Za mną szły suto obładowane wielbłądy i kilkunastu zbrojnych Tatarów, z których jeden osobliwie, niby stróż, na krok mnie nie odstępował. Miałem też przy sobie chłopaczka, lat dziesięciu może, któregom od Edygi wyprosił, niby do posługi, bom go wielce polubił. Jasnowłosy był, jak nasz Stasiek i także gdzieś ze szlacheckiego dworu porwany, a Leszko mu było na imię.

Tak tedy zbrojno i dworno jechałem przez Krym, niby wielki pan jaki i niezadługo stanęliśmy w Karazubazarze, na pół drogi z Kaffy do Bakczysaraju. Tam mieszkał Kałga, który miał osobne księstwo i dwór cały, a nawet radę na wzór hań-

skiego dywanu [1]), z której pomocą sądził różne sprawy. Zresztą Kałga miał najwyższą władzę nad wojskiem, brał znaczną pensję i część podatków dla siebie, a w razie śmierci Hana tak zarządzał państwem, jak to u nas książę Prymas [2]). Kałga też był wybierany z rodu Girejów, a wybór, przez hana dokonany, szedł do potwierdzenia przez sułtana w Carogrodzie, skąd też przysyłano dla nowego Kałgi honorowe futra i 2000 cekinów w podarku.

Gościliśmy trzy dni u Kałgi, przed którym musiałem na twarz padać, według podłego obyczaju wschodniego; zostawiłem mu sporo podarków rozmaitych, najadłem się baraniny z ryżem, popijając kobylem mlekiem, czyli kumysem i dalej w drogę, do Bakczysaraju, hańskiej stolicy na Krymie.

IX.

Bakczysaraj. — Dwór hański. — Mengli Girej. — Kto się nudzić zaczyna?

— Ciekawym też — odezwał się Jurek — jaka to może być stolica takiego barbarzyńcy? To chyba szopa z gałęzi sklecona?

— Ale gdzie tam — odparł Janek. — Tatarzy na Krymie wcale niepodobni do tych, jakimi dawniej byli. Han mieszka w pałacu z kamienia, marmurem ozdobionym, meczety tam błyszczą od złota; rozmaite przyprawy i korzenie ze Wschodu sprowadzają sobie carzyki tatarscy i naśladują, jak

---

1) Dywanem zowie się tajna rada Sułtana tureckiego.

2) Prymasem w Polsce bywał każdorazowy arcybiskup gnieźnieński. Prymas najpierwszą po królu zajmował godność w państwie.

mogą, sułtana w Stambule, który nad nimi ma zwierzchnictwo. Kiedy han pojedzie do Carogrodu, to mu nawet wolno siedzieć w przytomności sułtana i pić z nim kawę, a w mieście przyjmują go i witają, jakby prawdziwego monarchę. A co podarków mu naznoszą, to strach!

Jużto na Wschodzie taki zwyczaj, że bez podarunku ani przystępuj do kogo. I tak lud znosi upominki urzędnikom i władzom, sułtan rozdaje podwładnym i znów od nich bierze. Tatarzy, co się niby to cywilizują na sposób turecki, przyjęli od Turków te zwyczaje. Han tatarski ma znaczny dochód, bierze bowiem różne cła od towarów na półwysep przywożonych, podatki rozmaite, jak „charadż", drogowe i inne. A jakie sobie tytuły nadaje!... Zowie się cesarzem tatarskim, czerkieskim i dagestańskim; używa też pieczęci ze swojem imieniem i herbem urzędowym.

— A jakże wygląda pani hanowa, czy hanica? — pytał żartobliwie Juraś.

— Jest ich tam bardzo dużo, bo han ma żon kilkadziesiąt czasami, niewolnic z Grecji i Czerkiesji. Dzieci hańskie wszystkie noszą tytuł sułtanów i sułtanek, a mieszkają w pięknych dworach. Córki dostają duży posag. Taką właśnie sułtanką była żona mego Edygi-beya, najstarsza, a miał ich ten poganin co najmniej z piętnaście.

Kiedy o zachodzie słońca wjeżdżałem z moim taborem do Bakczysaraju, wspaniale z daleka przedstawiało się to miasto, pod górą leżące, a rzeka Czurak-gu jak gdyby się paliła od złocisto-czerwonych promieni. Zajechaliśmy do gospody, którą był wskazał Edyga-bey, a ludzie wygodne znaleźli pomieszczenie, równie jak wielbłądy. Na-

zajutrz zaraz słałem podarki wezyrowi i innym urzędnikom hańskiego dworu, a były to bursztynowe cybuchy, futra piękne, puzderka misternie rzezane ze srebra i perłowej konchy, albo puhary złociste. Poznałem tam niejedno z naszej ojczyzny złupione i pamiętam jeszcze piękny płaszcz sobolowy, z plamą krwi na boku, którą znać było na purpurowym adamaszku. Były i naczynia kościelne i cerkiewne, a mnie się zdawało, że ręce sobie plamię, jak gdybym się przyczyniał do tej bezecnej grabieży i pilno mi było wylecieć ptakiem z tej pogańskiej krainy, daleko, daleko, do swoich!

Tymczasem po trzech dniach pozwolono mi się stawić na dworze hańskim i znów nabrałem podarków co najkosztowniejszych, które za mną dźwigał Leszek, przybrany w niebieski, srebrem lamowany kaftan. Podobał się ten strój chłopczynie i musiałem mu długo tłomaczyć, jaki to wstyd dla nas, synów polskiej ziemi, przebierać się, jak niewierni poganie.

Han siedział na kobiercu, a wokoło stał cały dwór jego, prócz muftego, czyli głowy duchowieństwa [1]), który siedział niedaleko hana; byli tam: koniuszy hański, sędzia najwyższy, podskarbi, łowczy, marszałek, sekretarz dywanu, czyli rady wielkiej i inni. Musiałem znów nosem dotknąć ziemi i złożyć moje podarki. Sam han do mnie przemó-

[1]) Do osiągnienia tej godności, tj. muftego, sędziego i sekretarza dywanu, trzeba było znać prawa i zwyczaj narodowy; zresztą na wszystkie inne żadnej nie wymagano nauki, tylko pochodzenia ze szlachty, czyli „Murzów". Nad urzędy nadworne przekładali godność „seraskierów", czyli wodzów nad hordami nogajskiemi, a takich było trzech, co niby książęta rządzili i znaczny brali podatek dla siebie.

wił, pytając o Edygę. Odrzekłem słów kilka, poczem mnie wprowadzono do izby marszałka, gdzie podano kawę i słodkie konfitury rozmaite, oraz wręczono mi futro piękne, dar od hana. Marszałek pytał się, skąd jestem, bo po rysach widział, żem nie Tatar i powiedział, że mogę znaleźć służbę na dworze hańskim. Pierwszy raz byłem zmuszony zataić, że jestem chrześcijaninem, żeby nie zaszkodzić sprawie Edygi-beya, ale ten poniewolny fałsz ciężył mi srodze na sumieniu i obiecałem sobie zań odpokutować potem.

— Czy to prawda — pytał Juraś — co mówią o Mengli Gireju, że ma być strasznie mądry?

— Dzielny to i potężny władca [1]), a historję jego opowiadał mi właśnie sekretarz dywanu, dlatego ją tu pokrótce powtórzyć mogę. Azi Girej, podobno wnuk Tochtamysza, urodził się w Trokach na Litwie, w niewoli Witoldowej i za wsparciem tego księcia, dostał się na tron krymski; zawsze też okazywał się wiernym sprzymierzeńcem Litwy, bił Mongołów, z za Wołgi się pojawiających. Ten to Azi Girej był prawdziwym założycielem państwa i potęgi Krymu.

Umierając (około 1470 roku), zostawił sześciu synów, ale najdzielniejszy z nich, Mengli Girej, powypędzał braci i sam został władcą. Na biedę naszą, jeden z tych braci najstarszy, szukał schronienia w naszej rzeczypospolitej, odtąd też Mengli

---

1) Z tym Mengli Girejem nieraz się układał król Zygmunt Stary i nawet mu obiecał dawać coroczne podarki, byle rozbójnicze hordy Tatarów powstrzymał od najazdów na Polskę; ale gdy chytry Tatarzyn podarki brał, a napadów na ziemię naszą pohamować nie chciał, czy nie umiał, ugody te się zrywały.

Girej związał się przymierzem nie z nami, lecz z księciem Moskwy. Dużo przeszedł rozmaitych kolei, to wypędzony z tronu, to znów powracając, aż nareszcie poszukał wsparcia w Carogrodzie i poddał się pod zwierzchnictwo sułtana, czyli padyszacha tureckiego.

Teraz już sułtan ma prawo wybierać hana dla Krymu, byle z rodziny Girejów, i niby uważa się za najwyższego władcę nad Tatarami; ale prawdę powiedziawszy, to się go Mengli Girej wcale nie lęka i nasłuchałem się niemało, jak sobie umie radzić w Carogrodzie. Potrafi on usunąć niedogodnego sobie wezyra sułtańskiego i wszystkiego dokaże, czego zechce. Niby to on niema prawa iść na wojnę bez pozwolenia Turcji, ale czy tego słucha? Gdzież tam! Najwięcej to odczuwa ojczyzna nasza, chociaż wiadomo, że sułtan Soliman wielce miłościwego króla naszego poważa i pokój z nim zachować pragnie. Ale co ja tam prawię, a prawię o Tatarach, o Girejach, aż wszyscy pozasypiają.

— Jużto zasnąć nie wypada — odezwała się figlarna Halka — ale wolelibyśmy, panie braciszku, żebyście o sobie co powiedzieli, zamiast o tych seraskierach i muftych, czy jak ich tam zowiecie!

— A jam ciekaw tego wszystkiego — mówił Juraś — może da Bóg niezadługo pójdę bić Tatary, to będę wyszukiwał samych Mirzów, żeby im głowy rozpłatać, niech nie udają szlachciców, bo są to bisurmanie, którzy ludzi naszych jak bydło w niewolę pędzą!

X.

Nowe sidła na Janka zastawiają. — Amina. — Koniec poselstwa. — Powrót. — Żegluga.

— Nie chcąc już zbyt długo przeciągać opowiadania — mówił Janek — od razu powiedzieć mogę, że mi się sprawa na dworze hańskim udała nadspodziewanie i za mojem pośrednictwem Edyga dostał urząd Nuredyna, którego tak bardzo pożądał. Nim jednak wyruszyłem w drogę z powrotem, jeszcze jedna pokusa stanęła przede mną. Jednego razu, siedziałem właśnie u sekretarza dywanu Timura, który mi wydać miał jarłyk czyli przywilej od hana dla Edygi-beya z tuchrą czyli monogramem, splecionym sztucznie z wyrazów na wierzchu. Siedzieliśmy obaj na kobiercu, nogi podkurczywszy i kawę popijając, a fajki kurząc.

— Aż mi dziwno pomyśleć — odezwała się pani Bohowitynowa — żeś ty, mój synu, z cybuchem i w zawoju, niby pohańca udawał. Bogu dzięki niech będą, że ci serce zacne i nieskalane zostawili, ale wolałabym cię widzieć w owym lochu więziennym, gdzie cię dawniej trzymali, niż tam, za pan brat z tymi bisurmanami.

— I mnie, mateńko, strasznie obco i przykro było między nimi, ale kiedym przypomniał sobie, że tak się przymusiwszy czas krótki, otrzymam wolność i do ojczyzny powrócę, to wszystko znieść łżej było, nawet ten ohydny przymus i fałsz niejako, którym się usta moje plamiły. Do meczetu jednak nie poszedłem ani razu, a w jakieś wielkie święto tatarskie leżałem niby chory całe dwa dni, ażeby się od tego wybawić.

Otóż tedy, kiedym siedział u sekretarza hańskiego, ten mi wciąż prawi o wielkiej potędze hana: jak to przed nim noszą pięć buńczuków [1]), to jest o dwa mniej, niż przed padyszachem czyli sułtanem, jak w meczetach w całej Turcji modlą się za padyszacha, a potem zaraz za hana itd., wreszcie po długich omówieniach zapytuje, czym widział sułtanki, czyli córy hana, w pięknym ogrodzie bakczyserajskim. A trzeba wiedzieć, że Tatarzy nie zamykają swoich kobiet w takich haremach, jak Turcy. Edyga-bey, jeśli miał u siebie niby harem, to dlatego, że długo w Carogrodzie przebywając, w młodych leciech swoich, chciał naśladować tamtejsze zwyczaje.

Córy hana w Bakczyseraju widziałem nie raz w czasie krótkiego pobytu mego, a było ich wtedy ze dwadzieścia niezamężnych. Jedna, dziwnie gładkiego lica, z czarnemi oczyma, trochę do naszej Miry podobna, najpiękniejszą się między niemi wydawała, obracała się kilkakrotnie i uśmiechała, ukazując białe ząbki, gdyśmy obok niej przechodzili w alei, kasztanami zasadzonej. Zwała się Amina, jak mi powiedział Timur. I teraz znów pytał, czy pamiętam ową czarnooką Aminę i wreszcie dodał, że han wielce na mnie łaskaw i jest pewny, że się mu potrafię wywdzięczyć za to, że chce mi dać za żonę piękną sułtankę, wraz ze sporym worem złota, wielbłądami, końmi i bydłem na jej posag przeznaczonemi.

Wprawdzie zdarzało się nieraz, że takie sułtanki wychodziły za ubogich mirzów, ale skąd

[1]) Buńczuk jest sztandar turecki z końskiego ogona, zawieszonego na wysokiej lasce; przed sułtanem noszono buńczuk o siedmiu ogonach.

mnie nieznanego im przybłędę, taki zaszczyt spotykał? Dowiedziałem się potem dopiero, że Edygabey, chcąc swego posła uczynić znakomitszą na dworze hana figurą, powypisywał rozmaite nieprawdziwe o mnie historje, ale na razie wiedzieć o tem nie mogłem. Musiałem tedy tłomaczyć Timurowi, że dopóty o losie swoim nic stanowić nie mogę, dopóki nie załatwię spraw Edygi-beya, który mnie i odpowiedzi wielkiego hana niecierpliwie oczekuje; przyczem nieomieszkałem podziękować za wysoki zaszczyt, jakim mnie obdarzyć pragną; w duszy jednak myślałem, jakby drapnąć co najprędzej z tatarskiej stolicy. Jakoż we trzy dni po tej u sekretarza wizycie, siedziałem na wielbłądzie, który, kołysząc się niby okręt na morzu, niósł mnie napowrót do mojego pana.

Ucieszony pomyślnem poselstwem, Edyga-bey chciał mnie obsypać podarkami, ale ja nic nie biorąc, przypomniałem od razu uczynioną mi przezeń obietnicę, że otrzymam wolność. Nie cofnął Tatarzyn słowa, chociaż jeszcze próbował mnie zachęcić do pozostania na Krymie; wkońcu jednak widząc, że się przy swojem upieram, pozwolił wyruszyć w drogę, dając mi jeszcze małego Leszka i kaletę (sakiewkę) pełną złota.

Co się w duszy mojej działo, tego opowiedzieć nie potrafię. Noc całą przed wybieraniem się w podróż klęcząc, spędziłem na modlitwie, a z rana, skoro świt, wyruszyłem do Kaffy. Tam się spodziewałem spotkać z jakim kupcem chrześcijańskim i na okręcie do Wenecji popłynąć, a potem już lądem do ojczyzny się dostać. Jakoż we trzy dni potem, a była to bardzo piękna noc majowa,

stałem na pokładzie galery [1]) weneckiej i patrzyłem w niebo, uhaftowane tysiącami gwiazd, które zdawały się mrugać do mnie radośnie i pozdrowienie z ojczyzny przynosić.

— Ale coś mi się widzi, dobrodzieju mój — odezwał się pan Gozdawa — że niekoniecznie bliską drogę do kraju sobie obrałeś przez morze. Przecie nie tamtędy do nas wędrują, a oni pewno dłuższej drogi nie biorą.

— Dlatego to właśnie, panie wuju, ja tą drogą udać się nie mogłem, gdyż wpadłbym pewno w ręce tych rabusiów na nowo, a przytem miałem do spełnienia ślub, przed Ojcem Jackiem Panu Bogu uczyniony na przypadek, że jeżeli mi się uda wyrwać z niewoli pogańskiej; oto miałem odbyć pielgrzymkę do domku Najśw. Matki Bożej w Loretto i tam krzyżem leżąc, wysłuchać Mszy św., pierwszej od czasów mego dzieciństwa. Otóż to Loretto leży nad morzem, we włoskiej krainie i tam mnie kapitan galery naszej wysadzić obiecywał, zanim do Wenecji dojedziemy. Inaczej się jednak Bogu podobało, jak to zaraz zobaczymy.

XI.

Potęga turecka na morzu. — Korsarze. — Straszliwe przebudzenie. — „Światłość w ciemnościach świeci, a ciemności jej nie ogarnęły".

Nasza galera, zwana „Gołębicą", mknęła po fali szybko, chociaż naładowana mnóstwem futer,

---

[1]) Galery były to wielkie łodzie wojenne, poruszane wiosłami. Do wiosłowania używano niewolników albo zbrodniarzy, których przykuwano do łodzi.

drogich metali ze Wschodu i ukrytych między niemi drogich kamieni, jak się potem dowiedziałem. Niebawem popłynęliśmy pod Carogród i nie zatrzymując się wcale, wąziuchną cieśniną, Bosforem, wpłynęliśmy na morze Marmora. Cudnie się przedstawia zdala ta stolica padyszacha, ale serce mi się ścisnęło, że przed stu laty niespełna, jeszcze ona należała do chrześcijan, że tam, gdzie teraz błyszczą półksiężyce, wznosiły się wysoko złote krzyże kościołów naszych. A świecą i migocą na słońcu kopuły tureckich meczetów bardzo wysoko ponad tą modrą falą, która pieniąc się, uderza o skały nadbrzeżne.

Dalej znów Hellespont sławny (cieśnina Dardanelska) i już jesteśmy na morzu, które Archipelagiem zowią, bo zasiane wyspami, a te, jak szmaragdy, zielenią się, rozsypane między Europą i Azją. Mijają nas rozmaite okręty w tej żegludze, rozmaite na nich powiewają flagi, ale najwięcej jest tureckich.

Opowiadał mi nasz kapitan okrętu, że w Europie żadne państwo nie posiada takiej marynarki, jak turecka [1]). Ich admirałowie to ludzie uczeni, którzy na papierze wszystkie morza i lądy ryso-

---

1) Marynarka turecka najświetniejsza była w XVI wieku (aż do pogromu pod Lepantem 1572 roku), dowódcy jej byli zarazem korsarzami i tworzyli państwo Berberów, w Afryce północnej. Turcy nawiedzali wybrzeża Sycylji, Hiszpanji, Francji i Włoch, paląc miasta, a mieszkańców biorąc do niewoli. Admirałowie Solimana, wśród wojen i rozbojów, znajdowali czas na naukę, pisali dzieła, wydawali mapy historyczne i żeglarskie; mistrzami byli w zdobywaniu miast artylerją swą wyborną. Cała Europa drżała przed nimi.

wać umieją, a jakie mają armaty! To też ich potędze ulegają różne grody i państwa całe. Tu oblegają Marsylję w południowej Francji, tam znów na wybrzeżach Indji potykają się ze sławnymi również żeglarzami portugalskimi. Niedawno grozili Rzymowi, w falach Tybru czerpali wodę. Tu znów zdobyli (1523 roku) gród niezwyciężony na wyspie Rodos, gdzie trzy wieki z górą opierali im się waleczni rycerze świętego Jana Jerozolimskiego.

Wszystko to opowiadał mi kapitan wenecki, wskazując palcem na mapie, która przed nim leżała, kraje i miasta przez bisurmanów zajęte; były one poznaczone czerwoną farbą, a tych czerwonych punktów przybywa co rok więcej i więcej. I nasza wenecka flota — mówił kapitan — choć sławna po wszystkie czasy, drży teraz przed Turczynem dzikim a łupieżnym! Sam sułtan Soliman Wielki puszcza się nieraz na morze. O tym sułtanie także się dziwów nasłuchałem różnych. I dobrze mi było, żem się w niewoli u Edygi od innych jeńców po włosku był nauczył cokolwiek, bom się mógł teraz rozmówić z Wenecjanami i dowiadywać ciekawych rzeczy.

A tymczasem noc zapadła i wolniej już posuwaliśmy się, żeby nie uderzyć o skały, ukryte pod wodami Archipelagu. Znużony, usnąłem twardo na pokładzie, z głową opartą o jakąś pakę z towarami, a we śnie zdawało mi się, że widzę, jak po fali morskiej sunie okręt ogromny i coraz olbrzymieje.

Na przodzie samym stał rycerz turecki, także olbrzym w zawoju i podnosił krzywy miecz swój do góry, że aż w obłokach błyszczał niby półksię-

życ srebrzysty. A ten Turek wielkolud na olbrzymim okręcie pędzi wprost na naszą galerę i zgniecie ją pewnie, jak łupinę z orzecha... Serce mi biło gwałtownie, wyciągałem ręce, żeby się bronić, czy zasłonić... wtem straszny huk wstrząsnął mną całym i jak długi runąłem na pokład!

Budzę się, oczy przecieram: wkoło mnie zamęt i rozruch, ludzie biegają w różne strony, błyskają światła wśród czarnej nocy, i znowu huk straszny, niby grzmot: jeden, drugi, trzeci! To z armat strzelają! Co się stało? — pytam. — Nikt nie odpowiada, a tuż koło mnie przelatuje, furcząc i świszcząc, kula i ginie gdzieś w ciemności. Kapitan wydaje rozkazy, z trudnością dobiegam do niego i dowiaduję się, żeśmy zgubieni, bo nas opadli korsarze tureccy ze wszech stron i żadnego niema ratunku. Kilku marynarzy poległo, maszt główny strzaskany i już bisurmany, dziko wrzeszcząc, cisną się na pokład.

W jednej chwili leżeliśmy powiązani na pokładzie, a Turcy łupili okręt, zabierając paki w nim zawarte i przenosząc je szybko na swoje statki; a było ich kilka, bo ze wszech stron błyskały światła złowrogie. Ja miałem czas pochwycić Leszka małego i z nim razem leżeliśmy związani, obok pęku lin zwiniętych. Poprzenosiwszy paki, korsarze zabrali się do nas i także poprzerzucali na któryś ze swoich statków. Biedna „Gołębica", która się broniła z początku, podziurawiona tureckiemi kulami, szła szybko na dno. Dalej już nie wiedziałem, co się stało, bo mię wraz z innymi rzucono na dno okrętu i tylko przez drewniane jego boki słyszałem głuchy huk fali morskiej, zgrzyt łańcuchów i targanie lin.

Była to jedna z najstraszniejszych chwil w mojej niewoli... Przed kilku godzinami spokojny, szczęśliwy, płynąłem, myśląc, że każda chwila mnie zbliża do ojczyzny ukochanej, a teraz? Skrępowany leżę w ciemnicy, jakby w brzuchu potwora, nic nie wiedząc, co się ze mną stanie. I nie wiem, coby ze mną było, gdyby nie to uczucie, że Bóg Wszechmocny czuwa nad nami, że i z tej ciemnicy, gdzie ciało skrępowane bez ruchu pozostaje, duch mój ku Niemu wznieść się może. Modliłem się też gorąco do Boga, do tej Matki Najśw., której wizerunek czułem na piersi mej, do tej pocieszycielki strapionych, i zwolna, zwolna, nadzieja jakaś zaczęła mi wstępować w serce, a łzy gorące spływały po twarzy. Leszek, biedne dziecko, tulił się do mnie, a ja go pocieszałem, mówiąc o tym Ojcu Przedwiecznym, który nas pewno nie opuści, i sam się czułem coraz spokojniejszy, silniejszy na duchu.

XII.

Żywcem pogrzebani. — Towarzysze niewoli. — Kozak i Grek.

Ranek zaświtał, ale do nas przez wąskie szczeliny tylko wdzierały się słońca wschodzącego promyki, które pozdrawiałem, jak zwykle, odmawiając hymn do Bogarodzicy. I w tej chwili właśnie ustało skrzypienie lin i szum około okrętu: staliśmy na kotwicy. Zaczęło się znoszenie pak, tupanie i ciężkie stąpanie na pokładzie, nad głowami naszemi; wreszcie i na nas kolej przyszła: zdjęto nam więzy i wypędzono na ląd, a było, prócz mnie

i Leszka, kilkunastu ludzi z załogi „Gołębicy", kapitan i kupiec. Co z nimi się stało, nie wiem; mnie z kilku innymi zapowadzono do wielkiej jaskini, gdzie dostaliśmy koziego mleka i placków jakichś owsianych, twardych jak kamienie.

Byliśmy tedy w ręku korsarzy [1]) tureckich, którzy znać dobrze powiadomieni o nas przez jakiegoś zdrajcę z załogi „Gołębicy", od razu porozdzielali nas według zysku, jakiego się spodziewać mogli. Kupca, kapitana i jeszcze jakiegoś podróżnego mieli uwolnić za dobry okup, mnie zaś z kilku silniejszymi ludźmi zapędzili do pracy w łomach marmuru, znajdujących się na wyspie, do której przybyliśmy. Leszka biednego próbowali mi wydrzeć, ale chłopczyna nie chciał żadnego pokarmu do ust przyjmować, dopóki mnie znów nie zobaczył, a że był wątły i mizerny, dali mu jakoś spokój i został z nami. Na noc zamykali nas w jaskini, zawalając wejście wielkim kamieniem, który z zewnątrz tylko poruszać się dawał; mieliśmy prócz tego kajdany na nogach; z rana dozorcy pędzili nas do kopalni, gdzie cały dzień musieliśmy pracować.

Wyspa była prawie pusta, tu i owdzie wyrastały drzewa oliwne z szarawym liściem i cyprysy, a w jaskiniach było mnóstwo kryjówek, gdzie korsarze niewolników i złupione skarby przechowywali. Mieli też między skałami wygodną przystań, gdzie się kryły ich statki. A codzień niemal wyruszali na połów i przywozili ludzi, towary, czasem kobiety i dzieci małe nawet. Wszystko to jednak odbywało się dalej, z drugiej strony

---

1) Korsarze są rozbójnicy morscy.

wyspy, a nas, w kopalni zamkniętych, zdala tylko dochodziły krzyki, przekleństwa i kłótnie bisurmanów, albo jęki i skargi jeńców nieszczęsnych, których potem, jak towar, rozsyłano w rozmaite strony na sprzedaż lub wymianę.

Ciężki był los mój, a jednak nie traciłem i wtedy nadziei, chociaż czułem się pogrzebanym w tym kamiennym grobie. Najokropniej było wieczorem, kiedy nas zawalano ogromnym kamieniem i zostawaliśmy w ciemnicy straszliwej, do której się żadne światełko nie przedzierało. Towarzysze moi, a było nas około dziesięciu różnych narodowości: Włochów, Francuzów i Greków, ale po większej części chrześcijan, choć trudno było to poznać. Jedni klęli w okropny sposób, inni jęczeli i narzekali, ale powoli udało mi się ich namówić do wspólnej modlitwy i znów co wieczór, jak to niegdyś w szopie u Edygi-beya, śpiewaliśmy pieśń wieczorną. Jednego dnia ja intonowałem „Bogarodzico!“ z Leszkiem, a inni głosem tylko wtórowali; drugiego dnia znów Włosi, majtkowie, ulubione „Ave Maris Stella“ (Witaj Gwiazdo Morza) zaczynali, i tak stopniowo wszyscy się do tego przyzwyczaili; a dziwnie brzmiał ten śpiew pod ziemią, w łonie kamiennej skały, gdzie nas żadne ucho nie słyszało, żadne oko widzieć nie mogło, Boskie tylko, które i wnętrzności ziemi przenika.

A tak się jakoś stało, że ja, choć między towarzyszami najmłodszy, miałem nad nimi władzę niby, bo mnie wszyscy szanowali i nawet słuchali. Nieraz mi się udało rozbroić dwóch ludzi, co się już z pięściami na siebie rzucali; godziłem zwaśnionych, a przy robocie nie próżnowałem ani chwili, tak, że nadzorca zaczął być dla mnie ludzkim

i względnym nawet. Praca zahartowała moje siły, a na duchu, Bogu dzięki, nie upadłem; parę razy przemówiłem do nadzorcy naszego śmiało, ale bez zuchwalstwa, o lepsze dla nas pożywienie i lampkę na noc, obiecując za to, że wszyscy gorliwie pracować będziemy; i udało mi się, a towarzysze jeszcze więcej mnie za to polubili. Później doszło do tego, żeśmy już bez kajdan sypiali, co było wielką ulgą, bo żelaza raniły nam nogi i spać nie dawały na posłaniach z mchu i liści przygotowanych.

— Widzisz — synu mój — rzekła pani Bohowitynowa, łzę ocierając — jak to Bóg krzepi każdego, kto w nim ufność ma i wszędzie uczciwie sobie poczyna; i twój los przez to stawał się lżejszym i dla innych jeszcze byłeś podporą a osłodą.

— Między niewolnikami — mówił Jan — znajdował się jeden stary Kozak z nad Dniepru, z którym pokochaliśmy się bardzo; on mnie inaczej nie chciał nazywać tylko „panyczeńku!“ Rozpowiadał nieraz o Siczy, o mołojcach, z którymi niejednę odbył wyprawę, aż go wkońcu pochwycono rannego, kiedy w czajkach z braćmi Kozakami umykał, podpaliwszy jakiś gród turecki na wybrzeżu czarnomorskiem. Stary Maksym śpiewał nam tęskne dumki, szczęśliwy, że ja go rozumiem, a wieczorem dziwne rozpowiadał baśnie, albo ciekawsze jeszcze dzieje młodości swojej.

Drugi jeniec, także z siwiejącym już włosem, Grek z rodu, ale mówiący i po włosku, pociągał mnie również ku sobie. Smutny był bardzo, bo mu Turcy siedzibę jego spalili, żonę i dzieci wymordowali, a jego w niewolę powlekli; ale spokojny, nie szemrał, nie przeklinał, tylko czarnem okiem wpatrywał się w dal, jak gdyby tam za mo-

rzami, za chmurami szukał ojczyzny swojej. Harmodjus, tak się zwał ów Greczyn, polubił mnie, bom mu przypominał zabitego syna w tym właśnie wieku; od niego znów nasłuchałem się historji o jego pięknej ojczyźnie, o gajach laurowych i białych, marmurowych pałacach, z których teraz tylko zwaliska zostały. Grek umiał z marmuru wykuwać dziwnie piękne postacie, jakby żywe i znajdował w tem pociechę, choć mu korsarze zabierali wszystkie roboty, żeby je potem sprzedawać gdzieś daleko. Maksym znów za pomocą żółwiej skorupy urządził sobie jakąś lirę, czy teorban, na którym wygrywał wieczorami, przyśpiewując swoje dumki kozacze. I tak w niewoli nawet życie znośniejszem się stawało.

XIII.

Wielkie odkrycie. — Dowcipny Beppo [1]). — Pracujemy jak krety. — Podziemie. — Wiewiórka.

— Kilka już miesięcy przeszło tej mojej niewoli, gdy jednej nocy, a mieliśmy już wtedy lampkę zawieszoną u kamiennego sklepienia jaskini naszej, obudził mnie ze snu jeden z towarzyszy, Włoch, dawny majtek „Gołębicy", nadzwyczaj sprytny chłopak.

— Chodźno pan — mówił do mnie z cicha — mam coś ciekawego do pokazania! — prowadząc mnie w głąb jaskini, która się z jednej strony przedłużała w ciemny i wązki niby kurytarz, odsunął na bok kilka kamieni i ukazał mi szczelinę w ka-

---

[1]) Beppo znaczy po włosku tyle co Józef albo Józio.

miennej ścianie. Niewielki to był otwór, o parę stóp nad ziemią, ale nachyliwszy się nad nim, czuć było jakiś powiew chłodnego powietrza. Zdziwiłem się mocno, bom tego nigdy przedtem nie był zauważył, Włoch zaś szybko i gadatliwie, a przytem po swojemu rękami wymachując i oczy przewracając, jak to oni czynić lubią, zaczął mi tłomaczyć, że on tę dziurę od dawna wyszperał i już ją nawet trochę rozszerzył, ale dopiero teraz zmiarkował, że to musi być otwór, prowadzący do naszej kopalni, bo w tę stronę był zwrócony.

— Trzeba — dodał — lepiej się o tem przekonać i dlatego staraj się pan jutro z całej siły bić kilofem w tę ścianę, obok której Harmodjus zwykle pracuje. Ja udam chorego i zostanę tutaj, a będę dobrze nasłuchiwał. Jeżeli tak jest, jak myślę, to musimy się stąd wykopać, jak krety i uciec tym przeklętym szatanom, którzy nas żywcem zagrzebali.

— Trudno mi było z początku uwierzyć w to i zrozumieć pomysł dowcipnego Beppa, ale nazajutrz chłopak wywijał się na posłaniu swojem, krzycząc w niebogłosy tak, że dozorca musiał uwierzyć, iż mu straszne bóle szarpią wnętrzności i nie wypędził go na robotę, tylko zostawił w jaskini z dzbankiem wody i kawałkiem placka. Wieczorem, kiedyśmy wrócili, leżał jeszcze Beppo, jęcząc z przewróconemi oczyma, że mu tylko białka widać było, ale zaledwie towarzysze posnęli, on znów wśliznął się do mnie i podskakując, jak szalony, szeptał radośnie:

---

1) Kilof jest rodzaj motyki używanej przez górników w kopalniach.

— Słyszałem! słyszałem wybornie bicie w ścianę dziś rano! Prawda, że się wygłodziłem, jak pies, ale warto było! Będziemy wolni, tylko musisz mi pan pomóc. Wszystko będzie dobrze!

Zaczęliśmy już we dwóch oglądać ukryty w skale otwór i pokazało się, że nie trudno byłoby wykruszać zmiękłą od wilgoci ścianę i wydrążać coraz głębiej szczelinę, która musiała się przedłużać aż do naszej kopalni, jak twierdził Beppo. Kiedy go spytałem, skąd mu ta myśl przyszła, sięgnął do swych w gęste kędziory zwiniętych włosów i wydobył z nich malutki jakiś przedmiot. Przy słabem świetle lampki z trudnością poznałem, że to była maleńka busola, jak te, których używają marynarze, żeby się po morzu kierować, bo jest tam oprawiona igiełka, której jeden koniec zawsze ku północy wskazuje. Beppo, choć młody, ale rozmaite już miewał przeprawy i nauczył się rozmaitych figlów i podstępów, którymi sobie wszędzie poradzić umiał. Zepsuty był bardzo, ale jednak tkwiła w nim jakaś poczciwa iskierka, bo kiedy mi mówił o swej matce, która gdzieś tam, w Wenecji, na Lido [1]) za nim płakała, miał sam łzy w oczach. Mówił mi z najzimniejszą krwią, że jak tylko mu się udało coś ładnego, kosztownego ukraść dawniej, to robił piękny podarek najprzód matce, a potem świętej Madonnie, żeby mu dopomagała nadal.

— Ach, jakiż to niegodziwy człowiek! — wykrzyknęła Halka, nie mogąc już wytrzymać — to gorzej, niż prawdziwy poganin.

---

1) Lido znaczy po włosku brzeg albo też piaszczyste wysepki w morzu zwłaszcza w Wenecji, która jest zbudowana na takich wysepkach.

— Zapewne, że gorzej, ale Beppo był bardzo zaniedbany i nikt go nie oświecił, żeby poznał, co złe a co dobre. Mnie się nieraz udawało go przekonać i od złego odwieść, długie z nim toczyłem rozmowy, a że był sprytny i żywy jak ogień, więc wszystko w lot pojmował. Teraz jemu zawdzięczaliśmy plan, do którego wykonania wszyscyśmy się zabrać musieli. Najprzód Maksym i Harmodjus zostali przypuszczeni do tajemnicy, potem wszyscy się o niej dowiedzieli, gdyż spólnych sił potrzeba było do wykonania długiej, trudnej i mozolnej pracy.

Trzeba było takiej nadziei, jaką dla nas świeciła myśl o swobodzie, żeby się porywać na podobne dzieło. Dość już trudności przedstawiało wyżłobienie skały, prawie bez narzędzi potrzebnych do tego, a cóż robić z ziemią i gliną, którą stamtąd wydobywaliśmy? Wysypana na ziemi w jaskini naszej zwróciłaby uwagę stróżów, bo się różniła od kamienia, w jakim kryjówka nasza wykutą była. Po długich a cichych naradach stanęło na tem, że pracowaliśmy kolejno po dwóch w nocy, nad ranem zaś zakrywaliśmy starannie otwór, a ziemię wykruszoną chowaliśmy pod ubranie, każdy po trochę i tak ją wynosiliśmy z sobą do kopalni, gdzieśmy ją ostrożnie wysypywali. Łatwo uwierzyć, z jaką to nam przychodziło trudnością, ale pracowaliśmy stale, cierpliwie, niczem się nie zrażając.

Trwało to bardzo długo; przez ten czas kilku towarzyszy nam ubyło, bo ich korsarze gdzieindziej zabrali, przybyło za to kilku nowych i tak przeszły blisko dwa lata. Czasem napotykaliśmy w skale takie twarde miejsce, że z największem

wysileniem trzeba było kamień rozbijać narzędziami, zręcznie jakoś wykradzionemi przez Beppa z kopalni. Chłopak ten dziwów dokazywał, żeby nasze przedsięwzięcie do skutku doprowadzić; kiedyś już o mało go nie wzięto na galerę, gdzie musiałby na łańcuchu przykuty, wiosłem robić, ale jak zaczął po swojemu chorego udawać, musieli go zostawić.

Przy kamieniach teraz wszyscy dobrze pracowali i kłótni też coraz mniej było; dozorcy sądzili, że ja się do tego przyczyniam i dlatego może nie ruszali mnie z miejsca. Nie byłoby to tak dobrze szło, gdyby nie nadzieja, która wszystkich podtrzymywała; tak postępowała praca w naszem podziemiu, które się coraz dalej przedłużało.

Jednej nocy, grzebiąc tam, natrafiliśmy na dosyć dużą pieczarę, w bok idącą wprawdzie od naszego kurytarza, ale ta nam się wybornie przydała na wysypywanie ziemi, której już nie trzeba było wynosić tak mozolnie w odzieniu naszem. Do roboty przyświecaliśmy sobie małemi lampkami, które Harmodjus wyżłobił z marmuru, a my napełnialiśmy oliwą od jedzenia potrosze zostawianą. Raz, pamiętam, byliśmy w wielkim strachu; wśród ciszy nocnej rozlegały się uderzenia nasze o skałę i korsarze musieli je także usłyszeć, z rana bowiem dozorca pytał, czyśmy w nocy nie uważali jakiego huku podziemnego. Beppo, nie tracąc przytomności, odezwał się zaraz, że on to już nieraz słyszał i że pewnie musi się przygotowywać jakie trzęsienie ziemi, albo coś podobnego, bo wtedy zawsze z pod ziemi huk słychać. W tamtych krajach to nic dziwnego, ba, nieraz tak bywa, że cała wyspa

zapadnie się w morze zupełnie, a znów w innem miejscu wynurzy się nowa.

I Turcy jakoś uwierzyli temu, a my byliśmy ostrożniejsi odtąd i praca jeszcze powolniej postępować musiała. A jakie my to dziwne rzeczy znajdowaliśmy pod ziemią! Były muszle i ości rybie skamieniałe, a w pieczarze znaleźliśmy dużo kości ogromnych, jakby od wielkich zwierząt jakichś; były nawet i ludzkie, lecz musiały być bardzo dawne, bo stwardniały zupełnie na kamień. Beppo, grzebiąc między temi resztkami, wyciągnął duży, niezgrabny topór, ale nie z żelaza, tylko z bronzu i drugi mniejszy, z ostrego kamienia zrobiony. Uważaliśmy to za prawdziwy dar Boży i przydały się nam oba topory wybornie do roboty naszej. Kurytarz nie mógł być wysoki, więc trzeba było rąbać lub kopać, klęcząc; otwór zaś przedłużaliśmy w stronę kopalni, skąd zalatywał świeży powiew wiatru; to nam pozwalało oddychać swobodnie. Dochodził też szum morza coraz lepiej; widać, żeśmy się dobrze kierowali, ale nie wiedzieliśmy z pewnością, w którem miejscu kopalni kończy się podziemny kanał.

Beppo i na to znalazł sposób. Miał on wiewiórkę oswojoną, którą zawsze z sobą nosił w rękawie, albo na głowie. Jednego dnia zbliżył się do wielkiego dołu w kopalni i ostrząc topór o kamień na brzegu leżący, opuścił go niby niechcący. Nadzorca, stary Turek, ogromny jak olbrzym, ale kulawy, bo mu nogę kiedyś kula urwała, przyskoczył i uderzył po plecach niezgrabiasza za szkodę wyrządzoną, ale ten, niezmieszany, zaczął prosić, żeby mu pozwolili spuścić się do dołu, to się topór odnajdzie. Liny były pod ręką, bo ich używano

w kopalni do dźwigania marmurów; za chwilę nasz Beppo, zawieszony jak ptak w powietrzu, zniknął w ciemnym dole, Trudno go było dojrzeć w głębinie, ale niezadługo dał znak krzykiem, żeby go wyciągnąć napowrót i zjawił się zdrów i cały z toporem, uwiązanym u pasa. Przez cały dzień pracował gorliwie, śpiewając i podskakując, jak gdyby go co bardzo dobrego spotkało.

Wieczorem, jak zwykle, zapędzono nas do jaskini, ale zaledwie kamień się zawalił, Beppo, nie czekając nocy, rzucił się zaraz do otworu i niebawem wyskoczył, unosząc nad głową wiewiórkę, którą całował i pieścił, a przytem rzucał się jak szalony z radości.

— Co się stało? — pytamy — i okazuje się, że dowcipny Włoch po to tylko spuścił się do dołu, aby się przekonać, czy kanał ów naturalny z naszej jaskini otwiera się rzeczywiście w owym dole, a natrafiwszy na otwór podobny, wpuścił doń zręcznie swoją wiewiórkę, zasłaniając wejście tak, żeby już wrócić nie mogła. Biedne zwierzątko wśliznęło się głębiej i póty się czołgało, aż natrafiło na kurytarz przez nas wykuty, gdzie ją właśnie Beppo znalazł. Teraz już nie było wątpliwości, że praca nasza na coś przydać się może, z podwójnym też zapałem wzięliśmy się do dzieła.

XIV.

Wielkie dzieło ukończone. — Nowi towarzysze. — Łódź zbawcza. — Noc upragniona. — Nowe trudności. — Poświęcenie. — Znów niewola.

— Nie mogę pojąć — odezwała się pani Bohowitynowa — jakim sposobem myśleliście uciekać,

nawet gdyby się udało dostać do tej kopalni; przecież wyspa należała do tych strasznych korsarzy, a statku nie mieliście żeby stamtąd wypłynąć.

— Właśnie, mateńko, nad tem najwięcej głowy sobie łamaliśmy, ale od czegoż Beppo, który na wszystko poradzić potrafił. Jednej nocy, a było to już przeszło dwa lata, jak pracowaliśmy w podziemiu naszem, ja i Beppo, z siekierami w ręku, rozbijaliśmy skałę wapienną, kiedy nagle bryła cała usunęła się przed nami, chłodne powietrze wionęło prosto w twarz, a przed oczyma zabłysło światełko jakieś. O, Boże wielki! byliśmy już przy tym dole, na którym wykuta galerja marmurowych łomów otwierała się wprost ku morzu. I tamtędy z błękitnego nieba zabłysła gwiazdka, jak gdyby nam drogę wskazać chciała. Ja, klęcząc, wzniosłem ręce do nieba, łzy mi twarz zalewały, a usta szeptały słowa dziękczynienia dla Wszechmocnego. I Beppo padł twarzą do ziemi, modląc się, płacząc i śmiejąc zarazem.

Łatwo się domyśleć, jak się wszyscy towarzysze radowali, jak jeden po drugim wślizgiwał się do otworu, żeby spojrzeć na niebo i odetchnąć pełną piersią powietrzem, co od morza wiało. Trzeba było tem większej mocy, żeby ich utrzymać w spokoju i cierpliwości, nim się da urządzić coś dla wyprowadzenia nas z tej korsarskiej kryjówki. Kilku z towarzyszy, niosąc kamień do przystani, przypatrzyło się już cokolwiek wyspie i jej wybrzeżom; teraz Beppo wymykał się każdej nocy, żeby lepiej zbadać okolicę.

Nie będę już opisywał, ile to trudności przedstawiało się na każdym kroku, czy to w przytwierdzeniu liny do dołu w kopalni, czy w prześlizgiwa-

niu się niepostrzeżenie, aby nie być schwytanym przez korsarzy; dość, że wkońcu Beppo upatrzył sporą łódź w przystani, między skałami ukrytą a mogącą nas wszystkich pomieścić, i postanowiliśmy próbować szczęścia, jak tylko nasi korsarze udadzą się na wyprawę. Wybierali oni do tego najczęściej noce ciemne, a znając wybornie przesmyki i kryjówki około swojej wyspy, przesuwali się bez szwanku między skałami i rafami podwodnemi, których tam było mnóstwo. Dla tych też raf zapewne żaden okręt obcy nie zawadził nigdy o wysepkę naszą i rabusie czuli się tu bezpiecznymi.

Czekaliśmy więc niecierpliwie nowiu księżyca do uskutecznienia naszej ucieczki, kiedy niespodzianie przybyło nam dwóch jeszcze towarzyszy. Jeden był to kupiec z Francji, który zostawił żonę i kilkoro drobnych dzieci; drugi także Francuz, młody chłopak, jedynak matki wdowy. Trzeba im było odkryć tajemnicę podziemia, a teraz już dwunastu prócz mnie znajdowało się niewolników w jaskini naszej.

Nadszedł wreszcie dzień wielki, upragniony. Od rana już, pracując w kopalni i wyciągając kamienie na wybrzeże, zauważyliśmy ruch niezwykły z daleka na wyspie; musieli się rabusie gotować na większą wyprawę i wcześniej nawet, niż zwykle, zapędzili nas na nocleg. Czas był pochmurny i pod wieczór nawet mgła zaczęła się unosić nad wybrzeżem. Skorośmy zostali sami, ja ukląkłem, jak zwykle, do pieśni wieczornej, po której odśpiewaniu padłszy na twarz, gorąco się modliłem o powodzenie naszego przedsięwzięcia. I głucha nastała cisza, a każdy w skupieniu ducha musiał po swojemu korzyć się przed Władcą

Wszechrzeczy, którego w takich chwilach dusza najmocniej uznaje. Potem wstaliśmy, zabierając się do podziemia; a trzeba było wielkiej ostrożności i porządku; przez ciasny kurytarzyk po jednemu tylko wysuwać się mogliśmy i to pełzając na czworakach czasami, a każdy wypoczywał chwilę w owej pieczarze, której znaczną część zasypaliśmy byli ziemią. Wygrzebawszy się aż do końca kurytarza, trzeba było znów, czepiając się liny, za pomocą drabiny sznurowej, którąśmy już od kilku miesięcy mozolnie wyplatali, wdrapywać się na górę do kopalni. Wszystko to zajęło sporo czasu, zanim ja ostatni wydobyłem się z kryjówki naszej.

Tymczasem Beppo z trzema innymi poszedł już był chyłkiem ku miejscu, gdzie się znajdowała zwykle uczepiona łódź i spodziewaliśmy się, że niezadługo przybiją do brzegu od strony kopalni, aby nas z sobą zabrać i puścić się na morze. Spokojne ono dziś było, Bogu dzięki, bo inaczej jakże się puszczać na bezdenne głębiny w wątłej łodzi, która, jak łupina z orzecha, o skały rozbić się mogła? I teraz rachowaliśmy na biegłość marynarską niektórych naszych towarzyszy, aby się prześlizgiwać między rafami nadbrzeżnemi.

Czas mijał, Beppa i łódki upragnionej jakoś widać nie było; serce mi jak młotem biło w piersi, ale uspokajałem towarzyszy i Leszka, który, drżąc ze wzruszenia, tulił się do mnie. Wreszcie cichy plusk wioseł odbił się o uszy nasze: To on! już się zbliżają, już są przy brzegu i Beppo wyskakuje na ląd. Szybko, urywanemi słowy opowiada, że przybywszy na miejsce, łodzi nie znalazł, korsarze ją widać zabrali, musiał szukać dłużej; już upatrzyli

drugą, gdy straż tam postawiona zawołała na nich, czego chcą? I tym razem przytomność umysłu Beppa pozwoliła im się wywinąć z tej matni tak, że sami strażnicy, nie znając ich, dopomogli łódź odczepić, ale niestety! łódź ta o wiele mniejsza od tamtej, nie wiadomo, czy dziesięciu ludzi zmieści!

Tu dopiero wzburzenie, nikt nie chce zostawać, wszczyna się spór, zaciskają się pięści, gniewne słowa lecą, a tu czas uchodzi i lada chwili możemy być wyśledzeni... Naturalnie chciano zostawić owych dwóch ostatnich więźniów, którzy nawet nie pracowali nad podziemiem, ale ci błagają, żeby ich nie porzucać; jeden żonę i dzieci przypomina, drugi miał być odesłany do pułków jańczarskich, więc wszelkiemi siłami chce się ratować. Cóż robić? Czyż wszyscy mamy ginąć przez upór, tyle przeniósłszy i przecierpiawszy? Przemówiłem raz i drugi, ale napróżno; już się dwóch majtków porwało za barki, a kłótnia coraz gwałtowniejsza wybucha. Niema ratunku! wyciągnąłem rękę i mocnym głosem nakazałem milczenie, poczem zwracając się do Beppa, który był jakby wodzem na łodzi, rzekłem:

— Bóg mi świadkiem, że czekałem tej chwili, jak zbawienia prawie i wszyscyśmy jej również czekali; teraz zgubimy się dobrowolnie. Widzę, że innej rady teraz niema; mamy ginąć wszyscy, to niech lepiej ja ginę. Zostaję tutaj, wy płyńcie; kto jeszcze ze mną?

Beppo zaklął straszliwie.

— To być nie może! Ja łódź zatopię, a bez ciebie nie jadę!

I znowu wahania, spory, groźby. Wreszcie wezwawszy Boga na pomoc, oddałem im w opiekę

Leszka, który także z początku porzucać mnie nie chciał i odszedłem kilka kroków, a tu już i krzyk jakiś na wyspie słychać było.

— Na miłość Boga, nie tracić czasu — mówię drżącym głosem ale stanowczo — ja zostaję, płyńcie natychmiast.

— I ja z wami, panyczeńku! — I obok mnie stanął poczciwy Maksym, i on nie miał nikogo bliższego na świecie... Za chwilę łódź odbiła od brzegu, a w samą porę, bo na wyspie wszczął się rozruch. Spostrzeżono widocznie, że coś się dzieje niezwykłego i zaczęli z pochodniami uwijać się Turcy, ale nie wiedzieli, w którą stronę się udać. Tymczasem łódź mknęła szybko po fali.

Patrzyłem daleko w ciemności, jak gdyby oko moje mogło przebić grube zasłony, wszystko kryjące i znowu, znowu czułem się sam, opuszczony... Leszek, którego pokochałem jak brata, stracony dla mnie, a z łodzią, która go uniosła, uciekła też nadzieja swobody, lepszej doli. Ale czułem, że postąpiłem uczciwie. Gdyby nie moja ofiara, byłoby gorzej jeszcze, bo nikt nie chciałby tu pozostać i cała wyprawa, z takim mozołem przygotowana, zeszłaby na nic. Maksym poczciwy wyrwał mnie z tej bolesnej zadumy i potrącił z lekka w ramię, kiedy jak martwy leżałem na twardym głazie nad brzegiem.

— Co teraz będzie? — pytał — i prawda, co teraz począć? Po krótkiej naradzie postanowiliśmy, póki jeszcze trwa nocy ostatek, prześlizgnąć się do jaskini naszej i odwaliwszy jej kamień, wejść do wnętrza, zakryć jak można było najlepiej otwór podziemny, a wreszcie rzucić się na posłanie, jak gdybyśmy o niczem nie wiedzieli.

— Jakto! — wykrzyknął Jurek — i tak sami wracaliście do paszczy tego potworu! Czyż nie lepiej było stać nad brzegiem i szukać jakiego sposobu ucieczki?

— To by się na nic nie zdało teraz; po wybrzeżu krążyli ludzie ze światłem, szukając zaginionej łodzi i baczność była obudzona, a pochwyciwszy nas na wolności, byliby nas ci ludzie zamordowali natychmiast, a przynajmniej okrutnie pokaleczyli. Postanowiliśmy udawać śpiących i jak gdyby upojonych, a nie wiedzących o niczem.

Dzieweczki płakały, słuchając tego opowiadania, tak im żal było brata, któremu już po raz drugi przychodziło dobrowolnie prawie wyrzekać się swobody. Bohowitynowa z dumą i rozrzewnieniem patrzyła na syna.

XV.

Rabusie oszukani. — Na wodzie. — Galernicy. — Burza. — Rozbicie.

— Już nie wiem, dobrodzieju mój — odezwał się nazajutrz Gozdawa — jakim sposobem waść wyszedłeś kiedy z tej niewoli. Myślę, że już wkońcu musiałeś się rozmiłować w tych bisurmanach i dlatego ich nie porzuciłeś. Jabym, panie, był porozbijał tych kupczyków i sam się, dobrodzieju mój, wpakował do łodzi, niechby robili, co chcieli.

Wszyscy się uśmiechali na takie wywody pana Gozdawy, Bohowitynowa tylko przez łzy na jedynaka swego spojrzała i rękę wychudłą na głowie mu położyła. Janek mówił dalej:

— Nad ranem, ledwie świtać zaczynało, stróże nasi ze strasznym hałasem wpadli do jaskini, gdzie my obaj z Maksymem leżeliśmy w kącie, mocno sapiąc, jak gdyby twardym snem złożeni. Rozbiegli się rabusie po kątach, krzycząc i klnąc po swojemu i wreszcie któryś z nich, potknąwszy się o leżącego na mchu Maksyma, porwał go za barki i zaczął trząść, wołając, żeby się przebudził; ten jednak udawając nieprzytomnego, bełkotał naumyślnie jakieś niezrozumiałe słowa. Turcy nie wiedzieli sami, co myśleć, bo i ja musiałem śpiącego udawać. Napróżno nas trzęśli i szarpali, szukając innych, a nic się dowiedzieć nie mogąc. Uwierzyli zapewne, że tamci nas upiwszy, porzucili, pojąć tylko nie mogli, jakim sposobem głaz odwalony został. Posądzali jeden drugiego o pomoc daną niewolnikom, wreszcie pobili się między sobą okrutnie, a tymczasem nadpłynęły i statki korsarskie z nową zdobyczą.

Podziemie nasze ocalało, ale nie było nam sądzono korzystać z niego, na drugi dzień bowiem obaj z Maksymem, przykuci łańcuchem do galery, musieliśmy pełnić służbę wioślarzy. Ciężka to była niewola, a jeszcze okropniej pomyśleć, że będziem musieli niejako dopomagać do tych wszystkich rozbojów i złodziejskich wypraw rabusiów. Bóg nam jednak oszczędził tego nieszczęścia, korsarze bowiem zawinąwszy gdzieś na wybrzeże, sprzedali nas do kupieckiego okrętu tureckiego.

Tu, przykuci zawsze łańcuchem, ja i stary Kozak, druh mój, długie przeżyliśmy miesiące. Wiele przez ten czas zwiedziliśmy rozmaitych okolic, trudno mi opowiadać, bobym i za miesiąc nie skończył. Galera nasza zawijała do różnych portów,

a my niewolnicy z daleka tylko patrzyliśmy na nieznane wybrzeża; to nam migotały w dali palmy afrykańskie, to znów zbliżaliśmy się do skał Gibraltaru, to stawaliśmy znów w jakim porcie francuskim, a potem wszystkie te obrazy z górami, lasami, pałacami znikały nam z oczu, jak sen, i znów płynęliśmy o szerokiem morzu.

Czasami w nocy, kiedy zabłysło gwiazd tysiące, zdawało się, że nad nami i pod nami niebo złociste, a choć ciało łańcuchem było przykute, to serce nieraz się wznosiło do Boga i czułem, że jak dawniej w czarnych podziemiach, albo na tatarskim pustym stepie, tak teraz wśród morza ogromnego nie byłem sam. I znów się budziła nadzieja, że kiedyś, kiedyś ten Bóg, co mię wspierał w tylu losu kolejach, ulituje się wreszcie i doprowadzi mnie do ziemi rodzinnej. A może znów nie bez celu, zostałem rzucony na tę galerę turecką i tu bowiem znalazłem towarzyszy rodaków; prócz Maksyma i mnie dwóch młodych Ukraińców zastaliśmy między wioślarzami galery. Z tymi długie tocząc rozmowy o kraju rodzinnym, o wierze naszej i mowie ojczystej, umacnialiśmy się nawzajem na duchu i zachęcali do wytrwałości; a wieczorem znów brzmiała pieśń „Bogarodzico“ i tak jak dawniej wielką nas napełniała otuchą. Kiedyś, pamiętam, wiosłując, podniosłem wzrok ku niebu, a tu widzę stado bocianów, co wysoko ponad morzem ku północy lecą, rozwinąwszy skrzydła, lecą tam daleko, do ojczyzny mojej! I oczy mi się napełniły łzami i zerwałem się na nogi, ale brzęk łańcucha przypomniał, żem w niewoli. Przemyśliwaliśmy też nieraz, jakby się z tej niewoli wydobyć, ale to już wydawało się niepodobnem, bo gdy-

by nawet jaka siła nadludzka twarde kajdany nasze skruszyła, trzebaby chyba ptakiem wylecieć, jak te białe mewy, co krążyły czasami nad statkiem naszym. Ale właśnie, kiedyśmy się tego najmniej spodziewali, przyszło uwolnienie w dziwny i cudowny prawie sposób.

Wracając z odległej wyprawy ku wybrzeżom Afryki, wpłynęliśmy właśnie na ciche wody Archipelagu i znów, jak owej nocy, po mojem odpłynięciu z Krymu, przesuwaliśmy się pomiędzy licznemi wyspami, tym razem jednak ku północy się kierując, gdyż galera nasza do Saloniki zawinąć miała. Już niezadługo spodziewaliśmy się wpłynąć do zatoki Salonickiej, odgraniczonej od wschodu wielkim trójzębem półwyspu Chalcedonji, gdy nagle wiatr, dotychczas łagodnie ku północy nas popychający, zmienił kierunek i gwałtownie dmąc w żagle, począł nas zwracać ku wschodowi. Próżno się sternik wysilał, napróżno my wioślarze natężaliśmy wszelkie siły, burza coraz gwałtowniejsza, targała nasz statek i rzucała nas na wszystkie strony.

A miało się już właśnie ku wieczorowi, słońce, jakby krwią oblane, zapadało gdzieś daleko w morze, a fale, groźnie hucząc, piętrzyły się wokoło statku, niby potwory ogromne, które go chcą pożreć. A tu czarne chmury, kłębiąc się, zalegały widnokrąg i burza, tem straszliwsza, że niespodziana, rozszalała się na morzu, w morzu i powietrzu. Gromy huczały z daleka, a błyskawice jaskrawymi gzygzakami rozdzierały ciemność nas otaczającą. Niepodobna było walczyć z siłami przyrody, a znużone ramiona opadły nam bezwładnie.

Galera, miotana na wszystkie strony, niby wątła skorupka, to się wznosiła na grzbiecie fali jakiejś olbrzymiej, to znów opadała w odmęty, zalana wodą. Pogasły wszelkie światła na statku i nic już nie było słychać, prócz ryku burzy, huku fal i straszliwych gromów, wstrząsających, zda się niebo i ziemię. Straszne to były godziny, a jednak i wtedy serce moje wołało do tego Pana Wszechrzeczy, który poza rykiem burzy i trzaskiem gromów przemawia do duszy ludzkiej tak, jak wśród ciszy spływa do niej po srebrzystym promieniu miesiąca. Skuty łańcuchem, przywiązany do tej kruchej łupiny, co się już rozbijała o skały ostre podwodne, otoczony ciemnością przerażającą, czułem jeszcze, że mnie Bóg nie opuszcza i odzywałem się do towarzyszy, starając się im dodać otuchy.

Nie słyszeliśmy się prawie wśród łoskotu burzy morskiej, Maksym tylko, który był tuż przy mnie przykuty, żegnał się co chwila, a kiedy błyskawica, rozdzierając chmury, rozświeciła mi twarz jego, widziałem, że się modlił z głową wzniesioną. Inni już wpół martwi z przerażenia i grozy, leżeli na pokładzie, chwytając się masztów i lin porzucanych. Jak długo to trwało, nie wiem; wreszcie — trzask okropny, który się dał słyszeć nawet wśród burzy szalejącej... zimno oblewającej nas wody i... straciłem przytomność...

XVI.

Janek zmartwychwstaje. — Góra Athos. — Pustelnik. — Między niebem a ziemią.

Kiedy otworzyłem oczy, słońce jasno świeciło wkoło mnie tak, że natychmiast zamknąć musiałem powieki, nie mogąc znieść wielkiego blasku. Na razie nie wiedziałem, co się ze mną stało, aż dopiero zwolna wróciła pamięć: ryk wichru, szum i łoskot wzburzonej fali, krzyk i jęki strwożonej załogi, potem ów trzask straszliwy, chwila walki okropnej z wodą, zalewającą mnie ze wszech stron i... ciemność! Cóż się później ze mną działo? Nie wiem.

Otwieram znów oczy; przez małe zakratowane okienko, świeży powiew przynosi balsamiczną woń kwiecia, a złocisty promień słońca igra nade mną, ślizgając się po białem posłaniu. Na stropie ciężkie sklepienie wznosi się okrągłym łukiem, a przy ścianach kilka prostych, drewnianych sprzętów. Teraz dopiero widzę w kącie postać ludzką; starzec siwobrody, schylony nad wielką księgą ze srebrzystemi klamrami zatopiony w modlitwie, czy w zadumie głębokiej, zdawał się nie patrzeć na mnie wcale; kiedy jednak poruszyłem się na posłaniu, starając się głowę podnieść, oczy jego duże, niebieskie, a pełne rozumu i słodyczy, spoczęły na mojej twarzy i powoli uśmiech pogodny rozjaśnił jego poważne, szanowne oblicze.

Powstał i zbliżył się do mego posłania, a stąpał po cichu, jak gdyby jakieś nadziemskie zjawisko; u pasa mu coś błyszczało, gdy się poruszał — to różaniec. Nie wiedziałem znów, czy śnię, czy na jawie oglądam to wszystko i usiłowałem

podnieść się na wezgłowiu mojem, ale bezwładnie opadłem napowrót.

— Gdzieżeście się znów dostali, panie bracie? — pytał ciekawie Juraś — przecie nie na tamten świat, sądzę, a tego jednego tylko wam brakowało, boście już byli na ziemi i pod ziemią, na wodzie i pod wodą.

— Otóż i ja sam nie wiedziałem, gdzie się znajduję — odrzekł Janek — ale powoli rozgadałem się z szanownym starcem, co jak duch opiekuńczy stanął nade mną i przekonałem się, żem jeszcze na tym świecie i to w klasztorze zacnych Ojców na górze Athos, dokąd mnie na poły martwego burza wyrzuciła. Pokazuje się, że owe łańcuchy, któremi byłym przykuty, obróciły się na moje ocalenie, trzymały mnie bowiem przytwierdzonym do ogromnej belki, którą fale na brzeg wyrzuciły. Tam mnie i starego Maksyma znaleźli zacni Ojcowie, którzy mają swe klasztory na wybrzeżu, ostrym kątem w morze się wsuwającem. Oni nas przenieśli, rozkuwszy, do tego schronienia i odżywiwszy rozmaitymi kordyałami i nacieraniem, pielęgnowali z ojcowską prawdziwie pieczołowitością. A minęło kilka miesięcy, nim się z łoża podnieść mogłem po strasznem potłuczeniu i złamaniu prawej nogi; Maksym także niemało ucierpiał, ale obaj czuliśmy, żeśmy dobili do portu i codziennie za to dzięki składaliśmy Wszechmocnemu.

Nie zapomnę nigdy dni tam spędzonych, prawdziwie między niebem a ziemią. Cudowna bo jest ta góra Athos, umajona zielenią i kwieciem, kąpiąca stopy w błękitnem morzu, a szczytem sięgająca obłoków. Wznosi się na jednym z trzech

zębów półwyspu Chalcedońskiego, a na stokach jej wznoszą się klasztory. Później, gdy już byłem znacznie silniejszy, zwiedzałem tę cudowną okolicę, gdzie, oprócz szumu fali, szelestu drzew i śpiewu ptasząt, słychać tylko dzwony wzywające na modlitwę i pobożne pienia mnichów, poświęconych na służbę Bożą [1]).

Dziwny jakiś spokój spłynął mi do duszy, gdym przebywał pośród tych ludzi świętobliwych i patrząc na ich życie ciche, zatopione w modlitwie, rozczytywaniu się w księgach i wielbieniu Boga w przyrodzie cudownej, sam chwilami pragnąłem być policzony między nich. Ojciec Bazyli, który właśnie czuwał nade mną, gdym odzyskał przytomność, przybył tu przed laty z Ukrainy; on też zrozumiał słowa, które mi się z ust wyrwały w gorączce i odtąd wyjednał sobie pozwolenie wyłącznego pielęgnowania mnie. Z nim też najlepiej porozumieć się mogłem, inni bowiem Ojcowie przeważnie greckiego języka używali. Był w tym klasztorze zbiór ksiąg, a w nich wizerunki, prześlicznie farbami wykonane; widziałem nieraz Ojców nad taką robotą pracujących i odpisujących stare rękopisma.

---

[1]) Do dziś dnia na górze Athos wznosi się mnóstwo klasztorów, bardzo starożytnej budowy, zawierających księgozbiory, malowidła i inne stare zabytki. W rozpadlinach skał kryją się Pustelnicy, pędząc żywot na ciągłej modlitwie. Położenie półwyspu tego, oblanego ze wszech stron morzem, a przedstawiającego kształt trójzębu, dziwnie ma być piękne i urocze, roślinność wspaniała i rozkoszny klimat. Zakony na górze Athos są po większej części obrządku wschodniego.

Gdy już byłem zdrowszy, Ojciec Bazyli wziął mnie z sobą do innego klasztoru, dokąd go przełożony za jakąś sprawą posyłał. Siedzieliśmy obaj na osiełkach i wspinaliśmy się coraz wyżej, wyżej w górę; czasem prowadziła ścieżka nad brzegiem przepaści tak głębokiej, że się mimowolnie oczy od niej odwracało, ale osiełek stąpał powoli, ostrożnie, wznosiliśmy się ciągle w górę. Przed zachodem słońca stanęliśmy pod cieniem wielkiego kasztana; osiełki zaczęły skubać trawę, a ja rzuciłem okiem dokoła.

Daleko, daleko pod stopami naszemi, srebrzyło się i złociło morze, którego szum oddalony nas dolatywał; nad nami lazurowe niebo, a między tem niebem i wodą zielone stoki góry, gdzie wśród gajów błyszczą złociste krzyże na wieżycach kościołów i kaplic. A jest ich takie mnóstwo, że gdzie okiem rzucić, tam szarzeją mury starej budowli sług Bożych. Tu i owdzie znów w szczelinach skał żyją pobożni Pustelnicy, którzy ślubowali nie oglądać oblicza ludzkiego i w nocy tylko schodzą po chleb lub placki, które im z klasztorów posyłają, składając w jakiem wydrążeniu wśród głazów.

Kiedyśmy przejeżdżali nad taką rozpadliną, Ojciec Bazyli w milczeniu wskazał palcem na dół. Spojrzałem i dopiero po długiem wpatrywaniu się w ciemną pieczarę dojrzałem na ziemi klęczącą postać, niby ludzką, ale tak skurczoną, wychudzoną i wyżółkłą, że trudno było uwierzyć, iż to człowiek żyjący. Okryty jakimś zbutwiałym łachmanem, klęczał Pustelnik przed kawałem kamienia, wyciosanego w kształcie krzyża i zdawał się nic innego nie widzieć, ani słyszeć. Dopiero kiedy ja pochyliwszy się nad pieczarą, zasłoniłem sobą pro-

mień, który z góry padał na krzyż i złocił go swym blaskiem, starzec podniósł głowę i zamglone oczy utkwił w nas na chwilę, ale natychmiast zerwał się, jak ptak spłoszony, i odwracając wzrok ku ziemi, zniknął w głębinie pieczary.

— Przyznam się — odezwał się pan Gozdawa, który dotąd słuchał w milczeniu — że ja takiej służby Bożej nie pojmuję. Przecie nie na to, zda mi się, dał Pan Bóg człowiekowi rozum i wolę, dobrodzieju mój, żeby się jak zwierz drapieżny krył po norach podziemnych. Albo to ja nie mogę służyć Bogu z pługiem czy kosą, a choćby i z kordem w ręku? A waść, panie Janie, chciałeś już tam może przystać do tych Pustelników?

— Uchowaj Boże — odpowiedział Janek — i choć przyznam się wujowi dobrodziejowi, że mi z początku kręciło się po głowie, żeby tam zostać na zawsze w klasztorze między Ojcami, to na myśl o szabli straciłem ochotę nawet do życia zakonnego. W miarę, jak mi wracała dawna siła, budziła się też coraz żywiej tęsknota za krajem ojczystym i zdawało mi się, że na skrzydłach poleciałbym tam daleko, na północ. Dobrzy Ojcowie nie przymuszali mnie też wcale, chociaż z początku uważali, że to pewno jakieś zrządzenie Boże zapędziło mnie na ono wybrzeże nieznane.

Maksym mój poczciwy, którego także Ojcowie ożywili staraniem swojem, uprosił, że go też, choć starego już, do zakonu swego przyjęli i ani myślał o opuszczeniu góry Athos. On, co w swym kozaczym żywocie zapomniał był praktyk religijnych, teraz przywiódł na pamięć lata dziecinne i cerkiewkę, do której go małem dzieckiem jeszcze matka prowadziła, śpiewał z mnichami pieśni nabo-

żne, a tymczasem rosła mu coraz dłużej biała broda i wierny mój towarzysz z kozaka na niewolnika tureckiego przemieniony, teraz się przeobraził w mnicha.

Ja zaś wyczekiwałem jakiego okrętu, któryby mnie zabrał do Włoch, a stamtąd do ojczyzny ukochanej; tymczasem siedziałem nad księgami w bibljotece klasztornej i starałem się nauczyć różnych rzeczy z tych starych pergaminów. Między Ojcami, prócz prostaczków, co nawet czytać nie umieli, byli ludzie uczeni wielce, i ci mi chętnie dopomagali, opowiadając różne ciekawe rzeczy o dawnych czasach, o narodach rozmaitych, o Rzymie i Carogrodzie, o Turkach i Arabach.

I tak mi znowu upłynął rok, już pono czternasty od wzięcia w niewolę. Z dziecka wyrosłem na mężczyznę silnego, a za łaską Bożą tak mi się zahartował duch i ciało, żem śmiało gotów był w oczy spojrzeć każdej przygodzie.

— Ja bo też od razu przemyśliwałem — odezwał się Jurko — że was, panie bracie, trzeba tylko dostawić do naszego pana hetmana. Jemu właśnie takich potrzeba, co to i w ogniu i w wodzie hartowani, a teraz się pono zbiera na wojnę z Wołoszą, toby was z otwartemi ramiony przyjął.

Bohowitynowa trwożnie spojrzała na syna i mimowoli wyciągnęła rękę, kładąc ją na bujnych włosach młodziana, jakby go osłonić i zatrzymać chciała, tego niby wskrzeszonego jedynaka, który jej starość mógł osłodzić i silnem ramieniem wesprzeć chwiejne jej kroki u schyłku życia pełnego cierpień. Ale nad matką wzięła górę obywatelka, co się nie waha i chwili, kiedy idzie o złożenie ofiary potrzebnej.

— Dobrze, mój synu — rzekła — pójdziesz, gdzie cię powoła serce i obowiązek, ale teraz jeszcze nie mówmy o tem, dokończ nam raczej opowieści o losach twoich.

XVII.

Odjazd z klasztoru. — Powrót. — Matka Spartanka. — Błogosławieństwo.

Z wiosną jakoś — mówił Janek — zatrzymała się przy górze Athos piękna galera, z której wysiadła gromadka pielgrzymów, pragnąca zwiedzić tutajsze miejsca święte, a wkrótce się ułożyło, że mnie ze sobą zabiorą. Nie mając czem zapłacić za przejazd, zobowiązałem się na statku pełnić służbę marynarza, do której byłem przez Turków zaprawiony. Przed samą Wielkanocą, odbywszy spowiedź i przyjąwszy Komunię świętą, po raz pierwszy w życiu, otrzymałem błogosławieństwo Ojców zakonnych i opuściłem progi gościnnego klasztoru, ze łzami żegnając ich i Maksyma, już w habit przyodzianego. Na odjezdnem ojciec Bazyli wsunął mi w rękę sporą kieskę, mówiąc, że to Ojciec przełożony dla mnie wyznaczył na drogę, i tak opatrzony wypłynąłem znów na morze; tym razem bez przygód, odwiedziwszy po drodze Loretto, gdzie się zatrzymywali pielgrzymi, przybyłem do Wenecji.

Nie będę już tu opowiadał o tym cudnym grodzie, co zda się z morza wyrastać. Powiem tylko, że w jednym klasztorze tamtejszym odnalazłem naszą Mirę między zakonnicami, które chorych i rannych pielęgnują i widziałem się z nią i do-

stałem na pamiątkę krzyżyk koralowy, który oto mam na szyi.

Jednego ranka znów, kiedym wyszedł na wybrzeże, zwane Lido i przypatrywałem się, jak słońce wschodzi, czuję nagle, iż mię ktoś chwyta wpół. Porywam się zdumiony i już sięgam ręką do kordelasa, którym sobie był kupił, bo tam na ziemi włoskiej niemało rozmaitych rabusiów, co to ich „banditti“ albo „bravi“ Włosi zowią, kiedy ten, który na mnie tak niespodzianie napadł, woła, śmiejąc się:

— Signor Giovani — co u nich znaczy panie Janie i dalej mnie ściskać i całować. I dopiero poznaję, że to Beppo, towarzysz z wyspy korsarskiej.

Zaczął mi opowiadać, jak to oni na morzu biedowali, nim się dostali za Bożą pomocą na wybrzeże Grecji, jak potem każdy do swojej ojczyzny starał się dostać, jak ów kupiec z Francji zaręczał, że musi mnie z niewoli wykupić, jak on, Beppo, nazbierawszy gąbek i handlując niemi, dostał się wreszcie do Włoch, wraz z moim Leszkiem, którego nikomu oddać nie chciał. Wreszcie dowiedziałem się, że Leszka zabrał jakiś pan polski, bardzo bogaty, jak mówił Beppo i jemu też sporą sumkę zostawił. Potem ucieszony chłopak zaprowadził mnie do swojej chatki rybackiej, gdzie znalazłem starą matkę jego, pomarszczoną i ze sporymi wąsami i bródką (jak to niewiasty we Włoszech często na starość miewają), a oprócz tego śliczną Giulettę, z którą się był przez ten czas Beppo ożenił. Wszyscy troje tak mnie serdecznie gościli i częstowali, żem zjeść musiał całą miskę ślimaczków morskich w oliwie smażonych, zapić

to kubkiem wybornego wina i odprowadzony przez Beppa, wróciłem do mojej gospody. Przy pożegnaniu szepnął mi jeszcze poczciwy rybak, że on już teraz cudzego nic nie bierze, a dzięki Madonnie i signorowi polskiemu, dosyć ma dla siebie i rodziny. Uspokojony o los Leszka, przemyśliwałem już tylko, jak się dostać do kraju.

W Wenecji jeszcze spotkałem rodaków naszych, którzy mnie serdecznie witali i wszelką pomoc ofiarowali. Jeden z dworzan miłościwego księdza Arcybiskupa Gnieźnieńskiego [1]), znajdujący się tam podówczas, chciał mnie zaraz wziąć na dwór pana swego, który, jak mówił, każdego uczciwego młodzieńca chętnie przygarnie i na człowieka wykieruje. Ale przedewszystkiem spieszyłem pokłonić się tej Matce Najśw., której wizerunek na piersi noszony ochraniał mię lat tyle we wszelkich przygodach i niebezpieczeństwach. I tu mnie widocznie przywiódł palec Boży, bym po tylu latach sieroctwa i tułaczki odnalazł was, mateńko najdroższa i miłościwa, oraz cudownem zrządzeniem Opatrzności Boskiej odzyskał imię przodków moich. Teraz mi tylko brakuje, bym przez chrzest rycerski stwierdził to szlachectwo, spuściznę ojców.

— Mnie się zdaje — odezwał się pan Gozdawa — żeś już waść dostatecznie ochrzcony w ty-

---

1) Andrzej Krzycki, kanclerz króla Zygmunta I, później Arcybiskup Gnieźnieński, człowiek wielce uczony i zacny, pisywał sam poezje okolicznościowe, a opiekował się chętnie młodzieńcami zdolnymi. Jemu wiele zawdzięcza Klemens Janicki, znakomity poeta ówczesny, syn włościański, zmarły wcześnie we Włoszech. Krzycki zmarł w 1537 roku.

loletniej niewoli i możesz teraz spokojnie orać zagon ojczysty; ale sprzeciwiać się nie będę, tylko wprzód naradźcie się z panią matką i róbcie, jak wam się wyda najlepiej.

— A ja za pozwoleniem waszem — wtrącił pokornie Juraś — śmiałbym jeszcze radzić, żeby Janko stawił się u naszego hetmana. Tam dopiero poznać można, co to jest życie i sława, a dla takiego junaka wszędzie podwoje otwarte i żadnych poleceń szukać nie potrzebuje.

Bohowitynowa po chwili milczenia ze złożonemi rękoma, jak gdyby się w duchu modliła, podniosła na syna wzrok, błyszczący męstwem i dziwną jakąś pogodą i rzekła:

— Powtarzam ci, dziecko moje, że ja matka, woli twej krępować nie chcę. Przedewszystkiem należy się służyć tej wspólnej matce naszej, dla której ojciec twój i dziadowie krew swą przelewali. W Bogu mam ufność, że cię nie opuści i strzedz będzie tak, jak strzegł przez te ciężkie lata niewoli pogańskiej, a mego bolesnego sieroctwa. Niech cię On błogosławi, jak w tej chwili błogosławi cię matka na wszelkie przygody i zamiary twoje.

Wzruszony młodzian ukląkł, schylając się do nóg tej matki zacnej, która, nie bacząc na własne cierpienie, gotowa była w każdej chwili złożyć ofiarę z tego, co miała najdroższego; ręce jej wzniosły się nad głową jedynaka, a usta szeptały słowa cichej modlitwy. Przez okienko otwarte jasny promyk słońca oświecił matkę i syna, a wszyscy przytomni, z wzruszeniem głowy pochyliwszy, do błogosławieństwa matczynego dodali uroczyste — Amen.

Maryjka ze łzami patrzała na odzyskanego niedawno, a tak już ukochanego braciszka i nawet Halka-trzpiotka ukradkiem łezkę otarła, choć jej koralowe usteczka jakby do uśmiechu się składały. Piękny był widok tej rodziny, zjednoczonej w jednem, silniejszem nad miłość rodzinną uczuciu.

XVIII.

Obertyn. — Znowu na Jasnej Górze. — Zakończenie.

I odjechał Janko do obozu pana hetmana z Jurkiem razem. Bohowitynową zatrzymali państwo Wincentowie w dworku swoim pod Częstochową, żeby miała opiekę przyjacielską i łatwiej dostawała wiadomości o synu. W owe czasy jeszcze poczty nie było, ani też gazet żadnych nie wydawano, trudno więc było o wieści prędkie i pewne, a te, które dochodziły, tak się, z ust do ust przechodząc, przeinaczały, że im wiary nie dawano.

Raz jednak z klasztoru OO. Paulinów na Jasnej Górze przysłano do dworku Gozdawów jakieś pisanie, które, jak się okazało, było od Janka do matki. Donosił tam o swem zdrowiu i powodzeniu, o wielkiej dobroci pana hetmana i o gotującej się wyprawie na Wołoszczyznę.

Potem do cichego dworku doszły wieści o świetnem zwycięstwie pod Obertynem [1]), o wjeź-

---

1) Piotr, czyli Petryłło, wojewoda mołdawski, zajął podstępnie Pokucie, bez wypowiedzenia wojny, ale hetman Tarnowski wkrótce wypłoszył stamtąd Mołdawian i stanął w cztery tysiące rycerstwa pod Obertynem, gdzie nań uderzył Petryłło w dwadzie-

dzie triumfalnym sędziwego hetmana do Krakowa. Ktoś ze szlachty okolicznej, co był w stolicy w czasie tej uroczystości, opowiadał, jak król Zygmunt za zbliżeniem się hetmana, powstał z tronu i sam już starzec starego wodza do serca przycisnął. Rozpowiadał, jak przywiedziono do stóp króla działa, zdobyte na Wołochach i jeńców, zabranych w bitwie pod Obertynem. I brzmiał rozgłośnie dzwon, „Zygmuntem“ zwany, który niedawno przedtem król kazał ulać i zawiesić na Wawelu; lud zebrany wydał okrzyki radosne, a wszyscy, zwycięstwem upojeni, zapominali o innych niebezpieczeństwach, wiszących nad rzeczypospolitą.

Tymczasem upłynęła i wiosna, a kiedy kłosy złociły się na łanie, znów się w dworku Gozdawów rojno i gwarno zrobiło, bo zawitał tam poczet rycerzy. Przybywali konno i zbrojno; na czele jechał młodzian piękny, o licach ogorzałych i ciemnych włosach, o czarnem oku z ręką prawą na temblaku; lewą jednak kierował zręcznie karym rumakiem swoim. Przy nim drugi, niższego cokolwiek wzrostu i z jaśniejszym włosem, a niemniej pięknego i dzielnego lica młodzieniec.

To Janek i Juraś, obaj okryci chwałą w bitwie, gdzie przy boku sędziwego hetmana dzielnie się przyczynili do pogromienia wrogów. Janek ranny w prawą rękę, musiał już porzucić zawód wojskowy, a otrzymawszy od króla jegomości w darze ładną wioseczkę, Nowy-Staw pod Krzemieńcem, spieszył uprawiać zagon ojczysty, otaczając

---

ścia dwa tysiące ludzi i pięćdziesiąt dział; lecz wojsko jego rozbite, zostawiło w ręku naszych działa swe, mnóstwo jeńców i wszelkie zasoby obozowe 22 sierpnia 1530 r. Potem musiał Petryłło przycichnąć.

zarazem ukochaną matkę opieką synowską, której tak już potrzebowała. Juraś także, zanim się na nową wojnę zaniesie, spieszył użyć wczasu na wołyńskich niwach, skąd był rodem. Co tak rycerskiego młodziana usposobiło do tęsknoty za wsią i spokojem, przekonamy się niebawem.

* * *

W wigilję Matki Boskiej Zielnej znów — jak zazwyczaj — tłumy pielgrzymów zaległy całą Jasną Górę wkoło, ale wśród mnóstwa ludu zwraca na siebie powszechną uwagę wspaniała drużyna weselna, która właśnie po skończonym obrzędzie z kaplicy Najśw. Marji Panny wychodzi. Ludzie przepuszczając ją, rozstępują się, ale wszystkie głowy, ciekawe naprzód pochylone, ścigają wzrokiem szczególnie dwie pary państwa młodych, które wśród grona swych krewnych wychodzą właśnie z kościoła.

— To braniec tatarski — szepcą, roztrącając się ludzie wokoło, a Janek w pięknym, granatowym żupanie [1]), płaszczu karmazynowym i kołpaczku o pysznem, czaplem piórze na głowie, lewe ramię podaje hożej, czarnobrewej Halce, w białej, łabędzim puszkiem bramowanej jupce i takimże obcisłym kabaciku, a zielonym wianeczku, z pod którego bujne krucze włosy do kolan prawie spływają.

W drugiej parze postępuje Juraś ze złotowłosą, w białą sukienkę przybraną Maryjką, także u oł-

1) Kontusze upowszechniły się dopiero około czasów Sobieskiego; żupany zaś bardzo dawno już w Polsce noszono.

tarza pobłogosławieni. Dalej Bohowitynowę prowadzi zacny pan Gozdawa, a za nimi inni weselni goście postępują, między którymi nie brak także i smukłego, jasnowłosego Leszka, odszukanego z łatwością i to w Krakowie, gdzie pierwszy poznał swego młodego opiekuna z czasów pobytu w niewoli muzułmańskiej.

Jak się później raczono w modrzewiowym dworku, nim się obie pary młode w drogę na Wołyń puściły, opowiadać już nie będziemy, bośmy tam nie byli, „miodu i wina nie pili...“

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413499